

**Vladimir Volkoff**

# GOŚĆ PAPIEŻA

Rzym, 23 IX 1978 r. godz. 23:00



Jani Paweł I nie żyje. Kolejna tajemnicza śmierć a katykołd.

Vladimir Volkoff

GOŚĆ PAPIEŻA

Przekład  
Iwona Banach

WYDAWNICTWO



Tytuł oryginału: *L'Hôte du pape*

Copyright © Editions du Rocher, 2004

Copyright © for the Polish translation by Klub Książki Katolickiej, 2005

Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”

Projekt okładki: Piotr Łysakowski

Redakcja: Roman Bąk

Redakcja techniczna: Agnieszka Bryś

ISBN 83-88481-61-4

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
ul. Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa  
tel. (022) 631 48 32, 632 91 55, 535 05 57  
[www.oramus.pl](http://www.oramus.pl) [www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Klub Książki Katolickiej Sp. z o.o.  
ul. Woźna 13, 61-777 Poznań  
tel. (061) 851 55 82 fax (061) 851 55 93  
e-mail: [klub@kkk.com.pl](mailto:klub@kkk.com.pl)

## *Zamiast wstępu*

Albino Luciani został wybrany papieżem 26 sierpnia 1978 roku i przyjął imię Jana Pawła I. Uroczystość inauguracyjna odbyła się 3 września, a już 28 dnia tego samego miesiąca papież zmarł.

6 września przyjął na audyencji arcybiskupa Nikodema, metropolitę Leningradu. Rozmawiali ze sobą w cztery oczy, najprawdopodobniej po francusku, gdyż był to jedyny język, który znali obaj.

Arcybiskup zmarł nagle w trakcie audyencji, w ramionach papieża, który udzielił mu ostatniego rozgrzeszenia. Po tym zdarzeniu Jan Paweł I oświadczył: „Nigdy jeszcze nie słyszałem tak pięknych słów na temat Kościoła, nie mogę ich jednak powtórzyć, toteż pozostaną tajemnicą”.

Związek pomiędzy tymi dwoma zgonami umknął jakby dziennikarzom i historykom, co nie przeszkodziło im w wysnuwaniu przeróżnych hipotez na temat śmierci papieża. Niektórzy wysuwali bezpodstawne oskarżenia, inni zrećźnie ukrywali niepokojące fakty.

Zawód powieściopisarza jest zupełnie inny: nie polega na odkrywaniu tego, co nieznanne, ale na wyobrażaniu sobie tego, co prawdopodobne.

Dlatego *wszystkie* postacie tej powieści są wymyślone, nawet jeżeli mają coś wspólnego z osobami istniejącymi naprawdę. Szczególnie dotyczy to postaci, jaką jest Jego Wielbność Ilja, który mimo tego, że umiera w ramionach papieża, nie jest podobny ani pod względem charakteru, ani wieku, ani biografii do postaci Jego Wie-

lebności Nikodema.

Jedyny bohater tej powieści, który jest osobą rzeczywistą, to sam papież, ponieważ autor uważał, że byłoby w złym guście, gdyby opisał jakiegoś *wymyślonego* papieża, sprawującego władzę w czasach tak bardzo nam współczesnych.

V.V.

ROZDZIAŁ I  
MUSICIE GO ZABIĆ

# 1.

List przedłożony w poniedziałek 28 sierpnia 1977 roku w siedzibie KGB w Leningradzie.

Do generała Mikołaja Nełgomonowa

Towarzyszu generale!

Z pewnością mnie sobie nie przypominacie, ale to właśnie wy skazaliście mnie w 1959 roku na 15 lat łagru za propagandę religijną.

Spędziłam ten czas na Kołymie, a potem przeżyłam trzy lata zesłania na Syberii. W chwili obecnej mieszkam w Leningradzie.

Chciałabym, abyście zgodzili się ze mną spotkać możliwie jak najszybciej.

Nazywam się

Warwara (Wadimowna) Wierchotnaja

## 2.

W roku 1977, po z górą dziesięciu latach rządów Leonida Iljicza Breżniewa, laureata Leninowskiej Nagrody Pokojowej, który w 1976 roku był już właściwie klinicznie martwy i tylko od okazji do okazji był reanimowany, Związek Radziecki wszedł w okres stagnacji. Rząd i partia tkwiły w zastoju już od około 6 lat, ale w służbach, które rekrutowały członków spośród elit narodu, zaczynało wrzeć. Służby te, czyli Komitet Bezpieczeństwa Narodowego, znane były bardziej na Zachodzie jako KGB.

KGB było wówczas podzielone na dwie przeciwstawne sobie frakcje. Z jednej strony byli ci, których nazywano *żubrami*, po rosyjsku *зубр*, tak jak w nazwie żubrówka. Byli to starzy wyjadacze, przywiązani do swoich przywilejów – tylko idioci by nie byli do nich przywiązani – ale także przywiązani do ideałów, tak samo jak do podkutych butów, po których łatwo można było ich rozpoznać. Byli obojętni na los czterech milionów ofiar, jakie przypisywano pośrednio czy bezpośrednio poczynaniom KGB.

Żałowali, że zamknięto Departament 13 (ten, który zajmował się tak zwaną mokrą robotą, czyli zabójstwami) i byli wściekli, że tortury, wprowadzone jeszcze przez Lenina jako normalne metody śledcze, stosowane były coraz rzadziej, a nawet wzbudzały niechętnie spojrzenia wewnątrz samych Służb. Denerwowali się tym, że nowi rekruci to mięczaki i marzyli o powrocie do władzy pewnych i czystych twardzieli. Marzyli o powrocie do dawnych czasów. Nie można powiedzieć, żeby naprawdę wierzyli w marksizm i leninizm jako doktrynę filozoficzną, ale chętnie wnosili kielichy na wspomnienie wielkich mistrzów: Marksa, Engelsa i Lenina; Stalina także, ale tylko w gronie przyjaciół. Większość z nich należała do Drugiego Wydziału, tego, który był odpowiedzialny za wewnętrzną policję polityczną w Związku Radzieckim.

Drugą frakcją byli ci, których nazywano *mladoturki*, czyli „młodzi



Turcy”. Była to aluzja do Mustafy Kemala. Czasami nazywano ich także *liberalami*. Byli to względnie młodzi ludzie, w większości należący do Pierwszego Wydziału zajmującego się operacjami szpiegowskimi i kontrwywiadem. Czytali zakazane książki, służyli na Zachodzie, przyswajali sobie zachodnią kulturę, stwierdzali, że społeczeństwo kapitalistyczne wcale nie jest na skraju upadku, porównywali różnice w poziomie życia w obu społeczeństwach i wyciągali wnioski. Nosili coraz częściej delikatne półbuty i dobrze skrojone ubrania. Niektórzy z nich, ci, którzy wyprzedzali innych, mieli swój wkład w Praską Wiosnę; dzięki ich rywalizacji podobno upadły Mur Berliński, dyktatura Ceausescu, a w końcu także sam radziecki reżim komunistyczny. Spomiędzy nich wyszli tacy ludzie jak niejaki Andropow, niejaki Gorbaczow i niejaki Putin...

I to właśnie Andropow był szefem KGB od około dziesięciu lat, kiedy tego letniego dnia Nełgomonow otrzymał list od Warwary.

Nełgomonow, szef Służby Bezpieczeństwa Politycznego w Leningradzie, był przywódcą *żubrów*.

Zamyślił się, podparł swój monumentalny wręcz podbródek szeroką pięścią i starał się sobie przypomnieć...

### 3.

*Wtorek 29 sierpnia, rano*

Warwara Wadimowna Wierchotnaja była ubrana na czarno od stóp do głów. Głowę miała nakrytą czarną, zrobioną na drutach chustą, która okalała jej twarz i opadała na wychudłe ramiona, które mimo upału okrywała czarnym ażurowym szalem. Było jej tak zimno na Kołymie, że teraz będzie jej zimno już do końca życia. Czarna spódnica opadała jej do stóp obutych w czarne botki. Szła wielkimi krokami, a w jej białej, jakby martwej twarzy błyszczały jedynie czarne oczy.

Przechodnie, których mijala, uciekali wzrokiem od jej spojrzenia czarownicy.

Budynek KGB, wielki i szary, przycupnął przy bulwarze Litiejny jak wielka ropucha. Uzbrojony strażnik rzucił okiem na wezwanie i zaprowadził kobietę na posterunek. Stamtąd przeprowadzono ją do biura, gdzie sekretarze obojga płci siedzieli przed stosami akt, wymieniając ze sobą szeptem jakieś uwagi. Kiedy weszła tam ta kobieta w czerni, na chwilę wszystko zamarło. Wszyscy zastygli z otwartymi ustami i rękoma zawieszonymi nad klawiaturami. Nagle ktoś sapnął.

– Dama pikowa!

Inny dodał:

– Baba Jaga!

Jakaś kobieta szepnęła grobowym głosem:

– Śmierć we własnej osobie!

Stara Warwara spojrzała na wszystkich z wyższością, przenosząc wzrok od jednej do drugiej osoby z miną dumnej męczennicy. Natychmiast wrócili do swoich papierów. Wszedł jakiś oficer.

– Wierchotnaja? – Zapytał.

– To ja – odpowiedziała.

Oficer poprowadził ją na drugie piętro. Zapukał w obite skórą

drzwi.

Gabinet generała Nełgomonowa był ponury, ale wygodny. Na parkiecie rozpostarte były kaukaskie dywany. Welurowe, brązowe zasłony zwisały z obu stron okna, które wychodziło na bulwar Litiyjny, gdzie królował czarny pomnik Dzierżyńskiego, fanatyka i założyciela CzK, którego spadkobiercą było KGB. Na ścianie po prawej wisiał kolorowy portret Breżniewa, po lewej dwa czarno-białe portrety: Dzierżyńskiego i Andropowa. Pomiędzy nimi jaśniejsze prostokąty tworzyły jasne plamy na żółto-zielonkawej tapecie: bez wątplenia były to kiedyś miejsca portretów: Jagody, rozstrzelanego przez Jeżowa, Jeżowa rozstrzelanego przez Berię, Berii rozstrzelanego przez Merkułowa, Merkułowa rozstrzelanego przez Abakumowa, Abakumowa rozstrzelanego przez Ignatiewa...

Nełgomonow podniósł się ciężko. Ubrany był w niebiesko-zielonkawy garnitur skrojony à la Pankow i brązowe buty.

– Warwara Wadimowna, proszę usiąść. – Rzecz i jako dobry komunista zaczął od sentencjonalnej przemowy:

– W młodości popełnialiście błędy. Zostaliście ukarani. Odbyliście karę. W tej chwili odzyskaliście pełnię praw. Państwo radzieckie jest surowe, ale sprawiedliwe. Jak to mówi stare, dobre przysłowie, co się stało, to się nie odstanie. Co mogę dla was zrobić?

Warwara patrzyła na niego, nie siadając.

– Nie przypominacie mnie sobie? Wcale?

Nełgomonow wykonał coś w rodzaju uniku.

Wcześniej przejrzał archiwa i znalazł w nich oskarżenia pod adresem Wierchotnej: udzieliła gościny nielegalnemu księdzu, należącemu do Kościoła katakumbowego, dawała nieletnim lekcje historii żywotów świętych, zorganizowała obnośną bibliotekę, w której krążyły Biblie i książki religijne. Za dobrych starych czasów, jeszcze za Lenina, takie postępowanie kosztowałoby dziewięć gramów ołowiu w tył głowy. W czasach Stalina, już po wojnie, pięć lat Gulagu, dziecinada! Chruszczow, który sam uwolnił około miliona więźniów politycznych, do religii podchodził bardzo poważnie. Poza

tym Warwara przyznała się do winy, ale odmówiła podania nazwisk współników, toteż zważywszy na tamte czasy, trzeba było nią trochę potrząsnąć. Nelgomonow nie pamiętał tej sprawy za dobrze. Tyloma kobietami i mężczyznami musiał potrząsnąć! W rezultacie zebrało jej się piętnaście lat, ani roku mniej, normalka, tyle właśnie miała dostać i dostała.

Warwara jednak zapamiętała Nelgomonowa doskonale.

Nikt przed nim jej nie uderzył, nikt wcześniej nie trzymał jej głowy pod wodą w umywalce. Rozpoznała go bez najmniejszego problemu, mimo iż przez te dwadzieścia lat, które minęły od tamtego czasu, przytył, a jego obwisłe policzki stały się niemal błękitne. Miał jednak wciąż te same wredne oczy, ukryte za wystającymi kośćmi policzkowymi, błyszczącymi jakby były nasmarowane oliwą. Miał ten sam nochal, jakby jeszcze trochę większy, te same pięści, które waliły w nią jak młoty pneumatyczne.

Przyjrzała mu się uważnie. Może jednak pomyliła się co do niego? Może się zmienił?

W każdym razie był jedynym człowiekiem, jakiego znała, który był zdolny przeprowadzić do końca operację, o którą jej chodziło. Znała go fizycznie, wręcz w sensie biblijnym. Nie dlatego, że zaszła między nimi jakakolwiek relacja płciowa, ale tortury to coś bardzo podobnego: było między nimi to coś – jakiś akt zjednoczenia. Znali swoje własne zapachy; wierzyła, że może mu zaufać. Była przekonana o jednym: *on wierzył*, a jej wiara mogła wykorzystać jego wiarę, mimo że każde z nich wierzyło w coś zupełnie innego.

W co on wierzył? O, nie we współwłasność środków produkcji, ani w łączenie się proletariuszy wszystkich krajów, ani nawet w walkę klasową. Nic go to, tak naprawdę, nie obchodziło. Zrobiłby jednak wszystko dla władzy radzieckiej. Zrozumiała to, kiedy o mało nie zламаł jej kręgosłupa, kiedy odmówiła podania nazwisk dzieci, które przychodziły do niej na lekcje katechezy, bo ta odmowa była pogwałceniem absolutu, jakim miała być władza radziecka. To był człowiek, myślała z aprobatą, zdolny do wszystkiego.

Usiadła i przysunęła krzesło do biurka, za którym usiadł generał; jego rzeźniczkę łapy zwisały z poręczy fotela. Pochyliła się, mówiąc możliwie jak najciszej, bo chciała skoncentrować i siebie i swojego rozmówcę na tym, co miała powiedzieć. Nie zdając sobie z tego sprawy, wykorzystywała wszystkie szelesty i szmery, w jakie bogaty jest język rosyjski.

– Jego Wielbność Ilja, arcybiskup, metropolita Leningradu odpowiedzialny za sprawy zagraniczne patriarchatu, poprosił o audiencję u nowego papieża w Rzymie, u tego, którego właśnie wybrano. Dostał na nią zgodę, możecie to sprawdzić. To przecież wasz kolega, prawda?

Generał nie odpowiedział od razu. Jak wielu jemu podobnych, nigdy nie odpowiadał od razu. Często wcale nie odpowiadał.

W jednym zaledwie zdaniu Warwara wypowiedziała mnóstwo niesamowitości. Oświadczyła, że pewien arcybiskup jest członkiem KGB (co się zdarzało, ale o czym się nie mówiło), że członek KGB jest arcybiskupem (co się zdarzało, ale o czym mówiło się jeszcze mniej), że ów prawosławny metropolita miał się spotkać z rzymskokatolickim papieżem (bezceństwo), że członek KGB miał się spotkać z szefem organizacji wierzącej w zabobony i utrzymującej, że komunizm sam w sobie jest perwersją (wprost nie do pomyślenia). Poza tym ta stara gnida, ledwie co opuściwszy gułag, sądziła, że wie to, czego nie wie on, generał-pułkownik<sup>1</sup> Nełgomonow, będący zaledwie o jeden szczebel w karierze od szefostwa Drugiego Wydziału! Musiał mieć trochę czasu, żeby przetrwać taką bezczelność.

<sup>1</sup> Generał broni.

Istniała jednak możliwość, żeby skorzystać z okazji, jaka mu się nadarzała.

Generał-lejtnant<sup>2</sup> Gałkin, alias Jego Wielbność Ilja, lat 58 (o dziesięć mniej od Nełgomonowa), tak jak sam Nełgomonow należał do Drugiego Wydziału KGB, ale paradoksalnie jego zainteresowania koncentrowały się na zagranicy. Przeniknął do Rady Ekumenicznej Kościoła, pojawiał się jako obserwator na Soborze Watykańskim,

prawie bez przeszkód podróżował po kraju „największego wroga” (czyli po Stanach Zjednoczonych), koncelebrował tam msze wraz z metropolitą *Orthodox Church of America*<sup>3</sup> i był jednym z szefów grupy liberałów w KGB.

<sup>2</sup> Generał dywizji.

<sup>3</sup> Prawosławny Kościół Amerykański (przyp. tłum.).

Zawsze miło jest podłożyć świnię, podstawić nogę wrednemu koledze, to wprost wyśmienite.

– Mmm... Skąd macie tę informację? – mruknął wreszcie Nelgomonow.

Warwara zawahała się, czy wyjawić najważniejszą tajemnicę, ale było to konieczne.

– Ojciec Jurij zdradził się na spowiedzi. W niedzielę. Ja nie jestem związana tajemnicą spowiedzi. Modliłam się całą noc i zdecydowałam się przyjść z tym do pana.

– Jak to ojciec Jurij się zdradził?

– Wyznałam mu, że czytałam protestancką Biblię, bo nie miałam prawosławnej. Powiedział mi, westchnąwszy, że to niezbyt ważne. Bardzo poważna sprawa to to, że Jego Wielebność i on sam jadą do Rzymu do nowego... papieża! (Splunęła oburzona, wymawiając owo znienawidzone słowo „papież”). Nelgomonow od razu pomyślał, że to doskonała okazja.

– Mmm...

Tak, doskonała okazja, żeby zdyskredytować nieco Gałkina wobec kliki *zubrów*. A jeżeli, kto wie, poczuł się za bardzo niezależny i poprosił o tę audiencję bez stosownego zezwolenia swoich zwierzchników, była to okazja, żeby załatwić go definitywnie.

– Dobrze, żeście mnie zawiadomili. Czekaista nie może poniżać się przed takim fabrykantem opium dla mas. Zobaczę, co będę mógł zrobić.

– Trzeba go zabić – powiedziała spokojnie Warwara.

Wymówiła te słowa z powagą, spokojnym tonem, jako coś naprawdę oczywistego, czego on jeszcze nie był w stanie pojąć. Widząc,

że nadal jej nie rozumie, zaczęła nalegać.

– Nie widzicie, że to jest odpowiedni moment?

– Mmm...

Nie, wyraźnie jeszcze nie pojmował.

Nełgomonow chętnie się zgadzał z tym, że członek KGB, który jedzie w odwiedziny do papieża do Rzymu, godzien jest śmierci.

Areligijność i ateizm stanowiły podstawę marksizmu-leninizmu, paktować więc z kimkolwiek, kto powołuje się na jakiegoś tam boga, było szczytem zdrady, i nie było w tym nic zaskakującego, że liberalny Gałkin w swoich jedwabnych sutannach i trzewikach szytych na miarę był zdrajcą. A ponadto przecież papież był jednym z czołowych polityków światowej koalicji szczującej przeciw Związkowi Radzieckiemu. W związku z tym nawiązywanie relacji z Watykanem było wielce naganne.

Zważywszy jednak na rozprężenie obyczajów w KGB, Nełgomonow nie wiedział, czy ten fakt wystarczy za dostateczny pretekst do „mokrej roboty”. W każdym razie złoty wiek CzK dawno już przeminął. Taka decyzja mogła zostać podjęta jedynie na poziomie towarzysza Andropowa, który mimo, iż represjonował z całym zacięciem dysydenckich intelektualistów, to skłaniał się bardziej ku *liberałom* niż ku *żubrom*.

– Mmm...

Warwara westchnęła, z jej płuc wydarło się coś w rodzaju rżężenia.

– Rozmawiałam o tym z przyjaciółmi. Zgadniają się. Już samo to, że Wielebny Ilja jest generałem KGB, wcale nam się nie podoba, ale sprzeniewierzyć nasz święty Kościół prawosławny papistom?! Wy nie jesteście wierzący, wam wszystko jedno... Ale narzucać nam ogolonych księży, malowane rzeźby, organy w cerkwi, przestawiony kalendarz i komunię, w której nie ma Krwi Chrystusa? Wam wszystko jedno, że będą nam kazali robić znak krzyża odwrotnie niż trzeba, ale nam nie!

– I dla was – zapytał Nełgomonow, idąc za tokiem jej wypo-

wiedzi – dla was to wystarczający pretekst, żeby... zabić? Tak? Wydawało mi się, że wasza religia mówiła coś o wybaczeniu? Czy nie było kogoś, kto powiedział „nie zabijaj” i czy to przypadkiem nie powiedział sam Jezus?

– Jezus powiedział „Przynoszę miecz”. To Mojżesz powiedział „nie zabijaj”!

– Aha, czyli się nie liczy?

Kolejne westchnienie wyrwało się z gardła Warwary.

– Mojżesz sam zabił Egipcjanina, bo tak było trzeba. Czasami trzeba robić to, czego robić nie należy. Ziemia obiecana została zdobyta, bo wybito Madianitów, Kananejczyków, Amorytów, mieszkańców Jerycha, Makkedy, Libny, Lakisz, Gezeru, Eglonu, Debiru, Chasoru (Warwara wymawiała te nazwy z okrutną wręcz przyjemnością). O tym mówi Biblia. Chrześcijanie mordowali się nawzajem. Katolicy prześladowali protestantów, protestanci katolików, a pośród prawosławnych to co się działo? Bułgar podrzynał gardło Grekowi, Grek wylupiał oczy Bułgarowi. A jak będzie o jednego Judasza mniej na ziemi, to ja z tego powodu płakać nie zamierzam, towarzyszu generale! Trzeba wiedzieć, czego się chce! Rosyjski Kościół prawosławny otrzymał prawdę, musimy ją zachować za wszelką cenę. Wy zrobiliście rewolucję i zabiliście czterdzieści milionów ludzi, możecie zabić i tego jednego, to chyba nie sprawi wam kłopotu?

– Kościołowi prawosławnemu została powierzona prawda?

– Rosyjskiemu Kościołowi prawosławnemu. Tak, kiedy pierwszy Rzym pogrążył się w herezji, a Konstantynopol – drugi Rzym, wpadł w ręce Turków, Moskwa stała się trzecim Rzymem, i kolejnego już nie będzie nigdy. Bo to Rzym ma być prawdą, ale Rzym wcale nie jest w Rzymie. To jasne!

– Mmm... Nie bardzo rozumiem... A jak sobie wyobrażacie to... zabójstwo?

– To wasza specjalność, nie moja.

– Przed audiencją pontyfikalną? Po audiencji?



– Najlepiej byłoby oczywiście podczas!

„Ta kobieta, która wróciła z gułagu w Kołymie, jest po prostu szalona! – Pomyślał Nełgomonow – ale, jak powiedział Puszkina, «w tym szaleństwie jest metoda». Rosjanie przypisują Puszkiniowi wszystkie cytaty, których autorów nie znają”.

– Podczas?

– Ależ tak, podczas. Rosyjski, prawosławny arcybiskup jedzie spotkać się z katolickim papieżem i zdycha! Nikt się nie dziwi. Niektórzy pomyślą, że otrul go sam papież, bo ten biskup był prawosławny, albo dlatego, że należał do KGB, albo dlatego, że był Rosjaninem. Nieważne... Inni powiedzą, że papież nie jest na tyle głupi, żeby truć własnego gościa na oczach wszystkich, ale większość będzie wierzyć, że tak czy tak, Bóg pokarał tego biskupa za świętokradztwo. Co może być lepszego? No i sami rozumiecie, to będzie prawda, bo Bóg rzadko działa bez pośredników, no chyba żeby chodziło o cud. Wy i ja będziemy więc pośrednikami, Bóg nie dopuści do zdrady i ukarze zdrajcę. To będzie sukces i dla nas, i dla was.

– Dla was, czyli dla prawosławnych?

– Dla nas, czyli dla prawdziwych prawosławnych.

– Bo istnieją i fałszywi?

– I to ilu!

– A jak ich rozpoznać?

Warwara wykonała ręką gest nie tyle będący unikiem, ile czymś, co miało znaczyć, że oczywistości nie trzeba tłumaczyć.

Nełgomonow coś sobie kalkulował w głowie.

Eliminacja jednego z liberałów? Dobra rzecz. Jednego z liberalnych szefów? Jeszcze lepsza. Jeżeli zwierzchnicy KGB zezwolili mu na wyprawę do Rzymu, to zmieniało sprawę, ale nie aż tak bardzo. Nie byłoby wcale źle, gdyby towarzysz Andropow zrozumiał, że to jego ciągle otwieranie się na Zachód może być brane przez Rosjan, jak i przez tych z Zachodu za oznakę słabości. Gdyby jakieś nieszczęście przytrafiło się jednemu z jego wysłanników, dostałby nauczkę, i może wyciągnąłby odpowiednie wnioski.

Zastanawiałby się z pewnością, kto wywinął mu ten numer, ale nie powinien odkryć jego prawdziwych sprawców. Nie byłoby źle, gdyby się wahał pomiędzy kilkoma wersjami. „Albo ci z Zachodu kpią sobie ze mnie, albo moi ludzie mnie ostrzegają”. Wszystkie ślady powinny urywać się nagle i do niczego nie prowadzić. Krótko mówiąc, wizyta Gałkina u papieża, ważna, czy nie, sama w sobie mogła być opatrnością okazją, żeby wysłać szefowi sygnały, które odbiłyby się w Politbiurze, którego był członkiem.

To nie był wcale taki zły pomysł.

Nełgomonow wstał wyprężony jak struna, stanął w całej okazałości i powiedział.

– Warwara Władimirowna...

– Wadimowna...

– Waleria Wadimowna, cieszę się, że widzę raz jeszcze, że sowiecka sprawiedliwość, surowa, ale jednakowa dla wszystkich, wydaje swoje owoce. Byliście dobrowolną ofiarą średniowiecznego obskurantyzmu, ale zostaliście zresocjalizowani i przynieśliście do nas owoce swoich obserwacji, za co jesteśmy wam głęboko wdzięczni.

Podał jej wielką dłoń, jedną z tych, które waliły w nią w przeszłości. Nie uściśnęła jej.

Jej czarne oczy błyszczały nadal z taką samą siłą w chudej, pooranej bruzdami, złamanej twarzy, która nie miała prawie policzków, a kości czaszki opięte były skórą tak mocno, jakby za chwilę miały ją rozerwać.

– Towarzyszu generale, zobaczmy, co potraficie – odpowiedziała dawna więźniarka.

## 4.

*Wtorek 29 sierpnia, wieczorem*

Zebranie głównych *żubrów* odbyło się jeszcze tego samego wieczora w mieszkaniu generała-pułkownika Nełgomonowa, na ostatnim piętrze jednego z budynków, które marszałek Stalin kazał zbudować dla swojej arystokracji, a które swoją brzydotą i obscurnością przeciwstawiały się umizgom architektury zachodniej tej samej epoki.

Mieszkanie było duże. Właściwie były to dwa połączone mieszkania, żeby generałowi nie było za ciasno. Mimo upału nie otworzono okien z powodu komarów, wielkich jak palec, które cięły nieznośnie. Żona Nełgomonowa, poproszona, udała się do teatru Kirowa na *Szeherazadę*, a w tym czasie pół tuzina *żubrzych* żołądków cisnęło się na skórzanej kanapie tak bardzo, że o mało nie potrzaskały im guziki u koszul i rozporków, nie mówiąc już o paskach... Powietrze było błękitne od dymu, jedni palili marksistowskie kubańskie cygara, inni fajki nabite patriotyczną machorką. Gospodyni zostawiła wszystko, co było potrzebne, aby nakarmić i napoić wszystkich. Pito ciepłą wódkę i koniak, albo piwo, jak popadło. Ogony od śledzi walały się w popielniczkach, w wazach na zupełne miliony ziarenek kawioru błyszczwały jak małe jadalne żrenice. Gramofon grał popularne piosenki Zykiny, ulubienicy Leonida Iljicza Breżniewa.

Szybko uzyskano konsensus, nie po raz pierwszy ludzie z KGB byli zmuszeni zlikwidować jednego ze swoich, jednego z członków KGB, który zszedł na złą drogę.

Nełgomonow zdobył konieczne informacje. Gałkin dostał pozwolenie na wyjazd do papieża. Kto wie, pozwolenie, a może nawet rozkaz? Pozwolenie to wydał szef KGB Andropow, prawdopodobnie bez wiedzy Breżniewa, który polował na bażanty na wózku inwalidzkim.

Na czym dokładnie miała polegać misja Gałkina, nikt tego w

szczegółach nie wiedział, bez wątpienia nie wiedział tego nawet Pimen, patriarcha Moskwy, który także dał na nią swoją zgodę. Była w tym jakaś sprawa wyższej wagi, która wymknęła się spod kontroli *żubrów*, a więc w konsekwencji była niepokojąca.

Bardziej niż niepokojąca! Nawet *żubry* zdawały sobie sprawę z bezdennej głupoty partii komunistycznej jako takiej i liczyły jedynie na KGB w celu utrzymania jedności Związku Radzieckiego i jego najwyższego celu, jakim było nawrócenie świata na ideologię marksistowsko-leninowską. KGB tak więc miało być czymś w rodzaju zbroi bez najmniejszej skazy. Jeżeli istniał jakiś zdrajca, wszystko było stracone. Eliminacja zdrajców była więc najwyższą koniecznością.

Gałkin wydawał się zdrajcą idealnym.

Wywączano już, że grał na dwa fronty. Nie można bowiem być zarazem dobrym czekistą i prawdziwym księdzem. A teraz z błogosławieństwem swoich przełożonych jechał kumać się z Rzymem! Nagle wszystkie *żubry*, które tak prześladowały Kościół prawosławny, zaczęły z nim sympatyzować: naszych popów jakoś da się jeszcze znieść, ale ogoleni księża, bez żon, nie ma mowy!

Nagle wybuchły podejrzenia. Gałkin został zwerbowany w Genewie. Nie! W opactwie ekumenicznym w Chevetogne. Nie! On pracował dla Stanów Zjednoczonych, albo też nie! Bezpośrednio dla Watykanu, a to było jeszcze gorsze...

Przez jedną ulotną chwilę ci materialisci zrozumieli, że Duch zaczyna tryumfować. Tak być nie mogło!

Jedna rzecz sprawiła, że śmiali się do rozpuku, przecież te wszystkie grube ryby z wywiadu i kontrwywiadu przegapiły informację, która była wprost pod ich nosem, a która być może, dobrze wykorzystana, sprawi, że koleiny historii pójną wreszcie w odpowiednim kierunku! Przecież przyniósł ją nie kto inny, tylko ta stara idiotka, była *zek*<sup>4</sup>, wierząca chrześcijanka, słowem osoba godna najwyższej pogardy. Dzielny Nełgomonow! Brawo! Natychmiast wywęszył sprawę i zareagował, jak należało. Przyjaźnie i mocno

poklepywano go po plecach, nie zważając na mokrą od potu koszulę.

<sup>4</sup> Więźniarka z Gułagu.

Prawdę powiedziawszy, nie było to takie proste. Wszyscy ci ludzie byli decydentami i żaden z nich nie przywiązywał specjalnej wagi do ludzkiego życia (niektórzy zabijali własnymi rękoma, inni *per procura*) nasuwało się jednak mnóstwo przeróżnych problemów. Najpierw sprawy administracyjne. Nie były to już piękne czasy CzK czy NKWD, żadna z tych osobistości, choć postawionych bardzo wysoko, nie miała odpowiedniej władzy, by podjąć decyzję o zabójstwie. Na dodatek chodziło o kolegę, i to o kolegę, który miał niesamowite poparcie władz najwyższych. Należało go zabić, ale czy było to wykonalne? Nawet przy najlepszych intencjach nikt nie miał ochoty ryzykować kariery w sprawie, która mogła odbić się rykoszetem i niestety bardzo zaszkodzić.

No i poza tym było coś jeszcze, coś o wiele poważniejszego.

Puszkina, opisując końcówkę bitwy nad Połtawą, opowiada, że ręka Rosjan „zmęczona była zarzynaniem” Szwedów. Zmęczona zarzynaniem! Tak samo ręka KGB, skrwawiona Bóg jeden wie jak bardzo, była zmęczona zarzynaniem Rosjan. Solżenicyn, Amarlik, Siniawski, Bukowski. Dlaczego ich dręczono, sądzono, skazano, dlaczego w końcu ich wygnano? Czyż nie było prościej zmusić ich do przyznania się do czegokolwiek, jak to się robiło za czasów Stalina? Skazać i zabić? Albo trochę bardziej niewinnie, upozorować samobójstwo w lochach w Lefortowie? Albo po prostu zorganizować im o zachodzie słońca spotkanie z ciężarówką, której kierowca byłby pijany? Cóż, niestety nie. Tego *po prostu już się nie robiło, a jak się czegoś nie robi, to się po prostu nie robi*. Jak więc pokonać to coś, co jest nie do pokonania? Na szczęście istnieją pośrednicy.

Ktoś zaproponował Bułgarów, zawsze gotowych oddać przysługę, ale Nełgomonow zauważył, że można zrobić to lepiej.

Co chciano przez to osiągnąć? Chciano wywołać wrażenie, że zagrożenie idzie z Zachodu!

Oczywiście, nikt nie wmówi towarzyszewi Andropowowi, że pa-

piez kazał zamordować prawosławnego metropolitę, który przyjechał do niego z wizytą, ale gdyby morderstwo zostało popełnione przez Włochów, mniej lub bardziej od papieża zależnych, sprawa stałaby się o wiele bardziej interesująca. Mogłaby to zrobić na przykład reakcyjna frakcja katolicka, przekonana, że schizmatycy zostaną potępieni i że trzeba się od nich trzymać z daleka jak od dżumy, że trzeba chronić papieża przed wszelkim ryzykiem teologicznego skażenia. Mogliby to być ludzie bardziej wrażliwi politycznie, dla których ostatni papież godny tego miana to był Pius X. Mogłoby, wręcz przeciwnie, chodzić o komunistów w stylu Berlinguera, którzy wysyłają żony na msze do kościoła, ale byłiby oburzeni, gdyby Moskwa (najwyższy ideał) podała rękę Stolicy Apostolskiej (największa pogarda). Mogłoby też chodzić o jakąś organizację mafijną (jest ich teraz pełno), która bałaby się rosyjskiej konkurencji przemyconej pod sutanną Jego Ekscelencji? We Włoszech wszystko jest możliwe i trzeba było to wykorzystać, a im bardziej sprawa będzie zagmatwana, tym bardziej przesłanie „łapy precz od Watykanu” dotrze do świadomości tego trzeba... Marszałek Stalin dobrze wiedział, że nie wolno paktować z diabłem.

Wypito toast za Marszałka w skupieniu, w ciszy, z nostalgią, nie wymawiając nawet jego imienia, ze strachu, że ktoś, kto także to zdrowie wypił, doniesie o tym, gdzie trzeba.

– No i jak, Nełgomonow, masz jakiś pomysł?

Przez jakiś czas dał się prosić, w końcu przyznał, że owszem ma pewną myśl. Wszystko odbędzie się podczas pobytu Gałkina w Rzymie. Miejsce i czas wybierze ten, kto wykona egzekucję, na tyle mądrze, żeby żadne ślady nie prowadziły do KGB. Pomysł Warwary, aby zadziałać w czasie samej audyencji pontyfikalnej, był jak z komiksu i nie wart był, by brano go pod uwagę. Choć byłoby to naprawdę przezabawne... No i oczywiście trzeba będzie zapłacić...

Towarzysze *żubry* mieli odpowiednie środki. Zapłacą. Małe oczy Nełgomonowa oceniały szczerą zaangażowania, które się pojawiło. Wypito jedną, dwie, trzy ostatnie szklaneczki. W końcu nadstawiono

ucha, by posłuchać historii, jaka zdarzyła się pewnej piosenkarce.

– Znacie historię Zykyiny, którą zatrzymała milicja? – zapytał jeden z *żubrów*. – Miała wielki diament, futro z kun syberyjskich i mercedesa. Pytają, skąd ma tego mercedesa? „Lenia mi dał” – odpowiada. „Kuny syberyjskie?”. „Lenia mi dał”. „Diament?”. „Lenia mi dał”. „Podejrzane to wszystko, oj podejrzane. Czarny rynek. Masz numer telefonu do tego Leni?” – pytają. Ona oczywiście podaje. „To musi być jakiś podejrzany typek”, lejtnant dzwoni do niego. „Halo, Lenia? To ty?”. No i słyszy odpowiedź: „Są tacy, być może, dla których jestem Lenia, ale dla reszty jestem Leonid Iljicz!”.

Roześmiali się. W społeczeństwach, w których nie dyskutuje się z władzą, można się z niej choć pośmiać.

*Żubry* rozeszły się. Nełgomonow został sam w tę sierpniową noc, która wciąż jakoś nie mogła zapaść. Wstęgi ciemnych chmur strzępiły się na leningradzkim niebie. Żona Nełgomonowa wróciła z *Szeherezady*. „Naprawdę autentycznie radzieckie dzieło! Reżyser wspaniale podkreślił sympatię Rymskiego-Korsakowa dla walki proletariatu przeciw klasom uprzywilejowanym”. Widząc bałagan w mieszkaniu, Nełgomonowa trochę ponarzekła, tak dla zasady. Spodziewała się, że będzie gorzej. Jutro *domrabortnica*<sup>5</sup> wszystko uporządkuje, poukłada i zamiecie. Przejedzie wschodnioniemieckim odkurzaczem i zrobi coś z tym zapachem piwa, kapusty i wędzonych ryb, żeby w końcu wywietrzał...

<sup>5</sup> Sprzątaczką.

Nełgomonow zamknął się w swoim gabinecie, żeby zebrać myśli. Telefony były na podsłuchu, informacje przekazywane drogą radiową rozkodowywano, listy otwierano, zresztą list zabrałby za dużo czasu. Trzeba zorganizować spotkanie w cztery oczy, zaaranżować je możliwie jak najszybciej. Oficer mający taką pozycję jak Nełgomonow nie miał prawa opuszczać terytorium Związku Radzieckiego, za dużo wiedział. Za to rezydent zawsze mógł zostać zaproszony, żeby odwiedzić matkę ojczyznę w celu konsultacji.

Nełgomonow chwycił za telefon.

## 5.

*Środa 30 sierpnia*

Nazajutrz generał Nełgomonow spotkał się z pułkownikiem Maratem Czubko, rezydentem KGB w Rzymie. Spotkanie odbyło się w salonie dla vipów w Pułkowie, na lotnisku w Leningradzie. Czubko, mimo że należał do Pierwszego Wydziału, z powodu podeszłego wieku sympatyzował z *żubrami*.

Ściany, które miały uszy, nie uroniły ani słowa z tej rozmowy. Jakiś włoski obywatel kilka dni wcześniej został zatrzymany w Leningradzie, kiedy rozdawał solidarystyczne ulotki sowieckim robotnikom. Partia solidarystyczna była jedynym emigracyjnym ruchem, który miał jeszcze jakiegokolwiek wpływu w Związku Radzieckim. W czasie przesłuchania więźni w końcu zeznał, że jest synem rosyjskiego emigranta. Rząd włoski wystąpił o uwolnienie swojego obywatela i Nełgomonow był zdania, że należy się na to zgodzić, bo dawało to okazję do penetracji środowisk solidarystycznych w Rzymie. A co o tym myślał Marat Czubko?

Marat Czubko myślał dobrze. Zazwyczaj solidaryści działali na bazie Niemiec, ale zdecydowali przenieść się do Włoch, trzeba było więc spenetrować ich środowiska w samych Włoszech. On chciał się tym zająć. Wtedy generał zaproponował mu spacer, w oczekiwaniu na samolot, który miał go zabrać z powrotem do Rzymu. Szli pod pylącymi lipami.

Czubko otrzymał swój przydomek od Marata – przyjaciela ludu, ale jego towarzysze nazywali go w zdrobnieniu Mama, co miało podkreślać, że było w nim coś kobiecego: w jego barkach, skrzywieniu pleców, w jego ciągłej trosce o detale logistyczne. Wciąż bał się, żeby nie zabrakło zapasów, amunicji, dostaw.

– Mama – powiedział Nełgomonow – wiem, że partia może liczyć z twojej strony na wierność w każdej potrzebie. Nie jesteś taki jak ci awanturnicy, którzy poddają się wpływom Zachodu i starają się



nas wciągać w bagno kompromisu.

Mama – niewielki, okrągłutki i sprytny Ukrainiec – natychmiast nadstawił uszu. Fakt, że Nełgomonow mówił półsłówkami, to akurat było normalne. Służba, partia, chwiejący się reżim, wszystko to trzymało się pionu wspierane rusztowaniami ze sloganów, które pozornie nic nie znaczyły. W rzeczywistości był to jednak rodzaj szyfru. Ktokolwiek posiadał do niego odpowiedni klucz, ten dogadał się z będącą w temacie drugą osobą.

– Towarzyszu generale – odpowiedział Czubko – wydaje mi się, że wiele razy dałem dowód mojego nieugiętego przywiązania do idei Lenina. Nie jesteście moim bezpośrednim przełożonym, ale jeżeli zauważyliście w moim zachowaniu najmniejsze uchybienie leninowskiej dyscyplinie proszę mi o tym powiedzieć, żebym mógł złożyć samokrytykę.

– Nie o to chodzi, Mama, wręcz przeciwnie. Myślę, że cierpisz, tak jak i ja cierpię, widząc członków partii, członków często jej najwyższych organów, którzy tracą czujność, co było nie do pomyślenia u naszych poprzedników. Marksizm-leninizm zwycięży, jestem tego pewien, ale tylko wtedy, kiedy Partia i jej organy pozostaną poza wszelkimi zgubnymi wpływami.

– Wielki Feliks, rycerz bez skazy, umiał dokonać czystek w partii, kiedy było to konieczne – Czubko, nieco ostrożnie, przyszedł mu z pomocą (Dzierżyński był zawsze najświętszym przykładem).

– Masz rację, Mama. Niestety! Nie ma już wielkiego Feliksa, nie ma już ludzi takich jak on! Teraz my, biedni wyrobownicy strzegący bezpieczeństwa światowego komunizmu, teraz my musimy się poświęcić i zrobić to, co do nas należy.

– Nie poddamy się! Wykonamy zadanie – zadeklarował Czubko, który dopiero teraz zaczynał rozumieć, po co został wezwany, bo jeżeli chodziło o sprawę tak prostą jak załatwienie tej rzymskiej wtyczki solidarystycznej, to wystarczyłaby zwykła kodowana wiadomość.

– Oczywiście – Nełgomonow podjął temat, zatrzymując się nagle

– jest pewna trudność. Zmieniły się zwyczaje. Nikt w Służbach nie jest w stanie wydać odpowiedniego rozkazu, nawet jeżeli taki rozkaz jest konieczny. Naszym zadaniem jest odgadnąć wolę naszych przełożonych, uprzedzić ją, zadziałać tak, jakbyśmy mieli rozkaz, co wygląda na nieposłuszeństwo, ale zgodne jest z prawdziwą leninowską tradycją...

Wiem, o co wam chodzi, towarzyszu generale – pomyślał Czubko. Chcecie, żebym załatwił jednego z pańskich prywatnych wrogów. Może nawet rywala, kto wie, konkurenta, ale nie będziecie mnie potem kryli.

Nie odpowiedział. Nełgomonow doszedł do krańca wyimaginowanej prostej linii. Zawahał się, obrócił na pięcie i ruszył w drugą stronę, mówiąc już innym tonem.

– A nowy papież, towarzyszu Czubko? Co myślisz o nowym papieżu, o tym, co teraz został wybrany?

– Papież... jak papież – powiedział Czubko, który bardzo mało interesował się papieżami. Zdaje się, że chce być wyświęcony. Ale nie koronowany.

– Jesteś na bieżąco co do jego najbliższych spotkań?

– Oni to nazywają audiencjami. Tak, jestem na bieżąco, o ile to możliwe.

– Wiesz z góry, kogo przyjmie w danym tygodniu albo nawet miesiącu?

Czubko się pogubił. „Bierze mnie za idiotę? Trzeba, żebym go trochę oświecił”.

– Towarzyszu generale, jeżeli chcecie mnie zapytać, czy kapitan gwardii szwajcarskiej jest naszym człowiekiem, pozwolę sobie powiedzieć, że – jak to mawiają nasi drodzy amerykańscy wrogowie – *you needn't to know*<sup>6</sup>. Naturalnie, jak tylko otrzymam od szefa Pierwszego Wydziału rozkaz, by was poinformować, zrobię to bardzo chętnie.

<sup>6</sup> Nie musi pan wiedzieć.

– Nie, nie – powiedział Nełgomonow – oczywiście, nie muszę

wiedzieć czegokolwiek na temat twojej siatki agentów, Mama. Zastanawiam się tylko, czy wiedziałeś, że generał Gałkin poprosił papieża o audiencję.

Pytanie pułapka!

Taka informacja to była informacja wielkiej wagi. Co to dokładnie znaczyło? Polityka Związku Radzieckiego miała się zmienić? Otworzyć na to, co Zachód miał najbardziej odrażającego dla dobrego komunisty? Generał lejtnant Gałkin, alias metropolita Ilja, nie mógł sam wystąpić z podobną inicjatywą. Musiała oprzeć się co najmniej o Andropowa. Jedna rzecz była niejasna, czy to w stosunku do Gałkina Nełgomonow miał jakieś zamiary, czy wymienił jego nazwisko ot tak sobie? Nie było jednak mowy, żeby przyznać się do niewiedzy, albo żeby chwalić się wiedzą, której się nie posiadało. Mama nie odpowiedział więc na postawione mu pytanie. Zadowolił się jednak stwierdzeniem:

– Czasy się zmieniają, towarzyszu generale. Coś takiego byłoby niewyobrażalne jeszcze kilka lat temu. A teraz...

– Jest nas kilku, takich, którzy żałują, że się zmieniają – powiedział Nełgomonow – Tak, kilku, mmm... Kilku wiernych przyjaciół. Twoich, moich. Wiernych partii i samym sobie. Spotkałiśmy się. Mówiliśmy o tobie drogi Mamoczka. Wiemy, że myślisz tak jak my. I wydaje nam się, że z winy kilku żółtodziobów nie uhonorowano cię jeszcze odpowiednio do twoich zasług. Już dawno powinieneś być co najmniej generał-majorem<sup>7</sup>.

<sup>7</sup> Generał brygady.

„A to znowu inna śpiewka – pomyślał Czubko. – Mówi, że jest ich wielu, co zresztą może być prawdą. Z pewnością nie mają zamiaru mnie kryć, jeśli wpadnę, ale mogą mi pomóc w karierze, jeżeli nie dam się złapać”.

– Na nic się nie skarżę, towarzyszu generale.

– Wiem, wiem, ale szkoda, że ludzie, którzy nie są czyści, mają w naszych organach taką władzę, jaką mają. Weźmy na przykład Gałkina. Pięknie walczył na wojnie, jak się wydaje, potem włożył

sutanę. Na dłuższą metę, to nie może nie dziwić. Co taki człowiek może wiedzieć o czystości, jakiej wymaga taka partia jak nasza? Od rana do wieczora mydli ludziom oczy. Nie mógł zostać tak czysty, jak czystym powinno się być w naszym zawodzie. Po co znowu musi jechać do Rzymu do papieża? Wyobrażasz sobie, jakie to przewrotne? Musiał przekonać towarzysza Andropowa, że to ma jakiś sens.

Ale w takim razie bardzo źle mu doradził. Związek Radziecki nie powinien w żadnym wypadku zadawać się z tym światowym centrum mistyfikacji.

Mmm... Jest oczywiście jeszcze inna możliwość.

Nełgomonow przystanął, jakby nagle uderzyła go jakaś odkrywczą myśl. Czubko także się zatrzymał.

– Tak – powiedział generał, który był o wiele wyższy niż pułkownik i mówił do niego patrząc na niego z góry – jest jeszcze inna możliwość. Towarzysz Andropow pozwolił Gałkinowi na to, tak jak tamten chciał, tylko po to, by sprawdzić czujność organów... On jest subtelny, głęboki, ten nasz Andropow, wiesz... Oczywiście taka postawa, jaką przyjął Gałkin, może wzbudzić oburzenie każdego komunisty, który, jeżeli jest szczery, zareaguje w sposób godny tego oburzenia...

Nełgomonow ponownie obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku dworca lotniczego, podczas gdy Czubko w myślach jeszcze raz odtwarzał jego słowa.

„Tak, chodzi o Gałkina, który rzeczywiście cuchnie kadzidłem. To fałszywy człowiek, ale robi wszystko, żeby się przypodobać «i naszym, i waszym». Organy partii niczego nie tracą, jak się go pozbęda. Nełgomonow udaje, że mówi do mnie w imieniu przełożonych. To oczywiście nie jest prawda. Szef jest na tyle dorosłym chłopcem, że mógłby mi to powiedzieć sam. Gdyby chciał... No, to zresztą nie jest aż takie oczywiste. W zasadzie lepiej jest posłużyć się pośrednikiem, żeby potem wszystkiego się wyprzeć i być w tym przekonywającym”.

Brał już pod uwagę ciąg dalszy.

„Dając mi stopień generała, nie zostawią mnie wtedy w Rzymie, a jest mi tam tak dobrze. W Waszyngtonie też nie musi być źle...”.

Czekał na ciąg dalszy, spodziewając się, że jeżeli powierzą mu jakąś misję, to dadzą także i środki, by mógł ją wypełnić, albo przynajmniej zasugerują, gdzie ich szukać.

Raz jeszcze Nełgomonow zmienił ton. Teraz już prawie się śmiał.

– A tak, à propos, powiedz, czy to prawda, co mówią, że mafia jest wszechmocna we Włoszech? Porywają polityków, wyrzucają przez okna bankierów... To prawda?

– To właściwie prawda.

– No to prosta sprawa dla ludzi takich jak my, staliśmy się przecież grzeczni jak małe dzieci, nie? Może w Związku Radzieckim przydałaby się jakaś porządna mafia do brudnej roboty. Nigdy nie są specjalnie kosztowni, stać by nas było na nich. (znów się zatrzymał). Wiesz, Mamoczka, zawsze miło jest porozmawiać z kimś inteligentnym. Zrozumie cię, a ty nie musisz wszystkiego tłumaczyć. Życzę miłego powrotu do Rzymu, ale... (pogroził mu żartobliwie palcem). Nie wolno ci iść i chrzcic się u papieża, hm?

Po raz ostatni zmienił ton.

– Towarzyszu pułkowniku, szczęśliwej podróży! Mam nadzieję, że po raz ostatni używam tego stopnia i nazywam cię pułkownikiem!

## 6.

Czwartek 31 sierpnia

Marat Czubko pracował pod płaszczykiem służby prasowej, co było dość niezwykle, bo zazwyczaj rezydenci KGB ukrywali się gdzieś głęboko wewnątrz służb kulturalnych lub handlowych. Być może jego zwierzchnicy zasugerowali się czymś takim jak *purloined letter*, ukrytym listem Edgara Poe, którego nikt nie może znaleźć, choć leży na najbardziej widocznym miejscu. A może departament A odpowiedzialny za dezinformację nalegał na to właśnie po to, by mieć ułatwiony kontakt ze swoimi informatorami. Albo też, przypuszczenie o wiele bardziej przewrotne, szef Pierwszego Wydziału, który był liberałem, wiedząc, że ma *żubra* pod rozkazami, umieścił go tam z tą myślą, że zostanie zdemaskowany i nie będzie mógł pracować, po to tylko, żeby zastąpić go jednym ze swoich ludzi.

No tak, ale dlaczego Czubko był jednym z *żubrow*?

Taka przynależność zbudowana jest na wielu przeróżnych elementach. Miał już swój wiek – pierwsze kroki stawiał za Berii? Był oczywiście za represjami, mimo że wydawał się ciepłą kluchą. Niskie pochodzenie społeczne powodowało, że czuł, jak władza wymyka się proletariuszom z rąk i czepiał się jej, jak tylko mógł. Czuł przesadną nienawiść do księży, postrzegając ich jako szamanów, których czary nie są zupełnie niewinne, to wszystko zakotwiczało go w głęboko reakcyjnym komunizmie, a zwycięstwo komunizmu na świecie bardzo by go ucieszyło, nawet jeżeli miał jakieś wątpliwości: „Wszyscy srają w gacie przed nami, w Rosji, w Europie, a nawet u Amerykańców”. Jeżeli nawet to zwycięstwo było skazane na bardzo krótki żywot, nie chciał o tym wiedzieć.

Miał zwyczaj myśleć szybko i jego plan gotowy był już w samolocie wiozącym go do Rzymu.

Naturalnie, nie nawiąże bezpośredniego kontaktu z mafią, Wielką

Kurwą, jak ją nazywano w środowiskach znających Apokalipsę. Ci ludzie nic nie robią za darmo, a kontakty z nimi plamią w sposób nieodwołalny. Trzeba byłoby być amatorem, jak te harcerzyki z CIA, żeby prowadzić nabór w Cosa Nostra w nadziei, że ktoś w końcu zabije Castro. Jednakże sugestia towarzysza Nełgomonowa nie była taka absurdalna. Nie ma przecież konieczności zadawania się z mafią, jeżeli czegoś się od niej chce. Wystarczy zadać się z kimś, kto się z nią zadaje. Trzeba pośrednika.

Pierwszym takim pośrednikiem, który przyszedł mu na myśl, był sardyński handlarz bronią, który kupował kałasznikowy na tysiące, dla Palestyńczyków, Kubańczyków i innych, jak twierdził, dla własnego spokoju. Być może zaopatrywał także *contras* w Nikaragui albo chrześcijańską milicję Bechir w Libanie, co akurat wcale Mamy nie obchodziło, bo były to dolary, które wpływały do kasy Związku Radzieckiego, dochodząc do tych około 70 milionów kałasznikowów już sprzedanych na cały świat. Handlarz nosił cesarskie imię Titus, po włosku *Tito*, miał przydomek „Potwór rodzaju ludzkiego”, i za stracony uważał dzień, w którym nie udało mu się zrobić dobrego interesu. Był tak wszechmocny, że obawiali się go nawet *capi*<sup>8</sup> mafii. Nie wahał się nawet zaminować skrzynki trzydziestu kałasznikowów, aby ukarać kogoś, kto nie spieszył się z zapłatą. Czubko, który lubił obrazowo się wyrażać, mawiał: „po co łapać dwie sroki za jeden ogon”? Co znaczyło, że dobry handlarz mógł okazać się kiepskim nabytkiem. „Nie chowaj wszystkich tajemnic w jednym schowku”. Każdy potajemny kontakt jest sprzedawaniem samego siebie komuś innemu, a to już i tak za dużo. Mama był zwolennikiem podziału obowiązków. Zwykł mawiać: „Każdy pilnuje swoich spraw”.

<sup>8</sup> Szefowie (przyp. tłum.).

Drugim możliwym pośrednikiem był książe Innocenti.

Prawdę mówiąc, księciem właściwie nie był. U Innocentich tytuł był dziedziczny, więc jedynym prawdziwym księciem był jego starszy brat Angelo, który od wojny siedział w Lombardii, działacz Chrześcijańskiej Demokracji, pełnej najlepszych intencji. Młodszy

brat Innocento, który odzyskał dwa piętra pałacu przodków w Rzymie i administrował posiadłościami rodzowymi w Kalabrii, nie bronił nikomu używać w stosunku do siebie tytułu, który należał do jego brata, a Angelo pozwalał mu na to, gardząc tymi przestarzałymi głupotami, patrzył na nie z wysokości swojej egalitarnej cnoty. Książę więc (używając tytułu, który nadawał sobie sam bardziej dla szyderstwa niż próżności), książę Innocento Innocenti, dawał do zrozumienia każdemu, kto chciał słuchać, bez jakichś zbędnych usprawiedliwień historycznych, że nazwisko rodowe jego rodziny – Aubert wywodziło się z miejscowości Pompadour we Francji, a jego pierwszym sławnym przodkiem był nie kto inny tylko papież z Awignonu, Innocenty VI, od którego podobno pochodziło jego nazwisko. Angelo krył się ze wstydu przed taką impertynencją, a uważając się (przez skromność) za osobę na wpół świętą, nie chciał wiedzieć nic na temat tego lotra, swojego brata.

Ten w międzyczasie stał się magnatem włoskiej prasy. Posiadał siedem gazet, dwa miesięczniki literackie, cztery inne miesięczniki, osiem wydawnictw pornograficznych, udziały w wielu programach radiowych i telewizyjnych. Był na „ty” z ministrami informacji i wszystko to była, jak by to powiedzieć, jego przykrywka. Finansowe korzyści czerpał z kilku banków i drużyny piłki nożnej, i to też była jedna z bardziej widocznych stron jego działalności. Mówiono, że zajmował się narkotykami i prostytutką, męską i żeńską, ale najbardziej dziecięcą; mówiono, że miał wejścia u karabinierów, w ministerstwie sprawiedliwości, w służbach specjalnych i mógł wchodzić do Watykanu, kiedy chciał, a to wszystko jako przedstawiciel ekipy Alvéole 1, co miało niby znaczyć, że takich jak on było bardzo wielu. Prasa, w której książę posiadał wpływy lub którą po prostu posiadał, od czasu do czasu pisała co nieco o tajnym stowarzyszeniu Alvéole, którego władza, jak mówiono, była prawie nieograniczona. Prasa ta rozpuszczała o samym księciu pogłoski pochlebne i zarazem zgrzybliwe i nadawała mu żartobliwie znany wszystkim przydomek Lalkarz.

Z Lalkarzem rezydent KGB utrzymywał stałe kontakty.



Naturalnie oficjalny rzecznik ambasady sowieckiej wraz z dezinformatorem w służbie Departamentu A nie mógł obyć się bez podobnego kontaktu, tym bardziej, że grupa Innocentiego nie była ani prawicowa, ani lewicowa, a interesowała się każdą ze stron politycznej sceny, stosując zasadę, że pieniąż nie śmierdzi. Innocenti lubił zresztą czerpać informacje z wielu źródeł, w tym także i ze źródła imperium sowieckiego, które jeszcze znaczyło wiele na świecie. Ten bezpośredni kontakt ze źródłem sprawiał, że jego ludzie wypowiadali często opinie wręcz profetyczne, które realizowały się szybko, co zapisywano mu na korzyść.

Było i coś więcej. Ten arystokrata o wypielegnowanych dłoniach i ten niezbyt dobrze ubrany tajny agent, prowadzili obaj zeszyciki, w których starannie zapisywali świadczone sobie nawzajem przysługi, sądząc, że kiedyś jeden drugiemu może się jeszcze przydać.

Czubko, będąc politycznym optymistą, myślał, że jeżeli pewnego dnia reżim komunistyczny odniesie zwycięstwo we Włoszech, powinien zdobyć dla siebie możliwie jak najszybciej listy, na których figurują nazwiska osób należących do tajnej organizacji Gladio. Książę, ofiara radykalnego pesymizmu, myśląc o podobnych okolicznościach, mawiał, że będzie potrzebował ochrony. Nie wybiegając zresztą aż tak daleko, zakusy finansowej hegemonii amerykańskiej, które już dawało się odczuć, mogły zaszkodzić tak samo interesom sowieckim, jak i włoskim, i nie należało w żadnym wypadku wykluczyć w przyszłości jakiejś wielkiej przeciwko nim operacji. Poza tym Czerwone Brygady zagrażały wszelkim formom handlu i szkodziły nieco grzecznemu obrazowi Związku Radzieckiego, który on sam stworzył i starał się propagować. Wychodziły one trochę poza margines działalności, w której można było tolerować odrobinę terroryzmu, skoro jednak rząd włoski okazał się bezsilny, trzeba było, żeby siły KGB i mafia dogadały się, aby je zdławić.

Tak więc istniało wzajemne przeciwdziałanie i przewidywanie.

Teraz jednak należało się dowiedzieć, czy ów zwyczaj oddawania sobie drobnych przysług posunie się aż do zlecenia zabójstwa. Mama

skłaniał się ku myśli, że tak. Wszystko wskazywało na to, że jeżeli coś powstrzyma Lalkarza, to nie będą to skrupuły natury moralnej. Więc co? Ryzyko? Żadnego nie podejmował. Koszt operacji? Czubko zapłaci wszystko, jak należy. Brak odpowiednich kontaktów w odpowiednim środowisku? Pusty śmiech! Sznurki, za jakie pociągał Lalkarz, nie były w Rzymie tajemnicą dla nikogo. Jeżeli byłby jakiś kłopot, to wynikałby on z pewnością z pośpiechu i z tego, że akcja miała zostać wykonana latem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa książę wypoczywał gdzieś nad górskim jeziorem i trzeba było czasu, aby do niego dotrzeć... A wcale nie! Wystarczy, żeby Czubko podniósł słuchawkę telefonu, by usłyszeć, że Jego Łaskawość podejdzie za momencik, a wylewny głos Jego Łaskawości słychać było prawie natychmiast.

– Ależ jak się pan ma, stary druhu? Cóż za przyjemność słyszeć pana. Co słychać w świecie?

Rzymski książę przyjmował czasem ton i frazeologię brytyjską, która kontrastowała z jego harmonijnym barytonem.

– Nie wyjechał pan w góry, Wasza Wysokość? Mimo upałów?

– Nie, nie. Niech pan sobie wyobrazi, że uwielbiam wakacje w Rzymie. Dla mnie Rzym nabiera uroku dopiero przy 40 stopniach. No cóż, mam dziwny gust, być może. Ale przyzna pan, że wszystkie te nagusy męskie, żeńskie, turyści i dzikusy, którzy się przechadzają po ulicach, to przyjemność dla oka. Nawet na mszy widać te barki, dekolty, no i przy odrobinie szczęścia pośladki! Och! Przepraszam! Zapomniałem, że dobry komunista to purytanin! Dzwoni pan tylko z grzeczności, czy też mam szczęście móc się panu w czymś przysłużyć... Mama?

Książę uwielbiał to przezwisko i używał go często, wymawiając z włoska *Mamma*, dorzucając czasami przymiotniki w rodzaju żeńskim, co bawiło go tym bardziej, im bardziej denerwowało to agenta Czubko.

– Miałby pan dla mnie chwilę czasu, Wasza Wysokość?

– Ależ chętnie. Mamy nudny sezon, więc jak mi pan oświadczy,

że potwór z Loch Ness przeniósł swoje manatki do Wołgi, to zrobimy z tego prawdziwy *scoop*!

- W sprawie, z którą się zwracam, lepiej nie robić szumu.
- Jak pan sobie życzy. Zechce pan wpaść do mnie około szesnastej, uraczymy pana spektaklem.

Czubko jeszcze nigdy nie był u księcia, który mieszkał na *via della Scrofa*, czyli na ulicy Maciory, dotychczas spotykał go w klubach prasowych, w sowieckiej ambasadzie albo w knajpach na *via Veneto*.

Pałac *Innocentich* zbudowany w XV wieku miał parter z oknami okratowanymi poziomo i pionowo kutym żelazem, grubym jak męskie ramię i wyglądał bardziej na więzienie niż na pałac. Półpiętro wydawało się niskie w porównaniu z imponującym parterem, ale te dwa poziomy odpowiadały czterem paryskim piętrům. *Piano nobile*, do którego prowadziła monumentalna klatka schodowa z brunatnego, wpadającego w zielen i fiolet marmuru, miała sufit na wysokości dwunastu metrów. Na wysokości sypialni sufit był zaledwie na sześć metrów wysoki, ozdobiony malowanymi belkami stropowymi i złożonymi kasetonami, które widać było nawet z chodnika, trzeba było tylko dobrze się przyjrzeć.

Lokaj w czarno-srebrnej liberii, z miną przedsiębiorcy pogrzebowego, z nalanymi, czerwonymi policzkami jak wampir opity krwią, szedł przed towarzyszem Czubko poprzez amfiladę salonów wyłożonych mozaiką parkietów, o ścianach obwieszonych cennymi obrazami, a sufitach pokrytych malowidłami przedstawiającymi sceny, jedne święte, inne bardzo cielesne. Pomiędzy oknami stały rzeźby świętych z polichromowanego drewna i kamienia oraz fauny z brązu w akcji. Ostatni salon poświęcony był świętemu Sebastianowi. Były tam poświęcone mu malowidła i rzeźby, płaskorzeźby malowane i niemalowane, z wyraźną lubością podkreślające ostre strzały wbite w miękkie, kobiece prawie ciało świętego. Lokaj otworzył ukryte drzwi.

- Tak *Signor Comandatore* zechce się poświęcić...

Drzwi wychodziły na schody, którymi trzeba było zejść. Kończyły

się w maleńkiej złoconej i przeładowanej ozdobami łoży, gdzie dwie osoby mogły przebywać razem tylko wtedy, kiedy się do siebie bardzo przycisnęły. Łoża wychodziła na miniaturowy teatr, z czerwona kurtyną, proscenium z balustradami, fotelami ze szkarłatnego pluszu, groteskowymi maskami, świecznikami, pilastrami, draperiami, Atlasami z gipsu, o otwartych szeroko ustach i nagimi kariatydami, na których wspierały się balkony w stylu rokoko. Wszystko to zmniejszone co najmniej do jednej trzeciej normalnych rozmiarów, jakby było przeznaczone dla karłów.

Okolo trzydziestki dzieciaków zapełniało proscenium, a ich dziecięcy, podniecony szczebiot dochodził do łoży, w której znalazł się Czubko. Nie tylko szczebiot, w Rzymie panowały upały, a te dzieci chyba nie myły się zbyt często. Widać było zaskakujący kontrast między tym wyszukany luksusem a tym niedojrzałym, nieokrzesanym tłumem.

Nastąpiła krótka uwertura, potem jakiś głos po włosku podał tytuł spektaklu. *Grzeczne panienki* według comtesse de Ségur<sup>9</sup>. Kurtyna podniosła się, odsłaniając scenę przedstawiającą zamek i pojawiły się marionetki odgrywające role Kamili, Magdaleny, Małgorzaty, Leony, Paola i Jacopo. Czubko nie czytał *Grzecznych panienek*, i przez pół godziny zastanawiał się, po co księżę Innocenti zaprosił go na ten obrzydliwy spektakl pełen pięknych uczuć, chłopców w krótkich spodenkach i dziewczynek w plisowanych spódnickach. Dopiero pięć minut przed końcem zrozumiał, o co chodziło, bo nagle ubranka z lalek opadły, odsłaniając całkowicie szczegóły ich anatomii i fizjologii. Ku wielkiej uciesze grzecznych chłopców, mądra Kamila, słodka Magdalena i niewinna Małgorzata, oraz ich kuzyni rzucili się jedni na drugich, oddając się działalności, która miała tyle samo z dzieła Aretina<sup>10</sup>, ile z *Kamasutry*.

<sup>9</sup> Sophie Rostopchine (1799-1874), pisarka francuska (przyp. tłum.).

<sup>10</sup> Pietro Aretino (1492-1556), włoski pisarz (przyp. tłum.).

Dzieci najpierw wydały się zszokowane, potem chłopcy zachichotali, jakaś dziewczynka podniosła się, aby bić brawo, nieprzy-

jemne śmiechy wybuchły w atmosferze ogólnego zaskoczenia. Niektórzy zastanawiali się, czy dobrze widzieli, bo scena trwała zaledwie kilka sekund. Kurtyna opadła. Boczne drzwi otworzyły się i ukazała się w nich jakaś młoda, bardzo piękna kobieta z włosami jak madonna, w długiej liliowej sukni.

– Dzieci, zapraszamy na poczęstunek – powiedziała po włosku, ale z akcentem, który wydał się jakiś dziwny. Może francuski...

Dzieci zaczęły się przepychać, żeby precyzyjnie się obok niej, jakby miały ochotę uciec z tego teatru. Czubko trochę niespokojny wszedł po schodach i ponownie znalazł się w sali świętego Sebastiana, gdzie na jego spotkanie wyszedł książę z dwoma młodymi ludźmi o nieokreślonej płci. Mieli krótkie włosy, giętkie szyje, białe koszulki na pozbawionych cech płciowych torsach oraz czarne spodnie.

– Witaj, Mama. To moi asystenci Gildo i Gilda. (Spodnie mieli obcisłe, ale nie na tyle, by można było rozpoznać, które było męzczyzną, a które kobietą) – Mamy tylko po dwie ręce, a trzeba trzech osób, żeby załatwić piękne pieprzonko na sześć rąk. To kłopot marionetek, nie chcą współpracować. Wszystko trzeba robić samemu, to nawet gorzej niż z rasowymi buldogami, trzeba dwóch ludzi, żeby je do siebie przystawić. Podobało się, Mama? No, zmykajcie, dajcie widzom cukierków i zapytajcie, czy przyjdą na przyszły tydzień. A pana, Mama, zapraszam do mojego biura, zdaje się, że mam pańską ulubioną *grappe*<sup>11</sup>.

<sup>11</sup> Mocny alkohol na bazie owoców (przyp. tłum.), (ang.)

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, Ekscelencjo, chętnie najpierw przeszedłbym się po ogrodzie.

– Ach, to aż tak poważna sprawa? Ktoś by pomyślał, że mam ściany nadziewane mikrofonami i kamerami! Prawda, że są uroczy ci smarkacze? Patrzyłem na nich przez dziurę w kurtynie, niektórzy mają jeszcze gluty pod nosem, czyż to nie wzruszające?

Książę był wysoki, szczupły, wciśnięty w czarną marynarkę skrojoną jak redingote<sup>12</sup>, wąską w talii i rozszerzaną w biodrach, miał tak płaski brzuch, że można by pomyśleć, że nosił gorset. Miał białą

koszulę z wielkim kołnierzem, otwartą na piersiach, gdzie wiło się kilka białych loczków. Ciemne okulary zasłaniały oczy. Włosy miał posrebrzone siwizną, ale tu i tam domyślić się można było niegdyśejszej czerni podobnej skrzydłom kruka. Szttywne loki opadały mu na czoło. Można było łatwo wyobrazić go sobie w peruce z harcapem.

<sup>12</sup> *riding-coat* (przyp. tłum.).

– Jeśli takie spektakle pana bawią, zapraszam częściej Mamma, może pan tu poćwiczyć instynkt macierzyński. Mógłby pan nawet zjeść podwieczorek ze smykami. Nie, pan nie lubi dzieci? Jak mówią Anglicy, człowiek który nie lubi psów i dzieci, nie może być zupełnie zły.

Mówił lekko, jakby nie tykając tematu. Czubko uśmiechnął się sam do siebie. Teraz zaczynał rozumieć, dlaczego Lalkarz wysłał najpierw do niego dziennikarkę tak piękną, że aż zapierało dech w piersiach, aby przeprowadziła z nim wywiad, potem pięknego młodzieńca, aby pokazał mu Rzym nocą. Rzymianie próbują dotąd, aż znajdą twój słaby punkt. Ale te zasmarkane dzieci? I co jeszcze? Nawet kobiety go nie interesują, jeżeli ważą mniej niż siedemdziesiąt kilo, ale nigdy nie traci okazji, żeby czegoś się dowiedzieć.

– Skąd ich pan bierze, tych gówniarzy?

Książę zaśmiał się krystalicznym śmiechem.

– Są tacy, co czekają przy wyjściu ze szkoły, ja czekam po mszy... szczególnie w biednych dzielnicach. To działa.

Czubko zadrżał, dla niego dzieci były zarazem odrażające i święte. Interesować się dziećmi w taki sposób świadczyło o tym, że Zachód był zgniły do szpiku kości. Niech żyje władza proletariatu!

Wyszli do antycznego ogrodu, wokół którego zbudowano pałac. Rzeźby sąsiadowały tam ze strzyżonymi iglakami. Spacerowali po wysypanej piaskiem alejce, na której trzewiki jednego i ciężkie buty drugiego zostawiały kolejne ślady. Książę poufale wziął Czubko pod ramię. Czubko nienawidził, kiedy brano go pod ramię, ze strachu, żeby ktoś nie zrobił mu numeru w stylu „pan pozwoli z nami” albo jeszcze innego kawału tego typu.

– A więc Mamma, co mogę dla pana zrobić, czego nie da się powiedzieć pośród ścian, które mają uszy?

Czubko nie od razu odpowiedział. Zdążyli obejść ogród dookoła, zanim zapytał.

– Ekscelencjo, co myśli pan o papieżu, którego właśnie wybraliście?

– Ja go nie wybierałem, tylko kardynałowie. Druga sprawa, wy wiecie o nim więcej z pewnością niż ja. To człowiek niskiego pochodzenia, dla którego bieda jest czymś w rodzaju obsesji, powiem, że może nawet snobizmu. Był biskupem Wenecji. Powiadają, że przybył tam, nie mając pięciu lirów w kieszeni, odjeżdżając, nie miał ani grosza więcej. Nie wiem, czy jest czym się chwalić. Nie to jest ważne, co posiada Ojciec Święty, ale to, co może Kościół, a w naszych czasach kto nie ma nic, nic też i nie może. Ważne jest, aby mieć na wydatki. Tak się mówi. Jeżeli chce pan mojego zdania na ten temat, ten papież szybko się zorientuje. To tak, jak z tymi jego spacerami. Podobno chciał spacerować po Rzymie pod pretekstem, że jest tylko biskupem. Dano mu do zrozumienia, że tak się nie robi. Ach! Ma czarujący uśmiech, któremu podobno trudno się oprzeć. A więc w czym mam szczęście być panu użyteczny?

Powiedział to zwyczajnym tonem, ale równie dobrze mogło to znaczyć „Nie mam zamiaru poświęcać panu całego popołudnia, do rzeczy!”. Czubko głośno wciągnął powietrze.

– Proszę sobie wyobrazić Ekscelencjo, że mam już coś przeciwko temu nowemu papieżowi. Niech zajmuje się swoimi sprawami, a my zostawimy go w spokoju. Tylko, że on zaczyna deprawować naszych. A tego tolerować nie zamierzamy.

– Waszych? Jakich waszych, Mama?

Czubko poczuł, że Lalkarz zaczyna sobie z niego żartować, ale było mu to zupełnie obojętne. Szedł nadal krokiem oracza, który chce dojść do końca bruzdy.

– Wiemy, że papieństwo zawsze chciało wtykać nos w sprawy Rosji. Przed Rewolucją Radziecką, po Rewolucji Radzieckiej, jak to

się mówi: „jak nie kijem go, to pałą”, a rzymscy papieże nie poprzestaną, dopóki nie nawrócą Rosji na katolicyzm. My uważamy, że nasz naród musi stać za marksizmem-leninizmem, no w ostateczności może być prawosławny, ale co do reszty... Każdy sobie Ekscelecjo. Czy my na przykład usiłujemy was nawracać?

– Oczywiście, że próbujecie i czasem nawet to wam się udaje. Komunistyczna Partia Włoska jest tego doskonałym przykładem. Ale rzeczywiście, *signor* Czubko! Jakąż to zbrodnię popełnił nasz biedny nowy papież, żebyście byli tak niezadowoleni, on, który wygląda jak kurczaczek ledwie co wykluty z jajka i uśmiecha się od ucha do ucha?

Czubko poczuł, że trzeba iść prosto do celu.

– Arcybiskup Ilja Gałkin, metropolita Leningradu, który, żeby tak to wyrazić, jest ministrem spraw zagranicznych patriarchatu moskiewskiego, poprosił papieża o audiencję i otrzymał na nią zgodę. Z naszego punktu widzenia to konkurencja! To wręcz dywersja! (Czubko zapalił się i z wysiłkiem przywoływał się do porządku). Rozumiem, że papież musi grać tak, jak musi, to normalne, ale nasz metropolita powinien zostać...

Wykonał dłonią gest, który miał oznaczać „zniszczony, wykończony, obrócony w nicłość”.

Księżę przystanął. Wydawał się rozbawiony, w końcu powiedział swoim brytyjskim tonem:

– A! Rozumiem! Tylko, że to wasz metropolita. Dlaczego to wy nie zajmiecie się tym, żeby... (swoją delikatną dłonią powtórzył ostry gest swojego rozmówcy). Macie doświadczenie w tych sprawach...

Czubko popatrzył na długą, wąską twarz pozbawioną zarostu, o dyskretnie przypudrowanych policzkach. „Nie jesteśmy z tej samej rasy” pomyślał i chytry przebłysk pojawił się w jego oczach.

– Ależ Ekscelecjo, już od dawna nawet włos nie spada z głów naszych wrogów. Na początku, nie powiem, he, he... byliśmy sami, sytuacja była niepewna... Wtedy wszystkie metody były dobre. Teraz, kiedy wkrótce cały świat przyłączy się do naszego obozu... możemy w chwili obecnej pozwolić sobie na większą delikatność. Trzeba jednak,



żeby metropolita zniknął w sposób, który da do myślenia innym zdrajcom. Niech pan nie mówi, że nie ma pan możliwości tego załatwić! Każda pomoc będzie wynagrodzona, w tym oczywiście się zgadzamy.

– Niech mi pan da się nad tym zastanowić – powiedział Lalkarz, zatrzymując się przed misą z epoki romańskiej, z której wylewała się woda. Wrzucił tam kilka liści zerwanych z jakiegoś krzewu, popłynęły po wodzie jak miniaturowe barki. – Z jednej strony jest pan sympatyczny i mamy wiele wspólnych spraw. Z drugiej uważam, że miło się żyje w naszym dekadencjnym społeczeństwie i miałbym sobie za złe, gdybym w czymkolwiek przysłużył się nadejściu waszego piekielnego raju na ziemi. Z jeszcze innej strony w jego nadejście zupełnie nie wierzę. Myślę, że możecie udawać wielkiego złego wilka, ale doktryna tak cnotliwa i optymistyczna jak wasza nigdy nie zwycięży w świecie tak zgniłym do szpiku kości jak nasz, sądzę po sobie samym, drogi Mama, zajmijmy się więc sednem problemu. (Nadal spuszczał na wodę flotyllę liści oberwanych z jakiegoś krzewu). Wy go nazywacie arcybiskupem, metropolitą, sam nie wiem czym. Dla mnie, jak pan wie, to wszawy pop, który nie uznaje Ojca Świętego i godzien jest jako heretyk stosu.

Czubko, dotknięty do żywego, nie mógł się oprzeć i przerwał mu.

– Gałkin nie ma wszy!

– Tak, ale ma brodę?

– Ma brodę.

– Z katolickiego punktu widzenia to to samo. Mówiłem więc, że zawszony, brodaty pop ani mnie ziębi, ani grzeje. Nie widzę żadnej potrzeby, żeby żył, a widzę, z punktu widzenia higieny, niejaki interes, żeby przestał żyć. W pewnym sensie, jeżeli oczyszczę z niego świat, będę miał wrażenie, że oddaję przysługę naszej matce, Kościołowi katolickiemu, apostołskiemu i rzymskiemu. Jakie jest ryzyko? Dla mnie żadne, bo rozmowa, którą właśnie prowadzimy, nigdy nie miała miejsca. Nie widzę przyczyny, drogi Mama, dlaczego miałbym odmówić sobie przyjemności oddania panu przysługi. W

każdym razie odczuwam zawsze radość, kiedy robię coś złego, a jeszcze większą, kiedy komuś każę coś takiego zrobić. Przyzna pan, że nawet w stosunku do osoby prawosławnego arcybiskupa morderstwo trudno uznać za dobry uczynek. Prawdą jest, że niektórzy idioci uważają, że nikt nie jest zły z własnej woli. Mogę pana zapewnić, że ze wszystkich sokratejskich myśli ta jest najgłupsza. To jasne, że jest się złym z własnej woli – sędzę jak zawsze po sobie, pamiętam choćby te gołębie, które karmiłem tak, żeby jadły mi z ręki, po to tylko, żeby potem skrócić im kark i cieszyłem się bardziej wtedy z ich zaskoczenia, a nie z ich cierpienia. Jeżeli mniej przyjemna jest naturalna kopulacja z dziwką niż z młodą mniszką i to od tyłu, a na dodatek na siłę, jeżeli to możliwe, to znaczy, że zło leży w naturze człowieka. Przykro mi, Mama, że pana szokuję.

Rzeczywiście, Czubko był zszokowany, ucierpiało jego poczucie moralności i wrodzony wstyd. Być może z powodu przesądów klasowych, do jakich się nie przyznawał, ten zatwardziały komunista wierzył w głębi duszy, że kto jak kto, ale księżę nie powinien tak mówić. Czubko wysłał wiele kobiet i mężczyzn na tamten świat, torturował własnoręcznie najlepszych przyjaciół, ale to było w obronie systemu, jedyne systemu, który był w stanie zapewnić szczęście ludzkości. Och, no i bądźmy szczerzy, trochę też dlatego, że tak było trzeba, żeby zrobić karierę, ale gdzie w tym było zło?

Jeden czy dwa razy, prawda, odczuwał coś w rodzaju radości, jak walił po pysku zdrajców ojczyzny, ale w czym ta instynktowna reakcja mogła się równać z lubieżną perwersją tego arystokraty?

Nie powiedział nic. Stał z opuszczonymi rękoma w niebieskim garniturze i brązowych półbutach, zdaje się podobnych do tych, jakie miał Nełgomonow. Czekał na reakcję Lalkarza. „Cierpliwości, pomyślał, jak dojdziemy do władzy i będziemy obozować we Włoszech, zajmę się osobiście Waszą Łaskawością!”. Jego ponura postawa rozśmieszyła księcia.

– Ach! Niech pan nie robi takiej miny. Zabijemy wam go! Ma pan jakieś dane o jego wizycie? Nie, proszę się nie denerwować,

znajdę go. Ma pan jakieś wskazania co do *modus operandi*! Sztylet, trucizna? Strzała z kurarą? Tunika Nessusa<sup>13</sup>? Nie? Wszystko jedno? Niech zdechnie i tyle? Czy podejrzenia mają spaść na kogoś konkretnego? Też nie? Niech pan uważa tę sprawę za załatwioną.

<sup>13</sup> Zatruta tunika, jaką Nessus, centaur, dał żonie Heraklesa Dejanirze (przyp. tłum.).

– Ekscelencjo – wybełkotał Czubko – trzeba chyba jednak, żebyśmy wiedział...

– Żeby pan wiedział co? – zapytał ksiązę markotny.

– Ile...

Zrobił taki gest, jakby przeliczał pieniądze.

– Chce pan znać przybliżony koszt? A więc mój drogi, nie umiem powiedzieć, ale nie powinno to pana niepokoić. Życie ludzkie nie jest zbyt drogie w Rzymie, a my jakoś się przecież dogadamy. Pan i ja. Ile waży ten wasz metropolita? Jak pojedę do Związku Radzieckiego, da mi pan tyle kawioru, ile on waży. Skończyliśmy już interesy, chodźmy skosztować *grappy*, o której panu mówiłem.

Kiedy wracali do pałacu i wchodzili na schody wiodące z ogrodu do apartamentów księcia, jakieś drzwi powoli zamknęły się na półpiętrze; Czubko zdążył oczywiście zauważyć rąbek liliowej sukienki.

## 7.

*Piątek 1 września, rano*

Nazajutrz rano o godzinie 7.00, Jego Łaskawość, który z żalem wstał z łóżka o godzinie piątej, wszedł do bazyliki Świętego Piotra z zamiarem wysłuchania mszy w kaplicy świętego Leona Wielkiego. Z elegancją ugiąwszy lewe kolano, złożył długie ramiona na kolanie prawym i usiadł dyskretnie na ławce w głębi kaplicy. Nie było innych wiernych poza starą, tęgą kobietą ubraną w zbyt ciasne czarne ubranie, którą czuć było rybą. Nie mając nic innego do roboty, Innocento bawił się, fantazjując na jej temat. Ile trzeba by jej zapłacić? Czy udałoby mu się nie ująć jej honoru? O jakie usługi by ją poprosił? Ksiądz, który odprowadzał mszę, był wysoki, szczupły, miał bladą twarz w kształcie rombu. Jego homilia poświęcona była naturalnie wyborowi nowego papieża, w stosunku do którego nie tryskał zbytnim entuzjazmem. W momencie przekazywania znaku pokoju książe nie pokusił się, żeby podejść i podać rękę sprzedawczyni śledzi, ona także nie podeszła do niego, tylko rzuciła mu nieśmiałe spojrzenie.

Kiedy ksiądz zdjął swoje szaty liturgiczne i został w ciemnym ubraniu, podszedł bezpośrednio do Innocenta, który wstał na powitanie.

- Wasza Wielebność.
- Wasza Wysokość.

Książe miał jakieś dwadzieścia z górą lat więcej niż ksiądz, który zbliżał się chyba do czterdziestki. Spojrzenia, które wymienili, były bardzo znaczące. Patrząc na nich, można było zgadnąć, że znali się od wielu lat. Przeszli kilka kroków po ogromnej, pustej jeszcze o tej porze nawie kościoła. Poskręcane kolumny baldachimu wykonanego z brązu wyłaniały się z półcienia, i tu, i tam błyszczały blade płomyki świec.

- Więc, Fulvio – zapytał w końcu książe – jaki on jest?

Twarz w kształcie rombu pękła, dosłownie pękła, przecięta uśmiechem, który wcale nie był wesoły. Po jakimś czasie bezbarwne usta odpowiedziały.

– Odbiera telefony.

– Co?

– Odbiera telefony. Ktoś do mnie dzwoni, a on podnosi słuchawkę. Ktoś tam pyta: „Czy mógłbym rozmawiać z jego Wielbnością Krstitchem”, a on odpowiada: „Przykro mi bardzo, ale Jego Wielbność Krstitch jest nieobecny”. Ktoś pyta: „Z kim mam przyjemność”, a on odpowiada: „Z papieżem. Proszę mi wybaczyć. Przechodziłem, dzwonił telefon, więc podniosłem słuchawkę”.

– To groteskowe.

– To kłopotliwe.

– *O tempora o mores!* A przecież nie tak dawno, drogi Fulvio, żeby zadzwonić do Ojca Świętego, człowiek klękał przy telefonie!

– Tak – powiedział sucho Fulvio. – Wasza Łaskawość jesteś w odpowiednim miejscu, żeby narzekać na współczesne obyczaje.

– Wie pan coś o audiencji, na której podobno Ojciec Święty ma przyjąć jakiegoś, nie wiem jakiego, biskupa sowietomatyka czy schizosowieta, jak pan chce.

– A tak. Metropolita Ilja z Leningradu. Numer dwa rosyjskiego Kościoła. Możliwy patriarcha...

– Kiedy?

– W przyszłą środę o godzinie 11; to dzień, kiedy w zasadzie nie ma prywatnych audiencji.

– Kiedy ma przyjechać?

– W sobotę. Samolotem. Ze swoim sekretarzem, ojcem Jurijem i jego żoną.

– Żoną?

– Wie pan doskonale, że ich kapłani mogą się żenić.

– Dla mnie to skandaliczne!

– Święty Piotr też był żonaty, bo miał teściową.

– Teściowa, to nie jest odpowiednia wymówka. Gdzie będą

mieszkać?

– Jego Eksceleńcja u Świętej Marty. Ojciec Jurij też mógł się tam zatrzymać, ale ponieważ jest ze swoją połowicą, będzie zakwaterowany w ambasadzie.

– Czy to nie dziwne, że na jednej z pierwszych audiencji nowy papież przyjmie heretyka?

– Schizmatyka, proszę tego nie mylić.

– Ale czy mimo wszystko to nie jest dziwne?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo Związek Radziecki to 200 milionów ludzi, z których duża część to potencjalni chrześcijanie. Nie licząc przepowiedni fatimskich.

Książę zatrzymał się przed statua świętego Piotra z wielkim palcem u stopy odlanym z brązu, zużyтым już nieco przez głaskanie i całowanie.

– Fulvio. Nie powiesz mi, że wierzysz w przepowiednie!?

W półcieniu rzucanym przez statua świętego Piotra odżyły ich wspólne wspomnienia. Były prawie widzialne, jak zjawy. Fulvio uśmiechnął się jednym ze swoich białych uśmiechów, który lekko uniół mu kąciki ust, choć reszta twarzy pozostała niewzruszona.

– Czyż to nie ty, Cento, nauczyłeś mnie, że nie należy wierzyć w nic? Nawet w brak wiary?

## 8.

*Piątek 1 września, wieczorem*

Siedzieli za stołem, w tylnej sali jednej z *trattorii* na Trastevere. Księżę Innocento Innocenti nie liczył oczywiście, że nie będzie nie zauważony, ale odrobina dyskrecji nie zaszkodziła, tym bardziej, że niedyskrecje były częścią gierki Lalkarza. Miał tyle tajemnych spotkań tu i tam, że nie wiadomo już, które z nich miały odwracać uwagę od innych, a jego pozycja magnata prasowego pozwalała mu rozdawać karty i mylić ślady dokładnie tak, jak chciał, zalewając paparazzich potokiem mniej lub bardziej prawdziwych informacji.

Tego wieczora miał przed sobą, przy stole nakrytym obrusem, mężczyznę o szerokiej, grubo ciosanej twarzy, poznaczonej szramami na szyi i podbródku, zwanego Scoronconcolo; było to nazwisko płatnego mordercy, którego rekrutuje Lorenzaccio w sztuce Musseta. Scoronconcolo jadł takie ilości spaghetti niczym bas z La Scali, nosił broń 9 mm pod pachą, a u kostki miał zamocowaną broń 6.35 i nie ukrywał pogardy dla każdego, kto wykonywał inny niż jego zawód. Nie był to artysta, ale mógł wystarczyć, aby oczyścić planetę z jednego zbędnego popa.

Scoronconcolo powtórzył:

– Drugiego. To znaczy jutro. Samolot z Leningradu. Biskup u Świętej Marty. Dwójka pozostałych w ambasadzie. Audyencja we środę szóstego o jedenastej. A kiedy mają zamiar wyjechać?

– Chyba jeszcze nie zdecydowano.

– Czy to będzie kłopot, jeżeli sekretarz i jego żona oberwą także?

– Nie aż tak bardzo, ale nie na tym polega zadanie.

– Dobra. Zobaczymy.

– Nie zobaczymy. Chodzi o to, żeby było pewne, że pop nie wróci na swoją parafię. Zgadza się?

Scoronconcolo uderzył trzonkiem noża o stół.

– Zgoda? Czy zgoda? Ale takich to ja mogę załatwić jednego co dzień.

Książę za pomocą sitka, którym potrzasał dłonią, posypał *saltimbocca* parmezanem.

– Co z kosztami?

Obfita, zarazem pełna i koścista twarz Scoronconcolo eksplodowała. Jego kości policzkowe usiane były błękitnymi i czerwonymi naczyniami krwionośnymi, przedstawiały niemal schemat układu krwionośnego, teraz stały się fioletowe. Jego usta prychnęły resztkami spaghetti i *vongole* na wszystkie strony. Książę wytarł się ostentacyjnie serwetką.

– Koszty, Wasza Wysokość? Koszty, między panem a mną? Toż mówię, że to będzie przyjemność załatwić tego księżulka, który się buntuje przeciw naszemu Ojcu Świętemu!

– I to mi się podoba! – powiedział Lalkarz. – Cóż, odwdzięczę ci się za to Scoronconcolo! Mamy ze sobą sympatyczne sprawy, które, jak myślę, jeszcze długo będą nas łączyć.

Z obrzydzeniem obserwował Scoronconcolo, jak ten wziął łyżkę, aby nią za pomocą widelca nawijać spaghetti okrwawione sosem pomidorowym.



ROZDZIAŁ II  
NIEPRZEWIDZIANE  
POWOLANIE

*1920-1950*

# 1.

Iwan Gałkin pochodził z Jekaterinburga – czyli dla bolszewików ze Swierdłowska. Był jednym z najbardziej czerwonych robotników, murarzy. Brał udział w rewolucji 1905 roku, potem w rewolucji 1917 bił się przeciwko białym, niszczył ikony, depcząc je swoimi ciężkimi butami. Nie mówił Mikołaj II, ale Mikołaj Krwawy. Nie mówił Lenin, ale Iljicz. Nie mówił ksiądz, ale klecha, nie mówił wieśniak, tylko kułak i żywił okrutną nienawiść dla tej rasy mistyków ziemi rosyjskiej, którzy sami siebie nazywali „chrześcijanami”<sup>14</sup>. Z symbolu rewolucji, jakim był rolniczy sierp i miejski młot, chętnie usunąłby sierp. Kiedy się napił, dało się słyszeć, jak śpiewał *Międzynarodówkę* na sposób sowiecki:

<sup>14</sup> Po rosyjsku słowo *krestjanin* – wieśniak wydaje się pochodzić od słowa *krest* – krzyż i brzmi jak *kristianin* – chrześcijanin.

By spalić wszystkich burżujów  
Rozpalimy wesołe ognisko

Zauważył oczywiście, że rewolucja nie wzbogaciła go, ale też nie uczyniła go o wiele biedniejszym, a jeżeli kułacy będą zdychać z głodu, tym lepiej dla nich. Wkrótce komunizm zwycięży na całym świecie i nikt już nigdy nie będzie głodny. Warto było zaciskać pasa dla takiej sprawy. Iwan był entuzjastą planów pięcioletnich, a kiedy stwierdzał, że nie dawały takich rezultatów, jakie przedstawiała propaganda, po prostu to odrzucał, bo miał bardzo uparty charakter.

Jego żona Akulina była jego cieniem, ona też mówiła Iljicz i Mikołaj Krwawy, a kiedy wymieniła kawałek chleba na szmaragd u jakiejś wielkiej damy, była przekonana, że stosuje się do rozkazu Lenina „wyrwicie, co wam wyrwano”! Tylko, że wymieniając potem szmaragd na jakiś stary łach, nie zarabiała na tym zbyt wiele.

Mieli jedyne syna, którego, plując na imiona bolszewickie, ojciec zdecydował się nazwać Traktor. Niektórzy widzieli w tym nawet

osłabienie nienawiści do wiejskich zasrańców, ale nie mieli racji. Dla niego motoryzacja to był przemysł. To znaczy cywilizacja, która wchodziła triumfalnie w dziedzinę konnego jeszcze rolnictwa. Czyli obskurantyzmu. Tak więc Traktor!

Był „cywilny chrzest”, w trakcie którego poświęcono mnóstwo butelek samogonu destylowanego przez bimbrowników amatorów, ale imię Traktor użyto tylko przy tej uroczystości. Rosjanie kochają tak bardzo zdrobnienia, że syn Gałkinów szybko stał się Trassia dla matki i Traska dla ojca.

Jednak nie dla swoich babek, jednej nabożnej, drugiej przesądnej. Pierwsza w tajemnicy ochrzciła dziecko w kociołku i nadała mu zgodnie z tradycją imię świętego z dnia narodzin dziecka. Był 24 listopada i pierwszym świętym wymienionym w kalendarzu był święty Kliment, to znaczy Klemens, rzymski papież. Tak więc Traktor miał na imię Klemens, w hołdzie czwartemu papieżowi. Druga babka wynalazła gdzieś prawosławnego księdza i dogadała się z nim, by ochrzcił dziecko potajemnie w jakimś działającym jeszcze kościele. Ksiądz, który był także ojcem chrzestnym, nadał mu swoje własne imię: Ilarion. Te dwa imiona nigdy nie były używane, może tylko przez babki w modlitwach, a Traska rósł, nic nie wiedząc, że na imię ma także Ilarion i Kliment.

Iwan Gałkin był przysadzisty i szeroki w barach, ale w wieku szesnastu lat syn go przerósł, był od niego szerszy i silniejszy, tak bardzo, że w przypadku niezgodności zdań ojciec stwierdził, że rozsądniej będzie zrezygnować z używania pasa. Nic radząc sobie w szkole, w której po prostu się nudził, Traska najął się do pracy w fabryce i stał szybko doskonałym pracownikiem odlewni. Trzeba było widzieć, jak wali młotem w bloki rozżarzonego żeliwa. Muskuly grały mu pod skórą mokrą od potu, jego jasne włosy spadały mu na oczy, usta uśmiechały się radośnie, odsłaniając zęby.

– To dla ciebie grubasie! – wołał do bloków żeliwa. – Tak! I to! I to też!

Odrzucając w tył włosy przedramieniem, patrzył na kamratów

swymi błękitnymi, lekko zamglonymi oczyma i mówił ze śmiechem, puszczając oko:

– To jeszcze nic, to tylko dla zabawy, jak pracuję na poważnie, to zupełnie inna sprawa!

W czasie rozluźnienia obyczajów, jakie nastąpiło po rewolucji, wszystkie dziewczyny wpadały mu w ramiona, a on brał je na pęczki, nie przywiązując się specjalnie do żadnej z nich i rzucał je bez żalu, jak tylko któraś spróbowała się przywiązać do niego. Jego dwie babki z dezaprobatą kiwały głowami, ale nie ośmielały się niczego mówić. Akulina wołała na razie nie przejmować się jakąś tam synową, a Iwan chwalił się po kafejkach wyczynami swojego syna.

Wybuchła wojna. Traska wstąpił do wojska.

## 2.

Aż do tego momentu świat nauki jawił się Trasce jako nieprzenikniony. Nie opanował ani arytmetyki, ani ortografii, ani nawet gramatyki. Ledwie udało mu się nauczyć na pamięć kilku wierszy. Teraz jednak, ledwie wdział mundur, zdał sobie sprawę, że świat jest po to, aby go zrozumieć i że to wcale nie jest takie trudne. Nie był w stanie powiedzieć, czemu zawdzięcza taką zmianę, może nagle zdał sobie sprawę z powagi sytuacji? Chodziło o wyzwolenie ojczyzny, a nauka w szkole podstawowej nigdy go nie interesowała. Może miał dar do żołnierki? Może miał kiepskich nauczycieli, a pierwszy podoficer, na którego się natknął, po prostu umiał go zachęcić.

W każdym razie, jak tylko położył rękę na swoim karabinie mosin-nagant, natychmiast umiał go zdemontować i zmontować ponownie i znajdował wielką radość, robiąc to z zamkniętymi oczami. Tak samo było z pistoletem maszynowym tokariew, z karabinem maszynowym RPK i z karabinem maszynowym maxim. Części jakby same się oddziaływały, układały na płótnie namiotowym i łączyły same z odpowiednim, zadowolającym szczękiem, niemal w sposób magiczny. Jedyną rzeczą, którą trzeba było nauczyć szeregowego Gałkina, to było strzelanie. Strzelić w sam środek było dla niego zresztą dziecinną, bo jak można by było strzelać inaczej? Szybko stał się strzelcem wyborowym.

Miał naturalny instynkt po temu i bez problemu trafiał 50 pociskami 82 mm w cel, obrót kolbą w tę, obrót kolbą w tamtą, a kiedy nauczono go posługiwać się celownikiem, jeszcze bardziej udoskonalił swoje umiejętności. Nigdy nie trzymał w ręku busoli, a jednak natychmiast zrozumiał, jak się nią posługiwać. Natychmiast nauczył się czytać mapy i bez problemu umiał odczytać najtrudniejsze trasy. Radiostacja też nie miała dla niego tajemnic. Co do dyscypliny, to nagiął się do niej bez trudności, zadowolony, że jest trybem w dobrze naoliwionej maszynie, która doskonale funkcjonuje. Koleżeństwo

było zrozumiałe samo przez się, a także szacunek do przełożonych, w którym nie było ani odrobiny lizusostwa.

Szybko naturalnie go awansowano, i był promowany jako pierwszy, właściwie bez specjalnych wysiłków. Wtedy objawiły się jego zdolności pedagogiczne. Trzeba było widzieć, jak zajmował się młodym rekrutem i tłumaczył mu, na czym polega demontaż broni.

– Widzisz, chłopie, to łatwe. Bierzesz tę wajchę z tej strony, obracasz tamtą w drugą stronę, w tym czasie przytrzymujesz tę drugą kciukiem. Potem widzisz, jak wajcha się oddziela od tamtej, więc ty bierzesz ją tak i potem ją...

Wszystkie części broni były rodzaju żeńskiego i wydawały się ożywione, jakby poddawały się woli sierżanta Gałkina, który ujmował je delikatnie swoimi długimi, pięknymi palcami, o starannie wyszczotkowanych paznokciach. Z taką samą delikatnością, z jaką traktował to, o czym mówił, mówił także do ucznia.

Jedna jedyna dziedzina jakby interesowała Gałkina odrobinę mniej niż inne. To był marksizm-leninizm, ale także na tym polu miał sukcesy, bo uczył się na pamięć.

W trakcie pierwszych miesięcy wojny porażka goniła porażkę. Wycofywano się. Wynikało to bez wątpienia z tego, że wielu Rosjan uważało Hitlera za wyzwoliciela, a nie za najeźdźcę. Ale to, że traktował ich jak gnój dla rasy panów, dało im energię do śmiertelnego oporu. O ile Ukraina wciąż flirtowała z zagranicą i pozwoliła się zdobyć nie bez zgody, Moskwa nie upadła, Leningrad, mimo oblężenia trwającego dziewięćset dni, także nie. Kaukaz bogaty w ropę nie poddał się, a ostateczny odpór dano Niemcom pod Stalingradem. W tym to czasie sierżant Gałkin został lejtnantem i na patce na ramieniu nosił trzy gwiazdki; bardzo szybki był jego awans w czasie tej wojny, która kosztowała matkę ojczyznę dziesięć milionów żołnierzy (i tyle samo cywilów).

Uzyskanie stopnia oficerskiego spowodowało nową metamorfozę nie tylko w życiu, ale i w osobowości Traktora Gałkina. Jego zdolności bojowe i odwaga dały mu już medal Za Odwagę, Czerwoną

Gwiazdę i order Chwały Żołnierskiej, ale teraz jakby jego inteligencja została uwolniona z okowów niewiedzy i bylejałości. Ten człowiek czytał teren jak otwartą księgę, odgadywał, którą drogą należało iść, z której strony się ukryć, wiedział za pomocą jakiegoś tajemniczego szóstego zmysłu, gdzie i jak ukrył się nieprzyjaciel. Zaczął czytać książki – o taktyce i strategii, na początek – odkrywając jednak czarowny świat słowa pisanego, zaczął spędzać swój czas w towarzystwie Aleksandra Sergiejewicza, potem Lwa Nikołajewicza, w końcu – niespokojny i zachwycony – Fiodora Michajłowicza<sup>15</sup>; jego wiedza rozwijała się nadal. Można by powiedzieć, że nauczyła się latać. W czasie bitwy pod Łukiem Kurskim, kiedy Niemcy po raz ostatni usiłowali przejąć inicjatywę, Gałkin był już pułkownikiem.

<sup>15</sup> Puszkina, Tołstoj, Dostojewski.

Pułkownikiem piechoty. Wojna „ojczyźniana” była wojną czołgów i artylerii, ale mimo kilku kuszących propozycji Gałkin nie zdecydował się zmienić rodzaju wojsk. Znał taktykę wojsk lądowych, lubił być blisko swoich ludzi, dzielił z nimi znoje, troski i niebezpieczeństwa, wiedząc, że tylko za taką cenę może żądać od nich w każdej chwili absolutnego poświęcenia dla siebie samego, to rozumiało się samo przez się.

Dlaczego „samo przez się”? Nigdy się nad tym nie zastanawiał, tak samo jak 22 czerwca 1941 nie zastanawiał się, czy ma się zaciągnąć do wojska, czy nie. Niektórzy z jego towarzyszy walczyli za niepodległość Rosji, inni, by zapewnić zwycięstwo komunizmu na świecie, jeszcze inni zapalili się dopiero, kiedy Stalin dał odrobinę niezależności Kościołowi prawosławnemu. Byli tacy, którzy się mścili, i tacy, którzy wyzwalali swoją ziemię, albo oddawali wet za wet, albo po prostu robili karierę.

Gałkin nie wiedział, dlaczego walczy, ale walczył dzielnie. Nie przeszkadzała mu liczba zabitych własnymi rękami Niemców, ani liczba ginących Rosjan, o ile ta pierwsza przewyższała drugą. Parł prosto przed siebie jak „Traktor”, którym przecież był.

Potem przyszło Radowo.

### 3.

Czołgi kotłowały się, nie tylko dlatego, że spieszo im było wyzwolić ojczyznę, ale też dlatego, że Stalin bał się, żeby Amerykanie, którzy właśnie przystąpili do wojny i byli jeszcze w pełni sił, podczas gdy Rosjanie walczyli już od czterech lat, nie zdobyli Berlina przed nim. Szybko! Szybko! To był wyścig z Amerykanami, wyścig, w którym brał udział Żuków, Koniew i Rokossowski. Piechota szła z tyłu, wchłaniała partyzantkę i dławiała ostatnie punkty oporu.

W Armii Czerwonej dowódcy wojskowi mieli przy sobie oficerów politycznych. Mieli oni podnosić morale żołnierzy i sprawdzać wierność polityczną oficerów. Komisarzem przydzielonym do Gałkina był major Złotogor, rudawy młodzieniec z wielkimi, błękitnymi, porcelanowymi oczyma, którego odwaga graniczyła z brawurą. Ich szacunek był wzajemny, a relacje wręcz doskonałe dotąd, dokąd każdy z nich zajmował się tym, co do niego należało. Było jednak małe ale. Mimo wysokiego stopnia, Gałkin miał zwyczaj sam wypadać na rekonesanse w bezpośrednią bliskość wroga i nigdy nie brał Złotogora ze sobą.

- Dlaczego nie weźmiecie mnie z sobą, towarzyszu pułkowniku?
- Jesteście za wysoki stopniem.
- Niższy od was, towarzyszu pułkowniku.
- To nie wasza działka, towarzyszu komisarzu.
- Strzelam równie dobrze jak wy i biegam tak samo szybko.
- Trzeba, by ktoś został na stanowisku dowodzenia.

Złotogor mógł sobie nalegać, Gałkin, który lubił działać sam z dwójką, trójką ludzi, do których miał zaufanie, nie chciał się ugiąć. Nie wiedział dlaczego, ale wydawało mu się, że obraz rudego, piegowatego, wrażliwego Złotogora w przypadku jakiegoś zagrożenia nie był tym, który chętnie widziałby obok siebie albo zabrał ze sobą do grobu.

Pewnego ranka nawiązano kontakt z oddziałem partyzanckim,



który poniósł duże straty, wielu chłopców i kilka kobiet zostało pogrzebanych żywcem przez Niemców, otoczono wioskę Radowo, która, jak mówiono, przychylna była okupacji niemieckiej. Jakaś banda Fryców mogła tam jeszcze być ukryta, a partyzanci, nie dysponując artylerią, ani moździerzami, chcieli wsparcia regularnych wojsk.

Gałkinowi nie w smak było tracić czas koło Radowa. Chciał iść dalej, aż do łańcucha wzgórz o jakieś piętnaście kilometrów dalej, otrzymał rozkaz zajęcia wzgórz jeszcze tego samego dnia i podejrzewał, że Niemców już tam nie było. Radowo było jakby wrzodem, którego należało się pozbyć.

– Towarzyszu komisarzu, zechcecie się tym zająć? Będziecie mieli wsparcie partyzantów i dam wam kompanię. Jeśli traficie na opór, przekręcicie do nas, ale wygląda na to, że to pestka. No i będę mógł was przedstawić do odznaczenia.

Złotogor podziękował mu wylewnie. Długo konferował z dowódcą partyzantów i kapitanem, komendantem kompanii, o dostępie do wioski, osłanianiu się, ataku skrzydłami. Brał się wyraźnie za Napoleona. Gałkin powstrzymał uśmiech, nie wypadało śmiać się z wojskowych zapędów komisarza politycznego. Regiment stracił sporo czasu na wymacywanie wroga. Niemcy nie opuścili wzgórz, zostawili tam jednostki, trzeba było oszacować liczbę żołnierzy i siłę ognia. Jeden batalion musiał się wycofać, inny mógł przeć naprzód, ryzykując, że wpadnie w zasadzkę. Gałkin go odwołał. Po kilku godzinach stwierdził, że za późna pora, aby próbować natarcia. Poprosił o rekonesans z powietrza o świcie następnego dnia. Kazał ludziom ukryć się na linii lasu i zdecydował się wrócić do Radowa – wyzwolonego bez strat; Złotogor zameldował mu to przez radio – chciał zaprowadzić trochę porządku wśród cywilów, z którymi zawsze miał kłopoty. Załadował dwie sekcje na GMC, które były jego jedynym środkiem transportu, i zawrócił. Nie ma co mówić o sprzęcie, Amerykanie są hojni, ale gdyby utworzyli drugi front dwa lata wcześniej, ilu z poległych jeszcze by żyło?

Był początek wiosny.

Na odkrytych przestrzeniach białe połacie posiekane były szerokimi czarnymi smugami ziemi. Ptaki latały nad tymi ciemnymi połaciami, aby szukać tam swojej marnej stawy, ale w lesie drzewa ugięły się jeszcze pod ciężarem śniegu, który padał przez całą zimę. Z gałęzi pochylonych nad drogą zwisały sople lodu, które żołnierze usiłowali schwycić, siedząc na przejeżdżających ciężarówkach, czasami zębami, czasami dłońmi. Śmiali się do rozpuku. Dziś jeszcze udało im się ująć śmierci. Myśleli o racji wódki i o kapuśniaku, który czekał na nich w Radowie.

Nad miasteczkiem unosił się gęsty dym i nie był to dym z kuchni polowej.

– Przyspiesz!

Czarne chałupy, stojące wśród małych ogródków warzywnych, tłoczyły się coraz to gęściej tuż obok drogi. Zbliżali się do centrum miasteczka i zapach dymu, który roznosił wiatr, był coraz bardziej cierpki. Nie było warty. Nie było szlabanu.

Pijane dźwięki akordeonu płynęły z jakiejś stodoły stojącej na prawo od drogi, poniżej jej poziomu. Przed nią, byle jak zwalone, leżało jedno na drugich jakieś trzydzieści martwych ciał. Na lewo palił się, trzaskając płomieniami, zupełnie nowy kościół z okrągłych bali i dwa piętrowe domy, których frontony były rzeźbione nad drzwiami wejściowymi i oknami.

Pośrodku przestrzeni między kościołem a stodołą, od której odchodziły nie ulice, a wolne place, pomiędzy domami stał dąb; na jednej z jego gałęzi wisiał człowiek, tęgi, nagi, z rozprutym brzuchem. Jego głowa ozdobiona była prawosławną, złoconą, okrągłą mitrą, na której umieszczony był krzyż z kolorowych kamieni, które połyskiwały w świetle zachodzącego słońca. Zmrużywszy oczy, Gałkin zauważył, że mężczyznę powieszono na jego własnych wnętrznościach.

Wysiadł z samochodu.

Komisarz Złotogor musiał usłyszeć, jak nadjeżdżał, bo wybiegł na

jego spotkanie.

– Zwycięstwo, towarzyszu pułkowniku! Mamy miasteczko!

Ucałował go w oba policzki, wilgotnymi i śmierdzącymi wódką ustami.

Galkin nie otarł policzków. Wszedł do oświetlonej lampami acetylenowymi stodoły. Były tam deski ustawione na kozłach, talerze, butelki, zarośnięci cywile, czyli partyzanci, i mężczyźni w mundurach, ostrzyżeni, czyli żołnierze. Wszyscy byli uzbrojeni. Ktoś krzyknął pijanym głosem:

– Baczość!

Cała ta banda ledwie trzymających się na nogach ludzi nagle spróbowała wstać i stanąć w pozycji na baczość, ale dało to efekt drgającej galarety.

Galkin szedł z dłonią na kaburze pistoletu.

W kącie leżał stos słomy, a na tym stosie około dziesięciu kobiet, całkiem nagich, pokrytych zakrzepłą krwią.

– Co to jest?

– Żony zdrajców – odpowiedział Złotogor. – Dobrze bawiły się z Frycami, trzeba je było zrehabilitować.

Galkin popatrzył na tę miazgę z kobiet, przez które w ciągu kilku godzin przeszło około stu mężczyzn. Kobiety były przyklejone do siebie jak kawały żywego mięsa, które trudno byłoby od siebie oddzielić. Niektóre jęczały, a było to coś w rodzaju zbiorowego jęku, inne leżały już cicho.

– A ten na drzewie?

– Zwykły gnój. Ojciec Ilja. Zbudował sobie kościół. Prowadził msze dla Niemców, na pewno. Nieźle się zabawiliśmy. Zjecie coś z nami, towarzyszu pułkowniku? Zrobimy tu dla was miejsce.

– Chętnie.

Odwrócił się do swojego radiotelegrafisty.

– Wezwij medyka. Wysyłam po niego samochód. Niech się zjawi natychmiast. Dziesięć kobiet do zszycia.

Podszedł do stołu, gdzie już robiono dla niego miejsce.

Jedli i pili. W zębach chrzęściły im kawały kiełbasy pływającej w zupie. Zapadła noc.

Wtedy Gałkin popatrzył Złotogorowi w oczy, mówiąc do niego na ty po raz pierwszy w życiu, jakby po raz pierwszy w życiu zobaczył w nim mężczyznę.

– Pójdiesz ze mną na rekonesans?

## 4.

Noc rozświetlał śnieg i blask księżyca.

Żeby nie iść w świetle księżyca, trzeba było przedzierać się pod gałęziami uginającymi się od śniegu, który sypał się im na hełmy. Poza komisarzem politycznym, pułkownik zabrał ze sobą trzech swoich wiernych żołnierzy, kaprała i dwóch żołnierzy z grupy, którzy mieli służyć za świadków, na wypadek gdyby było jakieś śledztwo. Kaprał prowadził zwiad, za nim szedł komisarz polityczny, potem pułkownik, dwóch pozostałych żołnierzy zamykało pochód.

Misja polegała na tym, żeby dowiedzieć się, czy wzgórze usytuowane za linią wojsk rosyjskich nie było kryjówką Niemców, którzy mogli się tam przyczaić i okopać, gdyby tak było, trzeba by wykurzyć ich stamtąd przed jutrzejszym natarciem. Gałkin powiadomił dywizję o tym, że wysłał patrol w tym kierunku. Nie sprecyzował, że sam będzie w tym patrolu, ale generał znał jego zwyczaje i przymykał na nie oczy.

Szli, zachowując możliwie jak największe odstępny. Około czterdziestu metrów. Pojedynczo przeskakiwali przesieki, stawiając ostrożnie stopy, żeby tylko śnieg nie zaskrzypiał. Od czasu do czasu kaprał zatrzymywał się i świecił latarką pod połę swojego wojskowego płaszcza, aby spojrzeć na mapę i kompas.

Złotogor był pijany i wszystko mu się dwoiło. Nie to, że widział dwa księżyce zamiast jednego albo dwa drzewa zamiast jednego, nie, on stał się po prostu dwoma ludźmi naraz.

Złotogor pierwszy kipiał radością. Nie tylko poprowadził jednostkę do walki, odniósł zwycięstwo bez najmniejszego trudu, ale także dał odczuć zdrajcom ciężar bolszewickiej sprawiedliwości. Nie tylko obficie sobie ulżył i to z użyciem przemocy – podwójna przyjemność – ale także w końcu zaspokoił swoje instynkty, które od wieku młodzieńczego w nim się burzyły. Wciąż pragnął krwi. Dziś się jej opił. Wszystko to sprawiało, że był w euforii, którą podwajał

jeszcze alkohol. Na dodatek zaproszenie pułkownika sprawiło, że czuł się szczególnie uhonorowany, a tej nocy nie trzeba mu było więcej jak tylko odrobina tego właśnie poczucia honoru, żeby czuł się kimś więcej.

Złotogor drugi wiedział, że jest już martwy, ale nie miał prawa głosu.

Gdyby je miał, powiedziałby o jakimś przeczuciu albo fatalizmie. Albo nawet o logice i psychologii. Nie wiadomo, dlaczego pułkownik zaprosił swojego komisarza na rekonesans po raz pierwszy tej właśnie nocy. Nie wiadomo też, dlaczego w żaden sposób nie zareagował na masakrę i zbiorowe gwałty w Radowie. Powinien był choć powiedzieć: „Brawo chłopaki”, albo coś innego z rezerwą, albo trochę na nich nawrzeszczyć. Nie był człowiekiem, który w podobnej sytuacji milczał. Nie dlatego, żeby ekspedycje karne były rzadkością, szczególnie partyzanci kochali je całym sercem, ale kiedy wchodziła w to regularna jednostka, decyzję podejmowano na szczeblu dywizji, a nie na szczeblu kompanii. Spokój pułkownika coś więc ukrywał i o ile zaproszenie komisarza nie było zakamuflowanym wyrazem uznania, to to, co ten spokój ukrywał, nie mogło być dobre. Powinien być wściekły, bo jego zastępca zadziałał bez rozkazu, a jeżeli zrezygnował z wyrzutów pod jego adresem, to znaczy, że chciał mu się za to odplącić.

Gdyby nawet Złotogor drugi to wszystko powiedział, i gdyby ktoś go usłyszał, to co by uzyskał? Złotogor pierwszy nie zamierzał się wycofywać, prawda? Wydzierał więc buty ze zwałów śniegu, patrzył krzywo na księżyc, który świecił na niebie jak biała czaszka z czarnymi zagłębieniami, zaciskał zęby i przyciskał do serca swojego tokariewa<sup>16</sup>.

<sup>16</sup> Popularna tetetka.

Gałkin szedł za nim i jeszcze raz przeżywał zdarzenia z minionego dnia. Z pewnym już dystansem, bo zdecydował, co zrobi i jak to zrobi, i wszystko to było już ładnie zapakowaną paczuszką, zamkniętą i zapieczętowaną, wysłaną na poste restante na adres losu.

Miał do siebie żal, że nie zrobił tego, co do niego należało. Powinien był zapytać, czy wszyscy ludzie z wioski zostali rozstrzelani, czy jeszcze nie, powinien był dowiedzieć się, co stało się z dziećmi i kobietami. Powinien był sprawdzić personalia zabitych, zażądać pisemnego raportu od Złotogora, drugiego od dowódcy kompanii, trzeciego od dowódcy oddziału partyzanckiego... Nie czuł się na siłach zajmować tymi sprawami, dopóki nie zajął się sprawą najważniejszą.

Rozstrzelanie tej trzydziestki ludzi przejęło go o tyle, o ile podważało w sposób niezaprzeczalny jego autorytet. Gałkin powinien był aresztować Złotogora i oddać go pod sąd wojenny. Odznaczono by go czy ukarano, to już nie byłaby jego sprawa. Tylko że Gałkin nie miał ochoty podejmować takiego ryzyka. Złotogor powinien zostać ukarany, a w czasie wojny istniała tylko jedna prawdziwa kara, która miała sens. Sprawiedliwość wojskowa mogła znaleźć jakieś okoliczności łagodzące w stosunku do komisarza politycznego, takie, których nie znalazłaby w stosunku do oficera. To byłoby do głębi niesprawiedliwe, a Gałkin nie znosił niesprawiedliwości popełnianej przez sprawiedliwość. Trzeba było więc sprawiedliwością zająć się samemu. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Zdecydował tylko, że nie ma zamiaru ponieść niesprawiedliwych konsekwencji tego aktu sprawiedliwości. To było względnie proste.

Gwałt na dziesięciu kobietach i stan, w jakim je pozostawiono, dręczył młodego pułkownika Gałkina bardziej niż rozstrzelanie tej trzydziestki. Nie był w stanie zliczyć swoich własnych przygód łózkowych, ale wszystkie one były przyjemne dla obu stron i pełne zabawy. Fakt, miłości i szacunku w nich nie było, ale także nie było przemocy i poniżenia. Przeklęte psy! I oto wobec nierządu, który miał miejsce w tej stodole, Gałkin zaczął nagle odczuwać wyrzuty sumienia wobec Leny, której się trochę naprzykrzał, wobec Tani, którą porzucił, bo za bardzo chciała zostać jego żoną, wobec Mani, którą wziął, kiedy jeszcze była dziewicą, wobec Olgi, która mimo że była mężatką, nie była w stanie mu się oprzeć... W świetle tego, co zrobił

Złotogor, zaczął czuć się winny tego, co sam zrobił, a co przecież było nieporównywalne... A jednak, mówił sam do siebie zmieszany, wykorzystał kobiety, nawet za jej zgodą, to niegodne, a bez jej zgody?!

Ale to, co go bolało najbardziej, to nie był los tych kobiet, niektóre z nich z pewnością kombinowały z Frycami. To nie ofiary bolały go najbardziej, jeszcze mniej partyzanci, których zwyczajnie wszyscy znali. Najbardziej boleli go jego ludzie, którzy aż do tego dnia byli żołnierzami gotowymi oddać życie za powinność, jaką na siebie wzięli, odbierając życie innym. To byli wojownicy, którzy umierali bez skazy, a Złotogor zrobił z nich kanalie, które będą żyć i umrzeć niegodnie. To było niewytłumaczalne. Nagle Gałkin zdał sobie sprawę z tego, że lepiej było być ofiarą niż katem, a Złotogor zrobił katów z tych niewinnych żołnierzy, jakimi byli jego ludzie. Jego ludzie, żołnierze, których nazywał swoimi dziećmi, jak sprawy przybierały zły obrót, i naprawdę tak właśnie czuł. Złotogor pokalał jego dzieci. Złotogor nie miał prawa żyć. To i tak nie załatwi sprawy, bo winnym tak naprawdę nie był Złotogor.

Naprawdę winnym był on, pułkownik Gałkin. Nie powinien był pozwolić Złotogorowi dowodzić natarciem na Radowo, nie powinien był oddać pod rozkazy komisarza politycznego, młodego, niedoświadczonego kapitana, nie powinien był pozwolić na wspólną operację wojsk liniowych i wolnych strzelców w czasie swojej nieobecności. To on, Gałkin, rozstrzelał tych trzydziestu ludzi, to on zgwałcił te dziesięć kobiet, to on powiesił księdza na jego własnych wnętrznościach.

Gałkin nie wiedział, co to takiego ksiądz. Jego ojciec mówił o „popach” z pogardą i nienawiścią. Ci, którzy z rzadka przemykali się ulicami, opluwani i obrzucani kamieniami, nigdy nie interesowali Traski. Gdyby ktoś go zapytał, czy istnieje Bóg, odpowiedziałby naturalnie „nie”, ale tak naprawdę nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Wierzyć w Boga, dla niego, znaczyło palić świece, pościć, godzinami stać, całować ma-



lowane deski, głupoty!

I oto to nagie tęgie ciało, które kołysało się wieczorem na tej szubienicy, ze złożoną mitrą na głowie, oto to rozprute ciało zmieniało jego własne życie. Życie pułkownika Gałkina. Nie wiedział jeszcze, dlaczego, ale wiedział, że nigdy już nie będzie taki sam. Przez to, że nie było go we wsi Radowo w godzinie męczeństwa ojca Ilji, odebrał sobie możliwość pozostania tym radosnym żołnierzem, jakim był jeszcze tego samego ranka. I od tej chwili nie był już sobą, żył w nim ktoś inny, kogo on jeszcze nie znał, ktoś w nim samym.

Wstęga łąk zalanych księżycem otaczała szczyt wzgórza, na którym stała kępa drzew. Jeżeli byli tu Niemcy, siedzieli właśnie tam. Przy wyjściu z lasu Gałkin zebrał patrol. Postawił kaprała i dwóch żołnierzy na północnej stronie.

– Nie ruszacie się stąd. Komisarz i ja spróbujemy dostać się na szczyt od wschodniej strony, jak grzmotnie, grzmotnicie i wy, żeby osłonić nasz odwrót. Jeżeli nie znajdziemy nikogo, gwizdnę trzy razy i wy dołączycie do nas na szczycie.

Złotogor był dumny, że jest częścią zwiadu.

– Idę przodem – zaproponował.

– Nie. Idziesz za mną. Poruszasz się skokami od drzewa do drzewa. Od zasy do zasy.

Szli obrzeżem lasu, aż dotarli do wschodniej strony wzgórza. Trójka, która została po północnej stronie, nie mogła ich już widzieć. Teraz wystarczyło wejść na łagodny stok około dwustu metrów, zalany blaskiem księżyca i pokryty śniegiem tu i tam połyskującym jak kryształ. Nie było gdzie się ukryć. Szli obok siebie, ramię w ramię, patrzyli na siebie oddychając szybko.

Gałkin zobaczył wielkie nieprzytomne oczy i wilgotne wargi Złotogora. Złotogor zobaczył lwi pysk Gałkina i jego lodowate oczy.

– Idziemy – powiedział Gałkin – skaczesz cały czas o jeden krok do przodu.

Rzucili się naprzód. Według informacji, na szczycie Niemców nie było, ale nigdy nie ma pewności, ukryty strzelec wystarczyłby, aby

ich załatwić. Gałkin biegł zygzakami po zboczu tak szybko, jak tylko mógł, mimo tego, że nogi zapadały mu się w śniegu podobnym do waty. Upadł na brzuch za jakimś podwyższeniem terenu, żeby uspokoić oddech. Rzucił okiem w tył. Złotogora nie było widać. Może odgadł? Może chciał wrócić do obozu?

Gałkin skoczył po raz drugi aż do wgłębienia chronionego przez jakiś występ.

Złotogor, posłuszny rozkazowi, pojawił się w świetle księżyca i biegł w linii prostej aż do garbu pagórka pokrytego śniegiem. Upadł za nim i znów stał się niewidoczny.

Gałkin podniósł się i wciąż biegnąc zygzakami, dotarł do zwalnego drzewa, które posłużyło mu za osłonę.

Złotogor pokazał się i pobiegł prosto do garbu, który go osłonił. Ich ślady złożyły dziwny rysunek na śniegu. Jakby jakiś olbrzym coś na nim napisał.

Ostatni skok miał być najtrudniejszy, bo stok stawał się coraz bardziej stromy, zanim dotarł do porastającej szczyt roślinności. Raz czy dwa Gałkin musiał pomagać sobie rękoma, w końcu dotarł do krzaków, w których się ukrył.

Żadnej reakcji hipotetycznych Niemców. Odwrócił się jednym ruchem, na twarz spadł mu śnieżny nawis, zdjął prawą rękawicę i położył się na brzuchu, oparty na prawym łokciu.

Tam, skąd patrzył, widział stok, po którym jak lukier spływało światło księżyca.

Nagle zobaczył jakiś ruch, Złotogor opuścił swoją kryjówkę i ruszył truchtem w kierunku pnia drzewa, za którym upadł. Jego ruchy zdradzały zmęczenie i nadmiar alkoholu.

Ze swojej drelichowej kurtki Gałkin wyciągnął lugera, zdobytego w czasie wojny na jakimś niemieckim oficerze. Wprowadził nabój do lufy, zanim poderwał się do biegu, aby nie narobić hałasu. Odbezpieczył broń.

Drzewo znajdowało się o jakieś czterdzieści metrów niżej.

Złotogor długo czekał albo żeby trochę odpocząć, albo żeby dać

Gałkinowi czas, by dobiegł. Albo w końcu zrozumiał, o co w tym wszystkim miało chodzić i nie był w stanie się poruszyć?

Nie. Złotogor podniósł się. Usiłował biec, ale ledwie trzymał się na nogach. Gałkin poczekał, by tamten przebiegł dwadzieścia metrów stoku, częściowo na czworakach, potem podniósł się, by przebiec ostatnie dwadzieścia metrów płaskiego już terenu w pozycji wyprostowanej.

W tej pozycji Gałkin był prawie pewny, że go trafi, nawet mimo tego, że cel się poruszał, ale nie chciał podejmować ryzyka, że tylko zrani komisarza, który odpowie strzałem, co bardzo skomplikowałoby sprawę.

Krzyknął więc do niego.

– Stać komisarzu!

Komisarz zatrzymał się.

Pułkownik widział blade czoło Złotogora w świetle księżyca w swoim celowniku. Wiedział, że na tę odległość P08 ściąga trochę w lewo. Miał ochotę krzyknąć coś w rodzaju „zdychaj bydlaku”, ale już wciągnął powietrze i przygotowany do strzału nie chciał ryzykować, że spudłuje.

Nacisnął spust.

Komisarz upadł w tył, puszczając swój karabin maszynowy, który upadając, wystrzelił serią. Na północnej stronie stoku rozpoczął się ostrzał. Gałkin podniósł się, otrząpał kolana ze śniegu, był spokojny, ale miał dziwne wrażenie, że zabił sam siebie.

Wciągnął głęboko powietrze i wystrzelił sobie kulę z lugera wprost w ramię. Była wojna. Nikt nie będzie sprawdzał, że strzał oddano z tak bliskiej odległości.

## 5.

Jeżeli duchowa Rosja ma serce, to bije ono 70 kilometrów na północny wschód od Moskwy w Ławrze Troickiej założonej przez świętego Sergiusza, której komunistyczny rząd dał w 1930 roku, z pewnością przez szyderstwo, nazwę Zagorsk, pochodzącą od rewolucyjnego pseudonimu Zagorski – pewnego bolszewika pochodzenia żydowskiego, Wolfa Michajłowicza Lubockiego. Mnichów wypędzono, niektórych aresztowano. Skonfiskowano 2500 kilogramów przedmiotów liturgicznych i ciężki, odlewany, wielotonowy dzwon.

W trakcie drugiej wojny światowej Stalin zrozumiał, że niewiele wydobędzie z rosyjskiego ludu, jeżeli będzie prześladował jego religię. W XIV wieku święty Sergiusz pobłogosławił armie rosyjskie, które szły walczyć z Tatarami na stepie; wysłano tam dwóch mnichów Piereswieta i Oslabii, żeby walczyli pod dowództwem księcia Dymitra Dońskiego. Monaster-forteca zwycięsko oparł się najazdowi Polaków na początku XVII wieku. W patriotycznej atmosferze, która królowała w przededniu wojny, święty Aleksander Newski był już bohaterem filmu Eisensteina, rehabilitacja świętego również interesującego jak Sergiusz z Radoneża narzucała się sama przez się. Budynki monasteru zostały zwrócone, a relikwie świętego złożono w specjalnie na ten cel zbudowanym soborze.

Pod koniec wojny do monasteru napłynęli mnisi – starzy, którzy ukrywali się od dwudziestu pięciu lat, i młodzi – wychowani we wciąż wierzących rodzinach, a w końcu i grupa tych, którzy stracili życiowy kierunek z powodu rewolucji czy wojny i zrozumieli, że prawdy nie należy szukać na tym świecie. Z ruin podnoszono mury obronne, naprawiano dachy. Kładziono złoto na kopułach Świętej Trójcy, błękit na kopułach Świętego Ducha, oraz błękit i złoto na kopułach Uspienija, Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy. Miano zająć się w odpowiednim czasie Cerkwią-na-bramie, Cerkwią-na-studni, dzwonnica, Świętymi Zosimą i Sawatijem, Świętym Michałem i

Świątą Paraskiewą oraz Cerkwią Najświętszej Marii Panny w Smoleńsku.

W najdalszych zakątkach Rosji wierzący odejmowali sobie od ust, żeby dać ofiarę na Świętego Sergiusza, bo to wydawało im się nieodzowne.

Archimandryta<sup>17</sup> Cyryl był niewielkim, wychudzonym, delikatnym i tak wysuszonym człowiekiem, iż można by powiedzieć, że zbudowany był z chrustu. Od trzech dni obserwował zachowanie olbrzyma w mundurze bez dystynkcji, który na stojąco uczestniczył w soborze we wszystkich nabożeństwach, nigdy nie robiąc znaku krzyża, nigdy nie klękając, nie zapalając ani jednej świecy. Czasami zbliżał się do trumny z masywnego srebra, która zawierała nietknięte ciało świętego Sergiusza, czasem stawał przed reprodukcją obrazu przedstawiającego Świątą Trójcę Rublowa, którego oryginał zabrano do jakiegoś muzeum w Moskwie; wtedy wydawało się, że nadstawia ucha na boską muzykę graną przez trzy anioły siedzące za stołem, które były wyobrażeniem troistości Świętej Trójcy. Czwartego wieczora archimandryta obchodził cerkiew, okadzając kadzidłem ikony, jedną po drugiej, i wiernych, jednego po drugim; zatrzymał się przed olbrzymem i powiedział:

<sup>17</sup> Specjalna godność mnicha-kapłana, wyższa od księzowskiej, niższa od biskupiej.

– Poczekaj tu na mnie po nieszpórach.

Kiedy wszyscy opuścili cerkiew, archimandryta podszedł do nieznanego, który grzecznie czekał, stojąc w kącie. Wyszli. Był początek września, słońce właśnie zachodziło, ostatnie kosy pogwizdywały lekko, kwitły jeszcze ostatnie dalie.

– Usiądźmy – powiedział Cyryl.

Usiedli. Archimandryta ważył niewiele, za to pod ciężarem wojskowego drewniana, brzozowa ławka aż się ugięła.

Cyryl potrafił łowić ludzi. Zapytał z brutalną wręcz poufałością.

– Kim jesteś?

– Gałkin.

- Imię?
- Traktor.
- To nie jest chrześcijańskie imię. Wojskowy?
- Były.
- Stopień?

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Generał-major.

Potem uśmiechnął się uśmiechem na wpół skromnym i na wpół dumnym.

- Najmłodszy w Armii Czerwonej. W piechocie.
- Mogłeś tam zostać?
- Chcieli.
- Czego szukasz?
- Czy ja wiem?
- Wierzysz w Boga?
- Czy ja wiem? Raczej nie.
- Jesteś ochrzczony?
- Czy ja wiem?

Cyryl zastanowił się. Mundur Galkina był zakurzony, zużyty do ostatnich granic, a na jego potężnej postaci nie zostało już wiele ciała. Jego niebieskie oczy siedziały głęboko w oczodołach jak schowane w swoich skorupach ślimaki. Nosił długie, bardzo jasne włosy, które kontrastowały z jego wojskowym ubraniem. Pewnie nie miał kto mu ich obciąć. Jego paznokcie były jednak wyjątkowo czyste. Wydawał się mówić z trudnością, jak człowiek, który nie mówił od bardzo dawna.

- Po co przyszedłeś?

Z pewnością Traktor Galkin nigdy sobie nie postawił tego pytania w taki sposób, szukał więc odpowiedzi, w końcu odpowiedział.

- To trudno powiedzieć... Wydaje mi się... wydaje mi się, że jestem wam jednego winien.
- Jednego?
- Jednego popa.

Archimandryta nie zareagował wobec tego słowa, które w języku rosyjskim jest pejoratywne. Zrozumiał, że jego rozmówca nie w takim sensie go użył.

- Dlaczego winien nam jesteś kapłana?
- Na wymianę.
- Za co?
- Za zmarłego.

I Galkin dorzucił, dziwnym tonem, jakby to coś mogło zmienić.

- Miał mitrę.

Ojciec Cyryl spotkał wielu ludzi szukających schronienia w monasterze, nigdy jednak nie spotkał kogoś, kto przyszedłby uregulować dług. Ile mogło być warte takie powołanie?

- Jesteś głodny? – zapytał.
- Tak.
- Choć do refektarza.

Chudy księżycowy rogalik wychodził na niebo pomiędzy gałęziami.

## 6.

O religii ten nowy nie wiedział nic.

Miał masę niespójnych wiadomości, w których mieszało się jabłko tkwiące w gardle Adama, brakujące samcom jedno źebro, pobyt Jonasza w brzuchu wieloryba, używanie w liturgii języka prawie zupełnie niezrozumiałego i pytanie-gwóźdź programu: „Czy Bóg, który jest wszechmocny, może stworzyć kamień, którego nie będzie mógł podnieść?”, oraz święty Ilja<sup>18</sup> jadący po niebie w swoim rydwanie, za każdym razem, kiedy grzmi.

<sup>18</sup> Prorok Eliasz (przyp. tłum.).

Archimandryta Cyryl był człowiekiem prostym i inteligentnym. Nigdy nie podał w wątpliwość żadnej z prawd Kościoła, nigdy nie zastanawiał się, czy należało je brać dosłownie czy w przenośni. Zaczął od stworzenia świata, upadku i odkupienia.

Kiedy zobaczył, że żaden z tych aksjomatów nie szokuje jego owieczki, powiedział:

- Jeśli chcesz zostać chrześcijaninem, musisz zostać ochrzczony.
- Proszę mnie ochrzcić – odpowiedział katechumen.
- Jest możliwe, że byłeś już ochrzczony, ale opracowaliśmy formułę, którą dodajemy do rytuału: „Chrzczę cię na wypadek, gdybyś jeszcze nie został ochrzczony”.

Galkin, który nie wiedząc o tym, ochrzczony był już dwa razy, nie miał nic przeciwko temu.

Trzeba było wybrać imię.

– Są dwie rosyjskie tradycje – powiedział Cyryl. – W rodzinach szlacheckich najstarszemu synowi daje się często imiona dziadka ze strony ojca, drugiemu synowi – dziadka ze strony matki, młodszemu – dziadka...

- Nie pochodzę ze szlachty.
- W rodzinach z ludu dzieci noszą imię jednego ze świętych, którzy są patronami dnia ich urodzenia.



- Dobrze.
- Kiedy się urodziłeś?
- 24 listopada.

Cyryl zaczął szukać w *Żywotach Świętych*.

– 24 listopada mamy wybór: Piotr z Aleksandrii, święty Malchus Syryjski, święci Karion i Hermogen, zmarli w pokoju, święci Krzysztof i Chryzogon, którzy zginęli od miecza, święty Aleksander z Koryntu męczennik, święty Grzegorz asceta, święty Marek z Bitynii, święty Teodor z Antiochii męczennik, Merkury ze Smoleńska męczennik, święty Szymon pustelnik, święty Łukasz, ekonom z monasteru Pieczerskiego z Kijowa, święty Kliment świadek-męczennik, papież rzymski. Jak chcesz się nazywać?

– Nie chcę się nazywać tak jak rzymski papież–powiedział Gałkin.

- Dlaczego?
- Nie wiem.

Wyrzebał z głębi pamięci słowo, którego znaczenia nie znał.

- To heretyk.

Cyryl popatrzył na niego ironicznie.

– Nie wiesz, generale, czy wierzysz w Boga, a wiesz, co to heretyk! Moje gratulacje. Dowiedz się więc, że w czasach Klimenta, to znaczy w pierwszych wiekach po urodzeniu naszego Pana Jezusa Chrystusa, rzymscy papieże nie byli jeszcze heretykami. Klimenta cytuje nawet apostoł Paweł w swoim liście do Filipian, nazywa go jednym „z towarzyszy pracy, których imiona zapisane są w księdze życia”.

- Nie mógłbym nazywać się Ilja?
- Nie ma takiej potrzeby. Będziesz miał na imię Kliment. Teraz musisz się wypowiadać.
- Co to znaczy wypowiadać się?
- Opowiedzieć Bogu wszystko, co zrobiłeś złego, żeby ci wybaczył.
- Bogu?

– W mojej obecności. I ja ci przekażę jego wybaczenie.

Spowiedź trwała trzy dni. Przyszły Kliment dużo płakał. Czasami płakał nad swoimi grzechami, czasami nad nagimi kobietami, tymi ze wsi Radowo, czasami nad swoimi ludźmi zbrukanyymi gwałtem i masakrą. Płakał nad Niemcami, których zabił, chciał mieć nad nimi litość, tak jak żałował własnych zmarłych żołnierzy, ale Niemców nie żałował. Co do Złotogóra, był dla niego czymś w rodzaju szatana, a nie uważał, że można czuć się winnym wobec szatana. Archimandryta dopuścił go do chrztu, co zarazem odpuszczało wszystkie jego grzechy.

Spali w jednej celi. W noc poprzedzającą chrzest Kliment obudził swojego mistrza.

– Ojcie, czy jutro przyjmę komunię? Tłumaczyłeś mi, ale... Jeść Ciało? Pić Krew? Nie rozumiem.

Była pełnia księżyca i jego światło wlewało się potokami przez okno. Błede, brodate twarze obu mężczyzn były bardzo blisko siebie. Twarz starego, porwana bruzdami, pobieliała starością, twarz młodego, okolona zjeżonym włosiem, udreńczona. Cyryl odpowiedział:

– Sądzisz, że ja rozumiem? Śpij spokojnie, synu, to, czego my nie rozumiemy, za nas rozumie On. Ciemność nie jest w stanie pojąć światłości, ale to nie przeszkadza jej świecić.

Nazajutrz ochrzczony przez zanurzenie Kliment zaczął swój nowicjat.

Chciał wykonywać najcięższe prace, kopał ziemię, gracował, pchał taczki, nosił cebry. Kiedy skończył, zaczynał od nowa, usiłując wykorzystać swoją siłę fizyczną przeciw rzeczywistości tego świata. W tym samym czasie chciał zacząć ascezę jak najwięksi święci. Stylit zadawał się pięcioma figami dziennie, dlaczego Kliment miałby zjadać ich więcej? Święty Sergiusz zadawał się chlebem i wodą, a na dodatek pościł we środy i piątki, dlaczego Kliment nie miałby robić tak samo? Ograniczał się coraz bardziej i bardziej, i dawało mu to satysfakcję, jakby to była jakaś gra. A jeśli racją dzienną było czterdzieści pokłonów, dlaczego on nie miał ich zrobić osiemdziesiąt?

Trzeba było w końcu, żeby archimandryta, sam będący ascetą, zarzucił mu pychę, która powodowała te wybryki. Takie siłowanie się samo w sobie nie miało żadnej wartości. Miało służyć temu, by modlitwa stała się łatwiejsza, a nie życie bardziej nieznośne.

Wówczas Kliment wciągnął się w modlitwę. Nie umiejąc jednak modlić się własnymi słowami, uczył się na pamięć długich inwokacji Jana Chryzostoma, świętego Symeona Metafrasta, świętego Jana Damasceńskiego, świętego Bazylego Wielkiego, które były jeszcze dłuższe. Uczył się ich w języku starocerkiewnym.

– Umiesz czytać w języku starocerkiewnym? – zdziwił się pewnego dnia archimandryta. – Gdzie się tego nauczyłeś?

Kliment onieśmielony machnął ręką. Słyszał te teksty tak często podczas nabożeństw, że zaczął je czytać w księgach, nie zauważysz nawet, że rozszyfrowuje znaki, których nie zna. Inne od rosyjskich liter, litery języka starocerkiewnego miały własną kwiecistość, wspaniałe płatki, pięknie toczone korzonki, litery te mówiły do niego tak, jak mówi las, słyszał głos każdej z nich, ale także chór, którym mówiły wszystkie razem.

Jednak swoje największe radości Kliment odnajdywał w liturgii.

Natychmiast zrozumiał, że rytuał nie był arbitralnym wymysłem ludzkim, ale imitacją, czasem zresztą niezręczną, liturgii niebios. „My, którzy mistycznie przedstawiamy cherubiny” – śpiewali wierni w trakcie przygotowań do Eucharystii.

Kliment lubił gesty, których w trakcie nabożeństw używano najczęściej, były to pokłony i pocałunki, skłaniano się przed krzyżem, przed ikonami, przez kapłanami, przed akolitami, przed innymi wiernymi, przed tronem nieobecnego biskupa. Całowało się krzyż, ikony, Ewangelię, relikwie, dłoń kapłana, a kapłani całowali swoje dłonie, zanim pocałowali się nawzajem. Ten czuły szacunek dla drugiego człowieka podobał mu się bardzo. Tak musiało też być w Królestwie Niebieskim.

„Nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy jeszcze na ziemi, czy już w niebie” – w tych słowach wysłannicy przyszłego świętego Włodzimie-

rza, jeszcze wówczas poganina, zdali mu sprawę z liturgii, w jakiej uczestniczyli w Soborze Świętej Zofii. Kliment czuł, że Kościół od tamtych czasów wcale się nie zmienił, że nie było się tam *jak* w Niebie, ale *już* w Niebie.

Nie było mu trudno, mimo że tak mocno tkwił w codzienności, zaakceptować w sobie samym wielkiej tajemnicy wiary. Czemu miałyby się dziwić? Urodzeniu dziecięcia przez dziewicę? Jeśli Syn Boży zdecydował się być człowiekiem (a nie tylko przebrać się za człowieka), musiał mieć ziemską matkę, jak każdy człowiek. Nie trzeba było mu ziemskiego ojca, bo jednego miał już w niebie. Krzyż? Było jasne, że jeżeli Bóg zdecydował się wziąć na siebie los człowieka, musiał zejść aż na samo dno nieszczęścia. Zmartwychwstanie ciała? Jeżeli Bóg stworzył świat z niczego, był w stanie go odtworzyć z tego, co miał pod ręką.

Kliment był szczęśliwy przez całe życie, ale nigdy tak bardzo jak teraz, w tej biedzie, posłuszeństwie, w woli bycia tylko sługą bożym i sługą swoich braci, którym poświęcał się tym bardziej uniesienie, im bardziej przypominał sobie czasy, kiedy usługiwali mu jego podwładni. Teraz była jego kolej.

Jego wielkim pragnieniem było zostać mnichem, aby bez odwrotu całkowicie poświęcić się służbie Bogu i odejść z tego świata. To ojciec Cyryl odwlekał z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień, wyczekiwany moment nałożenia habitu. Nie dlatego, że wątpił w powołanie swojego ucznia, ani nie dlatego, że uważał, iż jest za mało wykształcony w sprawach religii. Niektórzy z mnichów, których znał, byli analfabetami, a mimo to płonęli najczystszy ogniem wiary. Coś w Klimencie jednak niepokoiło Cyryla. Wydawało mu się, że jest on przeznaczony do wielkich rzeczy, a jakie wielkie rzeczy mógł osiągnąć mnich w Kościele, o wiele mniej prześladowanym niż w przeszłości, ale wciąż jeszcze wykluczonym ze społeczeństwa?

Kliment otworzył przed nim duszę aż do samej głębi, jakby wysuszył jezioro i nie było duchowych powodów, aby przeciwstawiać się równie mocnemu postanowieniu.

Cyryl pomodlił się i skłonił. Chciał jednak postawić jedno pytanie swojemu uczniowi, a nawet zastawił na niego pułapkę.

– Modliłem się za ciebie – powiedział do niego po jutrzni, kiedy spacerowali pod brzozaami monasteru. – I Pan zgodził się na twoje poświęcenie. Włóżysz habit.

Pełen jak zawsze szacunku Kliment zatrzymał się ze zmarszczonym czołem, przytłaczając drobnego brata Cyryla swoją postacią.

– Jakie poświęcenie? To radość!

Cyryl rzucił się w jego ramiona.

– Synu, wybacz mi, że źle cię oceniłem.

Wy tłumaczył mu, że włożenie habitu równe jest ponownym narodzinom.

– Czy wiesz już, jakie imię mnicha chciałbyś przyjąć?

Wyraz wdzięczności przemknął przez oczy Klimenta.

– Ilja.

## 7.

Ilja założył ryzicę, swój wielki habit, w tym samym soborze Świętej Trójcy, o kilka kroków od srebrnego relikwiarza, skąd święty, którego ciało nie podlega rozkładowi, promieniował na całą Rosję.

Święte odzienie, które nowy brat miał na siebie włożyć, przez całą noc leżało pod ołtarzem, napełniając się powoli świętością zebraną w trakcie dziesiątek tysięcy Eucharystii przy nim odprawianych. Chór mnichów zaśpiewał hymny: *Dobry Panie, uczyni mnie godnym, bym niósł twoje słodkie jarzmo i twój lekki ciężar... i: Temu, który zbliża się w radości, Dziewico Przepczysta, rozwiąż pęta grzechu....* a także: *Kłaniam się Tobie, jedyny Sterniku, podaj mi dłoń, tak jak kiedyś podałś ją Piotrowi...*

Bijąc czołem przed carskimi wrotami, Ilja usłyszał: *Boże zastępów, spójrz z wysokości niebios, zobacz i nawiedź ten krzew winny, który zasadziła twoja prawica.* Potem oficjant wstał i rozpoczął się między nimi dialog.

- Czego pragniesz, padając przed boskim ołtarzem i tą świętą wspólnotą?
- Doskonałości i ascezy.
- Czy pragniesz wdziąć anielski habit?
- Z Bożą pomocą.
- Czy z własnej woli?
- Tak.
- Nie z konieczności lub przymusu?
- Nie.
- Rezygnujesz ze świata?
- Tak.
- Obiecujesz pozostać w ascezie aż do ostatniego oddechu?
- Z Bożą pomocą.
- Obiecujesz posłuszeństwo aż do śmierci?

- Z Bożą pomocą.
- Zniesiesz wszystkie niewygody życia zakonnego?
- Z Bożą pomocą.
- Obiecujesz żyć w czystości i pobożności?
- Z Bożą pomocą.

– Zważ moje dziecko – monotonna mówił tęgi kapłan w mitrze – na obietnice, którymi zobowiązujesz się przed Chrystusem, naszym Bogiem. Aniołowie uczestniczą w tym w sposób niewidzialny i zanoszą to wyznanie, z którego zdasz rachunek, kiedy znów nadejdzie Nasz Pan, Jezus Chrystus. Od tej chwili uważaj się za ukrzyżowanego na świecie i umęczonego przez największą, najdoskonalszą rezygnację. Tryskaj radością i zadowoleniem, bo dziś Pan Bóg wybrał ciebie, postawił cię przed sobą w tym miejscu honorowym, którym jest obrządek zakonny, w gronie tych, którzy są podobni aniołom.

Diakon, wysoki i niezgrabny, położył święte nożyce na Ewangelii i kapłan powiedział:

– Oto Chrystus jest tu obecny, choć niewidoczny. Zważ, że nikt cię nie zmusza, abyś wdział ten habit, że to ty sam z własnej woli pragniesz wielkiego habitu anielskiego.

– Z własnej woli.

Wówczas kapłan wypowiedział te ostateczne słowa.

– Weź nożyce i daj mi je.

Ilja podał je kapłanowi, który odłożył je na Ewangelię.

– Weź nożyce i daj mi je.

Ilja podał je ponownie i ponownie kapłan nie przyjął.

– Weź nożyce i daj mi je!

Za trzecim razem, to już naprawdę. To już do ostatniego tchu, to już na wieczność. Ilja nie zawahał się ani przez moment, nie odczuwał żalu. Tylko zapal i podniecenie. Podał nożyce tak samo pewnie, jak gdyby szedł do szturmu.

Kapłan wyciął tonsurę w kształcie krzyża na głowie Ilji.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Po kolei Ilja całował i wkładał włosiennicę, tunikę, szkaplerz,

skórzany pas, obszerny płaszcz z kapturem i mantię ozdobioną symbolami Pasji haftowanymi na czerwono na czarnym tle, mantię bez fałd, która ma go chronić od elukubracji umysłu i sofizmatów woli, potem sandały, które będą mu służyć, by głosił „dobrą nowinę i pokój” i aby „oddawał się z cierpliwością i staraniem nocnym i dziennym nabożeństwom”. Chór śpiewa, że jest jak „młody małżonek w diademie na głowie, i jak panna młoda ozdobiona klejnotami”. On naprawdę oszalał z radości. Nie okazując tym wcale braku szacunku, mówił sobie: „Jest jeszcze piękniej niż tego dnia, kiedy po raz pierwszy w życiu włożyłem mundur”.

Mnisi po kolei przechodzą przed nim, całując go, zadają mu każdy jedno i to samo pytanie:

– Jak masz na imię bracie?

On wypełniony nadnaturalną radością, jak noworodek, który odkrywa nagle, że umie mówić, całuje ich wylewnie jednego po drugim i każdemu z nich odpowiada:

– Ilja, bracie. Mam na imię Ilja.

Czasami wymawia to imię szeptem jak wielki sekret, czasami mówi je grzmiącym głosem, jakby je proklamował. Na imię ma Ilja. Jest szczęśliwy, że na imię ma Ilja. Kościół znów ma kapłana o imieniu Ilja.

Kapłan zaczyna czytanie Ewangelii:

„Pan powiedział: «Kto kocha ojca swego i matkę swoją bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien...» (Rodzice Ilji nie przeżyli wojny). «Kto nie bierze swojego krzyża i nie idzie za mną, nie jest mnie godzien...» (Krzyż? Ilja nie pragnie niczego innego). «Weźcie na siebie moje brzemie.... a znajdziecie pokój duszy»,».

Kapłan położył księgę na głowie Ilji, jakby chciał przekazać mu jej mądrość, jej światłość. Jeszcze kilka modlitw i to już koniec. Dawny człowiek, Kliment został pochowany równie głęboko jak stary Traktor. Co do Ilariona, nigdy tak naprawdę nie istniał, Ilja jest nowym człowiekiem.



## 8.

Miesiące, które nastąpiły potem, były najszczęśliwszymi w życiu Ilji. Nie miał nic, był niczym i napelniał się Bogiem.

Wiara wydawała mu się sprawą prostą, którą akceptował w całości. Wydawało mu się równie ważne, że Ciało i Krew Chrystusa są obecne w chlebie i winie, jak to, że okadzano kadzidłem kapłanów trzy razy, a biskupów dziewięć. Znajdował się w bardzo podobnym stanie ducha jak w wojsku i nie widział różnicy w stwierdzeniu „porucznik nosi trzy gwiazdki” czy „linia celowania wychodzi z oka, przechodzi przez szczerbinkę celownika, aby trafić w cel”, czy: „wyciągnąć zawleczkę granatu, zanim się go rzuci”. W wierze Ilji nie było ani perspektywy, ani żadnych różnic, wszystko było na tym samym planie, tak właśnie wierzą dzieci i dlatego są szczęśliwe w swojej wierze.

Archimandryta Cyryl nauczył go modlitwy, która, jak mówiono, pochodziła od samego Jezusa: „Jezu Chryste, synu Boży, miej litość nade mną grzesznikiem”. To była jedna z modlitw, którą lubił święty Sergiusz, a Ilja okazał się zdolny powtarzać ją niezmordowanie przez całe godziny swojej fizycznej pracy. Robił wdech na pierwszej części, wydech na drugiej, tak jak go tego nauczono, zanim całość zaczęła jakby modlić się sama, emanując ciepłem w jego piersiach. Jako że ojciec Cyryl powiedział mu, że to była praktyka mnichów wyznających hezychazm<sup>19</sup>, chciał wiedzieć, kim byli wyznawcy hezychazmu, więc Cyryl opowiedział mu o górze Athos, świętym Grzegorz Palamasie i o energii boskiej. Wtedy Ilja odkrył w sobie zainteresowanie teologią. To, co w niego wchodziło z Pasterki Bożego Narodzenia, która trwała całą noc, po wróbelka, któremu rzucił kilka okruchów chleba w śnieg, wiadra wody, które przyniósł za starego, leniwego mnicha, po opowieści rosyjskiego pielgrzyma, który opowiadaniem rozweselał czuwanie, wszystko to zgadzało się i sumowało, karmiąc jego wiarę. Monaster Świętej Trójcy założony przez

świętego Sergiusza stał się dla niego fortecą, gdzie królował Bóg, fortecą obleganą przez świat pozbawiony Boga. Zdarzało mu się, w rzadkich chwilach wypoczynku, że wybierał się, by obejść monaster od zewnątrz, ale nigdy nie wychodził na zewnątrz bez lęku; lubił jednak podziwiać wielkie baszty monasteru, które go chroniły i mimo że nosiły naprawdę wiekowe imiona, znajdował w ich masywnej formie i heroicznej przeszłości coś, co dodawało mu pewności siebie. Oto Baszta Łukowa i Baszta Uticza, dalej Baszty Piatnicka, Uspien-ska, Krasna i Suszilna, a wszystkie błogosławione w służbie Bogu i świętemu Sergiuszowi, którego relikwie oświecały monaster z głębi srebrnego relikwiarza.

<sup>19</sup> Termin określający jeden z prądów mistycyzmu prawosławnego. Mnisi od-dawali się ciszy (*hesichia* po grecku) i medytacji (przyp. tłum.).

Poprzez to wszystko i mimo rzadko spotykanej skromności, jaką się odznaczał dawny generał, nie mógł nic poradzić temu, że miał pewną przewagę nad innymi mnichami. Odkąd się zjawił, wiedział o wiele więcej od innych na temat swojego stulecia.

Ucząc się na pamięć tekstów liturgicznych i starając się zrozumieć, czytając raz po raz Pismo i stwierdzając powierzchowne anty-nomie w głębokiej harmonii, poznawał, on tak niedouczony wcześniej, ich religię lepiej, niż znali ją oni sami. I był wciąż gotów pomagać, wytłumaczyć trudniejszy pasaż, nieoczekiwany rozkaz, podnieść zbyt ciężki worek albo naprawić ciężarówkę.

To nie mogło umknąć uwagi archimandryty ani ihumena mona-steru. Pewnego dnia ihumen powiedział do archimandryty.

– Przykro mi z tego powodu, ale myślę, że to byłby grzech trzymać go dłużej pomiędzy nami.

Archimandryta próbował protestować.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, ojcze, potrzebują go gdzie in-dziej. Z drugiej strony, jeżeli my pozbawimy się sami najlepszych? Monastery to wieże strażnicze, mnisi – strażnicy. W naszym szalo-nym świecie trzeba jeszcze kilku mądrych panien, dziewic, aby czekały na oblubieńca.

Spacerowali po ogrodzie i liście szeleściły im pod stopami.

– Ja też wiem, co chcesz powiedzieć, ojcze archimandryto. Przypomnij sobie jednak świętego Pawła. Duch rozdziela swoje dary, tak jak mu się to podoba, są mędracy, są uczeni, mistycy, uzdrowiciele, poligłoci... Wszyscy nie mogą robić wszystkiego. Ale każdy musi wydać owoc według talentu, jaki otrzymał. Funkcja mnicha jest bardzo ważna i nie chcę się sprzeciwiać tobie, ale są tacy, których funkcja jest równie ważna, którą nie każdy jest w stanie wykonywać, ale żaden mnich nie może wyświęcić drugiego, trzeba tu kapłana, który ma misję apostołską. Dorzucę jeszcze, że monastery nie są celem samym w sobie. Wieże strażnicze, tak, leśne szkółki, inkubatory... Pan nasz nie kazał budować monasterów po to, by było w nich nam dobrze, ale po to, by ewangelizować narody w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Ihumen przeżegnał się, podnosząc wzrok na złoty krzyż o ośmiu ramionach, który błyszczał na szczycie biało-niebieskiej dzwonnicy. Cyryl westchnął.

– Będzie tak, jak sobie życzysz, ojcze.

– Och! Ja sobie tego nie życzę. Próbuję tylko wykorzystać możliwie jak najlepiej kompetencje każdego. Nawet gdyby to było wbrew moim życzeniom. Jesteś duchowym ojcem Ilji, ty z nim porozmawiasz.

Archimandryta przywołał Ilję, pytał go o przeszłość i o dzień dzisiejszy. Czy był zadowolony z zakonnego życia? Niczego nie żałował? Miał jakieś pragnienia? Ambicje?

To nie był sposób, w jaki zazwyczaj Cyryl rozmawiał z mnichami, za których był odpowiedzialny. Interesował się raczej stanem ich sumienia, nie wahał się im zadawać surowych kar. Ilja był zaskoczony, ale tego po sobie nie pokazał. Nie do niego należało sądzić przełożonych. Tak, był zadowolony. Nie, niczego nie żałował. Nie miał innego pragnienia i innych ambicji jak tylko ta, żeby żyć tak, jak żył dotychczas, tak długo, jak się spodoba Panu.

Cyryl jednak nalegał. Czy Ilja nie miał kryzysów, które potrafiły

dręczyć najbardziej cnotliwych mnichów? Nie, nigdy się nie nudził, uważał, że życie jest wspaniałe. Może miał wizje, albo choćby chciał je mieć? Nie, nie miał ich, nie uważał się dosyć godnym, by je mieć. Na przykład, czy nigdy nie widział świętego Sergiusza idącego po murach obronnych, jak to podobno widziało wielu mnichów? Nie, Ilja nigdy nic takiego nie widział.

– Demony zostawiają cię w spokoju? Nie mówię o demonach z rogam i kopytami, czy nie czujesz wokół siebie obecności zła, które drażni twoją pobożność?

– Nie mam jej chyba na tyle dużo, żeby ją drażnić.

– Nigdy nie spowiadasz się z nieczystych myśli. Jesteś młody i jurny. Czy ciało nie powoduje twojej udręki?

– Wystarczy, gdy pomyślę o tym stosie na wpół martwych kobiet, o których ci opowiadałem, żeby bestia, która jest we mnie, spuściła łeb.

Cyryl pozwolił upłynąć chwili w ciszy. Wolałby, by Ilja sam dał mu okazję, by mu zaproponować zmianę życia, ale wyraźnie na to się nie zanościło. Głos Cyryla stwardniał.

– Muszę ci zakomunikować decyzję ojca ihumena. Pójdiesz do hipodiakonatu<sup>20</sup>, diakonatu, w końcu zostaniesz kapłanem.

<sup>20</sup> Hipodiakon (sc. – *ipodiakon*) to rodzaj święceń przedkapłańskich, przed święceniem diakonatu. Hipodiakon nie może odprawić żadnego nabożeństwa, jego jedyną funkcją w Cerkwi jest posługiwanie w czasie nabożeństw celebrowanych przez biskupa, metropolitę itp. Nie pełni on poza tym w Cerkwi żadnych funkcji (przyp. tłum.).

Ilja upadł na kolana.

– Nie, ojcze, nie. Nie jestem godzien. Pozwól, że zostanę biednym mnichem, jakim jestem, nie mam innych pragnień, jak tylko unieść się aż do samej ziemi.

Uderzył czołem o podłogę.

Cyryl wstał.

– Bardzo źle wypełniasz ślub posłuszeństwa. Kiedy nasz ojciec Sergiusz odmówił kapłaństwa, co powiedział mu Atanazy? No, co mu

powiedział?

Ilja podniósł głowę i wymamrotał zeszywniały m i wargami.

– Powiedział mu: „Wszystko osiągnąłeś, ale nie ma w tobie posłuszeństwa”.

– A co odpowiedział nasz Ojciec?

Ilja podniósł się nieco.

– Nasz Ojciec odpowiedział: „Niech stanie się wola Pana”.

Małeńki Cyryl pochylił się, złapał olbrzyma Ilję za ramiona i usiłował go podnieść. Potem patrząc mu w oczy, powiedział głośno.

– Amen.

ROZDZIAŁ III

SPIENIONE WODY TYBRU

# 1.

*Piątek 1 września*

Ojciec Onezym był jednym z dwóch sekretarzy papieża.

Niezbyt dobrze wiedział, dlaczego był sekretarzem papieża, to zajęcie nie odpowiadało ani jego temperamentowi, ani powołaniu. Może coś wspólnego z tym miał fakt, że posiadał wujka kardynała, albo że nosił sławne we Francji nazwisko i że jeden z jego przodków dał się zabić pośród gwardii szwajcarskiej, co też być może miało jakieś znaczenie. W każdym razie ojciec Onezym nigdy nie intrygował, aby otrzymać to stanowisko, wręcz przeciwnie, zaakceptował je, ponieważ posłuszeństwo wobec okoliczności stanowiło jakby część składową jego wiary.

Jego imię wywoływało uśmiech i nikt nigdy nie zrozumiał, dlaczego jego rodzice mu je nadali. Twierdził z uśmiechem, że chodziło o 14 lipca, datę, kiedy świętuje się jednego ze świętych, który je nosił. W tajemnicy cieszył się, że w Piśmie Świętym było to imię jednego z niewolników, o których pisał święty Paweł<sup>21</sup>.

<sup>21</sup> Kol 4,9, Flm 1,10.

Był inny, ale to zupełnie inny, niż jego kolega, drugi sekretarz, jego wielbność Fulvio Krstitch, chudy, bladej wcięż, doskonale ubrany w swoje czarne garnitury szyte przez Gamarellego; miał on czarne włosy, co tydzień odświeżane przez fryzjera, który do niego przychodził, szyję ściśniętą w koloratce sztywnej jak dyby, buty błyszczące lakierem (przecierane wiele razy dziennie chusteczką noszoną w lewej kieszeni spodni). Ojciec Onezym, przeciwnie, był różowiutki, tęgawy, miał tendencję do zapominania o swoim wyglądzie. Jego siwiejące włosy źle ukrywały łysinę, której nie dała rady ukryć nawet mnisia tonsura, na kołnierzu widać było łupież, nosił sutannę, która miała tę zaletę, że zasłaniała spodnie, które zawsze zapominał dać do prasowania, tylko że on zapominał dawać do

przeprasowania także sutannę; może w ten sposób usiłował przeprosić za swoje wysokie pochodzenie.

Pod względem moralności byli także bardzo różni. Fulvio tajemniczy, małomówny, sarkastyczny, kiedy już zdecydował się coś powiedzieć, skuteczny był jak kobra; Onezym dobroduszny, łagodny, pozornie roztargniony i roztrzepany, ale posiadający zadziwiający talent stawiania się na miejscu bliźniego i rozwiązujący w ten sposób najbardziej nierozwiązywalne problemy.

Wybór nowego papieża niósł konsekwencje zarówno dla jednego, jak i dla drugiego – zostaną zastąpieni, w bliższym lub dalszym terminie, przez ludzi, z którymi nowy pontyfik miał zwyczaj pracować. Fulvio wydawał się tym niepokoić o wiele bardziej, niż należało. Jego cera stała się tak żółta, że Onezym bardziej w odruchu współczucia niż taktu powiedział mu:

– Nie dostanie ksiądz chyba żółtaczkii?!

On sam przyjmował raczej z ulgą niż niepokojem fakt, że opuści Watykan i jego intrygi, i będzie mógł poświęcić się służbie biednym, gdziekolwiek się znajdowali, czyli wszędzie indziej, ale gdyby los zechciał inaczej, nie miałby nic przeciw temu, by zostać i służyć nowemu papieżowi, który miał, jak się wydawało, podobny kult ubóstwa co on.

W międzyczasie, już zresztą od dawna, związał się z dominikanami irlandzkimi, którzy zajmowali się kościołem San Clemente, odkąd prześladowania protestanckie zmusiły ich do opuszczenia kraju w XVII wieku. To pozwalało mu iść tam od czasu do czasu i odprawić mszę w prawdziwej parafii, co uważał za rodzaj luksusu, bo kapłanów jest zatrzęsienie w Rzymie, i o ile sekretarze papieża zawsze mogą znaleźć jakąś kaplicę w bazylice Świętego Piotra, by tam wielbić Eucharystię, dużo trudniej jest im otoczyć się wiernymi, którzy przyjdą na mszę, by połączyć się z Kościołem. Na szczęście w San demente wystarczyło mówić źle o Anglikach, żeby być dobrze widzianym.

W ten piątek ojciec Onezym miał odprawić mszę o 7 rano i wy-



szedł z Watykanu za piętnaście szosta, lubił spacerować po Rzymie wolnym krokiem, zatrzymując się, by przyglądać się latającym po niebie od rana mewom, albo dostrzegając namalowaną w jakiejś niszy, na rogu mijanego domu, Matkę Boską, której jeszcze nie widział. Miał specjalne oddanie dla Dziewicy, może dlatego, że w dzieciństwie stracił matkę.

Nie wiedział, że mniej więcej o tej samej godzinie młoda kobieta ubrana w liliową suknię wyszła z pałacu przy ulicy Maciory, ani że ona także szła w kierunku San demente. Nie wiedział, że ich spotkanie zmieni na zawsze historię chrześcijaństwa.

Przeszedł najpierw przez plac Św. Piotra i zatrzymał się na chwilę rzuciwszy okiem w kierunku oświetlonych okien apartamentów papieskich. Były jak troje oczu, na samej górze pałacu apostolskiego. Od pół godziny Ojciec Święty modlił się. To był papież, który modlitwę brał na poważnie.

Onezym pomyślał o nowym papieżu (który wcale nie pragnął nim być) z rozczuleniem, które łatwo, jeźliby został na jego służbie, mogło przerodzić się w miłość. Onezym pochodził z rodziny, w której od wieków kochało się tych, którym się służyło, i służyło się tym, których się kochało.

Nagle trzy okna zgasły. Watykański pokojowiec Giulio był bardzo oszczędny i nie lubił, jak zużywano prąd, kiedy było już jasno; nie wiadomo, czemu Onezym poczuł smutek, widząc, jak te okna gasną jedno po drugim. Wyglądało to na sygnał, ale dla kogo mógłby być przeznaczony?

Spojrzenie księdza zatrzymało się na obelisku wzniesionym pośrodku placu. Była to, jak mówiono, ostatnia rzecz, którą zobaczył święty Piotr, gdy ukrzyżowano go, wedle jego życzenia, głową w dół. Jak wygląda obelisk, kiedy się na niego patrzy do góry nogami? W każdym razie w tamtych czasach na jego szczycie nie było jeszcze krzyża i nie stał w tym miejscu, ale trochę dalej, na lewo.

Onezym kochał świętego Piotra za jego brak systemu, za jego gwałtowność, sposób brania spraw po prostu, niczym byk na rogi. I

radowało go, że służył następcy tego człowieka. Znał historię i wiedział, że linia apostołska od świętego Piotra do obecnego papieża nie była nieprzerwana, ale bądźmy realistami, to było tak jakby...

Po dwóch tysiącach lat relikwie świętego Rybaka wróciły tam, gdzie pogrzebali je jego uczniowie, i ten, kto tu był osobą najważniejszą, miał prawo na nie się powoływać.

Być może na świecie istniał tylko ten jeden punkt odniesienia, ale idealna oś, która wychodziła z podziemnego grobu świętego Piotra, przebiegając przez jego ołtarz i materializując się wysoko w iglicy Bazyliki, była nieugięta i w latach dobrych, i w latach złych; świat, nawet o tym nie wiedząc, obracał się właśnie wokół tej osi.

Onezym poszedł via della Conciliazione, po której obu stronach stały budynki wystawniejsze niż cesarskie. Była ona zbudowana, aby przypieczętować definitywnie Układy Laterańskie, w których to papież zrzekał się państw, które do niego należały przez całe wieki, aby poświęcić się swojej duchowej misji. Onezym, którego jeden z przodków bił się za to, aby Ojciec Święty pozostał ich czasowym suwerenem, uważał, że wypadki przybrały szczęśliwy obrót. Nie można przecież być w tym samym czasie i Herodem, i Jezusem w jednej osobie, kiedy Wiktor Emanuel Sabaudzki (ten parweniusz) i Benito Mussolini (ten klaun) zredukowali dochód papieski do minimum, służyli sprawie katolicyzmu lepiej niż wielu papieży przed nimi.

Kiedy miał już przejść przez Tyber, Onezym zatrzymał się i oparł łokciami o balustradę. Woda przepływała pod mostem, taką już miała naturę. Była żółto-zielonkawa, taki miała kolor. Płynęła tak od wieków, bo takie było jej przeznaczenie. Od Remusa i Romulusa, ich wilczycy, a także *Urbs condita*, od Grakchów, Cyclerona i Cezara, zamordowanego przez Brutusa, od męczeństwa świętego Piotra i świętego Pawła, od przyłączenia się Konstantyna, od zdobycia miasta przez Alaryka, od czasów reinkarnacji miasta jako stolicy państwa pontyfikalnego i od czasów jego erupcji artystycznej w okresie renesansu, a także od momentu wzniesienia bazyliki i zdobycia miasta

przez zauszników Burbonów – Hiszpanów. W tamtych czasach podobno grano w coś w rodzaju piłki nożnej „głową Jana Chrzciciela”.

Rzeka płynęła też od czasu przekształcenia miasta w republikę przez Dyrektoriat francuski, od aneksji przez Napoleona Bonaparte, od wyzwolenia przez Rosjan i zdobycia przez Wiktora Emanuela i w końcu od *conciliazione*<sup>22</sup> z Benito Mussolinim, od wszystkich tych nieprzyjemności. Tyber jak wiódł swe wody do Morza Tyrreńskiego, tak nadal je doń wiedzie. Ojcu Onezymowi podobał się ten upór i stałość.

<sup>22</sup> *Conciliazione* (wł.) – pogodzenie, zgoda (przyp. tłum.).

Poszedł ulicą Piusa X. Ach! Pius X, ten tak odrzucany papież.

Ostatni, który oponował przeciw przyłączeniu się Kościoła do pieniącego się demokratycznego modernizmu... Żeby tak było wiadomo, czy miał rację, czy nie... Dla jednych był zachowawczy, dla innych zacofany... Każdy powinien robić to, co wydaje mu się najlepsze, i święty Pius X tak właśnie robił.

Onezym szedł przez labirynt uliczek, które prowadziły aż do Piazza Venezia. Pomnik Wiktora Emanuela przywodził mu na myśl torty weselne, na których stoją figurki przedstawiające parę młodą pomiędzy kolumnami z lukru i arkadami wykonanymi z ciasta, ale bardziej go to bawiło, niż szokowało. Operę albo się lubi, albo nie, Włosi lubią operę, on lubi Włochów.

Przyspieszył kroku, idąc przez via Fori Imperiali.

Rzymianie z czasów antycznych nigdy go specjalnie nie zachwycali, widział w nich Amerykanów tamtej epoki, zorganizowaną bandę brutalni, która ma przyjemność w niszczeniu cywilizacji, które stały od nich wyżej – greckiej, egipskiej, a nawet cywilizacji ludu hebrajskiego.

Dotarł do Koloseum. Nigdy nie udało mu się przejść obok tej wybebeszonej, pustej w środku skorupy, aby nie pomyślał o męczarniach, jakie poganie zadawali tu chrześcijanom, odmawiającym czczenia cesarskich ołtarzy. Ci chrześcijanie, z pewnością fanatycy,

jako tacy irytowali go. Niektórzy, tacy jak święty Ignacy, gorąco pragnęli męczeństwa. Onezym podziwiał ich, zazdrościł im, ale sympatyzować z nimi nie był w stanie. Sam ze swej strony cóż by zrobił? Nie wyparłby się Chrystusa, nawet gdyby cięto go piłą, ale jeżeli chodziło o wylanie kilku kropel wina u stóp jakiegoś pomnika, kto wie, czy nie oparłby się takiej pokusie? Z tego powodu pogardzał samym sobą, ale uważał, że więcej udawałby dumę niż nieustraszenie. Zadrzał i poszedł dalej.

Gdyby miał wybór, wybrałby inną parafię niż San Clemente, jakąś biedną, brzydką parafię na przedmieściu, gdzie mógłby pomagać sfrustrowanym wiernym, zjadaczom makaronu z kłopotami z pracą, zdrowiem, miejscem zamieszkania i rodziną, najbardziej prozaicznymi, jak to tylko możliwe. Ojciec Onezym kochał bliźniego swego, lecz uważał, że bliżnim jest nade wszystko biedak, a nie bogacz czy intelektualista. Ale jego dewizą nie był wybór, on brał każdego bliźniego, jaki się pojawił i starał się rozmawiać z mieszkańcami dzielnicy i turystami. A przynajmniej z dziećmi, gdyż dzieci były najlepszymi bliźnimi.

Było ich dwoje, a właściwie dwóch, czekali i mieli mu służyć do mszy. Pozdrowili go z powagą. Lubił dziecięcą powagę, lubił ich sposób patrzenia na życie bez żadnego *a priori*. Dorastać to nauczyć się właśnie patrzeć na życie *a priori*. To nieuchronne i nawet płodne, ale w pewnym sensie szkoda.

- Cześć Giovanni, cześć Paolo.
- Witaj, ojcze.
- A więc będziemy razem jeszcze raz odprawiać mszę?
- Tak, ojcze.
- Przyjmiemy Naszego Pana raz jeszcze?
- Przyjmiemy go, ojcze.

Po przyjacielsku klepnął ich po ramieniu. Był w stanie zagrać z nimi w piłkę i strzelać gole, ale po mszy.

Włożył kapłańskie szaty, sprawdził, czy niczego nie brakowało, rzucił okiem na nawę. Była już prawie cała pełna, to znaczy nie nawa,

ale to, co nazywano *schola cantorum*, prostokąt usytuowany przed ołtarzem i oddzielony od reszty nawy białym murkiem z marmuru. Onezym kochał tę idealną fortecę, gdzie siedzieli wierni, podczas gdy ciekawscy siadali w głębi nawy. Ten prostokąt wyobrażał według niego Kościół na świecie, a właściwie Kościół w świecie współczesnym.

Była już siódma, zaczął. Odprawiał mszę po prostu i dokładnie. Głos go odrobinę zawodził, bo trochę fałszował, co w Rzymie szokowało bardziej niż we Francji, ale melodie nie były na tyle piękne, by czuł się winny świętokradztwa.

– A przede wszystkim – mówił do parafian, z których wielu miało głosy godne śpiewaków La Scali – to dobrze robi na moją skromność i waszą cierpliwość.

Słabo znał wiernych tej parafii, z tej przyczyny, że rzadko tu przychodził i starał się nie robić pomiędzy nimi żadnej różnicy; to byli bracia i siostry, to był Kościół, to nie był ani Claudio, który miał łącie cesarską minę, ani Laura, która tak pięknie malowała talerze. To nie była także masa, to pewna suma – wynik dodawania. To byli wszyscy ci, którzy jeśli zechcą, za chwilę będą uczestniczyć w Wieczery Pana. Ci spomiędzy nich, których ojciec Onezym lubił najbardziej, to ci, którzy przychodzili zwyczajnie, z bosymi nogami, z siatkami i koszykami, by za chwilę udać się na targ.

A jednak gdzieś pośród nich jedna z wiernych, bez koszyka, natchmiast dała się zauważyć pośród reszty i musiał się bardzo starać, aby nie odprawiać mszy trochę bardziej dla niej niż dla innych (dlaczegoż zresztą nie? Może ona bardziej nawet jej potrzebowała niż inni?). Pierwsza sprawa, nigdy jeszcze jej nie widział, a jak większość z tych, którzy kochają bliźnich, miał doskonałą pamięć do twarzy. Poza tym było w jej sukience, dość długiej, doskonale skromnej, szarej, tak że aż wpadała w kolor liliowy, coś, co odróżniało ją od innych, i nie chodziło o to, że rzymianki wkładają szkarłatne minispódniczki, żeby udać się do kościoła na mszę, ale, w ten pierwszy jesienny dzień, jeszcze tak bardzo letni, ubranie tej kobiety, ugrzecz-

nione i prawie sztywnie wyniosłe, w niczym nie pasowało do ubrań jej sąsiadek z kościelnej ławki.

Kazania ojca Onezyna były krótkie. Po pierwsze dlatego, że wstydził się swojej słabej znajomości języka włoskiego, którego nauczył się bardzo późno, a z drugiej strony wstydził się prawieć kazania. To byłoby coś w rodzaju „Ja, który jestem od was lepszy i uczeńszy niż wy, łaskawie powiem wam, że...”. Nie do zniesienia! Wolał współczucie. Intuicyjnie zaczął mówić nie o Ewangelii, ale o synu marnotrawnym, o Marii Magdalenie i o dobrym łotrze. Wszyscy mieli jeden punkt, który ich łączył, sykomorę, na którą wszedł Zachariasz, aby zobaczyć Jezusa.

– *Fratelli, Sorelli*<sup>23</sup> (mimo wysiłków, akcentował ostatnią sylabę) mamy wszyscy jedną misję w życiu, znaleźć swoją sykomorę!

<sup>23</sup> Bracia, siostrowie (w wyrazie *sorelli* jest taki właśnie błąd gramatyczny; przyp. tłum.).

I połączył to z dalszą częścią mszy. Na koniec kazania zawsze był odrobinę zalękniony. Znał tylu współbraci, którzy wydawali się udzielać wiernym dyspensy za oklaski, przymusowe albo choć spodziewane.

Kobieta w liliowej sukni nie przyjęła komunii, była ciemną szatynką, a jej włosy spadające na pozbawione zmarszczek czoło nadały jej jakby wyrazu madonny. Nie miała włoskiego typu urody. W jakim była wieku? Była chyba dobrze po trzydziestce.

Na koniec nabożeństwa uściśnął oczywiście kilka par rąk. Nie był to jego ulubiony moment, bo czuł w tym coś niezbyt naturalnego, jeżeli nie sztucznego. „Tak, przed chwilą byłem tym, co uczestniczył w przemianie chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa, a teraz jestem waszym kumplem...”. To raziło jego poczucie dobrego smaku. Wolałby był uściśkać te ręce w zupełnie innych okolicznościach, ale nie drażniło go to ponad miarę, zwyczaj są zwyczajami i zmieniają się, ale trzeba je szanować. Słowami sympatii pozdrawiał parafian, których znał, ukłonem tych, których nie znał. Kobieta w liliowej sukni była ostatnia. Zwróciła się do niego po francusku.

- Ojciec Onezym, prawda?
- Tak, proszę pani.
- Miałby ksiądz dla mnie chwilkę czasu?

Nosiła na ramieniu torebkę z jaszczurczej skóry w kolorze zielonym. Była to jedna z tych nowoczesnych torebek, w których nowoczesne kobiety noszą nie wiadomo co: kostium kąpielowy, sukienkę wieczorową, bibliotekę, pareo, koszulę nocną, bombę, noworodka... Torebka od Gucciego. Etykietka nie pozostawiała żadnych złudzeń.

- Da mi pani chwilę czasu na...?
- Oczywiście.

Wykorzystał ten czas, aby zdjąć ornat i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, a także pożegnać się z Paolo i Giovannim. O 8 godzinie jakiś irlandzki ksiądz odprawi kolejną mszę. Widać już go zresztą było od strony zakrystii, niespokojnego i czerwonego na twarzy. Organy odgrywały już pierwsze takty wprowadzenia.

Onezym podszedł do kobiety w liliowej sukience.

- Zechce pani przejść się ze mną po terenie klasztoru?

Klasztor otoczony był wspaniałym ogrodem, gdzie mieszały się bez ładu i składu cyprysy, palmy i drzewa laurowe. Krople rosy błyszczały jeszcze gdzieś na ich dużych grubych liściach. Pośrodku szemrała fontanna w kamiennej misie. O ósmej, dzień ledwie się zaczynał, było jeszcze chłodno, ale czuć było, że za chwilę zacznie się upał.

Szli jedno obok drugiego, on z lewej, znając się na zasadach *savoir-vivre'u*. Kobieta była odrobinę od niego wyższa i mówiąc do niego, przechylała głowę na bok. Miała długą piękną szyję, twarz gładką i słodki, słodki głos.

- Ojczy – zaczęła – znam ojca tylko z opowiadań, a ty ojczy nie znasz mnie wcale. Ale jesteś Francuzem – może to i głupie, ale twoje nazwisko sprawia, że mam do ciebie zaufanie. Muszę także mieć nadzieję, że nie jesteś ojczy dorobkiewiczem.

Mówiła z zadziwiającą pewnością siebie, jakby była przyzwy-

czajona do życia pomiędzy możliwymi tego świata i posiadająca wśród nich pewien autorytet.

– Na razie, jeżeli ojciec pozwoli – podjęła temat – przedstawię się jedynie imieniem. Maria. Potem, jeżeli ojciec będzie sobie tego życzył, powiem o sobie więcej. Zdecydowałam się dziś z ojcem porozmawiać, bo wiem, że jest ojciec blisko Ojca Świętego i dlatego że nowy papież ma prawo dowiedzieć się o pewnych sprawach. Zrobi z tym, co zechce. Proszę nie brać mnie za paranoiczkę. Mam dowody na to, o czym mówię. Jeżeli zechcesz mnie wysłuchać, będziesz mógł się z nimi zapoznać ojcie (wskazała na torebkę firmy Gucci). Od czego mam zacząć? Czy woli ojciec usłyszeć to pod postacią spowiedzi?

Postawione w ten sposób pytanie miało posmak bezczelności.

Maria odczuła to i natychmiast się poprawiła.

– Czy zechcesz wysłuchać mojej spowiedzi? To będzie coś w rodzaju gwarancji dla ciebie ojcie, a właściwie nie tylko dla ciebie, ale jeżeli mówię, że literalnie nie jestem w stanie kłamać podczas spowiedzi, możesz ojcie mi wierzyć.

– Wierzę – powiedział Onezym – wierzę.

– Najpierw muszę wyznać, że jeszcze nigdy się nie spowiadałam. Nigdy w życiu. Nigdy też nie przyjąłam komunii. Nie mogę. Nie dlatego, że w to nie wierzę, ale dlatego, że zbyt mocno w to wierzę. Brakuje mi tego, ale kiedy poznasz ojcie moje życie, sądzę, że zrozumiesz... Choć trochę. Musisz się zastanawiać, czy nie jestem szalona, nie, nie jestem. Tylko czekałam na ten dzień bardzo, bardzo długo. Trzeba mi było nowego papieża. I jest to dla mnie, poza wszystkim, dzień wielkiej zemsty, której ty ojcie będziesz narzędziem. Proszę osądzić ten paradoks.

Jej słowa stały się odrobinę niespójne. Cierpiała, więc ojciec Onezym bardzo się tym wzruszył, ale nie pokazał tego po sobie. Musiał jej pozwolić wypowiedzieć się swobodnie.

– Dobrze zrobiłabym, opowiadając ci ojcie moje życie. Zapewniam, to będzie krótka opowieść. Urodziłam się 1943 roku w Nor-



mandii. Oboje rodzice zginęli pod bombami naszych drogich alian-  
tów, Anglików czy Amerykanów, nie wiem. Zostałam sierotą. Czy nie  
powinnam była zacząć od „pobłogosław mnie, bo bardzo zgrzeszy-  
łam?”. Tak najczęściej jest w książkach. To „bo” zawsze mi się  
bardzo podobało.

– Niech się pani nie przejmuję formułkami...

Onezym zastanawiał się, czy ma dorzucić „Mario”, by dodać jej  
pewności siebie, to było coś w rodzaju eklezyjastycznej demagogii, ale  
pomyślał też, że to nie byłoby w stylu tej kobiety. Pozwolił słowom  
zawisnąć w próżni.

– Zostałam więc sierotą. Pochodziłam z rodziny katolickiej, a w  
tamtych czasie była siatka adopcyjna, która umieszczała dzieci w  
szanujących się rodzinach. Albo takich, które za szanowane zostały  
uznane. Kongregacje, które się tym zajmowały w tamtych czasach,  
nie posiadały dobrych systemów informacyjnych. Po kilku latach  
spędzonych w klasztorze zostałam adoptowana przez szacowną  
włoską rodzinę. Przez księżnę i księcia Innocentich, podobno po-  
chodzenia francuskiego od Aubert i Pompadour. Miałam wtedy  
siedem lat. Przyjechałam do Rzymu. Nie było księżnej Innocenti.  
Słuchasz mnie ojcze?

Onezym popatrzył na nią z ukosa. Wydawała się zupełnie spo-  
kojna. On był zbulwersowany. Przesunął językiem po swoich łąko-  
mych ustach kogoś, kto pochodzi z Perigaud, i powiedział poważnie, z  
szacunkiem.

– Tak. Sądzę, że cię rozumiem...

I w tym momencie poczuł, że dobrze byłoby dorzucić.

– ...Mario.

To już nie była demagogia, ale wręcz przeciwnie, szacunek dla  
pogwałconej niewinności.

– Czytałeś ojcze Markiza de Sade?

Onezym zaczerwienił się, jakby złapany na gorącym uczynku.

– Tak, nie będę kłamał. Zdarzyło mi się czytać nieco Sade'a.  
Oczywiście w seminarium, bo to było zakazane. Chcieliśmy wie-

dzieć... Przekazywaliśmy sobie pierwsze wydanie z pokolenia na pokolenie. Potem się z tego spowiadaliśmy. Z tego, co pamiętam, to strasznie nudne, prawda?

– Dla mnie to nie było nudne, bo rozpoznałam, czytając, rozpoznałam, co mi się przydarzyło. Ten syndrom zamknięcia, miejsce, w którym robi się tylko to jedno. Monaster zła... Pier Paolo, którego zamordowano trzy lata temu, też miał taką obsesję, wszyscy ją mają. Nie tylko ja, rozumiesz? Były i inne dziewczynki i chłopcy oczywiście. I wszystko, co wyobraźnia człowieka może do tego dodać... Ach! Nie będę cię szokować ojciec ani demoralizować... Powiedzmy, jeżeli chodzi o najdziwniejsze rzeczy, przesłam wszystko...

Rozłożyła lekko ręce i otworzyła dłonie, Nie chciał patrzeć.

– Wszystko. Czy to czyni ze mnie wielką grzesnicę? Niech ojciec nie powie „ofiara”, bo zdarzyło mi się odczuwać rozkosz. Wiele rozkoszy. Często. Bądź pewny ojciec, nie opiszę ci okoliczności.

Onezym przystanął. Nie wiedział już, o co chodzi. Wielkie, obfite łzy zaczęły spływać po jego policzkach, a on bez zażenowania wycierał je zwiniętymi dłońmi jak małe dziecko.

– Mój Boże, mój Boże – mamrotał.

Odczuwał współczucie w stosunku do niedoli ludzkiej. Cierpiał za ludzi i to nie tylko za tych, którzy cierpieli, ale także i za tych, którzy to cierpienie zadawali. Myślał o Getsemani<sup>24</sup> i o wszystkich grzechach świata, popełnionych i tych, które się jeszcze popełni, i o tych, które nagle spadły tej nocy na Baranka.

<sup>24</sup> Ogród znajdujący się w dolinie u podnóża Góry Oliwnej w Jerozolimie. Miejsce, z którego roztacza się widok na wschodnie stoki wzniesienia Moria – Wzgórza Świątynnego. Ewangelie podają iż w miejscu tym zatrzymywał się wielokrotnie Jezus podczas swoich pobytów w stolicy Izraela, szczególnie w czasie żydowskiego święta Paschy. Znał je Judasz, który właśnie tutaj miał wydać Chrystusa wystanej przez najwyższych kapłanów kohorcie (Mk 14,43-52) (przyp. tłum.).

Kobieta w liliowej sukni także się zatrzymała. Patrzyła na niego z mieszaniną współczucia i ironii. Nagle zaczęła się uśmiechać.

– Proszę mi wybaczyć. Nie możesz ojciec wiedzieć, że rozkosz

wzmacnia. Opowiem dalej historię mojego życia (znów zaczęły spacerować). Innocento starannie mnie wykształcił. Śpiewam, dobrze tańczę, mówię w czterech językach, nie chciałem czuć się zażenowany mną przed swoimi przyjaciółmi, z których wielu należy do starej, rzymskiej szlachty. Inni są przemysłowcami, ministrami, a nawet, może powinnam tego ojcu oszczędzić... purpuratami. Doszło nawet do tego, że mnie poślubił nie w urzędzie stanu cywilnego czy kościele, ale według rytuału, który nazwał Hymen według Belzebuba. Moje wesele trwało trzy dni. Zakończyło się czarną mszą, którą Innocento odprawił nad moim nagim ciałem, miał święcone hostie kradzione z tabernakulum.

– Co za potworny sposób na wiarę.

– Tak, myślałam bardzo długo, ale w końcu... To byłaby prawda w średniowieczu, w naszych czasach nie wolno nie doceniać prostego i głupiego zamiłowania do szyderstwa. Cento niewiele bardziej wierzył w swoją czarną mszę, co i w hostię. Myślałam chwilami, że uduś się ze śmiechu. Może powinieneś wiedzieć, jak ja to przeżywałam. Nie mówiłam dość jasno, prawda? Mówiłam o rozkoszy i o zemście... Myślę, że mogłabym wszystko mu wybaczyć, myślę, że mogłabym go kochać, takiego, jakim był, i z wesołością i lekkim sercem uczestniczyć w tym, co robił. Mogłam pod jego wpływem odczuwać przyjemność, mogłam dla niego deprawować innych, tak jak sama zostałam przez niego zdeprawowana. W pewnej mierze nawet to robiłam, w pewnej mierze – trudno mi to wyznać – robię to nadal. W pewnej niewielkiej mierze, bo on, naturalnie, szybko się znudził. Nie powinnam była mu pokazać, że jestem gotowa czynić zło wraz z nim, rozumiał to i w tych warunkach nie miał już ochoty robić mi krzywdy. Zostałam jego... guwernantką. Wytresował mnie i zapomniał o mnie. Ufa mi, co jest głupie u człowieka takiego jak on, ale trzeba to zrozumieć, myśli, że już się wypaliłam od środka. Jestem innym nim, kimś bezkształtnym, ektoplazmą. Zajmuję się jego domem, przyjmuję niektórych z jego przyjaciół, zajmuję się odrobinę z daleka niektórymi, pomniejszymi jego rozkoszami i...

Wskazała znowu na torebkę z zielonej jaszczurczej skórki i dodała tonem nagle bardzo oschłym:

– Robię notatki. Codziennie. Przyniosłam je ojcu. Fotokopie oczywiście, na wypadek, gdybyś zdecydował nic z tym nie zrobić. To te notatki chciałabym, by zobaczył Ojciec Święty.

Dobra, pomyślał Onezym, to biedna wariatka, ale tak czy tak, wariatka. Przez pięćdziesiąt lat wysłuchiwanie spowiedzi Ojciec Święty nauczył się niejednego o ludzkiej naturze, ale jeżeli są sposoby deprawacji, o których jeszcze nie słyszał, jaki cel byłby w tym, by mu o nich mówić?

Popatrzył na torebkę od Gucciego. Było w niej pewnie jakieś trzy kilogramy pornografii, fortuna być może w niejednych rękach, ale nie w rękach papieża.

– Wydaje mi się, że trochę oddaliliśmy się od tematu. Chciała pani, bym wysłuchał jej spowiedzi. Jeżeli dobrze rozumiem, to, co niesie pani w tej torbie, to nie jest lista pani osobistych grzechów. Co do mnie – proszę wybaczyć, Mario – jestem zawodowcem, istnieje problem natury technicznej. A właściwie dwa. Jakikolwiek byłyby cierpienia, jakich pani doznała, czy odczuwasz skruchę za współudział, jaki w to wniosłaś, i jesteś szczerze zdecydowana nigdy już tego nie robić? Jeżeli chciałaś się wypowiadać, to prawdopodobnie po to, by otrzymać rozgrzeszenie, a Kościół może je dać jedynie pod tymi dwoma warunkami.

– Tak sądzisz, ojcze? – Maria nie wydawała się pod wielkim wrażeniem. – Ja sądzę, że są możliwe jakieś wyjątki. Co znaczy odczuwać skruchę? Czym to się różni od żalować? Albo mieć wyrzuty sumienia? I co znaczy być szczerze zdecydowanym? W każdym razie, w jakikolwiek sposób Kościół zechce mnie potraktować, oświadczam, że jestem szczerze zdecydowana nawet zwrócić się do samego Chrystusa w godzinie śmierci, tak więc rozgrzeszenie jest dla mnie sprawą drugorzędną. Ważne, żeby ten nowy papież, który nie maczał palców w żadnej watykańskiej aferze, dowiedział się o tych notatkach, które ja zbieram od piętnastu lat. To niewielki kamyk, jaki

wniosę do budowy Świątyni, ja, diablica.

– Droga pani – powiedział Onezym trochę dotknięty – jestem poruszony, jak tylko można, niesprawiedliwością pani losu i chętnie się przyjrzę wraz z panią możliwościom jego poprawy na przyszłość. To jedna rzecz. Ale proszę zrozumieć, że Ojciec Święty ma inne sprawy niż wtykanie nosa w te obrzydliwości, o których pani mówi. Myślę, że te notatki lepiej pasowałyby do rąk *carabinieri*.

Tym razem Maria zatrzymała się zaskoczona.

– Ależ ojcze, co sądzisz, że się tam znajduje? Relacja moich stanów duszy sieroczej czy analiza porównawcza trzydziestu dwóch pozycji? Proszę wybaczyć bezczelność, ale mam wrażenie, że ojciec się ze mnie naigrawa. Nie jestem idiotką! Mówiłam o zemście. To, o co proszę, by ojciec przekazał Ojcu Świętemu, to to, co żyjąc dwadzieścia lat w bliskości Lalkarza, dowiedziałam się o działalności Alvóles. I proszę nie udawać, że nie słyszał ojciec o Lalkarzu i Alvóle 1.

Nie, mimo iż Onezym bardzo słabo interesował się polityką, nie mógł powiedzieć, że Alvóle 1 nie jest poważną sprawą, nie mógł też ignorować roli, jaką plotka przypisywała magnatowi prasowemu Innocento zwanemu także księciem Innocenti. Powinien był te sprawy wcześniej skojarzyć. Teraz sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Może ktoś chciał podsunąć papieżowi nieprawdziwe informacje? Może Alvóle 1 chciało ukazać się w innym, fałszywym świetle. Jaką rolę odgrywała w tej sprawie Maria? To nie było jasne. Było natomiast jasne, że sprawę należało potraktować z należyłą powagą.

– Mario, mogę pani złożyć obietnicę, a obietnic zawsze dotrzymuję. Przejrzę te fotokopie i jeżeli znajdę coś, co godne jest uwagi nie tylko Wikariusza Chrystusa, ale także człowieka bardzo zajętego, zdam mu z tego sprawę w skrócie. Jeżeli natomiast stwierdzę, że te notatki nie zainteresują go, oddam je pani, nawet mu o nich nie wspominając. Jeżeli pani się na to zgadza, proszę dać mi tę torbę i na ulicach Rzymu ludzie zobaczą księdza w sutannie z torbą od Gucciego na ramieniu. Jeśli pani się nie zgadza, zapomnijmy o tym i wróćmy do

spowiedzi.

– Dziękuję, że ojciec powiedział mi prawdę – odpowiedziała Maria – zdawałam sobie sprawę, że nie wysypie ojciec tego wszystkiego na biurko papieża, ale myślałam, że będzie ojciec trochę oszukiwał. Proszę. Co do spowiedzi, to porozmawiamy o niej innym razem, jeśli ojciec pozwoli.

Uścisnęli sobie dłonie. Onezym był zszokowany. Torba z zielonej jaszczurczej skóry ciążyła mu na ramieniu. Popatrzył za Marią, która oddalała się szybkim krokiem, zupełnie nie kołysząc biodrami, doskonale skromna w swojej liliowej sukience.

## 2.

Drogi Ojciec Święty.

Zezwolił mi Ojciec zwracać się do siebie w sprawach służby, co też czynię.

Proszę potraktować ten raport jako bardzo pilny i nadzwyczaj tajny.

Odłożywszy inne prace, które zechciałeś mi powierzyć, przez dziesięć godzin pracowałem nad dokumentem, który dostał się w moje ręce w okolicznościach, których tajemnica spowiedzi nie pozwala mi wyjawić, ale jego autentyczność wydaje mi się pewna, chyba że chodzi o operację dezinformacyjną prowadzoną po mistrzowsku, co nie jest do wykluczenia, ale nie wydaje się prawdopodobne.

Ten dokument odnosi się do piętnastu lat podsłuchu telefonicznego i przeglądania korespondencji dotyczącej grupy Alvéole 1. (Dla przypomnienia: Alvéole to międzynarodowa grupa zajmująca się oficjalnie działalnością dobroczynną w imię dość niejasnej doktryny synkretycznej. W rzeczywistości jest to grupa nacisku, której cele nie są dokładnie znane [chyba że chodzi o wzbogacenie się i podniesienie pozycji społecznej jej członków]. Nie znamy liczby jej członków, ale jest publicznie wiadome, że we Włoszech członkami Alvéole 1 są generałowie, admirałowie, wyżsi funkcjonariusze policji, dyrektorzy prasowi, szefowie telewizji, przemysłowcy i bankierzy. Jednym z najbardziej wpływowych członków tej organizacji jest magnat prasowy Innocento Innocenti, który bezprawnie posługuje się tytułem książeńym. Na ogół nazywa się go Lalkarzem, bez wątplenia dlatego, że chętnie pociąga za sznurki opinii publicznej).

Opracowanie tego dokumentu, który złożyłem w swoim sejfie, zajmie całe tygodnie, nawet jeżeli odwołamy się, co sugeruję, do metod informatycznych. Główne jednak punkty przedstawiają się tak:

- Alvéole 1 ma różne sekcje, m.in, sekcję zorientowaną na dzia-

łałość Kościoła, a w szczególności na działalność Stolicy Apostolskiej; wielu jej członków to przyszli purpuraci (dołączona lista).

– Z tego, co autor dokumentu był w stanie zrozumieć (nie mając wykształcenia prawniczego ani ekonomicznego), jednym z celów Alvéole I jest manipulacja funduszami Watykanu, której to można się na razie jedynie domyślać. Przypominam Waszej Świątobliwości, że Bank Watykański posiada obecnie aktywa brutto przekraczające miliard dolarów i uzyskuje dochody roczne ponad 120 milionów. Poza tym szczególny charakter pewnej części dochodów sprawia, że Kościół bierze udział w operacjach fiskalnych pozostawiających bardzo nikłe ślady.

– Alvéole I uchodzi za organizację mającą związki z różnymi organizacjami kryminalnymi zwanymi mafiami, którym na ogół przypisuje się zamach na Piazza Fontana w Mediolanie w 1969 roku (16 osób zabitych) i zamach na ekspres „Italicus” relacji Rzym – Monachium, w 1974 (12 ofiar). Te zdarzenia potwierdza ten dokument.

Szczególnie chciałbym zwrócić uwagę Waszej Świątobliwości na fakt, że Alvéole I wydaje się posiadać doskonale informacje na temat spraw wewnętrznych Watykanu. Źródłem tych informacji mógłby być Genio Lombardi, który, jak wiadomo, trzyma rękę na instytucie spraw religijnych i jest osobą często widywaną w pałacu Innocentich na via della Scrofa.

Z drugiej strony pozwolę sobie przypomnieć Waszej Świątobliwości skandale związane z osobą Jego wielbności O'Briana, kardynała, biskupa Teksasu, o którego odwołanie prosiły Ojca Świętego, poprzednika Waszej Świątobliwości, jego owieczki. Człowiek ten, znany ze swojej surowości i zwyczajów krytykowanych przez prasę, uchodzi, co prawda, za dobrego zarządcę finansowego, ale całość jego kleru jest przeciw niemu i należy wątpić, by nie istniały jakiegokolwiek tego przyczyny. Poprzednik Waszej Świątobliwości bezskutecznie usiłował namówić go do podporządkowania się lub dymisji, ale nie wydaje się, by mu się to udało. Wygląda z dokumentu, jaki posiadam,



że O'Brian jest w stałych układach z Innocentini, co jest tym bardziej niepokojące, że znane są amerykańskie odgałęzienia Cosa Nostra i jej powiązania z CIA.

Ośmielam się prosić Waszą Świątobliwość, Ojczy Święty, o zwrócenie uwagi na tę sprawę, zanim wybuchnie skandal, który poczyni poważne szkody Kościołowi Świątemu i zasieje niepokój w umysłach.

I niech Bóg...

### 3.

*Sobota 2 września, popołudnie*

Ksiązę Innocenti miło spędzał czas, kiedy zadzwonił błękitny telefon. Cokolwiek by robił, zawsze przerywał, kiedy dzwonił ten właśnie telefon. Na ten telefon dzwoniono zawsze z budki telefonicznej.

– Wybacz na chwilę – powiedział – i postaraj się odrobinę lepiej...

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Innocento?

– Tak, ale nagi, więc proszę szybko!

– Zaczynam martwić się o twoje życie wieczne.

– To prawda, dawno już się nie spowiadałem. W przyszłym tygodniu, pasuje?

Wstawka „w przyszłym tygodniu” znaczyła: rzucić wszystko.

– Ujdzie. Ten sam dzień, o 20.

– Doskonale, to da mi czas, żeby załatwić całkiem dobrze rozpoczętą sprawę.

– Dwudziesta.

Noc zaczynała już zapadać nad bazyliką Świętego Piotra, fioletowe chmury strzępiły się na żółtawym jeszcze niebie. Ciemno było szczególnie wewnątrz bazyliki, gdzie lampki nad konfesjonałami ledwie rozpraszały mrok. Ksiązę swoim tanecznym krokiem skierował się do konfesjonału Fulvio Krstitcha, nad którym widniał napis: języki włoski, angielski, niemiecki, chorwacki. Małeńka zielona lampka sprawiała, że twarz w kształcie rombu wyglądała blade w głębi rzeźbionej i wypolerowanej woskiem szafy. Ksiązę ukląkł.

– Pobłogosław mnie ojczy, ale nie po chorwacku.

– Cento, to poważna sprawa.

Blade, jakby wycięte nożyczkami usta zaledwie poruszały się w

cieniu kraty.

– Francuz spędził cały dzień, pracując gorączkowo nad stosem fotokopii; kiedy chciałem do nich zajrzeć, położył na nich „Osservatore”. Zapytałem go, co to takiego, odpowiedział „nic”, ale nie pracował nad pocztą, nad którą powinien był pracować. Chciałem go odciągnąć od tej pracy, ale żadnych szans! Kiedy wychodził choćby na moment, zamykał biuro na klucz. Potem słyszałem, jak pisze na maszynie, w końcu wyszedł. Tym razem nie zamknął drzwi na klucz. Wchodzę, fotokopii nie ma. Musiał je zamknąć w sejfie, a ja nie mam, jak pan wie, do niego szyfru. Jest jednak naiwny. Przeszukałem kosz na śmieci i znalazłem zmiętą kalkę maszynową. Niezależnie pisał raport do papieża w dwóch egzemplarzach. Skopio- wałem i wrzuciłem kalkę znów do kosza. Zobaczysz, katastrofa!

Fulvio, który z wrażenia mieszał ty i pan, przesunął papier pomiędzy kratkami. Innocento wpakował papier do kieszeni.

– Cóż, dziękuję Wasza Wielbność. Obejrzymy to sobie. Nie dostanę żadnej pokuty?

Fulvio wciągnął powietrze przez zęby. Powietrze gwizdnęło, jakby zasyczał wąż.

– Czasami zastanawiam się, dlaczego robię to wszystko dla ciebie, Cento.

– Bo chcesz zostać biskupem, Fulvio. Są też inne przyczyny. Może kilka wspólnych dobrych wspomnień? A poza tym jesteś trybikiem. Myślisz, że Doktryna nie jest prawdziwa?

– A co będzie, jak stracę swoją posiadłość? Nie widzę powodu, żeby ten nowy mnie trzymał.

– Znajdziemy ci coś innego. Oczywiście, lepiej by było, żebyś został... Postaraj się być nie do zastąpienia, to wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Książe wstał ze swobodą godną członka sekcji gimnastycznej, w której ćwiczył swoje mięśnie.

## 4.

*Sobota 2 września, wieczorem*

Lalkarz przeczytał raport ojca Onezyna w drodze powrotnej. Zanim przyjrzał się głównym punktom, zanotował dwa fakty.

Po pierwsze, jego wtyczka w Watykanie, Fulvio, nie był o nic podejrzany. Po drugie, Onezym wydawał się mieć wtyczkę wewnątrz Alvéole 1.

Lista nazwisk przebiegła przez głowę księcia. Ani przez chwilę nie pomyślał o Marii. Należała ona tak bardzo do innej dziedziny jego działalności, a raczej lub dokładniej do innych partii jego mózgu, że nie widział możliwości skojarzenia jej z innymi. Żeby miała odczuwać w sekrecie chęć zemsty, nie wpadło mu nawet do głowy. Mścić się, ale za co? Wielki Boże! Za te cuda, których ją nauczył?!

Sytuacja była poważna. Nowy papież był mało znany. Wydawało się, że z żalem przyjął wybór na papieża. W trakcie pierwszych dni pontyfikatu odwołał już dwóch biskupów-masonów, to źle wróżyło Alvéole 1. Gdyby jakimś cudem Ojciec Święty wbił sobie do głowy, aby posprzątać w swoim otoczeniu, lata wysiłków, aby dobrać się do finansów Watykanu, poszłyby na marne. Dlaczego ci idioci kardynałowie zagłosowali na człowieka, który nie maczał palców w żadnej aferze? To była zwykła nieodpowiedzialność.

W dokumencie wymieniono dwa nazwiska, ludzi, którzy rzeczywiście byli bardzo blisko związani z Innocentim. Wymieniono także zresztą i jego. Strzał był więc dość precyzyjny. Jak tylko Innocenti znajdzie chwilę czasu, musi zająć się poszukiwaniem zdrajcy, ale najpierw trzeba się zabrać do tego, co najpilniejsze. Alvéole 1 nie mogła sobie pozwolić, by stracić swoje watykańskie i amerykańskie koneksje.

Ksiązę zatrzymał się w *Circolo degli Scacchi*<sup>25</sup>. Wolałby należeć do *Caccia*<sup>26</sup>, ale fakt, że nosił tytuł, do którego nie miał prawa, na to

mu nie pozwalał. Zadzwoił do Dallas. Przy różnicy czasu Pat pewnie teraz ucina sobie drzemkę. Cóż, będzie musiał przestać chrapać. Innocenti przyjął swój najbardziej brytyjski ton.

<sup>25</sup> Koło szachowe (przyp. tłum.).

<sup>26</sup> Myśliwskie (przyp. tłum.).

– Z kardynałem O'Brian'em proszę.

– Jego Łaskawość odpoczywa.

– Proszę obudzić tego nicponia i powiedzieć mu, że jego przyjaciel księżę Innocenti ma dla niego złe nowiny.

Minęło kilka minut, zanim dobrze mu znany głos zadzwęczał w słuchawce jak w katedrze.

– Co to za śmierdziel...

– To ja Pat. Innocento. Nie przerwałem ci czegoś cudownego?

– Spałem, tylko tyle. I śniło mi się, że wygrywam w pokera.

– Ale pani Mc Cody czuje się dobrze?

– Niech pan sam się przekona.

– Pat, myślę, że dobrze by było, żebyś znalazł jakiś pretekst i przyjechał *ad limina* możliwie jak najszybciej.

– Właśnie wróciłem, stary, właśnie wróciłem. Dobrze wiesz, że uczestniczyłem w tym waszym zasranym konklawe.

– To przyjedź jeszcze raz.

– Żartujesz sobie. Udawałem słabowitego, żeby nie uczestniczyć w sakrze szczęśliwego wybrańca. Jeżeli mnie nie wezwie, nie widzę możliwości...

– Trudna sprawa, nie może się dowiedzieć o tej wizycie.

– Mam przyjechać *incognitos*

– Tak by było najlepiej.

– I to jak najszybciej? Żarty sobie ze mnie stroisz?

– Nie Pat. Musimy porozmawiać, we czwórkę.

– I Lolo także?

– Tak Pat. *Z dottore*.

Kardynał wydał obsceniczny odgłos.

– Pożyczę sobie *jet* od jednego z przyjaciół. Poinformuję. Po-

wiedz tylko jedną rzecz. To w związku z...?

– Pat, nie miej mi za złe, odkładam słuchawkę, nie słyszę cię za dobrze (brytyjski ton).

## 5.

*Niedziela 3 września*

Kardynał O'Brian, wysoki, tęgi, czerwony na twarzy, z nosem wielkim jak góra, ustami jak jaskinia, wysiadł ze swojego samolotu nazajutrz po południu. Miał na sobie dżinsy i koszulę w kratę. Zabrał ze sobą swoją sekretarkę Julię Mc Cody, platynową blondynkę o dużych, obfitych zaletach, która miała na sobie przetykany różową nitką kostium ze spodniami. Książe Innocenti czekał na nich na Fiumicino, przyjechał dwoma samochodami. Wsadził sekretarkę do lancii prowadzonej przez jego kierowcę, a biskupowi kazał wsiąść do alfa romeo, który prowadził sam. Pani Mc Cody zaprotestowała przeciw tej segregacji, ale książe uciął.

– Julio, proszę być pewną, Fontanelli Borghese to doskonały hotel.

– A Pat?

– Jego Księżęca Mość zabiera Jego Łaskawość w nieznanym kierunku.

Pani Mc Cody oburzyła się.

– Ależ Pat...!

– Bez gadania, stara! Znikaj ! – powiedział kardynał. – Idź, wykup wszystkie sklepy na via Veneto!

Książe posiadał na Capri, gdzie Tyberiusz karmił swoje karpie kawałkami ciał swoich wrogów, mały dom, z niewielkim portem i kawałkiem prywatnej plaży. Zbudowany był w stylu pompejańskim, miał atrium, które stanowiło salon. W malachitowej misie szemrała fontanna. Pod ścianą, na której wymalowano dziecięce bachanalia, ustawiono bufet. Na widok przybyłych wstało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był starszy, chudy, wysoki, mówił zachrypłym, ledwie słyszalnym głosem. Był to Genio Lombardi, radca finansowy Watykanu. Drugi, w średnim wieku, skromnego wzrostu, choć słusznej

budowy, zresztą doskonale, proporcjonalnie zbudowany, zapięty na ostatni guzik, miał krótką brodę i okulary o przydymionych szklach. Nazywano go po prostu *dottore* i rzeczywiście był lekarzem medycyny, między innymi.

– Panowie – powiedział książę – z powodów oczywistych dziś wieczorem obejdziemy się bez służby. Samoobsługa. Żadnej etykiety. Kto głodny, niech pije, kto spragniony, niech je. Opactwo Solesmes: *Rób, co chcesz*. Tak się mówi Eminencjo? Podejrzewam, że słysze-liście o tym w Teksasie.

Usiedli w wiklinowych fotelach wokół niskiego stołu i zaczęło się długie czuwanie pod obrotowym sklepieniem nieba, które wraz z upływem czasu zmieniło się z lazurowego w czarne, potem roz-iskrzyło się gwiazdami. Spotkanie przypominało partię brydża, gdzie stawka była naprawdę wysoka, albo spotkanie spirytystów, w trakcie którego nie chodziło o wywoływanie duchów zmarłych, ale o zabijanie.

Lalkarz nosił marynarkę z surowego lnu i ciemno-niebieską, rozpiętą pod szyją koszulę, ukazującą siwy zarost na jego piersiach. Leżąc prawie w swoim fotelu z nogami skrzyżowanymi wysoko, ze szpiczastym podbródkiem, celował okularami jak dwururką w swoich rozmówców. Od czasu do czasu przeciągał ręką po srebrnych, sztywnych włosach, które falowały wokół jego głowy.

Po jego prawej ręce siedział kardynał w koszuli w szkocką kratę, rozpiętej i ukazującej podkoszulek i w dżinsach wybielonych Clo-roxem. Usadził masę teksańskiego ciała na fotelu i zapijał się Blantonem w szklance z rżniętego kryształu, prawie po brzegi wypełnionej lodem. Natychmiast zrozumiał powagę sytuacji i pot pojawił się na jego czerwonej, obrzmiałej twarzy.

– *Goddamn* – powtarzał przy każdym stwierdzeniu – *Goddamn! Śmierdzie!*

Na wprost kardynała, także w rozpiętej na piersiach koszuli, siedział Lombardi, miał głowę w kształcie trumny, szaro-stalowy garnitur, który nadawał mu wygląd biskupa. Lalkarz musiał mu wyłożyć



dokładnie kawę na ławę, żeby w końcu zrozumiał powagę sytuacji i zagrożenie. Wierzył mocno, że pieniądź może wszystko. Popijał *amaro*, głośno pokrzykując od czasu do czasu.

*Dottore* pił wodę niegazowaną i wcale się nie odzywał.

Lalkarz nie ukrywał niczego.

Dossier Alvéole 1 znajdowało się na biurku nowego papieża, który po ośmiu dniach pontyfikatu już zaczął pozbywać się masonów ze swojego otoczenia, a przecież masoneria w porównaniu z Alvéole 1 to było małe piwo. Jeżeli zdecyduje się oczyścić stajnie, nie Augiasza, ale Kaliguli, w których wałachami byli nie konsulowie, ale kardynałowie...

– *Goddamn it!* Nie jestem wałachem – obruszył się Pat O'Brian.

– ...to cała operacja związana z funduszami watykańskimi weźmie w łeb, a nasi przyjaciele włożyli w tę operację znaczne sumy... – okulary skierowały się w stronę *dottore* – i te sumy byłyby stracone... Nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć, że nasi przyjaciele nie byliby zachwyceni. A szczególnie Wasza Łaskawość, i Wasza Niełaskawość... Proszę mi wybaczyć, ale nie umiem oprzeć się zabawie słowem, nawet jeżeli czasami sprawia to przykrość przyjacielom... krótko mówiąc, chodzi o Pata i Lolo, którzy w tym siedzą i musieliby za to odpowiedzieć, jeden przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości, drugi przed włoskim i nie jest wykluczone – prawda, *dottore* – że naszym przyjacielom nie pójdzie to w smak i zrobią coś, żeby ani jeden, ani drugi nie był już w stanie nawet usiąść do stołu. A właśnie, może byśmy tak usiedli?

*Dottore* pociągnął łyk wody.

Lombardi powłókł się do bufetu, O'Brian nie mógł wstać z fotela.

– Przydałyby mi się dwie rakiety odrzutowe przymocowane do tyłka, Cento!

*Dottore* poruszał się z wdziękiem. Lalkarz już chwycił srebrnymi szczypczykami ortolany z Pirenejów i proponował je przyjacielom. Przez godzinę nie słychać było nic innego jak tylko trzask kości małych ptaków i skorup wielkich langust. Nie zastanawiano się w tym

momencie nad sytuacją.

Kardynał Pat O'Brian był szczerym chrześcijaninem, szczerym, ale postępowym, przekonany, że Jezus Chrystus był rewolucjonistą i że trzeba go naśladować właśnie w tym. Jego temperament sprawiał, że ulegał cielesnym pokusom, co wyznawał bez zażenowania. W głębi duszy nie wydawało mu się to straszną wadą. Składał śluby czystości? Przecież się nie ożenił i odmówił sobie nawet tej przyjemności, by posiadać dzieciaki! Julia Mc Cody? Zgoda, ale przecież dobry Bóg nie stworzył go eunuchem, nawet święty Piotr był żonaty – i to wcale nie po to, by żona prała mu skarpety – a nawet święty Paweł, zwany „rybią ością”, nigdy nie żądał czystości od swoich uczniów.

Co do innych spraw, o które go oskarżano, Pat nie czuł się naprawdę niczemu winny.

Pieniądze? Lubił czuć w ręku miliony i co z tego? To nie było zakazane. Większa część przypowieści w Ewangelii dotyczy pośrednio czy bezpośrednio lichwy i kto nie pomnaża kapitału, jest potępiony, a niewierny poborca podatkowy jest chwalony. Pociąg do władzy? Lubił władzę, lubił przenosić księży, zamykać i otwierać kościoły, parafie, szkoły, zaczynać prace wyburzeniowe w jakimś klasztorze, kiedy mnisi siedzieli w refektarzu, albo burzyć prezbiterium, kiedy ksiądz dziekan się właśnie kąpał.

Po to mam pastorał, żeby nim wywijać – zwykł był mawiać. Miał słabość do wielmożów tego świata (Ach! Ja miałbym w kieszeni nawet Poncjusza Piłata!). Była to dla niego gwarancja wpływów, których będzie używał w imię Jezusa. Tak stworzył komórkę *public relation*, by o nim mówiono, i rozdawał zegarki Patek senatorom i ważniejszym dziennikarzom, ale czyż nie było to nieodzowne, żeby być na czasie i wprowadzać w życie swoje idee? Układy z amerykańską gałęzią Cosa Nostra? Bądźmy poważni, tak czy tak, pieniądze się pierze, czyż nie lepiej, żeby pewna ich część została jak złoty pyłek na palcach Kościoła?

Postępowość sama w sobie nie jest grzechem, nawet dla biskupa. Antykoncepcja? Pat nie miał nic przeciw. Aborcja? Nie wiedział, jak

to jest mieć nieproszonego gościa przy własnym stole, więc się nie wypowiadał. Homoseksualizm? O ile nie kazano mu tego robić, to mu nie przeszkadzało. Dobra, rzeczywiście przesadził trochę, zmuszając przez całe tygodnie karmelitanki do oglądania telewizji, kiedy tego odmawiały (kretynki były przekonane, że w programie są filmy pornograficzne), ale co to ma za znaczenie? Kościół musi zdać sobie sprawę z tego, że nie żyjemy w średniowieczu. Nawet to, żeby kobiety zostawały księżmi i były dopuszczone do odprawiania mszy, to też nie szokowało specjalnie Pata O'Briana.

Był niepopularny? Och! Oczywiście! Zawsze i wszędzie! Kiedy opuszczał Luizjanę, by wyjechać do Teksasu, cała Luizjana świętowała ten fakt, pijąc szampana Korbel i śpiewając *Te Deum*. W Teksasie utworzył się religijny związek przeciw niemu, uważający, że jego zwierzchnictwo jest nie do zniesienia, jedna trzecia księży z diecezji poprosiła o przeniesienie, niektórzy poszli dalej, aż do zrzucenia sutanny. Cóż, to go wcale nie wzruszało. Prorocy ze Starego Testamentu też byli niezrozumiani, a jeżeli za sobą ma się karawanę, trzeba czekać, aż psy poszarpią wam pludry. Człowiek tak pełno-krwisty jak Pat, o irlandzkim zdrowiu, dumny z tego, że żyje i waży 130 kilo, człowiek o różowych policzkach pijący życie wielkimi haustami, wprost pożerający je, czyż mógł nie wzbudzać antypatii wszystkich tych dewotów od Stworzenia?

Była oczywiście doktryna Alvéole, do której Pat O'Brian przystąpił bardziej z oportunistu niż z przekonania, doktryna, która nie była czysta i niepozbawiona znamion herezji. Ale co do tego, to ja przepraszam, trzeba było odnieść się do autorytetu Kościoła i dopóki doktryna nie była wyraźnie potępiona, można było ją wyznawać.

I Pat O'Brian nie miał zamiaru rezygnować ze swoich zwyczajów, ani ze swojej postępowości, ani z zamiłowania do władzy, ani ze swojej filozofii. Biada temu, kto stanął mu w poprzek drogi.

I to nie wszystko.

Było w nim pragnienie, intuicja, pasja, którą żywił w sekrecie swoim własnym ciałem, jak robaka.

Tak myślał, czuł, odczuwał wszystkimi mięśniami, wszelkimi nerwami, aż do szpiku kości, każdą cząstką swojej krwi, czuł, że powinien zostać, że zostanie, że właściwie już w jakiś sposób jest... papieżem.

Ppppapieżem.

Ojcem Świętym.

*Pontifex Maximus!*

Wikariuszem Chrystusa!

Jedynym na świecie autorytetem, o którym mówi się nieomylny!

Szczytem piramidy ludzkości.

W dobrej wierze Pat sądził, że ta funkcja mu się należała, nie tylko z powodu jego rozlicznych talentów, i z powodu tytanicznego temperamentu, ale także z powodu tego, że chciał postępu, ewolucji. „Bez synodu Kościół byłby jeszcze w średniowieczu, beze mnie skostnieje na progu współczesności”. A ponieważ świat zasłużył sobie na takiego jak on papieża, jego powinnością było zrobić wszystko, by nim zostać!

Oczywiście, wiedział, że motywy jego działania nie były całkowicie czyste, jego ego (jak mawiał) chętnie nosiłoby potrójną papieską tiarę (Paweł VI ją sprzedał, trzeba będzie zrobić nową) i chętnie nosiłoby białą sutannę i siedziało na *sedia gestatoria*.

Cóż, trudno, Bóg pisze prosto na liniach krzywych. Pat O'Brian miał ambicję zasiąść na Stolicy Apostolskiej, podejmując wszelkie ryzyko, ryzykując nawet zbawienie swojej duszy. Zresztą, oczywiście było, że czas włoskich papieży już się kończył i że trzeba było możliwie jak najszybciej wybrać papieża czasów współczesnych, a więc Amerykanina.

Niegdyś spróbował już szczęścia, używając wszelkich dostępnych metod manipulacji opinią publiczną, jakie miał do dyspozycji. Pochlebne artykuły, korzystne plotki, wywiady w telewizji, celne slogany, głośne deklaracje w radiu. W tym dziele liczył bardzo na Lalkarza. Lalkarz wiedział, że brak uduchowienia (fałszywy czy może tylko grany) czynił O'Briana całkowicie *im-papabile*, nie licząc tego,

że kampania tego rodzaju mogła jedynie zdenerwować konklawe, nie przyłączył się więc do tej taktyki bluffu. Stąd odrobina cierpkości, jaka się zakradła między nich.

Stąd też u Pata zwielokrotnione pragnienie, by otrzymać następnym razem to, czego nie udało mu się dostać teraz, oczywiście mniej lub bardziej nieuświadomione życzenie, by okazja taka pojawiła się możliwie jak najszybciej. Wiedział oczywiście, że jego aktualna posada nie była specjalnie pewna i że nowy pontyfik mógłby łaskawszym uchem wysłuchać skarg kleru i teksańskich wiernych. Co wtedy? Emerytura? Dymisja? Poddanie? Cela anachorety na pustyni? A może zrzucenie sutanny? *Goddamn* nie! Pat O'Brian był wojownikiem i będzie walczył aż do końca.

Naprzeciw brzuchatego, czerwonego kardynała, bankier już na wpeł martwy tkął swój własny monolog.

On też, na swój sposób był dobrym chrześcijaninem. Był pewien, że jedyny sposób na to, by uratować świat, to po prostu go kupić. Inni chcieli nawracać świat świadectwem wiary (często mało skuteczne), cudami (trudne do wykonania na zamówienie) albo przymusem (nie zawsze były na to odpowiednie środki). Stary Genio Lombardi stwierdził, że wszystko jest na sprzedaż i wystarczy mieć „czym”, by wygrać targi, jakiegokolwiek by były. Nie widział powodu, by inaczej było ze sprawami duchowymi. Czy Ewangelia nie mówiła, by sprzedać wszystko i kupić pole, które zawierało skarb? Zamiast zastanawiać się nad idiotycznym zakładem Pascala, wystarczyło skupić się na prawie popytu i podaży, i odpowiednio go zastosować. Nie sprzedawać zbawienia na tamtym świecie duszom z tego świata, ale przeciwnie, kupić je, te dusze za ziemską cenę. Czyli za bezcen, a potem wysłać je do niebieskiego Raju. Dlaczego tylko Szatan może kupować dusze? Dlaczego ta pokojowa, bezbolesna i z pewnością skuteczna metoda miałaby być zabroniona Bogu? W ten sposób filozofia Lolo była zbliżona do filozofii Judasza, ale nie można było mieć mu tego za złe. Nie należy pokazywać luksusu, trzeba go drogo sprzedać, by kupić sobie biedaka.

Tyle, że biedaków nie można już było kupić za bezcen i Lombardi poświęcał życie na manipulację finansami Kościoła. Świat byłby odkupiony, gdyby banki katolickie znalazły odpowiednie środki, by kupić prawosławnych, protestantów, deistów, teistów, politeistów, panteistów, panenteistów, gnostyków, agnostyków i ateistów wszelkiej maści, po czym przyszłaby kolej na judaizm, islam i religie egzotyczne, tao czy zen, Brahme czy Buddę, które powinny być w ten czy inny sposób możliwe do kupienia. Ludzie Orientu zawsze mieli głowę do interesu.

Stąd powody do niepokoju wobec dojścia do najwyższej władzy człowieka, który według tego, co o nim mówiono, nie rozumie, że pieniądź to klucz do zbawienia. A przecież chyba w jakimś celu ryba przyniosła w pysku złotą monetę świętemu Piotrowi<sup>27</sup>! Gdyby więc można było pokojowo wykupić świat na korzyść Chrystusa i pojawiłby się ktoś, kto by temu szkodził, czyż nie należało mu w tym przeszkodzić?

<sup>27</sup> Mt 17,27.

Wszelkimi sposobami? Życie Lombardiego poświęcone było bogaceni Kościoła, a rzadko zdarzają się ludzie, którzy lubią patrzeć, jak dorobek ich życia obraca się wniwecz.

*Dottore* głaska! swoją brodę z profesorskim wyrazem twarzy.

Pochodził ze środowiska, gdzie decyzje tego typu podejmowano szybko i bez skrupułów, ale uzbroił się w cierpliwość, mówiąc sobie, że księżę, prałat i bankier, którzy nie mieli złudzeń co do tego, jak takie sprawy załatwiała się zakulisowo, nie umieliby jednak popatrzeć na to wprost, z jednej strony dlatego, że decyzja należała do nich tylko częściowo, z drugiej dlatego, że celem nie był jakiś byle mydłek, ale bardzo ważny człowiek, co mimo wszystko jednak robi wrażenie. On miał już na ten temat swoją opinię, nie dlatego, że za bardzo przejmował się doktryną Alvéole, lecz dlatego, że Alvéole 1 przynosiła potężne dochody i nie było mowy, żeby ktoś naraził ją na niebezpieczeństwo.

– *Signori* – powiedział falsetem, kiedy byli przy sorbecie i li-

kierach – co do nas, to sprawa jest prosta. Albo Alvéole I zajmie się problemem, albo my będziemy zmuszeni zająć się Alvéole I.

Tęgi kardynał zgiął się wpół. Nie szokowało go to, że papież miałby umrzeć, ale słowa „niech umrze” nie mogły przejść mu przez usta. Pomyślał o swoich przyjaciółach z CIA, którzy wymyślili cudowny eufemizm „ponieść szkodę najwyższą”, to o wiele lepiej brzmi, niż „dać się zatłuc”.

Dla bankiera życie ludzkie warte było mniej niż zainkasowanie czeku, i uważał, że fałszowanie pieniędzy to największa zbrodnia, jaką dane jest popełnić człowiekowi. Poznał nowego papieża i wydał mu się on antypatyczny, nieświadomy, że ma zobowiązania finansowe spadkobiercy świętego Piotra, a nawet nieufny w stosunku do nich. Od tego do wyrażenia słowami wyroku śmierci... Przesady człowieka wykształconego sprawiały, że Lolo brzydził się krwią.

Lalkarz opierał podbródek na rubinowych, wypolerowanych paznokciach złożonych rąk.

– Dla mnie – powiedział, uśmiechając się szeroko – dla mnie – uważającego, że najdoskonalsza, najbardziej wyrafinowana rozkosz to czynienie zła dla samego czynienia zła i kto wie, o czym mówię, bo, jak wiadomo, pochodzę z rodu papieża, sytuacja zaczyna być nieznośna. Jeżeli bowiem doprowadzimy grzecznie Jego Świątobliwość do bram rajów, uzyskamy wymierne korzyści finansowe, co trąci plebsem albo gorzej, nawet mieszczaństwem. Szlachetniej byłoby nawiązać do tradycji watykańskich z epoki renesansu i powiedzieć mu *bye-bye* dla samej przyjemności, jaką daje zrobienie czegoś wyjątkowego w naszej epoce! Myślę, że nawet nasz przyjaciel, tu obecny, *dottore* jeszcze nie wpisał wielu pontyfików na swoją listę zdobywcy łowieckich, a ma ich wiele. Niestety, nie ma na tym świecie czystych spraw. I nie możemy nawet... (odkrył zęby w niewesołym uśmiechu) *walnąć* papieża (wymówił to trywialne wyrażenie z emfazą) – co za wyśmienity zamysł! – bez wciągania w to brzydkich interesów. Cóż, podejrzewam jednak, że trzeba zgodzić się na brzydotę.

Rzucił okiem na pozostałych.

Skinęli głowami, jakby opuszczali kciuki w dół.

– Mam rozumieć, że jesteśmy jednogłośni? – zapytał *dottore*.

Kardynał wypuścił powietrze z płuc, wstrzymywał oddech od jakiejś minuty, a bankier wydał chrapliwy dźwięk, który mógł zostać wzięty jedynie za oznakę zgody.

– Tak to rozumiem – powiedział *dottore* – rozumiem, że wykonanie musi być dyskretne, tak żeby zgon wydał się możliwie jak najbardziej naturalny. Co do wykonania, możecie na nas liczyć, jeżeli dostarczycie dokładnych informacji, otoczenie, rozkład dnia, zwyczaje, personel...

Lalkarz przerwał. Lubił pokazywać swoją niezależność.

– To nie będzie konieczne. Myślę, że mam już odpowiednią osobę, która poda to, co będzie trzeba, za to trochę pomocy technicznej z waszej strony wcale by nie zaszkodziło...

*Dottore* był zadowolony.

– Nie ma problemu. Jestem dość dobrze zorientowanym toksykologiem.

– W takim razie – powiedział książę wstając – dziękuję panom. Odprowadzę was. Niebo już blednie i jutrzienka o różowym zadku za chwilę rozsunie zasłony nocy... Mam wrażenie, że chłodna bryza zmarszczy morze. Powinniście ciepło się przykryć.



## 6.

*Poniedziałek 4 września, rano*

Oficjalnie „książę” Innocento Innocenti miał do swojego użytku jedynie *piano nobile* i wyższe piętra swojego pałacu, parter i półpiętro były zajmowane przez składy, magazyny, przedsiębiorstwa pogrzebowe, biuro prywatnego detektywa, dom schadzek. W rzeczywistości zaś wiele z tych przedsiębiorstw miało sekretne połączenia z *piano nobile*, w szczególności zaś kaplica w stylu jezuickim – jeden z konfesjonałów miał sekretne drzwi wychodzące na schody, które prowadziły za kulisy miniaturowego teatru, w którym Lalkarz dawał swoje niezwykle spektakle. Tą właśnie drogą poszedł Fulvio Krstitch rankiem w poniedziałek, po tym, jak wezwano go telefonicznie odpowiednią wiadomością.

Przyszedł piechotą, korzystając z względnego chłodu tego wrześniowego poranka; słońce właśnie wschodziło, mewy zaczynały zrywać się znad Tybru, nie było na ulicach ciekawskich, a one same lśniły właśnie polane przez polewaczki. Szedł z bladą, kanciastą twarzą w kształcie rombu, szyją ściśniętą kołnierzykiem, w czarnym nienagannie wyprasowanym garniturze. Tej nocy spał wyjątkowo źle, martwiąc się o swoją przyszłość, a ten poranny telefon jeszcze bardziej wzmógł jego niepokój. Kawa *stretto*, która poparzyła mu przelyk, a której gorzki smak jeszcze wypełniał mu usta, wcale go nie rozbudziła, gorzej. Zastanawiał się, czy nie zwymiotuje.

Kapliczka pod wezwaniem Dzieciątka Jezus – *bambino* było wymalowane czułymi pociągnięciami pędzla nad wejściem – była zamknięta. Fulvio miał w kieszeni płaski klucz, który wsunął do zamka i ciężkie odrzwia z XVII wieku poruszyły się z jękiem na naoliwionych zawiasach. Kaplica była okrągła, nie miała okien, oświetlona była ażurową lampą wiszącą w samym środku. Niewielka ilość jej światła rozjaśniała mury, poskręcane kolumny, maniery-

styczne rzeźby. Czuć było zapach kurzu i gnijących kwiatów. Mała czerwona lampka świeciła niezmordowanie na prawo od ołtarza, i kapłan grzecznie ugiął przed nią kolana. Nie wiadomo, dlaczego przyszedł mu do głowy francuski wiersz, którego w dzieciństwie nauczył się na pamięć.

*Oko było w grobie i patrzyło na Kaina.*

Dlaczego grób? Dlaczego oko? Dlaczego Kain? Rzucił okiem na skrzydlate figury, wygięte w agonii, ekstatyczne, najeżone promieniami i przeróżnymi atrybutami. Potem spojrział na odbarwione malowidła, które w półcieniu sklepień wydawały się o tej porze szare w swoich ramach pokrytych minionym złotem. Wszedł do tajemnego konfesjonau.

Innym płaskim kluczem, wsuniętym w szczelinę w deskach otworzył drzwi i wyszedł na wąskie schody, gdzie poczuł mieszaninę dość nieprzypadkowych zapachów. Wosk, kadzidło, goździk pieprzowy. W miarę jak szło się po schodach, zapach stawał się coraz bardziej piżmowy.

Fulvio wyszedł za kulisy. Betonowe, poplamione ściany, brudne ręczniki walające się po ziemi, czerwone plastikowe wiadro na wpeł wypełnione brudną wodą, z miotłą, która z niego wystawała. Na wpeł otwarte drzwi do toalety, skąd dochodziły pomieszane zapachy ekskrementów i taniego dezodorantu. W głębi wejście na scenę, dalej kurtyna Arlekina, uniesiona w draperiach. Sama sala, karmazyn i złoto, wszystko w skrętach i gipiurach, pełne pupiastych aniołków, przesadnie zdobionych kandelabrow, krzywych łuków, luster, wieloramiennych świeczników, żyrandoli w kształcie złotych liści laurowych i srebrnych liści akantu. Były tam wąziutkie fotele, na których, przynajmniej jeżeli chodzi o te dolne, mogły siadać tylko dzieci o bardzo wąskich biodrach, miały poręcze rzeźbione i wygięte w kształcie łabędzich szyj.

– Uwielbiam – powiedział Lalkarz, stojąc z rękoma na biodrach pośrodku zaśmieconych kulis, kontemplując salę miniaturowego teatru w całym luksusie i okazałości – uwielbiam! Teatr, na który się

patrzy od kulis, to tak jakbyś obserwował człowieka przez szczerbinę od strony wystrzelonej w niego kuli. Czyż nie, Fulvio? Ach, znasz mnie. Lubię oddawać się zajęciom z duposkopem! Chodź. Wybacz, że wyrwałem cię z łóżka, mam nadzieję, że choć rozkosznego, o ile nie płodnego. Można by powiedzieć, że nie masz jeszcze oczu szeroko otwartych i poniesiesz tego konsekwencję. Chodź na śniadanie, jestem ci to winny.

W głębi słyhać było muzykę. Melodie włoskie z XVIII wieku.

– Skomponowane dla papieskich kastratów – sprecyzował Innocento. Postawioną na samej scenie, widać było całą baterię czajników, kafetierek, kompotierek, salatek i cukiernic, a także srebrne naczynia o rączkach w kształcie kobiet i mężczyzn w uściskach.

– Chyba Cellini.

Książę pojechał na Capri i wrócił, nie spał całą noc, ale mimo wieku był pełen wigoru, miał giętkie stawy, a oczy zasłonięte błękitnymi okularami były prawie dziecinnie ożywione. Rzucił się jak długi na scenę, chwycił butelkę szampana z wiaderka, zacisnął zęby na korku i zaczął powoli obracać butelkę po to, by ją odkorkować.

– Najbardziej trzeba uważać w ostatniej chwili... uwaga na gorzką pigułkę... Trzeba złapać... I już. Jest. To bardziej podniecające, niż gdyby to odwalić byle jak.

Fulvio młodszy o niemal trzydzieści lat, który spędził noc we własnym łóżku, przetarł żółtawą dłonią swoje niezdrowe policzki.

– Będzie pan pił szampana? Na czczo? Rano?

Zasłonił swój kielich gestem egzorcysty.

– Pierwsza sprawa – powiedział książę – to nie jest szampan, to Dom Pérignon. Druga sprawa, nie jest rano, jest świt. A na koniec, co sprawia, że sądzi pan, iż jestem na czczo?

Oparł się o kolumnę wspartą na głowie na wpół nagiej kariatydy, której skolopendry wychodziły z uszu jak wermiszel. Było coś nieprzyzwoitego w tym, że ci dwaj mężczyźni słusznej postury jedli śniadanie w tym miejscu przeznaczonym dla liliputów. Wszystkie proporcje były nieadekwatne. Fulvio usiadł. Jedna noga zwisała mu

na salę, druga oparta była o scenę, wyglądało to tak jakby ta stopa obuta była w gigantyczny trzewik.

Obserwując delikatne bąbelki, jakby się w nich przeglądając w każdym po kolei, Lalkarz nagle zmienił ton.

– Rozumiesz Fulvio, że albo on, albo ty?

I aby przypomnieć mu lekcje angielskiego, które niegdyś mu dawał, dodał:

– *Him or you.*

Zapadła długa cisza, podczas której Fulvio miał czas, by ostudzić filizankę kawy, której właśnie sobie nalał, a książę zjadł korsykańskie *figatello* z oślim mięsem, które trzymał w palcach.

W końcu nadeszła odpowiedź, jakby przekazana z jednej galaktyki do innej, po włosku.

– Nie, tego nie rozumiem.

Nie patrzyli na siebie.

Patrzyli na pustą salę, która rozciągała się przed nimi, albo książę obserwował puchar musującego szampana, a Fulvio spoglądał na dno pustej filizanki, jakby zawierała fusy, z których umiał wróżyć.

– Słuchaj Fulvio – powiedział w końcu książę – wiesz, skąd pochodzisz i do czego doszedłeś. Byłeś małym dzieckiem, cudzoziemcem z glutem u nosa, nie umiałeś się nawet porządnie umyć. Naprawdę śmierdziałeś, ja to uwielbiałem i zrezygnowałem z tego dla twojego dobra, ale ty tego wiedzieć nie mogłeś. Zdecydowaliśmy, zgodziłeś się zresztą, że będziesz się uczył, razem wybraliśmy nauki religijne, bo uważaliśmy, że dają najszybszy i najlepszy start społeczny. Powoli wprowadziliśmy cię do Kościoła Świętego, apostołskiego i rzymskokatolickiego. W końcu udało się nam – i nie powiem ci, za cenę jakich manipulacji – prowadzić cię dalej, aż na miejsce, które piastujesz. Od tamtego czasu oddałeś mi wielkie usługi i zawsze się cieszyłem z mojego dalekosiężnego planu. Gdybym wierzył w moc modlitwy, kazałbym odprawiać msze codziennie, aby papież, który darzył cię zaufaniem, został nieśmiertelny, co by całkowicie załatwiło nasze kłopoty. Niestety. Umiera. Wśród kandydatów

miałem dwóch, trzech faworytów, którzy, gdyby zdobyli palmę pierwszeństwa, zachowaliby wszystko tak, jak było. Konklawe wybiera jednak ponurego, dzielnego człowieka, którego charakteryzuje to, że nie chciał być papieżem. I okazuje się coraz wyraźniej, dzięki raportowi, który sam mi dałeś, że ten dzielny człowiek wszystko zepsuje, ty też będziesz musiał zniknąć nie z powodu twoich osobistych zalet czy wad, ale dlatego, że cały system jest skazany na zagładę. Jego Świątobliwość kocha ubóstwo, widzieli państwo? Chce ubożego Kościoła! No cóż, nam to nie odpowiada! Tobie też nie, bo jesteś trybikiem w maszynie, którą stworzyliśmy i wraz z całą maszyną pójdiesz do wszystkich diabłów! Konkluzja?

Nadal siedząc na ziemi, Fulvio obrywał zębami owalne, złociste grona z kiści równie pięknej jak te, które widzi się na renesansowych malowidłach. Grona znikały w jego ustach, pozostawiając gałązki, zielone, wilgotne, nieco jakby obrzydliwe. W końcu odezwał się markotnym tonem.

– Konkluzja, konkluzja... Nie wiem...

Wtedy książę się naprawdę zdziwił. Nie dlatego, że Fulvio nie rozumiał, czego od niego oczekiwano, albo tylko udawał, że nie rozumie, zdziwił się tym, że nawet on, Innocento Innocenti sam ma jakąś trudność i obawę, by wymówić słowa, które trzeba było powiedzieć. Czasownik w trybie rozkazującym, dopełnienie bliższe, drugi czasownik w bezokoliczniku na pięć liter.

Książę otworzył usta, jego język, usta, wszystko odmawiało wymówienia pierwszych dźwięków tego zdania, tak przecież prostego. Gardło nie chciało się otworzyć, aby to wypowiedzieć. Bóg jeden wiedział, że nie odczuwał żadnych skrupułów, pomysł narzucał się sam, zresztą dosyć nawet przyjemny, a jednak słowa nie wychodziły. Oczywiście, mógł się odrobinę zmusić, ale uważał, że zabawniej będzie poddać się tej fantazji głośni i zaufać telepatii.

Wpatrzony zza okularów w kapłana powiedział mu to, nie używając słów, nawet wewnętrznie ich nie formułując, ale rzucając mu obrazy, które defilowały w jego świadomości i podświadomości.

„Papież, śmierć, brak innych środków! Biały biskup, morderstwo, brak innych środków! Najlepiej postawiony do tego człowiek to ty. Dostarczymy truciznę. Dostarczymy truciznę. Najlepiej postawiony do tego człowiek to ty. Papież, zabójstwo, brak innych możliwości”. Nagle pomyślał, że Fulvio obawiał się tego, co nastąpi potem, że chciał gwarancji i że to było naturalne. To Innocenti mógł już wyrazić słownie.

– Nie ma żadnej obawy. Alvéole 1 nigdy nie zdradza swoich członków. Lekarz jest nasz. Nie znajdzie śladu trucizny. W ministerstwie spraw wewnętrznych mamy kogo trzeba, żeby zamknąć szybko śledztwo. Nie ma się czego bać, Fulvio, nie ma czego. A ty jesteś dostatecznie blisko, żeby to było proste.

– Nie mogę – powiedział Fulvio.

– Nie *możesz*?

Fulvio potrząsał głową, mówiąc monotonna. Wyrzucając z siebie jedno słowo na sekundę.

– Ja... nie... mogę... zabić...

Księżę upadł na plecy i wybuchnął ponurym śmiechem.

– Nie możesz zabić? Ty? A ten smarkacz, który nam groził, że będzie mówił... Umarł pod swoją poduszką? Potem poszewka była cała zaśliniona. Owszem, to było dawno, ale czy jesteś pewien, że nic ci to nie przypomina? A może sutanna tak na ciebie wpływa? Przez to codzienne bezkrwawe ofiarowanie stałeś się tchórzem?

Fulvio nadal potrząsał głową jak człowiek, który jest chory.

– Przerwał mi pan – powiedział cienkim głosem – właśnie mówiłem, że nie mogę zabić... papieża.

Innocenti był zszokowany.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Mogę szpiegować dla pana, mógłbym intrygować przeciw niemu, mógłbym mu obrabiać tyłek, ale zabić nie mogę.

– Ale dlaczego?

– Bo to jest... papież.

– Czy to nie człowiek jak wszyscy inni?

- Nie.
- A czymże on się różni od nas? Ma takie same funkcje organiczne, mogę cię zapewnić.
- Prawdopodobnie.
- Wybór na papieża tego w nim nie zmienił.
- Wiem, ale jest uświęcony. Zabić papieża... Wie pan, że zrobić coś takiego to zbrodnia przeciw Duchowi Świętemu, grzech bez przebaczenia, wieczne potępienie.
- Bo Wasza Ekscelencja wierzy w potępienie wieczne?
- Nie do końca. Tak. Może? Nie wiem. Ale wiem, że nie mogę zabić papieża. Niech pan znajdzie kogoś innego.
- A gdyby to zrobił ktoś inny, to ci już nie będzie przeszkadzać?
- Nie... Prawie nie.
- Wychodząc stąd, pójdziesz i uprzedzisz go, co go czeka?
- Nie. Nie. Jestem wierny. Ale nie mogę zabić papieża.

Jednym skokiem księżę stanął na równe nogi. Głową sięgał prawie oświetlenia nad sceną, po której chodził tam i z powrotem z rękoma w kieszeniach swoich błękitnych spodni.

- Proszę posłuchać, Ekscelencjo. Jest pan członkiem Alvéole, czy byłoby panu trudno przypomnieć mi doktrynę?
- Znają pan równie dobrze jak ja. Podejrzewam, że to pan ją wymyślił.
- Proszę mi ją przypomnieć choćby po to, żeby sobie ją przypomnieć.
- Doktryna Alvéole jest na swój sposób chrześcijańska – zaczął monotonicznie – wychodzi od porażki Jezusa, któremu się nie udało. Chciał zbawić świat, a dał się ukrzyżować jak ostatni z ostatnich. Czy jego nauki zmieniły ludzki los? W niczym. W jego imię można zabijać się nawzajem, torturować, więzić, palić, w jego imię, tak jak w imię innych bogów. I możemy sobie twierdzić, że swoją śmiercią pokonał śmierć, widzimy, że ludzie nadal zdychają i gniją po ukrzyżowaniu i po zmartwychwstaniu, tak jak zdychali i gnili przedtem. To dowodzi, że to nie Jezus miał rację, ale Jan i Jakub, którzy chcieli panować nad

plemionami Izraela, i Piotr, który chciał wyciągnąć miecz, i Judasz, który chciał użyć pieniędzy Kościoła, żeby poprawić sytuację ekonomiczną, a nie wydawać na zbytek. Można powiedzieć, że dla Jezusa ukrzyżowanie było ułatwieniem, ucieczką, dał się złapać i wszystko świadczy o tym, że zrobił to celowo, bo zrozumiał, że nie jest w stanie sprostać przeznaczeniu króla Izraela, do którego był powołany z urodzenia i przez lud, który rzucał palmy i ubrania pod kopyta jego osła. Ty mnie tego nauczyłeś, Cento. Po co zmuszasz mnie, bym to powtarzał?

– Dalej, dalej Fulvio, jakie konkluzje doktryna wyciąga z tych oczywistych faktów?

– Że jeśli się wierzy choć odrobinę w nauczanie Jezusa z Nazaretu, jeżeli się chce, by zwyciężyło na świecie, trzeba iść drogą, którą przed nim szli Mojżesz i Jozue. Dążyć do zwycięstwa wszelkimi środkami, gwałtem, podstępem, korupcją. Trzeba oszukać Egipcjan, wyróżnić Kananejczyków i pójść na kompromis z Rzymianami.

– Brawo Fulvio! Brawo! Zrozumiałeś, że Jezus popełnił gafę, kiedy odmówił przemienienia kamieni w chleb, skoku bez spadochronu ze szczytu świątyni, bicia czołem przed diabłem. Co za nieczułość na niedolę głodujących, jaka fałszywa skromność, a w głębi co za duma! Oczywiście, że trzeba robić chleb z kamieni, jeżeli się da, bo to daje ludziom jeść, oczywiście, że trzeba robić cuda, jeżeli się może, bo to pomaga ludziom wierzyć, oczywiście, że trzeba paktować z diabłem, jeżeli ma się okazję, bo ludzie wciąż to robią, a ich Bóg powinien się z nimi solidaryzować. U Dostojewskiego Jezus sam w końcu wydaje się przyznawać rację Wielkiemu Inkwizytorowi, przeciw sobie samemu całując go. Przynajmniej taka jest interpretacja. Eksceleńcja nadal się zgadza?

– Tak, jako chrześcijanin wierzę szczerze, że trzeba naprawić błędy, jakie popełnił Jezus Chrystus.

– Wszelkimi sposobami?

– Nie służy się dobrze sprawie, jeżeli nie służy się jej wszelkimi sposobami.



– Więc co przeszkadza ci uwolnić nas od głupka, który będzie powtarzał błędy swojego szefa?

Lalkarz stał nad kapłanem, który siedział z nogami podciągniętymi pod brodę, które otaczał rękoma. Ta pozycja wyraźnie ujmowała mu lat. Można by go wziąć za seminarzystę, którego właśnie beszta Ojciec przełożony. Przez chwilę Księżę zastanawiał się, czy nie dźgnąć czubkiem swojego buta, uszytego przez Lobba, żeber tego krnąbrnego człowieka, ale się powstrzymał.

– No i?

– Nie mogę – powiedział Fulvio upartym tonem. – To proste. On jest papieżem. Nie mogę. Wiem, że nie byłbym pierwszy, zabito ich ze czterdziestu... Ale ja, nie mogę. Czułbym się jak legionista, który włócznią przeszył bok Chrystusa.

Księżę patrzył dłuższą chwilę na mężczyznę, którego z dużą przyjemnością zdeprawował, kiedy był jeszcze dzieckiem, a który otrzymał powołanie z rąk apostołskich, który miał władzę przemieniania chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa i który, jeżeli wierzyć Pismu, mógł wypędzać demony, uzdrawiać chorych, chodzić po węzłach i pić truciznę bez uszczerbku dla zdrowia. Parsknął śmiechem. Tylko że bez niego nie miał wielkiego wyboru. Obiecał głupio *dottore*, że uwolni Alvéole 1 od nowego papieża i oto narzędzie, którego tak był pewien, wymyka mu się z rąk. To przecież nie może być ten brutal Scoronconcolo, dobry do załatwiania schizmatycznych arcybiskupów, jego nie może poprosić, żeby zajął się Ojcem Świętym!

Wtedy Lalkarz się przestraszył nie na żarty.

Dotychczas pociągał za tysiące sznurków, a tu jeden urwał mu się w dłoni. Fulvio nie był już marionetką, to mogło spowodować reakcję łańcuchową pośród innych. Kardynał się oburzy. Lombardi nic nie zrozumie. Będzie bunt wśród marionetek. *Dottore* zażąda rachunków. Panowie, sprawa jest prosta. Albo Alvéole zajmie się tym problemem, albo my zajmiemy się Alvéole 1.

Innocento powierzał już wielu buntowników trosce *dottore*. Wie-

dział, że mieli nieprzyjemną śmierć, nie myślał jednak, że podobny los mógłby spotkać jego samego. Pomyślał o ucieczce. Znajdą go wszędzie. Poczul, że ogarnia go panika. Posunął się do niskiego gestu. Ukląkł przy wciąż siedzącym Fulvio i usiłował go pocałować.

– Czy nie jestem twoim Cento? Czy nie przysięgałeś po tysiąc-kroć, że zrobisz dla mnie wszystko?

Błada twarz Fulvia nie wyrażała nic, ale zanim odpowiedział, musiał przełknąć ślinę, jego grdyka podniosła się i opadła. Przypominał sobie uczucie, jakie miał do księcia, uczucie, w którym było wiele czułości. Wyciągnął rękę, musnął koniuszkami palców jedwabisty policzek bez jednej zmarszczki, pachnący pudrem.

– Wciąż jesteś moim Cento, ale on jest moim papieżem.

Wstał, przeszedł przez brudne kulisy, wszedł na schody i zamknął za sobą przejście jak diabeł, który chowa się do pudełka.

ROZDZIAŁ IV  
POWOŁANIE – CIĄG DALSZY  
*1950-1960*

# 1.

Ilja przyjął zakonny habit i zaszył się w swoim monasterze z uczuciem całkowitej wolności. Z każdym ślubem, który czynił, z każdą częścią stroju zakonnego, który wkładał, czuł się coraz bardziej wolny. To tak, jakby wędrował w czasie, do epoki sprzed upadku.

Co do jego ordynacji kapłańskiej było odwrotnie.

Czuł, że ponownie bierze na siebie upadły ludzki los. Że wkłada mu się kajdanki na ręce i kulę u nogi, czuł, że staje się coraz cięższy, że zagłębia się w ziemię tym bardziej, że nie miał żadnych złudzeń. Nie było wcześniej powiedziane, że zostanie odesłany z monasteru, żeby nieść Chrystusa w społeczeństwo okrutnie ateistyczne. Od razu czuł się wyrzucony. Wypędzony – był posłuszny, bo złożył ślub posłuszeństwa – ale o ile był szczęśliwy, że staje się nowym człowiekiem w zakonie, o tyle ciężko było mu wracać do świata. Nowy człowiek czuł, że będzie musiał znów włożyć sztywne od gnoju ubranie starego człowieka.

Biskupem, który wyświęcał go na kapłana, był Ekscelencja Grigorij, biskup legenda, na temat którego opowiadano niepokojące rzeczy. Był świętym albo Antychrystem, był męczennikiem albo maltretował innych... faktem było, że ten wychudzony człowiek wydawał się tylko chodzącym, brokatowym ornatem, bez jakiegokolwiek ciała pod spodem, nad tym ornatem widniała ciemna, długa twarz, z wygasłymi oczami, które sprawiały wrażenie jakby wyłupionych w sposób nadnaturalny, od środka. Jego głowa ledwie była w stanie unieść mitrę usianą szlachetnymi kamieniami. Panahija, emaliowana ikona Matki Dziewicy z Dzieciątkiem, wisiała na jego piersi, tak jakby nie miał w ogóle klatki piersiowej.

Liturgia święceń była koncelebrowana przez dwunastu księży w soborze Świętej Trójcy założonym przez świętego Sergiusza. Na początku biskup ubrany był w swoje szaty, uczesał się z wielką pompą na samym środku nawy, mistycznie przygotowując ciało do sakra-

mentów, które przez niego miały być spełnione.

W momencie wielkiego wejścia, kiedy kleryk opuszcza sanktuarium, aby wejść w tłum wiernych jak statek wychodzi w morze, Ilja szedł w ostatnim rzędzie, w otoczeniu dwóch diakonów, każdy trzymał dłoń na jego ramieniu. Prowadzili go tak trzy razy wokół ołtarza, śpiewając: *Święci męczennicy, którzy walczyliście szlachetnie i zostaliście ukoronowani, módlcie się za zbawienie naszych dusz; potem: Chwałę Tobie Chryste, nasz Panie, dumo apostołów i radości męczenników*; potem tak jak podczas ceremonii małżeństwa: *Raduj się Izraelu, dziewica wydała na świat syna, na imię ma Słońce Wschodzące...*<sup>28</sup>. Męczennicy, męczennicy, słońce wschodzące... Ilja ucałował cztery strony ołtarza, ukląkł na obu kolanach. Zostanie wyświęcony na kapłana przed podniesieniem, by w nim uczestniczyć. Położył skrzyżowane ręce na ołtarzu i dotknął go czołem.

<sup>28</sup> Aluzja do troparionu Bożego Narodzenia.

Za kilka chwil zmieni nie tylko swoją pozycję, ale także i naturę.

Ekscelencja Grigorij położył brzeg swojej omofory na głowie Ilji i pobłogosławił go trzy razy.

Potem położył rękę na jego głowie, modląc się o to, aby łaska Ducha Świętego zstąpiła na niego.

Potem znów pobłogosławił go trzy razy i znów położył swoją dłoń na jego głowie.

Diak zaśpiewał zwyczajową litanię: *W pokoju módlmy się do Pana.*

Po raz trzeci położył dłoń na głowie Ilji:

– Ty sam, Panie, temu, którego wyniosłeś do rangi kapłana, daj wszystkie dary Ducha Świętego, aby był godzien bez uszczerbku stać przy twoim ołtarzu, głosić Ewangelię Twojego królestwa, chwalić słowo prawdy, dawać ci dary i duchowe ofiary, odnowić Twój lud przez kąpiel nowych narodzin...

Ilja wstał.

Biskup założył mu stułę wokół szyi i powiedział po grecku:

– *Axios!* Jest godzien.

Ilja ucałował stulę. Klerycy, chórzyci, wierni, podjęli to słowo: *Axios, Axios, Axios...*

Biskup podał Ilji pas kapłański. Ilja ucałował krzyż i pas założył sobie wokół talii.

Biskup:

– *Axios!*

W ogromnym odruchu akceptacji cały sobór Świętej Trójcy powtórzyl:

– *Axios!*

I było tak, jakby cały rosyjski Kościół od dnia chrztu Rosji, cały Kościół prawosławny, cały Kościół Chrystusowy, stworzony prawie dwa tysiące lat wcześniej w Palestynie, powtarzał chórem *Axios!*

Biskup wziął ornat i Ilja ubrał go po tym, jak go ucałował, w czasie kiedy ze wszech stron strzelały do nieba okrzyki *Axios, Axios, Axios – Jest godzien! Jest godzien! Jest godzien*. Zapanowała wielka radość. Nowy kapłan przyszedł na świat!

Ilja nie czuł się wcale *Axios*, ale wiedział, że się stało. Że już nie mógł myśleć o zbawieniu swojej własnej duszy, że zaciągnął się do wielkiej armii, do której należy iść i „nauczać narody w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”.

Kilka chwil później uczestniczył zadziwiony w poświęceniu Świętych Postaci, inwokując z innymi księżmi Hymn do Ducha Świętego, aby zechciał zstąpić i zmienić ukraiński chleb i gruzińskie wino w Ciało i Krew Chrystusa.

Nazajutrz pieszo opuścił monaster, aby zostać proboszczem parafii.

Padają, jego kalosze zapadały się w błocie i rozpryskiwały je na riasę.

## 2.

Za Lenina i Stalina prześladowania były krwawe. W męczeństwie wojny i szaleństwie zwycięstwa Kościół zaczął odnajdywać swoje miejsce w sercu narodu. Poprzednikom Chruszczowa nie udało się poderżnąć mu gardła, on sam postanowił go zdusić.

Dreńczono monastery okrutnymi metodami – głościki u ich bram nadawały programy antyreligijne, obowiązkowe były nieustające wizyty lekarskie dla mnichów i mniszek. Nocą milicja otaczała budynki, rabowała święte żelastwo, a rankiem mnisi kierowani byli do szpitali psychiatrycznych. W mniej niż kilka godzin monaster zrównany był z ziemią, a teren po prostu zniwelowany. By istniał kościół, który byłby w stanie funkcjonować, trzeba było tworzyć stowarzyszenia kultowe, którego członkowie byli notowani w miejscu pracy. Kontrole stanu budynków sprawiały, że stowarzyszenia musiały ogromnym kosztem restaurować miejsca kultu, które tego nie potrzebowały. Taki to, a taki kościół znajdował się zbyt blisko szkoły, taki to, a taki przeszkadzał w ruchu drogowym. Przyszli księża nie mieli odroczenia od służby wojskowej, ani możliwości zameldowania w miastach, w których znajdowały się seminaria duchowne. Sprawiedliwość ingerowała także, kiedy noworodek został ochrzczony i zmarł chory, wtedy ksiądz szedł do więzienia. Jeżeli ksiądz odwiedzał parafian w domach, szedł także do więzienia. Prasa też brała w tym swój udział. „Obowiązkiem każdego nauczyciela jest być aktywnym propagatorem ateizmu”. Oburzała się, że dzieci nie są skutecznie chronione od wpływów religijnych. „Wszelki nacisk religijny na osobę nieletnią powinien być karany jak zbrodnia pospolita”. Była za tym, że „każda religijna aluzja w szkole powinna być karana rokiem odsiadki w obozie pracy”.

Te metody były skuteczne i zmniejszyła się ilość czynnych kościołów (ponad 50000 na koniec dawnego reżimu, 30000 po śmierci Stalina, 12000 w 1962), były one natomiast dziwnie nieskuteczne co

do liczby ochrzczonych, która to liczba wbrew wszystkiemu i mimo wszystko nie spadła poniżej stu milionów. Chrztu oficjalne czy potajemne, dokonane przez księży czy babcie, sąsiadki, tak czy tak, woda święcona wciąż płynęła po czole świętej Rosji.

Nic nie przygotowało Ilji, adepta prostych czy nawet radykalnych sytuacji, do życia w równie wieloznacznym świecie, ale miał za sobą, poza cnotą posłuszeństwa, pewność, że walka to dobra rzecz, i opierał się skutecznie presji reżimu, nieprzychylności osób ze środowiska władzy, naigrzaniu się gówniarzerii, aż do dnia, kiedy złapał jednego z nich i przyłożył mu takiego klapsa, że zyskał tym szacunek w całym sąsiedztwie. „Sam bym tego lepiej nie zrobił!” – zadeklarował jego ojciec, członek partii, który odtąd kilka razy dyskretnie pojawił się w kościele.

Nie były to jednak najcięższe doświadczenia Ilji.

Kościół, do którego został oddelegowany, znajdował się na przedmieściu Moskwy, Nowyje Czeremuski, gdzie stare, drewniane, rzeźbione domy wieśniaków sąsiadowały z betonowymi blokami, które Chruszczow kazał zbudować z powodu kryzysu mieszkaniowego. Były tam puste przestrzenie i ogródki działkowe, drzewa i latarnie bez żarówek, kurniki i domy kultury, ogrodzone tereny dla zwariowanych piłkarzy, naśladowców Spartaka czy Dynama, i inne dla kilku melancholijnych krów, które ryczały na pastwiskach z pyskami nostalgicznie wzniesionymi ku niebu.

Cerkiew z jednej strony była osunięta pod swoim własnym ciężarem i miała kopułę, która już nie była złota i wydawało się, że w każdej chwili może się zwalić na drugą stronę, sąsiadowała z wysypiskiem śmieci, które władze miejskie stworzyły, by uprzykrzyć życie wiernym. Była ona poświęcona Matce Bożej Trójrękiej, której ikona znajdowała się wewnątrz. Był to dziwny obraz namalowany na pamiątkę odciętego ramienia Jana Damasceńskiego, któremu Maria zwróciła ramię we śnie. Przez to, że była tak dziwna, ikona wzbudzała szczególne oddanie wiernych. W okresie międzywojennym świątynia była raz kinem, raz szkołą tańca, potem silosem, w końcu budą na



narzędzia. Stary ojciec Dorimédont, poprzednik Ilji, odzyskał ją swoim uporem i uczynił ponownie miejscem kultu, wokół niej stworzył parafię, umarł na posterunku.

Ilja odziedziczył pokój, który jego poprzednik zajmował w mieszkaniu komunalnym. Tapczan był zapadnięty, a pościel dziurawa, większość z dwunastki mieszkańców była względnie spokojna oprócz tych momentów, kiedy Andruszka zaczynał pić, a trwało to co najmniej tydzień, i oprócz tych wieczorów, kiedy Irina biła swojego męża, i nocy, kiedy to piękny Filka sprowadzał dziewczyny.

Stara Kuzminiczna, w kuchni, z której korzystały cztery rodziny, gotowała jedzenie dla Ilji. „Jedz mój jasny sokole! Jedz!” – mawiała. Oczywiście, kąpiel można było wziąć jedynie wyjątkowo, a do ubikacji lepiej było zabierać własne krzesło, dla higieny, każda rodzina takie miała. Nic z tego specjalnie nie drażniło byłego generała Galkina.

To, co go przerażało, to wściekłość, która panowała w parafii. Wiernymi oczywiście były przede wszystkim kobiety, stare kobiety, i Ilja nie miał im za złe tego, ani że są kobietami, to one zawsze od *myrrhophores*<sup>29</sup> były najwierniejsze Chrystusowi, nie miał im za złe też tego, że są starymi kobietami, szanował je, ale nie rozumiał, dlaczego wciąż coś krytykowały: „Trzymasz świecę w złej ręce!”, „Nie masz prawa wchodzić na dywan!”, „Nie zakładaj rąk na plecy, to przeszkadza modlitwie wyjść, a Chrystusowi wejść!”.

<sup>29</sup> Kobiety, które przyniosły oleje do grobu, aby namaścić ciało Pana, i dzięki temu stały się pierwszymi świadkami zmartwychwstania (przyp. tłum.).

Dlaczego robiły kwaśne uwagi każdemu nieznanemu, który nieśmiało wchodził do świątyni? Może wchodził tylko z ciekawości, może z wewnętrznej potrzeby? Czyż nie rozumiały, że zniechęcało to dobrą wolę tych nieznanomych?

Kiedy ojciec Ilja usiłował im wytłumaczyć, że zwiedzający, którzy być może po raz pierwszy w życiu weszli do tego miejsca kultu, mogli być zaskoczeni choćby śpiewami, świecami czy kadzidłem, wrotami ikonostasu, które się otwierały i zamykały, a także hieratycznymi

ewolucjami kapłana, one odpowiadały:

– Wybacz, ojcze, nie widzisz, że nawet anioł pański straciłby cierpliwość wobec takiego wstydu?

W pomarszczonych sercach tych staruszek, pomiędzy którymi było także kilku starców, było pragnienie – nie pragnienie, by nawrócić innych, ale przeciwnie, by się od nich odciąć, by znaleźć w nich winę, nawet wtedy, kiedy jej w nich nie było, by potępić każdego, kto nie był w każdym calu do nich podobny. Och, potępiały nie tylko niechrześcijan czy chrześcijan innego wyznania, potępiały także prawosławnych chodzących do innych niż ich własny kościołów. W stosunku do niego niechęć rosła także, ponieważ miał inną koncepcję liturgii i wiary, ponieważ nie wymagał przesadnego szacunku dla detali, ponieważ ośmielił się powiedzieć, że jeżeli się nie popełniło grzechu poważnego, spowiedź nie jest konieczna przed każdym kolejnym przystąpieniem do komunii.

Kiedy to powiedział, usłyszał dwa głuche pomruki z głębi świątyni. „Jeżeli ojciec jest aż tak mało wymagający, co zrobimy, by zostać zbawieni?”

Poza tymi, którzy przychodzili zawsze, z rzadka widywał kogoś, kto przychodził przypadkiem prosić o szczególne nabożeństwo i martwił się najbardziej o to, by zapłacić, by zapłacić, zawsze zapłacić, zapłacić dobrowolnie. Tak jakby można było kupić sakrament. Musiał akceptować ich datki, bo musiał żyć. Z pensji, którą dostawał od Wydziału Kultu, fiskus zabierał 83 procent i reszta nie wystarczała na życie, nawet gdyby się jadło bardzo mało, ale krępował się mówić: „Za chrzest piętnaście rubli”.

Zresztą, to właśnie chrztów miał najwięcej, mało pogrzebów, jeszcze mniej ślubów, a chrztów chciano z bardzo różnych przyczyn, w których nie można było znaleźć żadnego punktu wspólnego, wiara nie w Boga, ale w magiczną moc rytuału. Bo ja mam raka.... bo idę do wojska.... żeby dziecko było zdrowsze.... bo jego babka mówi, że bez tego nie będzie się nim zajmować.... żeby nie sikał do łóżeczka.... na wszelki wypadek.... bo to przecież nie może zaszkodzić...

A nawet pewna młoda, choć dorosła już kobieta chciała się ochrzcić, „żeby nie mieć dzieci z mężem”.

Ręce mu opadały.

Zapytał innych księży z parafii, swoich współpracowników, czy odczuwają to samo.

Większość z nich byli to mnisi albo księża żonaci, byli dobrymi kapłanami, oddanymi parafii i swojej owczarni, ale w ich metodach większą rolę odgrywał autorytet niż poszanowanie wolności. Uważali, że są osobiście odpowiedzialni za zbawienie Iwana, Wasilija, Fiokły, Tatiany i starali się uczynić ich lepszymi, po prostu ich terroryzując. Ilja, który umiał słuchać, wysłuchiwał wszystkich.

– Rozumiesz, ojciec Ilja, w Dzień Sądu ja będę za nich odpowiedzialny. Więc im mówię, każdy grzech, nawet śmiertelny można odkupić, ale żeby go odkupić, musisz płakać krwawymi łzami.

Inni stosowali mało kanoniczną moralność.

– Ja powiedziałem Marinie tak: „Jeśli twój mąż nie zechce przyjść do kościoła, będziesz musiała się z nim rozwieść!”.

W ich ustach wciąż była kara za grzechy, zadawali takie pokuty, jakich Ilja nie widział nawet w monasterze. Dziwił się...

– Nauczysz się tego z czasem, ojciec – odpowiadali. – Trzeba wymagać najwięcej, by dostać choć odrobinę.

Wielka, straszna wściekłość zagotowała się we wnętrzościach Ilji. On także odczuwał pokusę, by odrzucać i potępiać, przede wszystkim tych ludzi, którzy ukazywali Boga nie jako Ojca, który oddał Syna za zbawienie ludzkości, ale jako milicjanta wymierzającego sankcje jak ciosy pałką, za najmniejsze przewinienie, z widokiem na wieczny Gułag, dla polepszenia spraw. Ignorancja ludu nie jest jego winą.

Była na przykład robotnica, która odmawiała pracy w święta kościelne, nie będąc w stanie rozróżnić Wniebowzięcia od Wniebowstąpienia, tylko dlatego, że „praca w dzień świąteczny jest grzechem”. Ta prawie niepiśmienna robotnica niczemu nie była winna, ale dlaczego jej kapłan nie wychował jej lepiej? Jakim cudem ci kapłani

wciąż gotowi do poświęcenia swojego dobrobytu, odpoczynku, wszystkiego, mogli szukać zbawienia wiernych w ciągłym poniżeniu? Czy to było chrześcijaństwo? Czy to było prawosławie? Czy nie powinno ono być jak święty Serafin, który nie umiał inaczej podejść do mężczyzny czy kobiety, o których nic nie wiedział, tylko nazywając ich „moja Radości”? „Dzień dobry, moja Radości. Bądź pozdrowiona, moja Radości. Pozwól się uściskać, moja Radości”.

Długo Ilja starał się uciec od tych pytań, siedząc nad książkami. Nauczył się greki, łaciny i hebrajskiego. Wydawało mu się to względnie łatwe i kiedy współbracia przychodzili zadawać mu pytania teologiczne, na ogół mógł im odpowiedzieć, bo wiedza łatwo wnikała do jego duszy. Wiedział jednak, że to nie jest wyjście. Niedobrze jest dawać wielką wiedzę wielkiej wściekłości. Ludzie wściekli powinni być ignorantami.

Pewnego razu nie dał rady i wyszedł.

Wkrótce miała nadejść wiosna i już było odrobinę cieplej, ale skryształizowany śnieg lśnił w świetle księżycy jak tamtego dnia, kiedy Ilja zabił Złotogora. Gwiazdy wydawały się bardzo bliskie. Oddechy zamieniały się w parę na powietrzu. Podwójne okna mieszkań nie pozwalały słyszeć ani małżeńskich kłótni, ani gadaniny radia. Kładły tylko na śniegu kwadraty światła przemienione w równoboki. Ilja czuł swoją wściekłość jak grudę w gardle. Dusił się.

„Kiedy cierpi matka, trzeba jej pomóc. Tak, a jeżeli ona cierpi przez kanibalizm?”.

Szedł i do głowy przyszło mu pytanie.

Kościół musi być przekazicielem prawdy, a jeżeli staje się przeszkodą pomiędzy prawdą a człowiekiem? Pomiędzy człowiekiem a prawdą?

Potem szedł nadal, zupełnie nie wiedząc, gdzie się znajduje. Czasami nogi zapadały mu się po kolana w śniegu. Czasami stopy ślizgały się na pokrytym lodem kawałku chodnika. Oddychał mroźnym powietrzem i od czasu do czasu podnosił wzrok na nieporównywalne ewolucje, jakie gwiazdy wypisywały na niebie. W końcu sprecyzował

pewną myśl.

W tej chwili i w tym kraju Kościół jest prawie zupełnie zduszony. Ledwie z łaski pozwala mu się oddychać, żyć. Nie wolno mu się wypowiadać. A gdyby nagle otworzył usta, i gdyby mu powiedziano: „Mów! Mów, słuchamy!”, co by Kościół powiedział? Nasz Kościół, taki, jaki jest w tej chwili?

Zatrzymał się jak kiepski uczeń, który zapomniał wiersza, którego uczył się na pamięć.

Powiedziałby... powiedziałby...

Czy na pewno nie wybuchnąłby napastliwością i anatemami? Czy nie zacząłby od: „Nie jestem tym”, zamiast powiedzieć: „Jestem tym?...”. Czy nie grzmiałby na wszystkie strony, przeciw papistom, heretykom, syjonistom, hedonistom, satanistom? Czy nie uległby pokusie, by głosić siebie zamiast głosić Chrystusa?

Zaczął zdanie:

– Kościół rosyjski...

I nagle ogarnęła go fala litości, nie litości dla tych, którzy na nią zasługują albo o nią proszą, albo są jej godni, ale dla tych właśnie, którzy na nią nie zasługują, nie proszą o nią i nie są wcale jej godni. W jednej chwili pojął ukryty sens słowa, które powtarzał tysiące razy dziennie: *Kyrie eleison*, co nie znaczy: „Panie, miej litość”, ale raczej „Panie, rozlej nad światem swoje miłosierdzie” – i wiem, że już to robisz.

Łzy puściły mu się z oczu i zamarły na policzkach. Poczuł, że kocha Kościół rosyjski. Poczuł, że kocha jego wady i jego znikomość, nieznośne stare czarownice i jego kapłanów-tyranów, poczuł, że kocha przesądnych wiernych.

Poczuł, że poza rosyjskim Kościołem kocha prawosławny, grecki, arabski, serbski, amerykański, że poza prawosławnym kocha cały Kościół, taki, jaki Chrystus pozostawił ludziom. „Żeby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili jedno w Nas” (J 17,21).

Kościół rozdarty przez ludzi, podzielony, zduszony, zmieniony w

pył. Poczuł, że kocha ludzkość i tych prześladowanych i tych prześladowających, szczególnie prześladowających, bo im trzeba było więcej miłości niż innym.

Zrozumiał, co znaczyło *Kyrie eleison*, nagle zrozumiał to, co było napisane w księdze Ozeasza i Ewangelii „Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary”<sup>30</sup>.

<sup>30</sup> Mt 9,13, 12,7; Oz 6,6.

Poczuł nagłą ogromną wdzięczność dla farmaceuty, który w tajemnicy prosił o pobłogosławienie apteki.

Dla nauczyciela, który wbrew prawu prosił o pobłogosławienie szkoły, i dla tych, którzy chrzcili dzieci, nie wiedząc, dlaczego to robią, ryzykując tym samym niekorzystny wpis w paszportach.

Dla bardzo licznych robotników, którzy chrzcili, nie wierząc, i dla nielicznych intelektualistów, którzy chrzcili, wierząc, dla niezliczonych staruszek, pokręconych, wysuszonych, pedantycznych, potępiających, złośliwych i okropnych, bo przede wszystkim, gdyby ich nie było przez pół wieku, gdyby wredne nie czepiały się rytuałów, gotowe ekskomunikować każdego, kto nie nagnie się do ich przeświętych manii, wiernych fałszywym ideom, ale czyż wierność nie jest cnotą samą w sobie – gdyby ich nie było i gdyby nie brały na poważnie, a nawet tragicznie poważnie, historii okrągłych dywanów, serwetek z ikonami, błogosławionych chlebów, opuszczania głowy w takim to a takim momencie, podnoszenia w innym, upartych na Wielkanocne ciasto z sera, czy Kościół rosyjski już dawno by nie umarł?

Dziękuję wam okropne staruszki, które „wygaszacie płomienie, ale podsycacie ogień”. Święty Paweł powiedział, że Duch ożywia to, co pismo zabija, nie zawsze zabija, czasami pismo, zużyte, skorodowane, chwiejne, zachowuje jakąś część Ducha, który bez niego odleciałby do nieba, pozostawiając osieroconą ziemię.

Ilja znów popatrzył w gwiazdy i poddał się im radośnie jak deszczowi.

### 3.

Już nie było w nim ani śladu wściekłości. Płakał, ale z rozczulenia nad ubóstwem Kościoła, to znaczy nad ubóstwem ludzkości, bo nie widział różnicy między jednym i drugim.

Pracował niezmordowanie, modląc się, chrzcząc, rozdając komunię, przerywając każde nabożeństwo, by wygłosić krótkie kazanie, bo nie miał prawa ich głosić przy innych okazjach. Powoli jednak zmieniało się w Związku Radzieckim podejście do religii. Chrześcijaństwo nie natykało się już na zdeklarowaną wrogość.

Może była to tylko taka moda ale Ilja przyjmował ją z wdzięcznością. Młode kobiety, pozornie nie wierzące, znów zaczęły nosić krzyżyki jako rodzaj ozdoby.

Wydawano książki na temat ikon i architektury sakralnej. Na cmentarzach, na grobach, nie stawiano już obelisków czy piramid, ale coraz częściej krzyże. Na pogrzebach, nawet cywilnych, orkiestry dęte nie grały już muzyki klasycznej, ale prawosławne tropariony<sup>31</sup>: *Twoje Zmartwychwstanie, Chrystusie Zbawicielu, opiewają anioły w niebiosach. Pozwól, byśmy i my w czystości serc Ciebie chwalili.*

<sup>31</sup> Troparion – podstawowa, sylabiczna forma hymnografii bizantyjskiej – początkowo krótka modlitwa, później forma jednozwrotkowa śpiewana przez zgromadzenie po każdym wersecie psalmu (przyj. tłum.)

Imiona, które nie należały do chrześcijańskiego kalendarza, zniknęły. Jeżeli kogoś nazwano *Robespierre*, kazał nazywać się Pierre. A *Oktiabrina* stała się po prostu Olga. „Naprawdę ziemia bieleje w czas zniwa<sup>32</sup> jak u świętego Jana. Ale gdzie znaleźć tyłu zniwiarzy?” – powtarzał sobie Ilja.

<sup>32</sup> J 4,35; ten cytat jest tytułem książki ojca Aleksandra Borrisowa (*Moisson blanchissants*, Moskwa 1994), z której zaczerpnięto niektóre elementy tego rozdziału.

Jego siły wydawały się nieograniczone. Prawie nie sypiał. Poddawał się czemuś w rodzaju *libido sciendi*, którego sobie nie wyrzucał. Czytał Ojców Kościoła po grecku i po łacinie, uczył się nie-

mieckiego, aby móc czytać Jacoba Boehme, i francuskiego, aby czytać Pascala i świętego Franciszka Salezego, Simone Weil, Balzaka i Bernanosa – jego inteligencja wyciągała swoje macki aż po literaturę tak zwaną świecką, gdzie jego wiara znajdowała nową pożywkę. To pozwalało mu rozumieć niektórych ze swoich parafian, młodych i zapalonych, oraz starych, smutnych i uczonych, kobiety szukające czegoś egzaltowanego, wiernych zawiedzionych prawosławiem, które licznym wydawało się skostniałe w rytuałach i zwyczajach.

Sam, jak w wojsku, uczył się nowego sposobu życia. I tak jak w zakonie zaczął mieć wpływ na współbraci, którzy coraz częściej przychodzili prosić go o wyjaśnienie tego czy tamtego z teologii, której nie bardzo się uczyli na kursach korespondencyjnych, albo pytali o sprawy aktualne, które im się narzucały.

Stary ojciec Borys miał wątpliwości co do liturgii w języku staro-cerkiewnym.

– Ojczy Ilja, ty pewnie rozumiesz to, co mówisz, bo jesteś erudytą, ale ja rozumiem tylko połowę, bo studia robiłem jeszcze przed rewolucją. Nie możesz jednak żądać od parafianina, aby uczestniczył w liturgii prowadzonej w obcym języku. Ewangelie zgadują, ale z Epistoły<sup>33</sup> nie rozumieją ani słowa! Czy to po chrześcijańsku chwalić Boga w wolapiku<sup>34</sup>? Przypominam sobie tego muzyka, który do mnie powiedział raz tak:

– Ewangelia? Wiem, że trzeba całować okładkę, ale co jest w środku, zupełnie nie mam pojęcia!

<sup>33</sup> L'Épître – list, epistoła; tu: w liturgii prawosławnej – Pierwsze Czytanie.

<sup>34</sup> Volapiik (nazwa oznacza 'język (ogólno)światowy') – pierwszy sztuczny język opracowany w 1879 roku przez niemieckiego księdza Johanna Martina Schleyera, który powstał w oparciu o łacinę, niemiecki, francuski i angielski, przy czym najwięcej elementów pochodzi z tego ostatniego (przyp. tłum.).

Młody ojciec Aleksander, z rudą brodą i wąsami wciąż w nieładzie, był zatwardziałym konserwatystą.

– Nie bluźnij, ojczy Borysie. Jeżeli się nie rozumie, bardziej się szanuje! A poza tym to piękne, że mamy język do rozmowy z samym



Bogiem. Język, w którym nikt nie umie kląć ani zamówić kufla piwa.

Ilja słuchał ich uważnie.

– Wydaje mi się – mówił – że obaj macie rację. Niektórzy potrzebują rozumieć, inni podziwiać. Byłoby absurdem kazać wszystkim kapłanom odprawiać w języku rosyjskim, ale nie ma sensu też im tego zakazywać, jak to się teraz dzieje. Nie byłoby wcale źle, gdyby były cerkwie z językiem rosyjskim, a inne ze starocerkiewnym.

Stary ojciec Borys skarżył się na swój chór składający się z ogłupiałych staruszek. Młody ojciec Aleksander miał dwa chóry, jeden złożony z ogłupiałych staruszek, bezpłatny, drugi ze śpiewaków zawodowych, ale niewierzących, którym trzeba było płacić. Wierni i trzej kapłani byli zgodni, woleli niewierzących z głosami niż staruszki bez głosów. Ilja starał się stworzyć chór wierzących i zarazem utalentowanych.

Na temat relacji z innymi Kościołami chrześcijańskimi też miał swoje własne zdanie.

Wiedział oczywiście, że jedynym prawdziwym Kościołem Chrystusowym jest jeden Kościół prawosławny, od którego, pod koniec pierwszego tysiąclecia odłączył się Kościół rzymski (aby pogрузić się w przepaści schizmy), i od którego pięćset lat później odłączył się Kościół protestancki (aby pogрузić się w herezji). Wiedział, że na około 5 miliardów ludzi 2 miliardy to chrześcijanie, z czego jeden miliard to katolicy, 400 milionów to protestanci, 200 milionów prawosławnych, i jakieś 200 milionów innych fantazyjnych wyznań. Te liczby nie robiły na nim wrażenia; nigdy nie porównywał ilości z jakością, a problemy wewnętrzne Kościoła rosyjskiego wydawały mu się na tyle pilne, że nie interesował się bliżej innymi.

Dopóki Kościoły Wschodu i Zachodu nie znajdą wspólnej wiary, będzie rozpowszechniała się – myślał – pobłażliwość religijna, brak powagi i dobrego zwyczaju przyjmowania komunii jednych u drugich, ale czy z tego powodu trzeba podejrzewać rosyjskich katolików o dywersję, bo w Wielkanoc zgadzają się dzielić Ciało Chrystusa z rodakami innych wyznań? Dla protestantów, którym rosyjski Kościół

prawosławny zawdzięczał wszystkie Biblie, które importowano potajemnie, była też niewdzięczność z powodu krytyk teologicznych.

„Tak – myślał Ilja – to my, prawosławni posiadamy prawdę, ale jeżeli jej nie stosujemy...”.

Krótko mówiąc, chodziły plotki po Moskwie, że Ojciec Ilja rezonował trochę bardziej, niż należy, kiedy się jest parochem na parafii. Jego biskup, który bał się podpaść komukolwiek, patrzył krzywym okiem na parocha z Kościoła Matki Trójrękiej, ale pod wrażeniem jego erudycji i naturalnego autorytetu nie ośmielał się przywołać go do porządku. Ilja był olśniony ogromem miłości, która mu została objawiona tego dnia, kiedy był taki wściekły, kochał tego biskupa, który równie oględnie obchodził się z Kościołem, jak i z partią, kochał modernistów, reakcjonistów, i miał wrażenie, że powoli dorasta do wielkości, z pewnością nie Jezusa Chrystusa, ale przynajmniej Kościoła, który Jezus zostawił światu i który powinien go całkowicie obejmować.

Jednym z ulubionych świąt Ilji był Chrzest Pański, nie tylko z powodu uroczystości związanych z tym wydarzeniem, ale przede wszystkim dlatego, że ciało ludzkie łączyło się tam z duszą, a sama natura wydawała się uczestniczyć w tej liturgii. Tego dnia właśnie najbardziej odczuwał pełnię, która została mu dana.

Wiele dni wcześniej wycinano przerębel w pokrywie lodowej na rzece Moskwie i pilnowali jej ochotnicy, aby przerębel się nie zamknęła. Jakiś artysta z własnej woli rzeźbił w bloku lodu pulpit, na którym spoczywał Krucyfiks i Ewangelia, z której wystawała zakładka. Ponad tym wznosił się drewniany krzyż sto razy zanurzony w lodowatej wodzie, tak że na jego szczycie można by przykleić Gołębicę Ducha Świętego także wyrzeźbioną z lodu. Całość nazywała się tradycyjnie Świętem Jordanu.

W tym roku procesja przybyła ze śpiewem, z rozwiniętymi chorągwiami. Ojciec Ilja otrzymał na to pozwolenie od odpowiedzialnego za te sprawy komunisty, który także brał udział w Wojnie Patriotycznej i nie umiał odmówić prośbie najmłodszego generała w

Związku Radzieckim. Kapłani ubrani w ornaty ustawili się dookoła przerębła. Za nimi cała masa wiernych albo ciekawskich. To nie miało znaczenia dla Ilji, wierzył w obiektywną wartość uczestnictwa w liturgii. Ucieszył się, widząc taką ilość dzielnych ludzi, którzy go otaczali, o wiele większą niż w poprzednim roku, okutanych w ciemne ubrania, tak że stanowili czarną plamę na białym śniegu, i tylko tu i tam, jak pociągnięcie pędzla widać było pobłysk czerwonego swetra albo żółtego szalika.

Chór, który udało się Ilji zorganizować, dawał z siebie wszystko.

Najpierw zaczęły soprały i basy, które zaintonowały w zimnym, aż gryzącym w gardło powietrzu: *Panie, gdy brałeś chrzest w Jordanie, objawiło się Trójcy uwielbienie, a Duch w postaci Gołębic był tego potwierdzeniem.*

Ilja ukląkł w śniegu, przed przerębłą i trzy razy zanurzył krucyfiks miedziany, aby pobłogosławić wodę, która płynęła pod lodem. Dziesiątkami wystrzeliły strzelby, otworzyły się klatki i w niebo wleciały gołębie. Jeden z nich usiadł na krzyżu, obok Świętej Gołębic, co zostało potraktowane jako dobry znak. Jeden po drugim najodważniejsi z wiernych wskakiwali do dziury i zanurzali się z głową pod wodę, potem drugi raz, wynurzając się i zanurzając po raz trzeci w hołdzie Trójcy Świętej. Ich rodziny czekały na nich z okryciami, w które ich owijano, a następnie nacierano. Butelka wódki nie starczała, by przestali szczękać zębami.

Ojciec Ilja patrzył na nich i kochał ich wszystkich.

## 4.

Ilja miał zostać archimandrytą i zaproszono go do uczestnictwa w kolokwium zorganizowanym przez episkopat w monasterze Daniłowski. Tematem było „Piekło”, co w kraju, w którym dwa miliony obywateli na dziesięć było w Gułagach, okazało się dosyć pikantnym szczegółem.

Dwudziestu biskupów i kapłanów zasiadło w sali wyłożonej ciemnym dębem. Ponad boazerią biegł fryz pełen portretów; rozpoznawano kapłanów, którzy pozostawili swój ślad w Kościele rosyjskim, jak patriarcha Filaret z Moskwy czy biskup Mołyła z Kijowa. Były także zdjęcia myślicieli laickich: Sołowiowa, Motowiłowa, Dostojewskiego, ponad nimi wisiały ikony wielkich rosyjskich świętych: Sergiusza z Radoneża, Serafina z Sarowa, Tichona z Zadońska i Włodzimierza Wielkiego z Kijowa, równego Apostołom, bez którego Rosja zostałaby może państwem wyznającym judaizm, islam albo papizm.

Członkowie zgromadzenia usiedli po obu stronach stołu, przewodniczył biskup Moskwy. Mnisi nosili kłobuki<sup>35</sup>, kapłani świeccy byli z gołymi głowami. Mieli brody, jasne i ciemne, szpiczaste i na czarne sutanny opadały im albo szerokie „łopaty”, albo „kąty”. Ośmioramienne krzyże, złote, srebrne, choć najczęściej miedziane, błyszcząły na piersiach kapłanów, na biskupich zwisały na łańcuszkach panahije.

<sup>35</sup> Wysoka czapka zakonna w formie walca.

Najpierw przemówili biskupi i Ilja żałował, że nie zastosowano wojskowego zwyczaju, według którego najniżsi stopniem mówią jako pierwsi, co pozwala im dyskutować spokojnie.

Większość mówców opierała się na tekstach z Ewangelii.

Wielu poruszyło temat sądu, jedni podkreślali rekompensatę w niebie, bez której niesprawiedliwość, jaka panuje na ziemi, byłaby nie do zniesienia. Inni nalegali na radykalne oddzielenie kozłów od

owieczek. Niektórzy rozwodzili się z wyraźnym zachwytem nad Jękami i zgrzytaniem zębów”, na które byli skazani grzesznicy. Tęgi rudzielec o czerwonej brodzie rozdzielonej na dwie części miał przyjemność przy każdej okazji używać przerażającego słowa „gehenna”. Słysząc było, jak przełykał ślinę z zachwytem.

– Bójcie się – grzmiał, grożąc palcem bardzo ostro – bójcie się Księcia tego świata, który ma moc skazania was na śmierć, a potem skaże was na gehennę! Gehennę, w której tyle już nużą się ciała ludzkich. Gehenna – otchłań! Gehenna, której ogień nie gaśnie!

Jakiś tęgawy protoprezbiter<sup>36</sup>, który uchodził za kogoś, kto ma posłuch u patriarchy, także poruszył temat ognia, ale w sposób uczony.

<sup>36</sup> Wyższa godność kapłana świeckiego. Żaden ksiądz świecki w Kościele prawosławnym nie może zostać biskupem.

– Nikt wokół tego stołu – twierdził – nie wierzy w to, że diabły każą naprawdę grzesznikom lizać patelnie rozgrzane do białości. Ogień powinien być rozumiany jako metafora.

– A ja nie jestem pewien – odpowiedział rudy – rozgrzane do białości patelnie nie są takie złe. A zły bogacz prosi, aby Łazarz zwilżył koniec swojego palca, aby mu ochłodzić język. Jak inaczej wytłumaczyć tę aluzję, wręcz dosłowną do języka?

Stary archimandryta, nieco drżący, wyłożył swoje idee na temat wieczności kary piekielnej. On sam już wydawał się stać na progu wieczności i zastanawiał się, czy należało to rozumieć jako „nie-skończoną ilość czasu”, czy „pełną nieobecność czasu”.

Pewien mówca nalegał przeciwnie, na przestrzenny aspekt piekła. Piekło jest opisane jako „zewnątrze” (Mt 22,13 i 15,30). Zewnątrze, ale wobec czego? A zresztą wiemy, że „wielka przepaść” (Łk 16,26) oddziela miejsce pobytu wybranych od tego, gdzie znajdują się odrzuceni, w taki sposób, że ci, którzy chcieliby przejść z jednego w drugie, nie byliby w stanie tego zrobić.

– Tak, ale w sensie przeciwnym? – zapytał protoprezbiter.

– Zastanawiam się, kto mógłby mieć tak absurdalny pomysł, aby

opuścić raj, by pójść do piekła – odpowiedział zwolennik zgrzytania.

Protoprezbiter o okrągłych dłoniach i żywych oczach, przypominających dwie pływające w oliwie oliwki, odparł:

– Ze świętymi nigdy nic nie wiadomo.

Inny mówca zastanawiał się, czy to grzech jest karany męką wieczną, czy też jałowość.

– Pamiętajcie, że to nie złodzieje ani mordercy są wrzucani „w ciemności na zewnątrz”, ale sługa nieużyteczny (Mt 25,30)<sup>37</sup>!

<sup>37</sup> „A sługę nieużytecznego wyrzucicie na zewnątrz – w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”.

– Ale także (*mal sape*) gość (Mt 22,13) – dorzucił protoprezbiter, który znajdował przyjemność w sianiu niepokoju.

Rozgorzała dyskusja na temat twardych słów tak wiele razy powtarzanych przez Mateusza i Marka, według których lepiej być w życiu bezrękim, beznogim lub bezokim, niż w całości znaleźć się w otchłani gehenny. „Jeśli twoja ręka jest obiektem zgorszenia, odetnij ją, jeśli twoja noga jest obiektem zgorszenia, odetnij ją. Jeśli twoje oko jest dla ciebie obiektem zgorszenia, wyłup je”. Niewielki protoprezbiter i na ten temat miał swoją opinię:

– Jeśli chrześcijanie braliby te słowa dosłownie, od dawna bylibyśmy już na dziedzińcu cudów, albo, jeszcze pewniej, ludzkość przestałaby istnieć. Orygenes próbował i, jak wiecie, został przez Kościół potępiony. Nie zapominajcie, że jest mimo wszystko powiedziane, „rośnijcie i rozmnażajcie się”.

Zapadła cisza. Z jednej strony zastanawiano się, czy to, co usłyszano, nie było niewyobrażalnie nieodpowiednie, z drugiej strony żoną protoprezbitera była *matuszka*<sup>38</sup>, kobieta obfita i piękna, nic więc dziwnego, że nie chciał interpretować słów Marka i Mateusza dosłownie.

<sup>38</sup> Tytuł nadawany w Rosji żonom świeckich duchownych.

Ostatni przemawiający przed Iliją mówca był egzegetą.

– Dosłowne odniesienia do piekła w Nowym Testamencie nie są tak częste, jak się wydaje. Niepodważalne – tak, częste – nie. O ile się

nie pomyliłem, znalazłem u Mateusza sześć, trzy u Łukasza, jedno u Marka i ani jednego u Jana, chyba że w tym sensie odczytuje się aluzję do syna zatraty. Tekst obecny i u Łukasza, i u Mateusza o zbożu, które zostanie złożone do stodoły, a bale spalone „w niemożliwym do ugaszenia ogniu”, nie oznacza od razu, że grzesznicy zostaną spaleni; może chodzić o sam grzech.

Ilja nigdy nie uczestniczył w spotkaniach tego typu i czuł się nieco onieśmielony. Biskup Moskwy oddał mu głos, kiedy przemówili już wszyscy.

Wytłumaczył, że jest samoukiem, który dość pośpiesznie się kształcił i późno doszedł do kapłaństwa, w konsekwencji ledwie ośmiela się otwierać usta wobec tak uczonych eklezjastów. Nie neguje istnienia piekła, bo mówi się o nim w dość jasnych słowach w Piśmie Świętym, ale nie jest w stanie zrozumieć, jakie są kryteria wiecznego potępienia.

– Byłem żołnierzem – powiedział, nie precyzując swojego stopnia – zdarzało mi się uczestniczyć w sądach wojennych. Uczestniczyłem więc w skazywaniu na śmierć dezertów czy maruderów. Wiedziałem, że zostaną rozstrzelani prawie natychmiast potem, ale nie wyobrażam sobie choćby jednego zbrodniarza, którego mógłbym skazać na męki wieczne. Nawet ja, grzesznik, który kiedyś nie wiedział nawet, że jest grzesznikiem. Oczywiście, niezbadane są wyroki Pana, a jego sprawiedliwość inna niż nasza.

Pomyślał o Złotogrze. Zabił go, ale nie skazałby go na potępienie.

– To nie Pan skazuje na potępienie – zauważył protoprezbiter – to sam grzesznik skazuje siebie na potępienie. Bóg chce zbawienia nas wszystkich.

Ilja dodał, że czytał świętego Grzegorza z Nyssy, i że ten święty wierzył w apokalipsę, czyli w ostateczne zbawienie całego świata. Nikt nigdy nie skazał świętego Grzegorza z Nyssy za herezję, a mówił on – Ilja zacytował go z pamięci – że pewnego dnia nie zostanie nic, co opiera się dobru, że życie boskie rozniesie się po świecie i pokona śmierć, najpierw pokonawszy grzech, który daje śmierci panowanie

nad ludźmi. Grzegorz lubił także opierać się na świętym Pawle. „Bóg będzie wszystkim we wszystkich”. A nieprawdopodobieństwem jest, by Bóg mógł istnieć, gdy panuje zło. A czy święty Paweł nie mówi też: „tak samo jak wszyscy umarliśmy w Adamie, tak w Chrystusie wszyscy zostaną ożywieni”?

– Nie znam dobrze doktryny rzymskokatolickiej – zakończył Ilja – ale wiem, że Kościół Zachodni wymyślił koncepcję czyśćca, bo tak jest wygodniej. Pozwala przypuszczać, że piekło istnieje, ale jest puste, i w ten sposób nie przeczy się świętemu Pawłowi, który mówi, że każdy człowiek zostanie zbawiony, ale „tak jak przez ogień”.

– Myślę – rzekł protoprezbiter – że łatwiej zaakceptowalibyśmy ideę piekła, gdybyśmy byli pewni, że sami się tam nie znajdziemy. Znacie freski z XVI wieku, gdzie widać na ścianach naszych monasterów potworne obrazy piekieł z rogatymi diabłami, kotłami i ogniem? Napisy w języku starocerkiewnym pozwalają określić potępionych. Są to: Indianie, Niemcy, Żydzi... nie ma prawosławnych, Rosjan. To optymistyczna wizja soteriologii, być może bardziej znana na świecie, niż się sądzi.

Biskup podziękował wszystkim, Ilji chłodniej niż innym, którzy zresztą nie patrzyli na nowego współbrata z przesadną sympatią. Popełnił dwie gafy. Wyraził wątpliwość co do mieszkańców piekła i zrobił aluzję do Kościoła rzymskokatolickiego bez uszczypliwych uwag na jego temat.

Rok, dwa, trzy lata minęły. Zaabsorbowany świętą codziennością Ilja nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu.

Pewnego wieczora wiosną zatrzymał się na schodach do świątyni, aby pooddychać po jutrzni i niesporach, nabożeństwach, które kochał najbardziej. Nie, nie nudził się odprawianiem Eucharystii i karmieniem rosyjskiego ludu Ciałem i Krwią Chrystusa, ale nabożeństwo sobotnie, śpiewane półgłosem przez zaledwie kilka kobiet, według rytuału zakonnego, w półcieniu, bez wielkiego halo na modłę zachodnią, bez skrajnego napięcia związanego z sakramentami, miało dla niego szczególny urok.



Zapadała noc. Zielone liście lip zaczynały rozwijać się na koniuszkach gałązek. Kulawy kot przebiegł ulicę. Przez otwarte okno radio ryczało, głosząc propagandę.

Wielka wołga zatrzymała się przed cerkwią. Kierowcą był zakonnik. Wysiadł, nie gasząc silnika.

– Ojciec Ilja Gałkin? Jego Świątobliwość czeka na ojca.

Przytrzymał mu drzwi.

## 5.

Pierwszą myślą, jaka powstała w głowie Ilji, było to, że ów zakonnik nie był prawdziwym zakonnikiem i że KGB znalazło dyskretny sposób, aby porwać go wprost z ulicy.

Pomyślał nawet przez ułamek sekundy, że jest to związane z zabójstwem, jakie popełnił w poprzednim życiu na osobie komisarza Złotogora. „Znaleźli mnie!” – pomyślał nie bez odrobiny podziwu. Właściwie nie miał sobie nic do zarzucenia. Brał państwo komunistyczne takim, jakie było i nie zamierzał w żadnym wypadku przeciw niemu się burzyć. Skrupulatnie przestrzegał wszelkich reguł, które ograniczały jego kapłańską działalność.

Nawet ikony, które zdobiły szoferkę, reprodukcja Świętej Trójcy Rublowa i święty Aleksy, nie sprawiły, że zmienił zdanie. Musiały być czymś w rodzaju kamuflażu. Ze spokojem pomyślał, że czas męczeństwa nadszedł właśnie dla niego i poddał się bez sprzeciwu woli bożej. Po minucie zorientował się jednak, że wołga wcale nie jedzie w kierunku Łubianki, siedziby KGB, a przeciwnie, objeżdża Moskwę. Chciał się dowiedzieć, gdzie go wiozą jeszcze wolnego, bez kajdanek, bez eskorty, na tych skórzanych siedzeniach samochodu.

- Dokąd jedziemy?
- Do monasteru Świętej Trójcy, ojcze. Będziemy tam za godzinę.

Opuszczając przedmieście, które wyrosło jak wrzód na ziemi przodków, wołga mknęła na północny zachód. Pastwiska i pola rozciągały się aż po horyzont w świetle zachodzącego słońca, a wiosenne gwiazdy dodawały mu odrobiny swojego światła.

Drzewa sterczały prosto w kałużach cienia.

Kopuły Świętej Trójcy pojawiły się przypudrowane światłem księżycy i wołga wjechała w mury monasteru, w którym niegdyś Ilja stał się nowym człowiekiem, ale do którego dotąd nigdy jeszcze nie miał czasu powrócić.

Serce ścisnęło mu się z rozczulenia. Wiedział, że patriarcha lubił tu

przebywać, w pałacu, który był dla niego specjalnie przeznaczony. Może jednak to wezwanie nie było pułapką? Ilja nie odczuł nawet ulgi, tak poddał się woli bożej. Młody mnich czekał na schodach do pałacu, którego małe okna o pionowych krzyżach stały rzędem na ozdobnym froncie. Ilja nigdy tu jeszcze nie był.

Mnich poprowadził go po salach, prawie ciemnych, gdzie czerwone lampki rozpałały kolory ikon. Nagle znalazł się w owalnej sali, jasno oświetlonej, o ścianach pokrytych boazerią. Było bardzo gorąco. Jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak gorąco.

Jego Ekscelencja najwielebniejszy patriarcha Moskwy i Wszechrusi Aleksy I siedział przed stolikiem pokrytym adamaszkowym obrusem, na którym stały kryształ i nakrycia.

Patriarcha był niewielkim człowiekiem o bardzo delikatnych rysach. Miał jasne, wąskie oczy, krótką brodę, czarne mnisie ubranie i białe nakrycie głowy, opadające na ramiona, jakie przynależało do jego rangi.

Ilja ukląkł i zamierzał uderzyć czołem o ziemię, kiedy głos razem rozkazujący i kurtuazyjny w tym mu przeszkodził.

– Dość, ojcze, dość. Proszę podejść.

Ilja podniósł się i podszedł.

– Pobłogosław mnie, ojcze...

Patriarcha pobłogosławił go szybko prostym gestem dłoni.

– W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Dobrze, dobrze, usiądź.

Na stole stało nakrycie dla dwóch osób, ale Ilja wahał się trochę, zanim zdecydował się usiąść naprzeciw patriarchy, który musiał podkreślić gestem dłoni to, co właśnie powiedział. W końcu usiadł na rzeźbionym krześle. Przeraził się ilością widelców, jakie przed nim położono. Nie było noża, bo oczywiście mieli jeść ryby. Widząc jego wahanie, patriarcha zapytał.

– Nie powiedziano wam, że jecie ze mną obiad? A to nicponie! – dorzucił z oburzeniem. – Może wódki?

Ilja nigdy nie słyszał, aby Rosjanin mówił w taki sposób. Po pierwsze było po dziewiątej i Ilja myślał o kolacji, a nie o obiedzie, a

poza tym jego samogłoski, trochę jakby nosowe, a spółgłoski zao-krąglone, w niczym nie przypominały języka, który słyszał przez całe swoje życie. Patriarcha mówił ledwie poruszając ustami, jakby z jego ust, od niechcienia, sypały się perły. Jego *r* nie przypominało rosyjskiego *r*, ledwie było słyszalne. To był ten dźwięk z pewnością, który pisarze, jak i sam Tołstoj, usiłowali naśladować, pisząc *h* zamiast *r* w niektórych dialogach, które miały się odbywać w świątku wielkiego Sankt Petersburga. Ilja przypomniał sobie, że patriarcha tam właśnie się urodził, czterdzieści lat przed końcem dawnego reżimu, inaczej mówiąc, na zupełnie innej planecie.

Widząc zakłopotanie gościa, patriarcha zaczął mówić.

– Piję ją, nie w poście, ale w zwykłym czasie; piję, mimo że jestem mnichem. My, Rosjanie, mamy tendencję do przesady. Przesadnie przedłużamy nabożeństwa, mnożymy kary, doprowadzamy posty do absurdu... To z nas robi faryzeuszy, którzy dziękują Bogu, że są cnotliwi, i uważają, że są bardziej usprawiedliwieni niż ten stary łajdak poborca podatkowy.

Ogórek małosolny chrupnął między zębami patriarchy. Palce, które go trzymały, były delikatne i długie. Wielki kontrast z tym lwem siedzącym przy stole, jakim był Ilja, którego wielkie dłonie spoczywały na białym, wykrochmalonym obrusie.

Inny mnich pojawił się w kręgu światła oświetlającego stół i wciąż podawał dania i napoje z lekkością i skutecznością anioła.

Patriarcha zanurzył srebrną łyżkę w zupie rybnej, którą właśnie podano.

– Opowiadano mi o tobie, ojczu. Jakim jesteś kapłanem? – zapytał bez ogródek, mrużąc oczy.

Ilja popatrzył na zwierzchnika Kościoła rosyjskiego z respektem, jakiego wymagała uświęcona hierarchia. Wiedział, że tak jak jego poprzednik, patriarcha Siergiej, Aleksy przestał przeciwstawiać się reżimowi komunistycznemu. Modlił się o zwycięstwo nad Niemcami, a probował zasady walki o pokój na świecie, trzy razy został odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru.

– Niegodnym na pewno – odpowiedział Ilja po chwili zastanowienia. – Staram się robić wszystko, jak najlepiej potrafię.

Zastanawiał się, dlaczego został wezwany.

– Nie to chciałem powiedzieć – odpowiedział patriarcha. – Niegodni jesteśmy wszyscy, czego dowiadujemy się zaraz potem, jak się nam śpiewa na święceniach coś wręcz przeciwnego, i kiedy sobie wyobrażaliśmy może nawet, że to prawda. (Mówił długimi zdaniem, wielokrotnie złożonymi, wolnym rytmem i ironicznym często tonem, często zawieszając głos). Kapłaństwo to nie jest prosta sprawa. Są sakramenty, liturgia, służba bliźniemu, modlitwa, administracja, wszystko to wymaga innych talentów, nikt nie ma ich wszystkich w takim samym stopniu. Są też rzeczy, które robi się chętniej, za co nie jesteśmy odpowiedzialni. Można mieć piękny głos, a być byle jakim spowiednikiem. Czy doświadczenie wojskowe pomaga ci, ojczu?

– Sądzę, że tak – odpowiedział Ilja.

Wódki Ilja nie pił od lat, ale robiła mu naprawdę dobrze, spływając do żołądka. A ziarna kawioru przyjemnie strzelały mu między zębami.

– Najpierw nauczyłem się kierować jednostką i jestem w stanie wymurować ścianę albo naprawić dach. W armii człowiek się uczy, że w ludziach trzeba wzbudzać zaufanie, a do tego trzeba ich kochać. Stawiać się na ich miejscu. Dyscyplina też, posłuszeństwo... nigdy nie miałem z tym kłopotów.

– Miałem dwóch braci, którzy byli żołnierzami – powiedział z rozmarzeniem patriarcha. – Kirasjerzy Jego Wysokości Cara.

Nigdy uszy Ilji nie słyszały czegoś takiego „Jego Wysokość Car”. Przez ułamek sekundy pomyślał, czy przypadkiem wszyscy troje, patriarcha, mnich i on sam nie zostaną zaraz zatrzymani za to, że te słowa zostały wymówione i usłyszane. Ale patriarcha z naturalnością ciągnął dalej.

– Opowiadali śmieszne historie. Postaram się sobie przypomnieć. Podczas rewolucji, oczywiście, zostali...

Zrobił niedwuznaczny gest ręką. Dyskretnie wypił drugi kieliszek,

który zagryzł kawałkiem grujera. Ilja zrobił to samo.

- A liturgia, dobrze się w tym czujesz?
- Liturgia to ślad nieba na ziemi, a na szczęście Pan Bóg dał mi głos mocny, a nawet dobry. Lubię porządek. Lubię, żeby wszystko było zrobione jak trzeba. Jeżeli akolita zapomni mi podać kadzidło w odpowiednim momencie, targam go za uszy. Rytuał, który przekazali nam ojcowie, to być może to, co mamy najcenniejszego. Nie pozwolę, by coś umknęło choćby na jotę, tak jak głodny człowiek nie pozwoli, by upadła mu okruszyna chleba.

Mówił z powstrzymywanym wzruszeniem.

- Jesteś mistykiem, ojcze Ilja?
- Chce ojciec wiedzieć, czy mam wizje? Nie, Pan Bóg mi ich nie daje, a i ja sam ich nie szukam.

- Jesteś więc realistą?

Ojciec Ilja skosztował zupy rybnej. Boska!

Czuł różnicę hierarchii pomiędzy patriarchą a nim samym, ale generał, którym kiedyś był, sprawiał, że nie odczuwał takiej pokory, jak był powinien.

- Realistą, ojcze? Nigdy o sobie w ten sposób nie myślałem, ale można tak powiedzieć. Gdybym nie wierzył w realność Chrystusa, Kościoła, nie mógłbym być kapłanem. Jeżeli kiedyś będę miał jakieś objawienia, będą one realne. Nie wykluczam takiej możliwości.

- Wierzysz w cuda?

- Dlaczego nie? To, co nam wydaje się cudem, dla Boga jest proste. Jak się umiało stworzyć świat, niewiele rzeczy musi wydawać się trudne.

- Jesteś człowiekiem modlitwy, ojcze Ilja?

- Jeżeli by mnie porównać ze świętym Sergiuszem, to nie. W porównaniu jednak z wieloma innymi, sędzę, że tak.

- Jak się modlisz?

- Tak jak to nakazuje Kościół.

- Nie tworzysz własnych modlitw?

- Modlitwy świętych w zupełności mi wystarczają. Byli mą-

drzejši i bliŹsi Bogu ode mnie.

– Nie odczuwasz potrzeby rozmowy z Bogiem, opowiadania mu, czego doŹwiadczaŹ?

– Zadowalał się modlitwą Jezusa.

– „Jezu Chryste, Synu BoŹy, miej litoŹć nade mną grzesznikiem”?

– UwaŹam, Źe jest pouczająca.

– Odczuwasz czasami w sercu ciepło, które przynosi?

– Czasami. Rzadko. Zdarza mi się.

– Nie zapytam, co czujesz, kiedy odprawiasz Eucharystię. To tajemnica, której nie mam prawa dotykać, ale proszę opowiedz mi o spowiedzi.

– Staram się medytować słowa, które spowiednik mówi penitentowi: „Przyszedłszy do domu lekarza, nie odchodź, nie będąc uzdrowiony”. Próbuję leczyć.

– Nie karać?

– Nie, nie karać.

– MoŹe poprawiać?

– W miarę moŹliwoŹci. Traktuję grzech jako chorobę. Czy to niedobrze?

Patriarcha zobaczył w oczach Ilji niepokój, ale także i upór, moŹe nawet nieuŹwiadomiony. JeŹli nawet on, patriarcha Aleksy, powiedziałby temu kapłanowi, Źe nie naleŹy traktować grzechu jako choroby, ale jako winę, pewno by się nagiął i pewno starałby się być posłuszny, ale nie umiałby przestać robić tak jak dawniej. Aleksy jednak odpowiedział pytaniem.

– Rosyjski lud dzieli kapłanów na srogich i łagodnych. Jedni wołają tych pierwszych, inni tych drugich. Podają sobie nawet adresy. Do jakiej ty ojciec naleŹysz kategorii?

Ilja pokręcił głową. Nie wiedział. Mnich przyniósł pulpety rybne.

– To szczupak – powiedział patriarcha – mam nadzieję, Źe lubisz. Spowiedź jest naprawdę bardzo waŹna. Chrystus nie spowiadał. Wygląda na to, Źe Jan Chrzciciel także tego nie robił. W pierwszych

wiekach spowiedź była publiczna i miała okrutne następstwa. Morderca czy cudzołożnik przez wiele lat nie przystępowali do komunii. Najpierw, w czasie nabożeństwa stali poza kościołem, potem na dziedzińcu przed kościołem, potem w przedsionku, na oczach wszystkich, zanim znów zostali przyjęci na łono Kościoła pośród tych, których nazywano „Świętymi”. Wiedziałeś o tym, ojcze? Co za wstyd! Jedyne punkty, w którym dokonaliśmy jakiegokolwiek postępu, to to, że zrozumieliśmy, że przykazanie „Bądźcie doskonali tak jak wasz Ojciec”, jest ironiczne. I ja ich rozumiem, tych biednych pasterzy z czasów początku. Wyobrażali sobie, że są kapitanami statków, których załogę stanowili jedynie nowi ludzie. Ale starzy ludzie nocą zakradali się na pokłady statków potajemnie jak duchy. Dziś Kościół rozumiał, że jest odpowiedzialny i za starych, i za nowych ludzi, za kambuz, za ster, za olinowanie, a nawet za szczury. W końcu zrezygnował z uprawiania angelizmu. Zdał sobie sprawę z tego, co oczywiste. Jedynie naśladowcy świętego Pawła znali tylko jeden przełom życiowy. „Ciao, gotowe, byłem Saul, jestem Paweł, byłem grzesznikiem, jestem świętym”. Bez bezpośredniej interwencji Chrystusa tak to w życiu się nie odbywa. Nawrócenie – *metanoia* to sprawa całego życia. Zgadzasz się ze mną?

Miał wciąż ten akcent, bez afektu, jakby raczej leniwy. Jakby dotykał wymawianych przez siebie słów jedynie koniuszkami zębów.

To było dziwne, że patriarcha zapytał zwykłego archimandrytę, czy ten się z nim zgadza, ale wyraźnie Aleksy nie chciał uciekać się do swojego autorytetu. Starał się, aby ojciec Ilja złączył się z nim wewnętrznie z głębi siebie. Ilja widząc, że jego zwierzchnik podnosi trzeci kieliszek wódki, sądził, że i jemu wypada wypić.

– Ojcze, rzeczywiście zaczynam sobie stawiać pytanie. Długo sądziłem, że prawosławie jest prawdą...

– Bo jest...

– Oczywiście, że jest, ale może jeszcze nie całkiem wyrażoną, wyjaśnioną. Zawiera prawdopodobnie wiele tajemnic, które wyjaśnią się z czasem. Na przykład – Cyryl i Metody. Wprowadzili nowość,



tłumacząc liturgię na język starocerkiewny, więc wolno im było, ale oni nie wiedzieli, że to dozwolone. W pewnym sensie można powiedzieć, że było to nawet przewidziane, od zarania czasu, ale nie wiadomo, że było to przewidziane. Na początku myślałem, że prawdy nie zmieniają się nigdy...

– No, nie, nie zmieniają się!

– Oczywiście, że się nie zmieniają, ale wyjaśniają. Jak Ziemia krążąca wokół Słońca.

– Co chcesz powiedzieć, ojcze?

Byli tam razem dwaj kapłani, dwaj ludzie, z których jeden mógłby być ojcem drugiego, twarzą w twarz godnie dzieląc ze sobą chrześcijański posiłek, co stanowi zawsze delikatną, ale pewną aluzję do ostatniej wieczerzy. Ojciec Ilja zjadł skórkę białego chleba, zawsze jadał tylko czarny. W końcu powiedział skromnie.

– Nie wiem.

– Nasz Kościół przeżył wiele zła – podjął temat patriarchy – że nie znamy na razie uczuć, które targają katolikami. Był czas po rewolucji, kiedy zostały podjęte wysiłki w kierunku odnowy, ale to były złe posunięcia, zorganizowane w całości przez CzK, które teraz nazywamy KGB. Może kilka naiwnych osób wpadło w pułapkę, ale celem tego było zniszczenie Kościoła od wewnątrz. To w tym właśnie celu wymyślono ten tak zwany „żywy kościół”, z którym tak bardzo walczyliśmy.

– Wasza Eksceleńcja?

– Między innymi. W latach dwudziestych zostałem wygnany na cztery lata tylko za to, że powiedziałem to, co myślałem. Niestety, zamordowali tylu biskupów, że trzeba było zwrócić się do tych, którzy jeszcze pozostali, tak jak w czasie wojny z Polską wypuścili z więzienia kilku carskich oficerów, tych, którym jeszcze nie podejrzyto gardeł. Mówię więc, że na razie wszyscy siedzimy na garnuszku starej prawdy i nie nadszedł jeszcze czas, aby ją przewracać po to tylko, żeby wprowadzać jakieś nowinki. Ale nie jest zabronione, żeby się zastanawiać. Jak sam siebie klasyfikujesz, ojcze Ilja, jesteś kapłanem

reakcjonistą czy liberałem?

Zdanie to, wypowiedziane w okresie panowania reżimu komunistycznego, wydawało się wręcz nieprawdopodobne, nawet fantastyczne i nawet sam patriarcha czuł się zobowiązany, by je sprecyzować.

– Rozumiem to w sensie religijnym.

Ilja zastanawiał się jakiś czas, zanim odpowiedział. Żył przecież w społeczeństwie, gdzie wszystko było niebezpieczne, a najbardziej niebezpieczną rzeczą było wyrażanie własnych myśli. Kościół także nie namawiał do wymiany poglądów, ani, prawdę powiedziawszy, do jakiegokolwiek ich wyrażania. To, co znajdowało się w książce do nabożeństwa i w godzinkach, musiało wystarczyć uczciwym umysłom. Z drugiej strony, ten człowiek, który siedział przed nim i podnosił widelec do ust z taką elegancją, był jego zwierzchnikiem i sam ze swojej strony miał prawo do absolutnej szczerości. Kilka lat wcześniej, kiedy żył i modlił się spokojnie w swoim monasterze, Ilja nie zrozumiałby nawet pytania, które zostało mu postawione, ale dzisiaj rozumiał je aż za bardzo; dość dużo czytał, dużo medytował, aby zrozumieć, że pytanie, jakie mu zadano, nie należało do tych doraźnych, ale było pytaniem odwiecznym.

– Sądzę, Najwielebniejszy ojcze – powiedział w końcu – chowając się za Pismem Świętym, co daje możliwość pewnej wolności, sądzę, że szabat jest dla człowieka, a nie człowiek dla szabat. Wierzę też, że nowego wina nie powinno się wlewać do starych bukłaków. Ale sądzę też, Wasza Wielbność, że nadejdzie czas, kiedy nie będziemy się bać odnawiać naszych bukłaków. Może nie dzisiaj. Rosyjski Kościół jest na rekonwalescencji i tak właśnie trzeba go traktować.

– Kościół rosyjski trzeba traktować – powiedział patriarcha – tak jak na to zasługuje. Przede wszystkim posiada prawdę prawosławia, ale nie jest sam. Grecy ją także mają, Arabowie, Serbowie, Bułgarzy i prawosławni rozsiani po całym świecie, Francuzi, Chilijczycy, Amerykanie...

Za to pewne jest to, że Rosja istnieje jeszcze tylko dlatego, że istnieje Kościół rosyjski. Z wszystkimi jego wadami, co do których, niech ojciec mi wierzy, nie mam żadnych złudzeń, choćby ten potworny zwyczaj, że parafianin płaci za każdą usługę. Kościół rosyjski jest cementem, który spaja Rosję. On stworzył porządek polityczny i prawny, uświęcił rodzinę, chroni kobietę, potępił lichwę i niewolnictwo. Namalował ikony, zbudował cerkwie i monastera, stworzył muzykę. Od średniowiecza nie ma nic, co nie pochodziłoby od Kościoła. To Kościół pozwolił Rosji zostać Rosją przez trzy wieki tatarskiego jarzma. To on zjednoczył nas przeciw Teutonom, Szwedom, Polakom, Turkom. To Kościół dał nam siłę pokonać Napoleona. Marszałek Stalin sam zrozumiał, że bez Kościoła nie pobije Hitlera.

Usługujący mnich zabrał talerze, zastąpił je innymi, podał kisiel poziomkowy.

– Wezwę cię, jak będę cię potrzebował – powiedział patriarcha (mnich skłonił się i wyszedł. Patriarcha lekko ściszył głos). – Jest coś jeszcze.

Zjadł kilka łyżeczek pachnącego kisielu. Poruszał srebrną łyżeczką z taką doskonałością, że miało się ochotę go naśladować. Kiedy się go widziało jedzącego z takim apetytem, chciało się samemu jeść. Po jakiejś chwili podniósł oczy.

– Zastanawiałeś się, ojcze, czasami, ilu jest męczenników w Kościele katolickim od jego początków? Trudno to ocenić, ale ogólnie mówi się, że jest ich jakieś trzydzieści tysięcy, licząc wszystkich: zgładzonych za Nerona, Dioklecjana, Decjusza<sup>39</sup> w krajach islamu, Japonii, Indiach, Afryce, a także przez rewolucję francuską, hiszpańską wojnę domową. Nie liczę wojen religijnych we Francji, Niemczech, w Wielkiej Brytanii. Mówię tylko o chrześcijanach zabitych przez niechrześcijan. Czy wiesz, ojcze, ilu męczenników straciła Rosja, straciła, a raczej zyskała, w czasie reżimu komunistycznego? Mówię o męczennikach za wiarę.

<sup>39</sup> Trajan Decjusz, cesarz rzymski w latach 249-251 (przyp. tłum.).

Ilja przecząco pokiwał głową.

Patriarcha nadal raczył się kisielem.

– Czy wiesz, ilu było biskupów w Rosji pod koniec caratu?

Ilja jeszcze raz potrząsnął głową.

– Stu sześćdziesięciu trzech. Czy wiesz, ojcze, ilu z tych stu sześćdziesięciu trzech zostało zamordowanych? Torturowanych?

Zagłodzonych? Deportowanych?

Ilja nie wiedział.

– Stu trzydziestu, ani jeden więcej, ani jeden mniej. A całkowita liczba prawosławnych chrześcijan, którzy umarli za wiarę od roku 1917 do lat dwudziestych... 300 tysięcy. W przybliżeniu. Trzysta tysięcy, około dziesięciu razy więcej niż całkowita liczba męczenników chrześcijańskich od śmierci Chrystusa. Czy to nie świadczy wiele o Kościele rosyjskim? „Musimy się radować tym, co Pan nasz dał nam przeżyć w czasach, kiedy możemy musieć cierpieć za siebie samych”. Kto to powiedział? Jego Wielbność Ambroży z monasteru w Swiajsku; Swiajsk to tam, gdzie komuniści wzniesli pomnik Judaszowi. Jego Wielbność Ambrożego znaleziono podziurawionego bagnetami, z obciętymi rękoma i nogami.

Patriarcha wylał trochę mleka na swój kisiel. Mleko rozlało się nieregularnie i teraz kisiel przypominał jakąś nieregularną mapę.

– „Rzeki mleka, brzegi z kisielu” – mruknął Aleksy, jakby przypominał sobie jakiś cytat, albo i wyliczankę zapomnianą od czasów dzieciństwa. Tak, musimy się radować, ojcze Ilja. Jeżeli wierzymy, nawet odrobinę, w znaczenie krzyża, musimy się radować. Prawosławny Kościół rosyjski dał całemu Kościołowi dziesięć razy więcej męczenników w czasie dziesięciu lat, niż on sam zdobył w ciągu dwudziestu wieków. Och! Nie mówię, że katolicy, protestanci, a nawet muzułmanie nie umierali za swoją wiarę z rąk komunistów, ani że ich śmierć była mniej okrutna. Ale liczba, liczba jest niewiarygodna! Wiadomo, że Neron nie znał broni maszynowej, ale mimo wszystko... I zauważyłeś, ojcze? Nikt o tym nawet nie wspomina. U nas, co prawda, nie mamy prawa, o tym mówić, ale na Zachodzie też nikt na ten temat się nie wypowiada.

Elegancko oblizał łyżeczkę i odłożył ją.

– Może są zazdrośni?

Oparł się o oparcie fotela i skrzyżował ramiona.

– Kiedy czytam u świętego Pawła historię pierwszych chrześcijan ukamienowanych, przeszytych mieczami, przepiłowanych na dwoje, mówię sobie, że my, Rosjanie XX wieku, nie mamy czego im zazdrościć. My byliśmy rozstrzeliwani, przywiązywani do ogonów dzikich koni, paleni w piecach statków, gotowani w smole, zamuroywani, zakopywani żywcem, wieszani za włosy, rozgniatani pomiędzy deskami, wrywano nam brody, włos po włosie, wbijano gwoździe do głowy, rozbierano do naga, polewano wodą i przywiązywano do pala na mrozie. Najwygodniejsza była jeszcze ta fosa, na brzegu której zadawano nam pytanie „Jest Bóg?”, a my odpowiadaliśmy „Tak”. I strzelano nam kulkę w tył głowy i padaliśmy na trupy, które padły tam przed nami. Niech ojciec nie sądzi, że opowiadam bajki dla niegrzecznych dzieci. Mamy nazwiska. Pewien ojciec Aristark został oskalpowany. Ojciec Koturow został zamieniony w rzeźbę lodową. Pewnemu ojcu Dymitrowi obcięto ręce jednym ciosem szabli, kiedy robił znak krzyża. Ojca Prigorowskiego pochowano żywcem. Nie pamiętam już, jak nazywał się ten, który został spalony żywcem w stogu siana. Znaleziono tylko krzyż, który nosił na piersi. Najczęściej komuniści nie zwracali ciała. Dawali je psom na pożarcie. Ci biskupi, ci księża, a nawet świeccy ludzie umierali, błogosławiąc swoich katów. Nie sądzisz ojcze, że te trzysta tysięcy męczenników znaczy coś w skali świata? W historii ludzkości? Jeżeli nawet nie śmierć, to choćby to wybaczenie? Każdy z tych trzystu tysięcy gestów wybaczenia?

– Wasza Wielobność – powiedział ojciec Ilja – jestem byłym żołnierzem i widziałem w życiu wiele okrucieństw, ale to, co opowiadasz... Więc jesteście ludem innym od innych? My, Rosjanie?

– Och! Nie! – powiedział patriarcha. – Nie czytał ojciec historii wojen w Wandei? Francuzi nie mają nam czego zazdrościć. Mówię o ateistach francuskich, dzieciach oświecenia. Jak nasi komuniści są

dziećmi idealizmu niemieckiego. Napijesz się, ojcze, herbaty?

Potrząsnął srebrnym dzwoneczkiem i młody mnich wniósł na tacy samowar, czajniczek do herbaty, cukiernicę, dwie szklanki w koszykach i suche ciasteczka na półmisku.

– No cóż – powiedział patriarcha – zabawię się w panią domu. Ile cukru? A herbata, ma być mocna?

Podał Ilji szczypczykami dwie kostki cukru, sam wziął sobie trzy, palcami. Wlał bardzo mocnej herbaty do szklanek i rozcieńczył ją wrzącą wodą z samowara.

Potem, nagle jakby przez nieuwagę, albo jakby coś ich w tamtym kierunku przyciągnęło, spojrzeli na trzy ikony, które, ozdobione haftowanymi serwetkami, haftowanymi na czerwono i niebiesko haftem krzyżowym, wisiały wysoko na ścianie jadalni. Kopia Świętej Trójcy Rublowa, święty Siergiej i Matka Boska *Hodigitria*, trzymająca Syna przed sobą, by lepiej pokazać światu, że on jest Drogą. Aleksy wydawał się „podłączony” do tych ikon niczym jakieś urządzenie elektryczne podłączone do prądu, aby z niego czerpać energię. Cisza trwała minutę, może dwie. Ilja czuł, że patriarcha zapomniawszy, że w rękę trzyma szklankę z gorącą herbatą, po prostu się modli.

W końcu starzec postawił szklankę na spodku, nie podniósłszy jej do ust i wstał ruchem tak pełnym werwy, że było to aż dziwne, zważywszy na jego wiek. Musiał mieć około osiemdziesięciu lat. Podszedł do okna wychodzącego na ośnieżoną przestrzeń i wydawał się zapaść w kontemplację.

Ilja spokojnie popijał herbatę. To było przyzwyczajenie, jakie wyniósł jeszcze z wojska. Dają ci jeść, jedz, dają ci pić, pij.

– Ojcze Ilja – powiedział patriarcha, stojąc do niego tyłem, prawie nieśmiało.

– Tak, Wasza Wielebność?

– Mam dla ciebie propozycję.

## 6.

Ciepło, doskonale jedzenie, trzy kieliszki wódki, wszystko to pograżyło Ilję w półśnie, półupojeniu. Słyszał patriarchę jakby zza zasłony wyciszającej dźwięki.

– Ach! Przypomniałem sobie jedną z tych historyjek – powiedział patriarcha – to jedna z tych zabawnych historii, które opowiadali moi bracia.

Mówił wciąż odwrócony w kierunku okna.

– To było w czasie, kiedy oficerowie usiłowali wychować odrobinę swoich żołnierzy. Sposób, jak każdy inny, żeby zbliżyć się do ludzi. „Wyobraź sobie – powiedział kapitan do ordynansa – jest wojna, a ty sam jeden spotykasz regiment Niemców. Co robisz? «Zmykam jak się da Wasza Szlachetność». – Co? Ty, żołnierz rosyjski, ty zmykasz jak się da? Głupi! Powinieneś powiedzieć... «Wycofuję się na z góry upatrzone pozycje». – «Dobrze, Wasza Szlachetność. Wycofuję się na z góry upatrzone pozycje». – Dobra, teraz wyobraź sobie, że spotykasz rozwścieczonego byka. Co robisz? – «Zmykam jak się da, Wasza Wysokość». – Ty, żołnierz rosyjski, ty zmykasz jak się da? «Nie, nie Wasza Wysokość. Wycofuję się na z góry upatrzone pozycje!» – Przed bykiem? Idiota! Powinieneś powiedzieć: «Zabijam go i przynoszę towarzyszom na kolację». – «Dobrze, Wasza Szlachetność, zabijam go i przynoszę towarzyszom na kolację». Dobrze, teraz idziesz przez pole bitwy i widzisz jak ja, twój kapitan, leżę ranny, a z rany ciecze mi krew. Co robisz? «Zmykam jak się da». – Co? Od własnego kapitana, który może jest śmiertelnie ranny? «Nie, nie. Wycofuję się na z góry upatrzone pozycje». «Idiota! Przecież mówię, że jestem ranny, co mógłbym ci zrobić?». «Dobrze, Wasza Szlachetność, zabijam pana i przynoszę towarzyszom na kolację?». Głupie, prawda? Ale pochodzi ze świata, który pod wieloma względami był taki niewinny... To kawał mojego dzieciństwa, ojciec Ilja, widzę jeszcze moich braci w mundurach

kirasjerów z wysokimi czapkami, a na nich dwugłowe orły, z tyłu końskie ogony...

Patriarcha wrócił i usiadł do stołu.

– Najpierw muszę ci wytłumaczyć i proszę, wybacz, ojcze, jeżeli będzie to wyglądało na wykład.

Mówił lekko, doskonale panując nad tematem. On nie był samoukiem.

– Pojęcie świętości jest w człowieku fundamentalne – powiedział – objawia się w dwóch postaciach: świętości religijnej i świętości świeckiej. Co do świętości religijnej, sprawa jest oczywista. Co do laickiej, jest mniej oczywista, ale jest niepodważalne, że najwyższa władza laickiego państwa, nawet jeżeli ona sama nie nazywa siebie Bogiem, ma coś z sacrum. Władza wojskowa posiada liturgię wojskową. Nawet kapral ma więcej z tej świętości niż ktoś, kto mu podlega. Iłja przyznał mu rację. Tak samo przywódca religijny może dzierżyć swoją władzę jedynie wtedy, kiedy posiada autorytet, nie tylko religijny. Biskup przewodzi kapłanom, a kapłani parafii dlatego, że zostali do tego powołani, a te funkcje nie mogą być wykonywane bez osobistego autorytetu i współdziałania społeczeństwa. W zasadzie tam, gdzie te paralele się łączą, inaczej mówiąc, w Bogu, który jest Bogiem, ale także Królem Królów, źródło tych dwóch form świętości jest właściwie to samo, ale tu, na tym świecie, jesteśmy zmuszeni je rozróżniać. Faktem jest, że one się ze sobą łączą. Z jednej strony, Rosjanie-ateiści odczuwali potrzebę złożenia Lenina w mauzoleum, Francuzi, także ateiści, przekształcili Kościół w panteon dla swoich wielkich. Z drugiej strony, proboszcz ma władzę nad parafią, biskup nad proboszczami, a patriarcha nad biskupami. Cofnijmy się w czasie. Koncepcja króla-kapłana jest fundamentalna we wszystkich społecznościach. To w nim te dwie świętości się łączą. Egipcjanie wymyślili to lepiej, ich faraon był po prostu Bogiem. Rzymianom też nie brakowało przebiegłości, ich cesarz był wiecznie w drodze do swojej apoteozy i za jego życia już składano mu ofiary. Tego typu zachowania są zabronione chrześcijanom, ale problem tak czy tak sam



się narzuca, a tym problemem są relacje państwo – Kościół. Zresztą sam Jezus Chrystus powiedział: „Oddajcie Cesarzowi, co cesarskie, a Bogu to, co boskie”. Tylko, że nie powiedział, jak to zrobić. Święty Paweł jeszcze bardziej skomplikował sytuację, oświadczając, że każda władza pochodzi od Boga, więc należy jej się poddać. Te dwie koncepcje sobie przeczą. Cezaropapizm długo był hołubiony na Zachodzie, przynajmniej w dwóch formach. Z jednej strony rzymscy papieże mieli swoje własne państwo, którym rządili jak laicy monarchowie, z drugiej strony chcieli rządzić książętami, rzucali anatemy na królów, prawili kazania, wlekli cesarza Świętego Cesarstwa Niemieckiego do Canossy. Dla nich jasną sprawą było to, że władza duchowa powinna dominować nad polityczną. Nazywali to teorią dwóch mieczy. W rzeczywistości chętnie widzieliby się cesarzami świata, i to można zrozumieć. Jeżeli Chrystus jest Królem Królów, a papież rzymski uważa się za Wikariusza Chrystusa, i cała ludzkość pewnego dnia ma się połączyć w niebiańskim Jeruzalem, normalne jest, że rzymski papież rządzi ziemskim Jeruzalem. Z drugiej strony wschodni cezarpapizm polegał na odbijaniu piłeczki między cesarzem Bizancjum a patriarchą Konstantynopola. Cesarz uważany był za „biskupa zewnętrznego”, szczególnie rodzaj kapłana, na którego rozkaz zbierały się sobory. Otrzymał swoją władzę z rąk Kościoła. Polityka była więc w rękach cesarza, ale podlegała sferze ducha. Duchowość była w rękach patriarchy, który sam podlegał cesarzowi w sprawach polityki. Rosja odziedziczyła system bizantyjski. Najpierw podlegała patriarsze Konstantynopola, od końca XVI wieku miała już swojego patriarchę, który zawsze żył w dobrych układach z carem. Uważając, że patriarcha za bardzo miesza się do polityki, Piotr Wielki najzwyczajniej w świecie zlikwidował to stanowisko i złączył w swojej osobie te dwie władze, powierzając duchowość synodowi biskupów. Trzeba było rewolucji, aby Kościół odzyskał swoją własną hierarchię wraz z patriarchą Tichonem, który był prześladowany i umarł w więzieniu. Potem był patriarcha Sergiusz...

– A teraz Wasza Wielbność...

Patriarcha westchnął głęboko.

– Tak, a teraz ja, ojcze. Proszę mi wierzyć, to nie jest ciepła posiadka. Od samego początku reżim komunistyczny usiłował wyrwać Kościół z korzeniami, zniszczyć, wyeliminować. Jezus jednak dotrzymał słowa. Kościół oparł się bramom piekielnym. Potem komuniści chcieli nim zawładnąć. Powstał nowy Kościół i tylko źli kapłani do niego się przyłączyli, a nam udało się pokazać, że nie jest wiele wart. Nadszedł czas, kiedy chcieli go spenetrować od środka. Agenci KGB nawiedzali seminaria duchowne, wyświęceni byli na kapłanów, udzielali sakramentów, i trudno nie było się zastanawiać nad ich wartością, nad wartością tych sakramentów *ex opere operatio* albo *ex opere operantis*. Ja sądzę, że były ważne, że Chrystus schodził na ich ołtarze... Ale czemu to wszystko miało służyć? Gwałcono tajemnice spowiedzi tu i tam, jakie były tego rezultaty? To miałoby jakiś sens, gdyby Kościół konspirował, ale mieliśmy słowa Tichona, który rzucając klątwę na naszych prześladowców, namawiał wiernych, by cierpieli za Chrystusa. W czasie wojny domowej odmówił pobłogosławienia armii antykomunistycznej, tak samo jak i komunistycznej, „bo w Kościele nie ma miejsca dla bratobójstwa, jakiegokolwiek by były jego przyczyny”. W swoim testamencie wyraźnie napisał, że sowiecka władza zapanowała w Rosji „z woli Bożej, bez której nic nie może się zdarzyć”. Ten testament wymogli na nim prawdopodobnie przemocą, nie wiem, ale dla nas to nic nie zmienia. My, dygnitarze Kościoła, nie możemy go zanegować. A więc po co ta infiltracja, ci wszyscy agenci? Paranoja zdeprawowanych robotników? Albo, jak się sądzi, chęć zniszczenia Kościoła nie za to, co Kościół robi, ale za to, czym jest? Upór w dziele Antychrysta? Te czasy, ojcze Ilja, już minęły, Och! Jest jeszcze w naszych szeregach kilka wtyczek, znamy ich, nie robią nam krzywdy, czasami używamy ich nawet do pewnych zagrywek z władzą, przekomarzania się z nią albo wprowadzania w błąd co do pewnych detali. (Przebiegły uśmiech przebiegł przez delikatną twarz patriarchy. Ilja wyobraził go sobie jako małego

chłopca, którym mógł być). To się przydaje w obecnych czasach. Nikita Siergiejewicz<sup>40</sup> zdecydował się przykręcić nam śrubkę, obiecuje, że od dziś do 1980 roku w Rosji nie będzie ani jednego kapłana, ale w rzeczywistości zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie nas zlikwidować. Teraz rzeczy odbywają się na zupełnie innym poziomie. Chyba nie powiem nic nowego, jeśli przyznam, że utrzymujemy kurtuazyjne relacje z Komitetem Spraw Kościoła Prawosławnego Rosji, który jest placówką KGB na rozkazach generała Karpowa. Czego od nas chcą? Żebyśmy się za bardzo nie rozwijali na terenie Rosji, żebyśmy walczyli o pokój na świecie, między innymi w Ekuumenicznej Radzie Kościołów. Nie jest to najgorsza pozycja do targowania się, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że to sytuacja przejściowa, że to się zmieni. Ja sądzę, że zmieni się na lepsze dla nas, ale tylko wówczas, kiedy będziemy dobrze grać w tę grę. A ta gra – sądzę, że nie powiesz ojcze, iż nie mam racji – ta gra to sprawa układów. Powiedziałem układów, a nie infiltracji pierwszych przez drugich, albo drugich przez pierwszych. Mamy w tej chwili kogoś, kto się tym zajmuje, ale to umęczona dusza, ktoś, kto miał trudne życie, ktoś, kto wiele sobie zarzuca. Ktoś, kto chce odsunąć się od życia i zaszyć w jakimś monasterze.

Szukam zastępcy.

Zgodzi się pan, generale?

<sup>40</sup> Chruszczow.

Patriarcha wyraźnie powiedział „generale”.

Po raz kolejny życie Traktora-Ilariona-Klimenta-Ilji zmieniało bieg. Czy Bóg wciąż będzie przed nim stawiał tak trudne zadania?

– Dlaczego ja? – zapytał.

– A może wiśnióweczki?

Nie czekając na odpowiedź, Aleksy I nalał likieru wiśniowego, skosztował go z mieszaniną łakomstwa i obojętności.

– Niezła... Dlaczego ty, ojcze? Zaraz ci powiem. Przynajmniej dlatego, że masz w sobie dobrą mieszaninę wątpliwości i dyscypliny, że jesteś w stanie iść za swoją ideą, niekoniecznie doprowa-

dzając ją do końca. To rzadka zaleta. Większość ludzi musi mieć pewność. Niepewną pewność wiary i dumną pewność rozumu. Albo „wierzę, że”, albo „wiem, że”. Jak ci to już powiedziałem, jesteś realistą. To mi się podoba i ta cecha jest konieczna do wykonywania misji takiej jak ta, którą ci proponuję. Z drugiej strony interesowałem się twoim życiem. Nie wiem, jakie zdarzenie życiowe rzuciło cię do zakonu, ale wiem, że nie byłeś zupełnie przygotowany na taką decyzję, na którą duchowo się zgodziłeś. Trzeba... jakby to powiedzieć... trzeba mieć kręgosłup. Jesteś dobrym proboszczem, nawet zaczynasz uchodzić za uczonego, z tego, co słyszę. Masz zdolności dostosowawcze, które nie każdy posiada. A to byłoby nieodzowne w twojej nowej misji. Poza tym trzeba mi kogoś, do kogo miałbym zaufanie, ale i kogoś, komu i oni mogliby ufać. Byłeś najmłodszym generałem w Armii Czerwonej, nie mogą nie brać ciebie na poważnie. Są pewne zależności stopni. Ja żądałbym dla ciebie stopnia generała z błękitnymi galonami, w ten sposób rozmowa z nimi od razu zmieni się jakościowo. Nie będziesz musiał kłamać, choć oni będą sądzić, że mają swojego człowieka pomiędzy nami. Ja zaś będę miał swojego człowieka w ich szeregach. Proszę nie zapomnieć o dwóch sprzecznościach. Po pierwsze, rząd sowiecki jest w tej chwili jedynym rządem, który Rosja posiada, i jedynym, który w pewnym sensie równoważy amerykański imperializm. Druga rzecz, ten rząd w zamiarach i naturze jest diaboliczny.

– Wysłał mnie Wasza Wielbność na kolację z diabłem?

– Jak to mówią Niemcy, będziesz musiał zaopatrzyć się w długą łyżkę.

Teraz nadeszła kolej na Ilję, by wstał i rozprostował sobie kości. Zrobił to bez zakłopotania. Musiał się zastanowić. Obszedł stół wielkimi krokami, jego riasa frunęła za nim. Było mu za gorąco. Chętnie otworzyłby niewielkie okno, ale nie ośmielił się.

– Wasza Wielbność – powiedział w końcu – jestem mnichem i złożyłem śluby posłuszeństwa. Więc to nie jest dla mnie propozycja, to rozkaz. Chciałbym, aby Wasza Wielbność przez chwilę pomyślał

nie tylko o dobru Kościoła, ale także o dobru tego biednego popa, Ilji, którym jestem. Sądziś Wasza Wielbność, że ta misja jest dla mnie odpowiednia? Nie sądziś, że zatracę w niej duszę? Jestem prostym człowiekiem, z ludu, liźnąłem trochę wiedzy tu i tam, ale nigdy nie będę miał tej solidnej wiedzy, jaką dają szkoła średnia i studia uniwersyteckie. Z drugiej strony, jeżeli mam w sobie pewną skromność, której nauczyłem się w zakonie i w pewnej mierze także w parafii, jako oficer także nie byłem człowiekiem nieszczęśliwym. Lubiłem rozkazywać, lubiłem, jak mi usługiwano, lubiłem dobre życie. Jestem człowiekiem z krwi i kości. Czy pomyślałeś, Wasza Wielbność, o pokusach, na które mnie skazujesz? Jesteś pewien, że im się oprę? Nie znam KGB, ale znam wojsko. I nie chodzi o trzy naporstki wódki, które trzeba wypić, będę musiał się z nimi bratać! I może mi się to spodobać!

Podniósł głos. Mały szczupły patriarcha wciąż na niego patrzył. Ilja był wielki, kwadratowy, obszerny... Potężny.

– Wódka? Masz posturę, która pozwala ci ją pić. Jeszcze coś?

Zapadła długa cisza. Obaj wiedzieli, o czym myślał. Ilja myślał o stosie nagich zakrwawionych kobiet ułożonych jedna na drugiej, sklejonnych jedna z drugą, jak ryby w puszcze.

Ukląkł.

– Nie, Wasza Wielbność. Nic więcej.

– Więc pomódlmy się – powiedział patriarcha.

Kłękać było patriarsze trudniej, niż wstawać. Musiał oprzeć się na ramieniu Ilji, mocnym i szerokim ramieniu. W pewnym momencie Ilja podtrzymał go pełnym szacunku gestem. Potem obaj pochylili się, zachwiawszy w kierunku trzech ikon, przeżegnali się powoli i zatopili w modlitwie, jak nurkowie, zanurzając się, schodzili pod wodę.

ROZDZIAŁ V

WIELKA WIERA

*Lata 70.*

# 1.

Wielka Wiera spotkała Jurija na wydziale prawa w Leningradzie. Mocno zbudowana, z wychudłymi policzkami i szarymi oczami, z dumną, choć oschłą twarzą, była szczerą wyznawczynią marksizmu-leninizmu i nie wątpiła, że należy nań nawrócić świat. Nie była ślepa i widziała niedoskonałości systemu, ale tłumaczyła je jako fazę przejściową. Kiedy nadejdzie światowy komunizm, to dopiero się zobaczy to, co się zobaczy. Do dziś nienawidzi zdrajcy Trockiego, choć nie była daleka tak jak i on od naiwnej wiary, że za komunizmu „porody będą bezbolesne, że człowiek stanie się nieskończenie silniejszy, mądrzejszy i subtelniejszy”, że „ciało ludzkie stanie się bardziej harmonijne, ruchy bardziej rytmiczne, a głos bardziej śpiewny”, że „zwykły człowiek wzniesie się do poziomu Arystotelesa, Goethego lub Marksa”.

Miała kilka wymówek, którymi karmiła to marzenie o apokaliptycznym komunizmie. Należała do potomków dwóch inteligenckich rodzin petersburskich, w których ateizm był regułą i gdzie wszystkie zalety przypisywano „ludowi” (który znano zresztą bardzo słabo), oddając się takiej misji odkupienia świata, że nawet Dostojewski by jej pozazdrościł. Wybryki rewolucji wydawały się takim ludziom konieczną odpłatą za przeszłe nadużycia i przyjmowali bez buntu wszelkie braki, do których zmuszała ich ekonomia sowiecka. „Przynajmniej teraz mamy honor żyć jak przeciętny muzyk”.

Potem było oblężenie Leningradu. Najdłuższe z wszystkich oblężeń w historii. Dłuższe znano tylko z legend. Dziewięćset dni, dziewięćset nocy, zimna, bombardowań, 600000 zabitych, milion po- grzebanych pod gruzami, obywatele obojga płci zamienieni w codziennych grabarzy, którzy grzebią bliskich, a obok tego zajadły opór, który w końcu pokonał armię generała von Leeba. Ten opór, podtrzymywany przede wszystkim i mimo wszystko przez zaciekły patriotyzm, był wzmacniany z dnia na dzień przez polityczną energię

Żdanowa, który z tego uczynił jakby wyprawę krzyżową. Kiedy wreszcie świętowano zwycięstwo, jak komuniści mogli nie przypisać go czystości ich własnej doktryny?

Wiera zrodzona ze zwycięstwa była przekonana, że było to zwycięstwo odniesione przez komunizm. To dlatego zainteresowała się studiowaniem prawa. Jej ambicją było wykazanie, że nie może istnieć żadne inne prawdziwe prawo jak tylko prawo ustanowione przez marksizm-leninizm. Że wszystkie inne były tylko zarysami praw. Jej rodzice byli lekarzami przywiązani do skromnych wartości, dziwili się, że udało im się spłodzić z własnych biednych genów kogoś tak ambitnego i patrzyli na swoją pociechę z prawie świętym oburzeniem, jak rodzice Joanny d'Arc, gdyby oczywiście ta powiedziała im o głosach, które słyszała.

Jurij był od Wiery młodszy o rok. Pochodził z zupełnie innego środowiska. Jego dziadek był carskim oficerem i w konsekwencji tego jego ojciec nie mógłby studiować, gdyby wielka wojna nie uczyniła pewnych wyjątków. W rezultacie ojciec Jurija zrobił szkołę oficerską i walczył w szeregach Armii Czerwonej, wrócił z frontu z epoletami, znakiem hańby za czasów Lenina, który to Stalin przywrócił do łask. Matka Jurija była córką kapłana zamęczonego przez bolszewików. Jej rodzina cały czas pozostała wierząca i dyskretnie praktykująca. Mieli już dość nieszczęść i nie mieli zamiaru prowokować władzy, ale modlili się i przestrzegali postów. Jedyne, do czego przyznawali się bez lęku, to do kultu, jaki mieli dla odwiecznej Rosji. To nie było niebezpieczne. Aleksander Newski był święty, ale go rehabilitowano, nie mówiąc o Piotrze Wielkim czy Iwanie Groźnym.

Jurij wyrósł w tej codziennej patriotycznej pobożności. Jego spadkiem było służenie ojczyźnie, ale aby służyć ojczyźnie, o ile nie było się rewolucjonistą, a on nie był, należało służyć rządowi, jakkolwiek by był. Całkiem więc naturalną kolejną rzeczą postanowił zostać żołnierzem. Nie obyło się też bez tego, by był „pionierem”, potem komsomolcem; mógłby nawet wstąpić do partii, jeżeli zostałby do niej przyjęty, ale strona filozoficzna takiej konieczności jakoś mu



umykała. Była formalnością. Pomyślał więc o wojsku. Jednak jego oceny z matematyki nie były doskonałe. Doskonale za to radził sobie z literaturą. Poza tym uprawiał sztuki walki i skoki spadochronowe. To pewnego dnia poddało mu pewien pomysł, może szalony, a gdyby tak służyć państwu na najwyższym szczeblu, tam, gdzie matematyka nie ma nic do rzeczy, a języki liczą się bardzo? Dlaczego nie wstąpić do najwyższej elity, do KGB?

Oczywiście członkowie KGB nazywali się jeszcze czekistami, a to właśnie czekieści sprawili, że jego dziadek zmarł w męczarniach, ale to nie byli ci sami czekieści. Ci dzisiejsi pracowali z narażeniem życia, aby chronić Rosję przed ludami ościennymi, które po kolei jej zagrażały: Mongołami, Turkami, Szwedami, Niemcami i Polakami, a nawet dwukrotnie Francuzami (a tym co znowu zrobiliśmy?) – święta Rosja, która z takim wysiłkiem im się opierała, jednym po drugich, w końcu się podniosła. Włożyć mundur dla młodego Jurija było wielką dumą. Odgadł, że do służb specjalnych nie biorą ochotników, bo ich nieufność w stosunku do kogoś takiego jest zbyt wielka, poszedł więc na wydział prawa w Leningradzie, skąd rekrutowano przyszłych czekistów.

I czekał.

Czekał i spotkał Wierę.

Byli do siebie trochę podobni. Mogliby być rodzeństwem. Oboje wysocy z wąskimi mimo młodego wieku, pobrużdżonymi twarzami, z wysoko sklepiionymi kośćmi policzkowymi, z gęstymi brwiami, na których koncentrowały się wszystkie spojrzenia; on miał oczy brązowe (było w nim trochę gruzińskiej krwi), ona miała jasną cerę i ciemne włosy, oboje nosili je krótko obcięte, jej były prawie tak krótkie jak jego, spodobali się sobie od pierwszego wejrzenia, a ich sposób bycia jeszcze ich do siebie zbliżył. On pił mało, ona wcale. Oboje lubili taniec klasyczny i poezję, ona w dziedzinie prawa była bardziej zaawansowana i mogła mu pomagać, ale że chciała uczyć się karate i skakać ze spadochronem, on mógł w tych dziedzinach udzielać jej rad.

Oboje byli czyści i zamierzali tacy pozostać, on do dnia ślubu, ona do spotkania wielkiej miłości. Jak to bywa często u młodych ludzi, byli tak zachwyceni podobieństwami, jakie u siebie widzieli nawzajem, że wszelkie różnice im umknęły. On nie mówił nic na temat jej uczuć politycznych, których nie podzielał, ona zaś nie zauważyła, że w piątki nie jadał ani mięsa, ani jaj, ani sera, masła czy mleka.

Jurij odczuwał dla Wiery niewypowiedziane uwielbienie. Uważał, że jest niesamowicie piękna i inteligentna; była dla niego wyobrażeniem kobiecości czystej i nietkniętej, była świętością; jeżeli czasem zdarzyło mu się przypadkiem dotknąć jej ręki, był tym zarazem poruszony i zawstydzony. Byłoby nieprawdą, gdyby powiedzieć, że jej nie pragnął, ale to pragnienie ukrywał tak głęboko, że sam o tym nie wiedział; gdyby je odkrył, czułby się jej niegodny.

Wiera mimo że odczuwała do niego uczucia matczyne albo w każdym razie siostrzane, chciała absolutnie być go godna, szczególnie od dnia, kiedy wracając z Kirowa, gdzie po raz trzeci obejrzeli *Jezioro Łabędzie* (bilet kosztował tyle co nic), on wyznał jej, dlaczego poszedł na prawo.

– Wiem, nie jestem tak zdolny jak ty, ale wiem, że nas obserwują, a zresztą sądzę, że się nadaję.

Na samą myśl, że ten wspaniały chłopak, z którym spędzała całe dnie, mógłby służyć komunizmowi na pierwszej linii, serce Wiery aż podskoczyło w piersi, ale sądziła, że lepiej będzie ukryć to wzruszenie.

– Może się nadajesz, ale nie wiem – wyznała – czy dostatecznie przykładasz się politycznie. Wydaje mi się, że niezbyt często widać cię na spotkaniach komsomołu, o ile cię nie przywołam do porządku, i wydaje mi się, że z marksizmu-leninizmu miałeś 3, a nie 5. Jeśli chcesz być czekistą, musisz bardziej się postarać.

– Zgoda, Wiera – powiedział Jurij – następnym razem dostanę 4.

Dostał 5. Możliwe, że właśnie ta ocena była najważniejsza na koniec drugiego roku studiów. Kiedy wrócił do domu, zastał rodziców poruszonych, ojca spokojnego emeryta, który w swoich starych podszytych watoliną mundurach czytał „Izwestia”, i matkę, która

martwiła się jedynie, jak można posolić ogórki, albo ile ziaren jałowca dodać do wódki.

– Jureczka – denerwowała się – coś ty nabroił?

Ojciec wstał z zapadniętego fotela, z opuszczonymi okularami, z surowym, niespokojnym, wyrazem twarzy.

– O co chodzi – zapytał Jurij – był spokojny i wiedział, że nic nie „nabroił”, nic z tego, cokolwiek matka miała na myśli: czy tłuc naczynia w restauracji, dać się złapać po pijanemu policji, nie okazać szacunku przełożonemu, obrazić moralność publiczną, publicznie wyrażać swoje opinie, których nie byłoby w dzienniku „Prawda”. Więc o co chodziło?

– Przed chwilą był telefon – powiedziała matka.

– Tak, był – potwierdził ojciec.

– I ja odebrałam – powiedziała matka.

– Tak, ona odebrała – potwierdził ojciec, który zresztą nigdy nie odbierał telefonów.

– I z tamtej strony odezwał się major – powiedziała matka. – Major Iwan Iwanowicz Iwanow. Bardzo grzeczny. Nie spodobało mi się to. To coś musi znaczyć. Zapytał, czy tu mieszkasz. Jurij Nikolajewicz Czebrukow.

– Dokładnie. Jurij Nikolajewicz Czebrukow – potwierdził ojciec.

Resztę trudniej było mu potwierdzić, bo nie rozmawiał przez telefon.

– I powiedział, że chce cię widzieć – ciągnęła matka. – Powiedział „za naszą wspólną zgodą”. Wyobrażasz sobie? Za waszą wspólną zgodą. Toż koń by się uśmieł! Ty ledwie co wyrosłeś z pieluch, a on jest majorem KGB.

– KGB? Skąd wiesz, że on jest z KGB?

– Dobry Boże! Przecież mi powiedział! Zostawił numer telefonu. Masz iść do Szarego Domu. Cóżes nabroił Jureczka? Nic nie kryj, mów! Ojciec ci wybaczy!

Jurij oparł się o ścianę, jakby zemdlął, książki wysunęły mu się z rąk i upadły na podłogę.

## 2.

Spotkanie, którego spodziewał się nazajutrz, odbyło się dopiero za trzy tygodnie i Jurij nie mógł się oprzeć, by nie opowiedzieć o tym Wierze.

Oczy Wiery przez chwilę były ekstatycznie wpatrzone w jego oczy, potem powiedziała mu dziwnym tonem, który miał w sobie coś głęboko nieświadomionego.

– Poinformujesz mnie.

Spotkanie z kapitanem Iwanem Iwanowiczem Iwanowem nieco go rozczarowało. Jurija oczywiście nie przyjęto natychmiast, ale dano mu wielkie nadzieje. Pod koniec trzeciego roku prawa, jeżeli wszystko będzie dobrze, mógłby wstąpić do jednej ze szkół KGB. Powiedział o tym Wierze, kiedy szli po piaskowych alejach Ogrodów Taurydzkich. Ona westchnęła głęboko i powiedziała.

– Przyjdiesz do mnie w sobotę. O trzeciej.

Kiedy wróciła do domu, powiedziała rodzicom, że sobotnie popołudnie mają spędzić u przyjaciół, znajomych, no w ogóle gdziekolwiek.

– Dlaczego? – zapytała matka.

– Bo potrzebuję mieszkania.

Potem wytłumaczyła.

– Przyjmuję znajomych.

Doktorostwo Wassilczikow, mąż i żona, sterroryzowani przez tę wielką, nieforemną dziewczynę, nie wiadomo jakim cudem zrodzoną z nich samych, pośpiesznie opuścili mieszkanie po szybkim sobotnim obiedzie.

Mieszkanie składało się z jednego pokoju, ale tak jak mieszkanie Czebrukowów było zupełnie niezależnym mieszkaniem z łazienką i kuchenką, gdzie nawet można było jadać posiłki. Wiera miała własny kawałek pokoju, bez okna, to znaczy kącik w rogu pokoju oddzielony za pomocą dwóch zasłon, za którymi ustawiono dla niej wąskie łóżko

i szafkę nocną.

Jurij zadzwonił.

Wiera otworzyła.

W ręku miał bukiet dalii. Pierwszy raz w życiu dawał kwiaty. Wzięła je i zanurzyła w nich twarz. Dalie nie pachniały. Uśmiechnęła się. Uśmiechała się rzadko. Powiedziała „chodź” i po raz pierwszy wzięła go za rękę, ręką, której brzeg stwardniał od desek i cegieł, które rozłupywała ćwicząc karate.

Przeszli przez pokój bez pośpiechu. Cała ściana zajęta była półkami z białego drewna, gdzie rzędem w kolorowych okładkach stały dzieła wszystkie Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, ale także Puszkina, Niekrasowa, Jesienina.

– To moje – powiedziała Wiera przechodząc.

Książki medyczne rodziców ułożone były pod ich dwoma bliźniaczymi łózkami ustawionymi w prawym rogu pod oknem, które wychodziło na jesienną Nową.

– Zapraszam do siebie – powiedziała i weszli do alkowy.

Odwróciła się ku niemu, w cieniu wzięła go w ramiona i ucałowała z pasją w usta.

Jurij patrzył na nią przerażony.

– Co będziemy robić?

– Pobierzemy się – powiedziała. – Rozbierz się.

Położyła się naga, kiedy on także już był nagi, rozkazała:

– Na mnie.

Pochylił się nad nią, wtedy zobaczyła jakiś przedmiot wiszący na jego szyi.

– Co to jest? – zapytała, wskazując to coś palcem.

– Krzyżyk. Mój krzyżyk od chrztu. Prawosławni nigdy nie rozstają się ze swoimi krzyżykami.

– Jesteś ochrzczone?!

Było to coś takiego, jakby on jej oświadczał, że jest chory na syfilis. Może nawet gorzej.

– A ty nie? – zapytał Jurij.

Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiał. Potem w ciemności były tylko te dwie pary wpatrzonych w siebie oczu. Te dwa ciała, ciało kobiety i ciało mężczyzny mogły się rozstać i historia świata pewnie by się od tego nie zmieniła. Tylko że Jurij zapytał:

– Może powinienem go zdjąć?

To był prościutki miedziany krzyżyk z wygrawerowanymi słowami „Zbaw i zachowaj”. Zwiisał teraz na sznureczku nad sterczącymi piersiami Wiery.

Pomyliła się. Myślała, że Jurij jest w stanie zdjąć ten krzyżyk z obawy, że ją obrazi, że obrazi jej ateistyczne uczucia, więc powiedziała:

– Dlaczego?

– Dlatego – wyszeptał wciąż nad nią – bo to, co będziemy robić, to wielki grzech.

Na te słowa spoliczkowała go ze wszystkich sił prawą ręką, tak że aż zagrało mu w lewym uchu. Nagle, tracąc wszelkie zahamowania, cały wstyd, rzucił się na nią z wściekłością i gwałtownością, która dojrzewała w nim, atletycznym prawiczku, już od dwudziestu pięciu lat.

Potem wyznała mu:

– Tego dnia poczułam, jak zalewa mnie Dniepr.

### 3.

Ich związek był szczęśliwy do tego stopnia, że Wiera uważała, iż Jurij szanuje ją za bardzo.

– W końcu pocałuj mnie porządnie, nie jestem ikoną, którą się ledwie muska ustami!

Małżeństwo nie obyło się jednak bez zatargów.

Wiera, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, czuła rzeczy takimi jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy to skonsumowanie małżeństwa uważano za sakrament. Uważała, że jest już mężatką i zgadzała się jedynie na zapis w ZAKS-ie, urzędzie stanu cywilnego, i na pielgrzymkę pod pomnik Lenina. Jureczka, który we wszystkich innych przypadkach robił wszystko, czego od niego zażądała, nie ustępował. Nie był w stanie ustąpić. Oczywiście, tak, mógł grzeszyć, ale nie miał zamiaru robić z tego przyzwyczajenia. I nie mógł żyć, nie przyjmując komunii. Nie mógł przyjmować komunii, nie spowiadając się, a nie mógł przecież za każdym razem spowiadać się z tego samego grzechu, nie wyrażając skruchy i obietnicy poprawy.

– Więc co? – krzyczała z głębi swojego niewielkiego łóżka. – Chcesz, żebyśmy poszli do kościoła, ze straszidłami na ścianach, żebyśmy latali trzy razy dookoła komody z dziurawym garnkiem na głowie?

– Nie – odpowiadał spokojnie Jurij – poprzedzani przez kapłana, trzy razy obejdziemy pulpit i będzie to symbol naszego przyszłego, wspólnego życia i włożymy korony na głowy, aby pamiętać, że tego dnia będziemy księciem i księżniczką w tym maleńkim Kościele, który stworzymy we dwoje, a także aby pamiętać o tym, że małżeństwo to świadectwo, czyli męczeństwo, a męczennicy mają prawo do korony.

– Ale ja nie wierzę w to wszystko!

– Kochasz mnie takiego, jakim jestem, a dla mnie to są podstawowe sprawy.

– Nie. Nie będę brała udziału w tych dziecinadach. Kiedyś religia była opium dla mas, teraz to już tylko kiepski cyrk, a ja nie będę bawić się w klauna!

Nie postawił jej ultimatum. Tylko tego dnia opuścił ją, żegnając równie czule jak zawsze i już do niej nawet nie zadzwonił. Jako że chodził teraz do specyficznej szkoły, a ona nadal słuchała wykładów na wydziale prawa, już się nie spotykali. Po trzech dniach zadzwoniła ona.

– Jura?

– Tak, to ja.

– Wygrałeś.

Była jeszcze jedna przeszkoda do pokonania. Wiera nie była ochrzczona.

– Co? Chcesz, żebym stanęła naga przed brodatym popem, który skorzysta z okazji, aby mnie obmacać przynajmniej wzrokiem?

Jurij wciąż był spokojny.

– Będiesz w koszuli i zanurzysz się w wodzie, jak Jezus Chrystus zrobił to niegdyś. Umrzesz i zmartwychwstaniesz wraz z nim. I tak będziemy mogli połączyć się po wszystkie czasy.

Wiera się poddała.

Trzecią przeszkodą była suknia ślubna. Jurij uważał, że skoro żyli w grzechu, hipokryzją byłoby, żeby Wiera brała ślub w białej sukni, która jest symbolem dziewictwa. W tym punkcie, z przyzwoleniem kapłana, który miał dać im ślub (Juriju Nikołajewiczu, dziewictwo jest sprawą względną), wygrała Wiera.

– Prawosławny ślub, dobra, niech będzie prawosławny, chcę białą suknię, welon, tren, kwiaty pomarańczy i wszystko inne. Nie będę marzła ot tak sobie w tej ich wannie z okami świętych olejów w wodzie.

Nie umknęło młodemu to, że chrześcijański ślub nie pomoże raczej karierze Jurija, ale Wiera miała na tyle dobrego smaku, żeby nie robić uwag na ten temat. Jurij za to myślał, że czasy się zmieniły, że historyczna Rosja znów miała prawa i że KGB przymknie oczy na



ceremonię, którą i tak uważano za czysto folklorystyczną.

Gdyby jednak tak nie było, był gotów zacisnąć zęby i nieść swoją wiarę wraz z wszelkimi jej konsekwencjami.

## 4.

Kariera Wiery też zapowiadała się doskonale. Była asystentką prokuratora i zaciekle ściagała dysydentów, którzy jej się nawinęli, i było to dla niej czymś w rodzaju okrutnej zabawy. Było według niej coś przewrotnego w sprzeciwianiu się państwu, które przecież chciało jedynie dobra swoich obywateli, a powielanie pism na usługach *samizdatu* wydawało jej się diabelskim wynalazkiem, jeżeli brak uczuć religijnych pozwolił jej w ogóle wierzyć w jego istnienie. To parszywe wrzenie w kraju, który jego szefowie prowadzili wprost do ziemskiego raję, wydawało się Wierze jak mnożenie się zakaźnych bakterii, które trzeba było wyeliminować za wszelką cenę.

Kariera Jurija... To było o wiele bardziej skomplikowane.

Najpierw zamiast zostać przydzielonym do Wydziału Pierwszego, najbardziej prestiżowego, tego, który walczył poza granicami kraju, wylądował w Wydziale Drugim, a dokładniej w Służbach Bezpieczeństwa Politycznego, które nazywano krótko Służbami. Właściwie to, co robił, miało dostarczać Wierze wody na jej młyn albo raczej surowców do jej walcowni. Nie było to ryzykowne i polegało raczej na działaniach rutynowych. Przechwytywanie poczty, podsłuch rozmów telefonicznych, Jurij zdawał sobie sprawę zarazem z rozmachu, jak i z absurdu przeznaczenia partii komunistycznej. Jej celem było nie dopuścić, aby ludzie myśleli, i narzucić im prawdę, która miała być absolutna. Religia też może być absolutem, bo pochodzi nie z tego świata, ale jak, po przeczytaniu Hegla, można było twierdzić, że w świecie, którego struktura jest fundamentalnie dialektyczna, absolut został już sformułowany?

Na dodatek Jurij został przydzielony do służby pod dowództwo starego pułkownika Nełgomonowa, który uznawał za cnotę niewiedzę na temat wszystkiego, co nie było komunistyczne. Platon i Spinoza, filozofowie, którzy żyli przed Marksem, to głupcy. Istniała literatura, oczywiście, ale była to jedynie literatura socrealistyczna, a każda

symfonia, która nie opisywała dnia pracy robotnika-metalowca, była podejrzana i działała na korzyść kapitalistów. Od młodych oficerów, swoich rówieśników, Jurij nauczył się szybko rozróżniać z jednej strony klikę *żubrów*, którzy uwielbiali Nełgomonowa z wrodzonej głupoty, albo udawali, że go wielbią ze względu na pęd do kariery, z drugiej strony istniał klub *liberałów*, którzy stwierdzali, że komunizm odchodzi już od Rosji jak okleina starego mebla i myśleli jedynie o własnej przyszłości. Zła atmosfera królowała w Służbach niepodzielnie, Jurij nie mógł więc wyrażać swoich nieprzyjaznych uczuć dla jednych, a przyjaznych dla drugich i musiał udawać nieugiętą wiarę w doktrynę szefa, który od czasu do czasu zwykł powtarzać:

– Czebrukow, nikt nie jest zobowiązany być dobrym oficerem informacyjnym, ale każdy ma obowiązek być dobrym komunistą. Zrozumiałeś?

– Tak, towarzyszu pułkowniku.

Mimo dobrej woli czuł, że pułkownikowi nie przypadł specjalnie do serca. Jeżeli trzeba było oficera na służbę w dzień świąteczny, kozła ofiarnego, oficera do ukarania, aby się usprawiedliwić przed innym wydziałem, los padał zawsze na Jurija. Kapitanem został tylko ze względu na staż służby.

Życie rodzinne za to dawało mu wiele radości. Mimo różnic religijnych i politycznych Wiera wydawała mu się kobietą idealną, intelektualnie wymagającą, niezmordowaną w miłości, wciąż myślącą o dobru ojczyzny bardziej niż o swoim własnym. Dzięki niej Jurij nauczył się czegoś, co nie jest dane poznać wielu mężczyznom. Nauczył się łączyć brutalne pożądanie i religijny wręcz szacunek w jedno. Był jednak jeden cień na tym słonecznym obrazie. Po trzech latach małżeństwa nadal nie mieli dzieci i za każdym razem, kiedy on poruszał ten temat, ona odpowiadała niezmiennie: „Później”.

Był wstydlivy i niewiele wiedział o kobiecej seksualności, toteż obawiał się stawiać jej pytania. Zadowalała się wciąż tym, co mówiła: „Później”.

## 5.

Było jedno z tych petersburskich popołudni sierpniowych, kiedy upał jest wprost nie do zniesienia, ale nie otwiera się okien z powodu komarów, które mogłyby wręcz pożreć żywcem. Jurij porządkował akta podejrzanych w swoim biurze, kiedy zadzwonił telefon. Wezwanie do generała. Bo w międzyczasie Nełgomonow został mianowany generałem i stawał się coraz bardziej oczywistym szefem *żubrów*.

Jurij wszedł na wyższe piętro, zapukał do obitych skórą drzwi i wszedł.

Zasłony z brązowego weluru były zasłonięte, aby chronić gabinet przed zbyt mocno operującym słońcem. Pokój był zupełnie zaciemniony, dostrzegł w nim jednak białą plamę, która jakby pływała w tym półcieniu. Jej obecność w takim miejscu była tak nieprawdopodobna, że Jurijowi zabrakło kilka chwil, zanim zrozumiał, na co patrzy. Bez problemu za to rozpoznał tęgą postać generała, który siedział za biurkiem jak na tronie i pocił się niesamowicie w swoim zielonkawo-niebieskim garniturze. Na wprost niego, odwrócony trochę bokiem do drzwi, siedział... tak, proszę bardzo, majestatyczny mężczyzna, brodaty, w czarnym jedwabnym riasie... Miał panahiję na piersiach, a na głowie biały kłobuk, znak władzy metropolitalnej. Siedział z łokciami opartymi o biurko generała, jakby czuł się tu jak u siebie.

Obecność sutanny w gabinecie szefa Służb Bezpieczeństwa Politycznego była wprost absurdalna. Ale w tym białym kłobuku mógł to być jedynie Jego Wielbność Ilja, arcybiskup metropolita Leningradu. Prawosławny zwyczaj wymagał, aby Jurij skłonił się aż do ziemi, prosząc o błogosławieństwo, ale teraz stosował się raczej do zwyczajów KGB i stał wyprostowany jak struna w postawie na bacność.

– Oto wasz człowiek – powiedział Nełgomonow ze śmiechem – Czebrukow. Kapitan. Jurij Nikołajewicz.

Obaj popatrzyli na niego przez dłuższą chwilę, arcybiskup bez wyrazu, Nełgomonow bawiąc się ołówkiem zakończonym gumką. Upał i półcień sprawiały, że gabinet wydawał się zawieszony gdzieś w przestrzeni, jakby zatopiony w podmorskiej otchłani, w każdym razie oddzielony od reszty świata jakimś niezmiernym przestworem.

Nikt nic nie powiedział.

W końcu arcybiskup wymówił te szokujące słowa:

– Czy można was prosić, kapitanie, o zdjęcie munduru i koszuli?

Wobec zaskoczenia, które malowało się na twarzy Jurija, Nełgomonow zaczął nerwowo chichotać. Nienawidził Traktora Gałkina, ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu z podwładnego, postawionego w tak dramatycznej sytuacji. W rzeczywistości nie było żadnego powodu, by arcybiskup kazał się rozbierać oficerowi w biurze jego własnego szefa. Jedyna spójna myśl, jaka przyszła mu do głowy, to było to, że jak zdejmie już koszulę, każą mu się rozbierać dalej, żeby zobaczyć, czy nie był żydem albo muzułmaninem. Potem domyślił się prawdy. Pomyślał, że właśnie kończy się jego kariera w KGB.

Patrząc swojemu szefowi prosto w oczy, powiedział.

– Za pozwoleniem, towarzyszu generale?

– Dalej, dalej. Na golasa, nie wstydź się – odpowiedział generał, chichocząc nadal.

Jak wszyscy niżsi urzędnicy, Jurij wchodząc do biura, wkładał mundur, gdyż noszenie go poza biurem było zabronione. Ręce mu nie drżały. Zaczął się rozbierać, rozpiął koalicyjkę, skórzany pas, rozpiął górę munduru, zdjął go. Ułożył na oparciu fotela.

Wyjął koszulę ze spodni, rozpiął ją, zdjął bez pośpiechu i powiesił na prawym ramieniu. Była wilgotna od potu.

Jego tors błyszczał, a na jego brązowym torsie, atletycznym, gładkim, ledwie owłosionym, błyszczał zupełnie innym blaskiem miedziany krzyżyk.

Ach! Kosztował go już wiele kłopotów ten krzyżyk, szczególnie kiedy był dzieckiem i kiedy jego towarzysze zabaw wyśmiewali się z niego, bili go, usiłowali mu go zerwać siłą lub z zaskoczenia. Na

szczęście miał silne pięści i spotkał wyrozumiałych nauczycieli, którzy przymykali oczy na sprawy religii.

– Hm, nosisz krzyż! – powiedział Nełgomonow, udając zaskoczenie – *babuszka* ci go dała? To cię chroniło od uroków?

Mruknął z niechęcią.

– Mmm! Komunista! Co ja mówię, Komunista? Czekista! Więc dlatego nie chcesz przebierać się z innymi w szatni, nawet aby włożyć kimono? Mmm! Widzisz? Nawet taki detal nam nie umknął!

Jurij stał nieruchomy, wystawiony na jego śmiech. To małe słowne męczeństwo nie było dla niego niczym nowym. Zastanawiał się tylko, co robił tutaj, nie reagując zupełnie, jeden z najważniejszych dostojników Kościoła rosyjskiego.

– Możesz się ubrać – powiedział Nełgomonow.

– Podoba się wam? – rzucił do arcybiskupa. – Dobrze, ustępuję miejsca, nie muszę znać waszych sekretów ikonostasu. Mmm...

Wstał ciężko i skierował się do drzwi, płasko stawiając po wschodnim dywanie swoje podkute buty od Bata. Wyszedłszy, zamknął delikatnie obite skórą drzwi.

Jurij ubierał się bardziej zażenowany, niż gdy się rozbierał. Musiał rozpiąć spodnie, by włożyć w nie poły swojej koszuli. Nie znajdując lustra, by przy nim zawiązać krawat, użył do tego celu szkła z portretu Breżniewa, co mogło uchodzić za największą niestosowność, ale w tym momencie było mu zupełnie obojętne. Był jeszcze odwrócony plecami, kiedy arcybiskup do niego przemówił.

– Proszę usiąść.

Jurij usiadł na brzegu krzesła i przez dłuższy czas się nie odzywali. Kapitan miał spuszczone oczy, arcybiskup usiłował czytać w nich poprzez przymknięte powieki i przekazać mu całą miłość, jaką miał dla ludzi, dla tych biednych ludzi.

– To prawda, co powiedział? Babcia wam go dała? – powiedział w końcu.

– To moja mama. Jej ojciec był kapłanem.

– Tak. Zmarł na torturach. W naszym środowisku nic się nie

ukryje. Nigdy go nie zdejmowaliście?

Jurij pokręcił głową, nie podnosząc oczu.

– Jesteście wierzący?

Tym razem Jurij aż podskoczył. Arcybiskup o lwiej postawie i kwadratowej twarzy, kościsty, szczupły, wręcz wychudzony, o czujnym spojrzeniu nie wydawał się cierpieć z powodu upału, mimo iż był cały zamotany w swoje czarne szaty. Nie podlegał tym samym prawom co inni, może z powodu życia ascety?

– Tak – powiedział Jurij – jestem wierzący. A wy, wy jesteście metropolitą Leningradu i odwiedzacie generałów KGB? Co to ma znaczyć? Proszę mi wybaczyć, Wasza Wielbność, że mówię takim tonem, ale nic nie rozumiem!

Chciało mu się płakać, jak dziecku, z którego naigrawają się dorośli.

– Praktykujecie? – ciągnął nadal biskup, nie obrażając się – przyjmujecie komunię? Chodzicie do spowiedzi? Braliście ślub kościelny... Wiem.

– Tak, spowiadam się, przyjmuję komunię. Najdyskretniej, jak to tylko możliwe. Czy to grzech?

– Nie sądzę, Juriju Nikołajewiczu. Nikodem i Józef z Arymatei także byli dyskretni. U nas był czas męczeństwa, a nasz Kościół został niemal zupełnie eksterminowany. Nasze czasy są inne. Święty Jan z Damaszku wiernie służył muzułmańskiemu kalifowi Walidowi (aż do dnia, kiedy kalif kazał mu odciąć rękę, ale to już inna sprawa). Od chrześcijan żąda się najwyższego poświęcenia, ale tylko wtedy, kiedy nie ma innych możliwości dla dania świadectwa. Nasz czas to czas dwuznaczności, to niepraktyczne dla ludzi z takim jak wasz i mój temperamentem, ośmielam się sądzić, ale to też nie jest pozbawione znamion wielkości. Pokornej wielkości. Myśleliście o kapłaństwie?

– O kapłaństwie? Ja? Nie. Wasza Wielbność, proszę wybaczyć pytanie, może nawet bezcelne, jest Wasza Wielbność tym, za kogo go biorę? Nigdy nie miałem honoru rozmawiać z Waszą Wielbnością, ani nawet zobaczyć, tylko w telewizji, ale jest Wasza Wielb-

ność...

Arcybiskup uśmiechnął się.

– Nie wiem, czy jestem tym, za kogo mnie bierzecie, rzadko jest się tym, za kogo biorą nas ludzie, ale jestem Ilja, niegodny arcybiskup, metropolita Leningradu, tak.

Jurij nie wytrzymał. Upadł na kolana u stóp arcybiskupa. Pełnia kapłaństwa apostolskiego nie objawiała się w kapłanie, najbardziej nawet szanowanym, ale w biskupie, w każdym biskupie. Ucałował błogosławiącą go dłoń. Była to duża dłoń robotnika z odlewni stali, czysta, starannie wypielęgnowana, hojna.

– Bądź spokojny, bądź spokojny – powiedział arcybiskup – ale dlaczego nigdy nie myślałeś o kapłaństwie? Czy to nie dobry sposób, aby żyć z taką wiarą jak twoja? Biskupstwo dla ciebie jest nieosiągalne, bo jesteś żonaty, ale kapłaństwo...

– Nie jestem godzien, Wasza Wielbność.

– Sądzisz, że ja jestem?

– Nie mam powołania, Wasza Wielbność.

Arcybiskup podrapał się w koniuszek nosa. Jurij mówił dalej.

– Jestem człowiekiem Służby, nie sakramentów.

– „Służba” znaczy wiele rzeczy. Jesteś dumny ze służby tutaj?

Jako że Jurij wydał się zaskoczony tym pytaniem, Ilja uśmiechnął się ponownie pod wąsem.

– Twój przełożony nie jest z ciebie zadowolony, a ty z niego?

W KGB myślenie nie należało do zwyczajów.

– Mój przełożony nie jest ze mnie zadowolony?

– Dziwi cię to? Po pierwsze masz ślub kościelny, co jest bardziej odważne niż rozważne. I nie żona tego chciała, bo jest niewierząca. Nie bardzo chcesz szpiegować myślących inaczej, kiedy *inaczej* znaczy *religijnie*; tak, on już się na tym poznał, „on” nie jest taki głupi mimo pozorów (palcem wskazał sufit), „on” tkwi jeszcze tylko w epoce stalinowskiej. Poza tym źle układasz akta, nie uczestniczysz w spotkaniach poświęconych indoktrynacji politycznej, i co jeszcze... Krótko mówiąc, nie jesteś popularny u góry. Zresztą, sam wiesz, jaki



masz stopień, a powinieneś być już co najmniej majorem. Czy to cię nie zaskoczyło?

Jurij nie odpowiedział. Wiedział, że w KGB należało wszystko rozumieć z półsłówki i że po półsłówkach było się ocenianym, ale odkąd siedział z tym „niegodnym arcybiskupem” w tej – jakby pozaczasowej – kapsule, nie wiedział, czy trzymać się nadal sztywnych, służbowych zasad.

– Nie sądzę, by czekała cię wielka kariera w Służbach Bezpieczeństwa Politycznego – powiedział arcybiskup. – A gdyby cię przeniesiono do innych służb, byłbyś zaskoczony?

– Mam zwyczaj być posłusznym rozkazom.

– Wszelkim, jakiegokolwiek by były?

– Nie wydano mi jeszcze takiego, który byłby sprzeczny z...

– Z czym?

– Z moim pojęciem tego, co dozwolone, a co zabronione.

– A gdyby dano ci rozkaz, abyś został kapłanem?

Widząc zaskoczenie Jurija, dorzucił.

– Poczekaj, coś ci pokażę. Nie powiesz, że nie jestem starannie przygotowany, by przemówić ci do wyobraźni.

Arcybiskup wstał, zdjął biały kłobuk, postawił go na biurku, zdjął welon i także położył go na biurku, zdjął ikonę z piersi, przeżegnał się, ucałował ją i położył na welonie. Potem zaczął rozpinąć jedwabną riasę. Najpierw guzik górny przy szyi, potem lewy na wysokości pasa, potem prawy na wysokości pasa.

Rozłożył dwie ogromne poły sutanny i zdjął ją tak, jak zdejmuje się płaszcz. Pod spodem ubrany był w mundur generała KGB, obwieszony orderami.

Jurij także wstał, aby okazać szacunek. Patrzył, a zmęczenie i niezrozumienie wciąż w nim rosło.

– Proszę mnie zrozumieć – powiedział generał – nie proponuję ci, żebyś został złym kapłanem, żeby poprawić trochę nie najlepiej rozpoczętą karierę. Proponuję, abyś spróbował zostać dobrym kapłanem w służbie Naszego Pana i Kościoła prawosławnego, ale

proponuję, abyś służył w trochę niecodzienny sposób, abyś dał świadectwo wiary niecodziennym męczeństwem.

Usiadł.

– Najpierw muszę opowiedzieć o sobie. Kim jestem? Generałem KGB? Tak. Metropolita Leningradu? Tak? Większość oficerów KGB nie wie, że jestem jednym z nich, ale wiedzą o tym szef i jego najbliżsi współpracownicy. Większość wiernych prawosławnych nie wie, że jestem człowiekiem KGB, ale wie patriarcha i jego najbliżsi współpracownicy. Dla KGB jestem człowiekiem KGB przy patriarche, dla patriarchy jestem człowiekiem Kościoła w KGB. Rozumiesz, że Kościół nie może negocjować tego, że KGB jest realne, chyba że chce zejść do podziemia, a KGB ze swojej strony, kiedy zawiodła eksterminacja i infiltracja, nie może negocjować Kościoła. Muszą utrzymywać stosunki. Może sytuacja byłaby prostsza, gdyby KGB oddelegowało generała, który nie byłby człowiekiem Kościoła, a Kościół kapłana, który nie byłby człowiekiem organów, byłoby w ten sposób dwóch konsulów, którzy musieliby się dogadać... Historia chciała inaczej. Nie pierwszy raz ludzie Kościoła mają bezpośrednią lub pośrednią władzę polityczną. Jest na to mnóstwo przykładów. Najpierw u nas, patriarcha Filaret doradzający synowi cara Mikołajowi, a w wielu innych krajach... Papież i cesarze, królowie? A święty Bernard z Clairvaux, którego radzili się wszyscy. Dziś na Cyprze Jego Wielbność Makarios? U Francuzów Richelieu i ojciec Józef. Czyż oni wszyscy nie pracowali dla polityki? Możesz mi zarzucić, że wszyscy ci kapłani pracowali dla władzy legalnej, uznającej Kościół Chrystusowy. Ale nie kanonik francuski Feliks Kir. A czy Kościół nie potrzebuje uczestniczyć we władzy, tym bardziej, im mniej jest przez nią uznawany? Nasz święty Filip został zaduszony przez Iwana Groźnego, ale dlaczego? Bo chciał wpływać na jego politykę. A nasz Hermogen umarł z głodu za Polaków. Dlaczego? Bo wierzył w rosyjską wolność. Tak więc zgadzam się, że wzajemne infiltrowanie się organów komunistycznych i Kościoła Chrystusowego może szokować, ale nie mamy, my, prawosławni, wygody, jaką daje ze-

wewnętrzne papieżstwo, zewnętrzne w sensie narodowym, a więc będące poza zasięgiem lokalnych władz. Nasza tradycja to tradycja Kościołów lokalnych, z konieczności związanych z lokalnymi państwami. Oczywiście udawanie, że tak nie jest, dodaje pewności i można odprawiać nabożeństwa w najdalszym zakątku Syberii w kaplicy z ociosanych bali, ale trzeba też i innych ludzi, ludzi innego pokroju, Juriju Nikołajewiczu, którzy, wyrażę się metaforycznie, stawiają na jedną kartę los swojej duszy, oddając Kościołowi inne usługi, których ten Kościół potrzebuje natychmiast. Powiem szczerze, od jakiegoś czasu cię obserwuję i widzę, że nie jesteś w pełni panem sytuacji. Jesteś zbyt czysty. Nie proponuję ci losu, który odpowiada dokładnie twojemu temperamentowi. Gdybym znalazł oficera KGB, który byłby zdolniejszy do wykonania tej misji, pozwoliłbym ci zgnieć pomiędzy aktami, ale nie zaproponowano mi takiego, który byłby w stanie grać podwójną rolę i zarazem zostać naprawdę wierzącym, a to było dla mnie najważniejsze. Wiesz, jak to się odbywa. Jeżeli jedne służby proszą inne o personel, oddaje się zawsze tych, których się nie szanuje albo nie lubi, takich, których można się pozbyć bez żalu. Nie będę ukrywał, że generał Nełgomonow nie ma żalu, że się z tobą rozstanie... Zresztą, lepiej, że tak jest. Ryzykujesz mniej niż ktokolwiek inny. Możesz stracić wolność, zdrowie, ale nie duszę. Jeżeli coś takiego miałoby nastąpić, wycofałbyś się, wiem.

Pytania?

Ilja przyjął wojskowy ton, aby zakończyć jednym słowem.

Jurij nie wiedział, co ma powiedzieć.

Kapłan...? Przez jego umysł przepływały obrazy. Czarno-złote ikony, iskrzące się puchary, noworodki do zanurzenia w chrzcielnicy, posty i bicie czołem, zgryźliwe staruszki (dużo zgryźliwych staruszek), kadzielnica, którą trzeba pięknie harmonijnie kołysać, nie kończąca się liczba modlitw, recytatywów do nauczenia na pamięć... I Wiera! Wiera jako żona kapłana! Na pewno nie będzie to tradycyjna *Matuszka*, specjalistka od solanek i marynat.

– Co będę miał robić? – zapytał.

– Zachowasz posadę w KGB i zostaniesz promowany na wyższy stopień z możliwościami awansu. Będziesz moim sekretarzem. Rozumiesz, że Kościół nie może się zgodzić, abym miał sekretarza, który nie będzie związany z Kościołem, a KGB nie może się zgodzić, abym miał sekretarza, który będzie związany tylko z Kościołem. Będziesz także pracował w parafii. To dobre doświadczenie. Będziesz mnie informował o tym, co się tam dzieje. Będziesz mnie informował o kontaktach, jakie będziesz utrzymywał z KGB.

– Komu będę zdawał sprawę.

Arcybiskup uśmiechnął się raz jeszcze.

– Ależ mnie. Mnie i tylko mnie. To właśnie jest piękne. Ja mam dwóch szefów, zdaję sprawę Jego Świątobliwości Patriarsze Aleksemu, z jednej strony, i towarzyszewi Andropowowi, z drugiej strony, ty podlegał będziesz tylko mnie. Zastanów się. Zakomunikujesz decyzję generałowi Nelgomonowi, on mi ją przekaże.

Zaczął wkładać czarne welony. Mundur zniknął pod sutanną, a biały kłobuk odzyskał dawne miejsce na jego głowie.

\*

Wiera leżała na plecach obok Jurija z głową na jego piersiach.

On od dawna patrzył w ciemność. Nocą nie ma komarów, można było otworzyć okna i białe firanki powiewały delikatnie w przeciągu, który przynosił trochę ochłody.

– Wiera – powiedział w końcu Jurij – twój mąż... twój mąż zostanie popem.

## 6.

Rozwód. Nie było innego wyjścia.

Rodzice i przyjaciele Wiery zaakceptowali ślub kościelny, a nawet przyznali, że ceremonia miała więcej uroku niż pielgrzymka pod jakikolwiek pomnik. Niektóre przyjaciółki płakały nawet ze wzruszenia albo z zawiści, jeden przyjaciel najzwyczajniej się nawrócił. Ale tym razem chodziło o zupełnie inną sprawę. Rodzice dobrze, nagięliby się, byli do tego przyzwyczajeni, ale koledzy? Asystentka prokuratora Wassilczikowa (jakie to szczęście, że zachowała pannieńskie nazwisko!) z mężem księżulkiem! Nie było co ukrywać stanu rzeczy, prawosławni kapłani nosili długie brody i włosy, wciąż chodzili w sutannie, a ponieważ Jurij miał odprawiać nabożeństwa w jednym z nielicznych jeszcze otwartych kościołów, ktoś mógł go tam spotkać i rozpoznać, to było pewne! Dyshonor i samotność, ale było coś jeszcze gorszego.

W głębi samej siebie wielka Wiera nie zgadzała się, żeby jej własny mąż, jej mężczyzna mógł maczać palce w tym brudnym, nieuczciwym, szkodliwym, obskuranckim, zacofanym, skorumpowanym i głupim procederze, za jaki uważała Kościół. Kościół wciąż od chrztu Rosji w 988 roku szkodził ludowi, który ledwie się od niego uwolnił w czasie rewolucji 1917 roku, a własny jej mąż miał używać swoich talentów, które zawdzięczał naturze i kulturze, które dało mu ateistyczne państwo, po to, by znów zatopić ten lud w brudzie intelektualnym, z którego wyszedł?!

I to też nie było wszystko. To, co robił kapłan, wydawało się Wierze głęboko wątpliwe i niezdrowe. Uchodzą jeszcze protestancy pastorzy, którzy zatruwają jedynie inteligencję pośród wiernych, ale prawosławny pop ze swoją wodą święconą, świętymi olejami, owocami, dymiącymi świecami, kadzidłem, które cuchnie, z tymi manipulacjami chlebem i winem, które niby to stają się mięsem i krwią (ależ kanibalistyczna religia!) i ta łyżeczka, którą wsadza do ust

każdemu, aby mu dać to coś, co nazywa komunią świętą (sprzedawca przesądów, i do tego przesądów niehigienicznych!). Jeżeli trzeba już nazywać rzeczy po imieniu, kapłani przebierający swoje męskie ciała w kobiece suknie wzbudzali u Wiery odrazę, a co by robiła z *takim* mężem?

Więc rozwód.

Nie to, że nie kochała Jurija. Kochała go tym bardziej, że miała go właśnie stracić, gdyby była znała go mniej, myślałaby, że groźba rozwodu zmieni jego zamiary. On jednak wszystko jej wytłumaczył. Jego obowiązki oficera i chrześcijanina połączyły się w sposób pewny, choć nieprzewidywalny. W pewnym sensie życie wcale nie układało mu się źle.

– A ja? – krzyknęła ze wszystkich sił, tak że mogła nawet zaalarmować sąsiadów – Ja cię Kocham!

On także oczywiście ją kochał. Tak jak kochają mężczyźni. Była jego.

Przestała się do niego odzywać, przestała gotować, poszła spać na kanapę w pokoju dziennym (oficer KGB miał prawo do mieszkania dwupokojowego). Nie widziała go nawet wtedy, kiedy na niego patrzyła. I ze śmiertelną raną w duszy zaczęła proces rozwodowy.

Jego przeniesiono i pracował w arcybiskupstwie, dzieląc czas między sekretarzowaniem metropolicie a studiami teologicznymi, które zaczął robić na kursach korespondencyjnych. Nie nosił jeszcze sutanny, ale zaczął zapuszczać brodę i włosy. Albo z powodu ascezy, albo kiepskiej kuchni, zmarszczył się i będąc ciemnej karnacji, matowej, prawie miedzianej, zaczął przypominać ikonę. Pewnego ranka Jego Wielebność Ilja wszedł do jego biura, nie większego niż szafa ścienna, gdzie Jurij pracował nad aktami parafian, nie takimi samymi jak te w KGB, ale równie nudnymi, rzucił okiem za okno, przez które widać było trawnik pokryty już białym szronem.

- Coś jest nie tak, Juriju Nikołajewiczu? – zapytał.
- Wszystko dobrze, Wasza Wielebność.
- Proszę, nie kłam. Jesteś bardziej ponury niż noc. Muszę wie-

dzieć.

Jurij popatrzył na niego i oczy mu zwilgotniały.

– Żona chce ode mnie odejść.

Arcybiskup skinął wolno białym kłobukiem.

– Złamałem ci życie.

Jurij nie zaprzeczył.

– Kochasz ją?

Jurij skinął głową.

– Tak czy tak, nie będziesz mnichem... (Wielebność mówił powoli sam do siebie) „Kto jest do tego zdolny, niech to robi” mówi ewangelista, ale nie żąda się tego od wszystkich (Wielebność podrapał się w nos), Kościół nie chce skandali. Wiera Konstantinowna dobrze radzi sobie w dziedzinie, jaką wybrała. Przełożeni ją cenią (Wielebność wiedział dosłownie wszystko). To silna kobieta, prawda? Kobieta, która ma swoje przekonania? Przywiązana do marksizmu-leninizmu. Czysta dusza, jak myślę. Musi być bardzo nieszczęśliwa. A małżeństwo to sakrament... Niczego dobrego nie zbuduje się na zdradzonej obietnicy...

Łzy potoczyły się z oczu Jurija, płakał za Wierą, nad sobą samym, czy nad współczuciem, jakie okazywał mu głos i twarz Jego Wielebności? Nie wiedział.

– Dobrze – powiedział arcybiskup – chciałem prosić o przygotowanie mi zdecydowanego listu do biskupa Nowogrodu, który utrudnia życie starowiercom. Przyłączyli się, praktykujemy tę samą wiarę, mogą jeść na własnych talerzach, a nas karmić z innych, nawet jeżeli to wydaje się absurdem.

## 7.

Tego samego wieczora, kiedy Czebrukowie, którzy jedli w ciszy, każde osobno, mieli już się położyć spać, każde oddzielnie, ktoś zapukał do drzwi. Była to godzina, o której bliski przyjaciel, widząc światło w oknach, mógł jeszcze złożyć wizytę, a jednak Wiera zapytała tym nowym głosem bez wyrazu, bez owego tembru, jakim mówiła do decyzji Jurija:

- Kto tam?
- Gałkin – usłyszała odpowiedź.

Nie wiedziała, kto to taki Gałkin.

- Już późno. Idziemy spać.
- Proszę otworzyć, Wiero Konstantinowna.

Głos był tak pełen ciepła, że wstała i otworzyła.

W cieniu stał wysoki, tęgi, brzuchaty mężczyzna w mundurze generała KGB. Marynarka błękitna, ze złotymi galonami, wysoka szamerowana czapka, pas, pendent, na szerokiej piersi dzwoniły ordery: Czerwonej Gwiazdy, Czerwonego Sztandaru, Medal Bohatera Związku Radzieckiego, Order Lenina, Chwały, oraz trzydzieści innych medali.

- Proszę wejść, towarzyszu generale.

Ogłupiały Jurij zamknął za nim drzwi z głupią miną i z książką teologiczną w ręku, którą właśnie czytał.

Generał zachowywał się swobodnie.

- Dzień dobry Juriju Nikołajewiczu.
- O proszę usiąść, towarzyszu generale – powiedziała Wiera, zabierając „Komsomolską Prawdę”, która leżała na stole.

Rosyjska gościnność była ważniejsza niż dramat, jaki przeżywało ich małżeństwo.

- Może szklankę herbaty, towarzyszu generale?
- Chętnie, albo gdybyście mieli kieliszeczek wódki i ogon śledzia do tego?



Ponieważ mało się piło u Czebrukowów, dla przyjaciół zawsze znalazła się wódka. Wiera podawała do stołu. Generał usiadł w fotelu z szeroko rozstawionymi kolanami.

– Wypijesz ze mną Czebrukow?

Po wypiciu kieliszka do dna i schrupaniu ogórka małosolnego, które przyniosła Wiera zamiast śledzi, generał zwrócił się do niej:

– Wiero Konstantinowna, przyszedłem bardziej do was niż do męża, którego na służbie widuję, jeżeli mam potrzebę. Chciałbym wyjaśnić z wami pewne poważne nieporozumienie. Jak rozumiem, nie pochwalacie misji, którą ten młody, radziecki oficer otrzymał od przełożonych?

Wiera była poruszona. Na policzkach rozpały jej się dwie czerwone plamy. Oddychała szybko.

– Towarzyszu generale...

Przerwał jej autorytatywnie.

– Proszę mi pozwolić mówić. Wiem, że jesteście młodą, odpowiedzialną kobietą. Wykazujecie to codziennie, wykonując swój zawód. Wiem także, że jesteście wierną córą komunistycznej partii bolszewickiej i że służycie lojalnie radzieckiemu państwu. Tego nie podaję w wątpliwość. Nie zamierzam was szantażować. Chciałbym wytłumaczyć jedną, dwie rzeczy, a potem dać wam możliwość podjęcia decyzji i wyboru, zgoda?

– Słucham.

– Kiedy poślubiliście Jurija Nikołajewicza, wiedzieliście, do jakiej kariery się szykował?

– I byłam z tego dumna!

– Wiedzieliście więc, że nie będzie wiódł prostego życia uczciwego robotnika, ale że będzie musiał działać w informacji, udawać, grać role, brudzić sobie ręce na różne sposoby. Gdyby został przydzielony do Wydziału Pierwszego i do Działu S, który zajmuje się nielegalnymi, przeżyłby prawie całe swoje życie pod fałszywym nazwiskiem, i musiałby kłamać wszystkim dookoła. Może wy też stalibyście się oficerem naszych służb i spędzilibyście życie na

kładam się z nim albo widywalibyście go bardzo rzadko, wiedząc, że kłamstwo to jego zawód. Gdyby został oddelegowany do wydziału V albo do XIII, tego, który zajmuje się mokrą robotą, bylibyście żoną mordercy. Mordercy w słusznej sprawie, zgoda, ale jednak mordercy. Gdyby wcielono go do służb śledczych... Och, wiem, że minęły już czasy CzK, gdzie istniały normy co do liczby podejrzanych do zlikwidowania, ale nawet i za naszych czasów przesłuchania nie są przeznaczone dla ludzi o wrażliwych duszach. Mówię to, Wiero Konstantinowna, żeby powiedzieć, że poślubiając czekistę, kobieta wie, że wychodzi za człowieka, który będzie otrzymywał rozkazy czasami nieprzyjemne. To chciałem, byście zrozumieli. Oficer nie wybiera sobie rozkazów. Wasz mąż mógłby zostać wysłany do Ameryki, Afryki, na księżyc. Wykonałby rozkaz, bo wiedziałby, że to rozkaz w służbie państwu. Dziś zostaje wysłany do organizacji, która znajduje się wewnątrz naszych własnych granic, co nie daje podstaw sądzić, że przez to jest mniej niebezpieczna dla państwa. Dla oficera KGB zostać człowiekiem Kościoła znaczy wejść w tajne stowarzyszenie, związek (gdybyśmy mieli niezależne), w partię polityczną (gdybyśmy mieli więcej niż jedną), niekoniecznie po to, by je zniszczyć od środka, ale po to, by czuwać nad tym, by to stowarzyszenie, związek czy partia nie szkodziły państwu. Taka infiltracja musi być na sto procent. To znaczy, że nikt w społeczeństwie, związku, partii, nie będzie wiedział, że ten oficer pracuje dla KGB; to niestety konieczność. Na przykład zwierzchnik związku, partii może uważać za konieczne, by mieć obok rządowego agenta, żeby być pewnym, że ten nie knuje czegoś szkodliwego; ale tylko zwierzchnik może o tym wiedzieć. Nie jest możliwe, żeby wiedzieli wszyscy. W naszym społeczeństwie każdy, kto nie jest wsiowym idiotą, wie, że każdy może pracować dla państwa, ale nie musi wiedzieć, czy to prawda, czy nie. To dlatego niektórzy ludzie Kościoła są oficerami informacyjnymi wykonującymi pewne misje i nie czują potrzeby afiszowania się z tym, ale to nie znaczy, że zakłamują to, czym są.

Wiera chciała coś powiedzieć, ale generał jej w tym przeszkodził.

– Wydaje mi się, że wiem, co was rani... Tak, chętnie wypiję jeszcze jeden kieliszek. Te ogórki małosolne są takie chrupiące...! To, co wam przeszkadza w głębi duszy – nie mówię o opinii publicznej i tych wszystkich innych głupstwach, ale w głębi waszej duszy – Wiero Konstantinowna, to, co wam przeszkadza (ale to tylko dlatego, że macie duszę czystą i nie znacie kłamstw naszego zawodu) to to, że wasz mąż jest osobą naprawdę wierzącą. Gdyby był ateistą, łatwiej byście to zaakceptowali, że się przebrał za popa, by infiltrować Kościół, mimo że zewnętrzne niedoskonałości byłyby dla was dokładnie takie same. Mielibyście wrażenie, że uczestniczycie w misji, a kiedy jedna z przyjaciółek, choćby Marfusza Tiołkina, powiedziała: „Spotkałam twój męża w riasie, to skandal!”, jako dobra obywatelka odpowiedzielibyście: „Tak, wiem, to okropne, oszalał, ale to dobry mąż”, mając satysfakcję, że uczciwie oszukaliście Marfuskę. Czy się mylę?

Wiera słuchała go, zewnętrznie okazując niepokój, ale wiedząc, że ją przeniknął.

– Więc, moja droga, jeżeli mogę sobie pozwolić na takie stwierdzenie, brakuje wam profesjonalizmu. Czy wyobrażacie sobie, że KGB wysyła eskimoskich agentów do Hotentotów? Albo facetów od pługa do burżujów z Wall Street? Macie zawód, który daje pewność. Sprawiedliwość. To dobrze. My mamy zawód, który, można powiedzieć, jest jak miecz obosieczny. To widać nawet na naszych oznakach. Nasz zawód, Wiero Konstantinowna, to dwuznaczność. Polega na wykorzystywaniu szczerości ludzi, Wiero Konstantinowna, co tym bardziej jest podniecające (i bardziej skuteczne), jeżeli oni nie wiedzą, że się z tego korzysta! Gdzie byśmy byli bez tego? My, członkowie organów? Nigdzie! Czy zaczynacie sobie zdawać sprawę z głębi gry, jaką prowadzimy?

Nie od razu odpowiedziała. Jurij siedział w swoim kącie.

W końcu odezwała się:

– Ależ tak, rozumiem was doskonale, towarzyszu generale, i tak,

zrozumiałam to, co mi mówił Jurij, wy nie jesteście jedynie generałem KGB? Jesteście także... Nie wiem, jak to się mówi... coś w rodzaju biskupa, musicie także grać taką podwójną rolę? Jak w lustrze? Wy też infiltrujecie, a oni wiedzą, że to robicie...

Gałkin uśmiechnął się.

– Wszystko zrozumieliście. Widzicie, tego właśnie wymaga historia. Były takie czasy, kiedy każdy wiedział, kto jest kim, ale ani wy, ani ja nie mieliśmy szczęścia w takim okresie się urodzić.

Popatrzyli na siebie z sympatią.

– Kiedy wy – powiedziała – kiedy jako biskup infiltrujecie samego siebie jako generała – nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu, nagle poczuła niejasno, że może jeszcze mieć nadzieję na miłość – to nie chodzi o służbę państwu...

Oparł się o oparcie fotela, podziwiając tę kobietę, która mimo iż wierzyła we wszystkie te głupstwa; posiadała tak wspaniałą inteligencję.

– Ależ tak – odpowiedział. – W służbie innemu państwu, które jest państwem państw, w które pani nie wierzy, co nie przeszkadza mu istnieć.

\*

Rano Wiera powiedziała do Jurija:

– Tym razem jestem pewna. Sprawileś, że zaszłam w ciążę.

ROZDZIAŁ VI

DZWONY FATIMY

*Lata 70, ciąg dalszy*

# 1.

Tworzyli dziwne trio. Jurij stał się kapłanem dawnego typu, surowym, autorytatywnym, ograniczonym w swoich teologicznych wizjach, i w kontaktach z parafianami, spośród których lubił tych, którzy byli do niego podobni – surowych, bezkompromisowych, a szczególnie Warwarę Wadimowną Wierchotnąją, która cierpiała za wiarę i której wychudła twarz i rozświetlone oczy sprawiały, że wyglądała jak ikona. Ojca Jurija nie można było oszukać co do dnia postu – Kościół prawosławny ma więcej chudych niż tłustych dni, co do modlitwy codziennej (trzydzieści stron do wyrecytowania rano, dwadzieścia wieczorem, dla ludzi świeckich), co do grzechu albo braku spowiedzi – zmuszał do wymieniania ich dokładnie, według listy grzechów śmiertelnych i listy dziesięciu przykazań.

Wiera nie ugięła się przed argumentami arcybiskupa.

Poczuła jednak, że ten człowiek kochają miłością, o której nie miała pojęcia, ale której nie mogła zaprzeczyć, jeżeli się ugięła, to jedynie przed jego osobowością, przed sposobem, w jaki chrupał apetycznie ogórki małosolne, w jaki podnosił kieliszek wódki do ust, przed niewytłumaczalnym światłem, jakie od niego biło, mimo że sprawiał wrażenie człowieka światowego, co kontrastowało tak bardzo z formalistycznym ascetyzmem Jurija. Podejrzewała, że Jej Wielbność (jak go po cichu nazywała – „jej Wielbność”, jej własny) także przestrzega postów i modlitw, ale bez ostentacji i nie narzucając ich innym. Według formuł socjalistycznych głosił ascezę: „każdemu według potrzeb i zdolności”. Zresztą nie żałowała swojej słabości. Szybko awansowała i stanowisko, jakie dostała w prokuraturze, było na tyle ważne, aby posiadanie męża-księdza w latach 70, wydało się raczej czymś oryginalnym, a nie przeszkodą.

– Mój małżonek praktykuje „wolność wyznania i propagandę antyreligijną, gwarantowane przez naszą konstytucję” – deklarowała z odrobiną sarkazmu i nikt nie starał się dociekać, do kogo ten sarkazm

się odnosił. Niektóre niedyskretne przyjaciółki pytały ją czasami:

– Robi cuda, ten twój pop?

Ona przybierała porozumiewawczy ton.

– Nie w poście.

Nabrali nowych przyzwyczajęń. W niedzielę po południu Czebrukowowie często udawali się do Świętego Mikołaja od Marynarzy i wchodząc tylnymi drzwiami, jedli kolację z Jego Wielebnością, który częstował ich węgorzami i wędzonym jesiotrem. Wiera przyzwyczała się do tego, że widziała w sutannie i kłobuku generała, który pewnego wieczora złożył jej wizytę. Na początku upierała się, by nazywać go twardo „towarzyszem generałem”, co akceptował bez komentarza, potem przeszła na „Jego Wielebność generale”, co było nieco barokowe, potem zostało tylko „Jego Wielebność”, co tylko trochę ją denerwowało.

Pewnego dnia przywiozła mu w wózku małego. Wielebność Ilja z rękoma na biodrach patrzył na niego z pełnym komizmu zachwytem. Potem popatrzył na jego rodziców, jakby zastanawiał się, jak udało im się razem wyprodukować tego nowego sługę bożego. Jego figlarne spojrzenie błędziło od jednego do drugiego, potem powiedział ze słodką ironią:

– I ludzie się dziwią cudom!

Potem podnosząc oczy, wzmocnione okularami, na Wierę Konstantinowną, zapytał cichym, pełnym słodczy głosem:

– A jak się nazywa? Bo to chłopiec, prawda?

– To chłopiec. Na imię ma Ilja.

Zapadła cisza.

– Jak ojciec Lenina – szybko dodała Wiera.

– I Breżniewa – powiedział Jego Wielebność.

Westchnął bez smutku, a jego brzuch się przy tym podniósł.

– Nie wiem, Wiero Konstantinowna, czy znacie historię proroka o imieniu Ilja? Dobry Bóg powierzył mu zadanie przywołania do porządku Żydów, którzy stali się poganami, i zdecydował, że ześle na nich suszę. Nie ma deszczu, nie ma wody, nie ma zbiorów... Żydzi

jednak żyli nadal tak, jak żyli. Oddawali cześć Baalowi. Umierało ich jednak tak wielu, że Bóg mimo wszystko chciał się nad nimi ulitować. „Ilja – powiedział – trzeba, żeby zaczęło padać”. „Nie ma mowy! – odpowiedział Ilja – ja zajmuję się tą sprawą. Dałeś mi swoje słowo i Żydzi nie napiją się i nie najedzą, dopóki nie odstąpią od Baala”. Wtedy Bóg sprawił, że on także zaczął cierpieć głód i pragnienie, na skalistej górze, po to, by zrozumiał. Nic to nie dało, tym bardziej, że dobry Bóg podsyłał mu jedzenie, co nie było logiczne, każąc krukowi przynosić mu raz po raz skórki od chleba. W końcu Ilja zszedł w dolinę, gdzie spotkał wdowę, która miała jeszcze co jeść, i oddała mu to, co jej jeszcze zostało. Najadł się, był jej wdzięczny i powiedział: „Odtąd w twoich kadziach nie zabraknie wina, a w spiżarni chleba”. To był początek. I kadzie, i spiżarnia cudownie codziennie się napełniały. Wtedy zmarł syn wdowy, którą ogarnęła rozpacz. Ilja popatrzył na nią i nie wytrzymał. Użył władzy, którą dał mu dobry Bóg i wskrzesił jej syna. „Więc już wiesz, co to jest litość?” – zapytał Bóg. – „Tak, odpowiedział Ilja, pozwalam ci dać Żydom deszcz”.

Popatrzyli na siebie we troje, kto wie, może nawet we czworo. Nie byli pewni, czy rozumieją, co znaczyła ta historia pozwolenia danego Bogu przez człowieka, ale czuli się razem dobrze.



## 2.

Ich rozmowy obracały się wciąż wokół polityki i religii, ale nigdy Jego Wielebność nie próbował, mimo iż nie trzeba było wiele, ewangelizować Wiery, choć czasami, aby się z nią podrażnić, mówił do niej:

– Wasze imię, Wiero Konstantinowna, znaczy „wiara”; jesteście postawną kobietą, a więc jesteście kobietą wielkiej wiary.

Ze swojej strony Wiera nie atakowała Jego Wielebności za hipokryzję Kościoła, w ogóle nie mówiąc już o prawosławiu, nie zarzucała mu, jak robiła to przy innych osobach, czynów inkwizycji, wypraw krzyżowych, choć pochodzących z Zachodu. Rozmawiała z nim przede wszystkim o problemach zawodowych, dotyczących jej samej, nie starając się rozróżniać osobowości generała ani biskupa od osobowości ceniącego dobre życie człowieka, brodatego i dobrotliwego, gotowego wysłuchać wszystkich pytań, dającego czasem odpowiedzi i przyznającego, że nie zna odpowiedzi dobrych. Na początku to ją szokowało, autorytet powinien znać odpowiedzi na wszelkie pytania, ale powoli zaczęła przyjmować wizję rzeczywistości pełniejszą niuansów, co bywa trudne, ale także i wzmacnia.

Pewnego dnia przy posiłku pomiędzy dwoma gołębkami, powiedziała – a to słowo wypowiedziane prawie przez przypadek (o ile przypadek cokolwiek znaczy) miało historyczne znaczenie.

Powiedziała tak:

– Zgodnie z artykułami 58-10 i 59-7 kodeksu karnego, jesteśmy w trakcie przygotowywania procesu pewnego angielskiego studenta, który uprawiał propagandę religijną, co, jak wiecie, Wasza Wielebność, jest w naszym kraju zakazane. Dyskutował o religii publicznie, wykrzykiwał „Jezus, Jezus”... Tak właśnie zgarnęła go milicja. Łapią takich wielu, biednych głupców jak ten, co opowiadają o sędzie ostatecznym, który ma się odbyć jutro rano, są to najczęściej starowiercy, baptyści albo anabaptyści (nigdy nie udało mi się uchwycić

różnicy), on mówi, a takich jeszcze nie było dotychczas pomiędzy złapanymi, mówi, że jest rzymskim katolikiem. To bardziej pańska dziedzina niż moja.

Dziwne było patrzeć, jak poważny, radziecki prokurator, Wiera Konstantinowna Wassilczikowa pyta metropolitę Leningradu, robiąc na drutach sweterek dla swojego maleństwa; czasami można było usłyszeć jak liczyła: „Oczko prawe, oczko lewe...”.

– O czym mówił więzień? – zapytał metropolita.

– Myślę – odpowiedziała Wiera, że jest wariatem, mówi o jakiejś Fatimie; po tym, jak ma na imię, podejrzewam, że to muzułmanka – która uważa, że Rosja – nie mówi Związek Radziecki, ale Rosja, co za anachronizm – powinna się nawrócić na wyznanie rzymskokatolickie. To nie ma sensu.

Jego Wielbność studiował ojców łacińskich i greckich, znał zachodnich teologów, katolików, anglikanów, protestantów, konserwatystów, modernistów, rewolucjonistów – od Bułhakowa do Bultmanna. Nagle w ignorancji tej kobiety, tak przecież uczoney, intuicyjnie wyczuł ignorancję ogólniejszej natury, jaką Kościoły Zachodni i Wschodni, żeby tak ogólnie je nazwać, dobrowolnie, złośliwie podtrzymywały jeden wobec drugiego przez tysiąc lat. Zaabsorbowany problemami Kościoła rosyjskiego, zdławionego przez państwo sowieckie, i szukając w desperacji odrobiny wolności dla tego Kościoła, nigdy nie zastanawiał się głębiej nad naturą innego konfliktu, innego skandalu, o wiele dawniejszego i mającego głębsze znaczenie.

Dla niego, aż do tej chwili, istniały dwa Kościoły Chrystusowe. Jeden obcy, liczny, walczący, dostatni, zcentralizowany, który go nie dotyczył, drugi znajomy, uciśniony, umęczony, przeraźliwie biedny i niosący kielich prawdy. Fatima, Lourdes, Gwadelupa, Montserrat, oczywiście słyszał te nazwy, ale były tam Dziewice bogate, budujące, pyszne, biało-niebieskie, bardzo różne, jak mu się wydawało (może niesłusznie), od prawosławnej Matki Boskiej, różanej i złocistej, która jest tylko matczyzna, współczująca i wyrozumiała. Może dlatego nie zastanawiał się, czy inne, te zachodnie, miały mu coś do powiedzenia,

jemu, Ilji.

Teraz, kiedy znalazł w sobie nic z kłębka zbawienia, zaczął go rozplątywać:

– Wiero Konstantinowna, nie wolno mylić znaczeń: „katolik” i „rzymski katolik”; w języku greckim „katolik” znaczy „uniwersalny”. A ponieważ wierzymy, że nasza wiara odnosi się do wszystkich istnień, wszyscy jesteśmy „cath-olik”. Niektórzy katolicy wierzą, że prawda może pochodzić jedynie z Rzymu, i są „rzymskimi katolikami”, co nam wydaje się ograniczeniem i pomniejszeniem uniwersalizmu. Oni są katolikami „rzymskimi”, my po prostu katolikami.

– My? Katolikami?! – krzyknęła Wiera oburzona.

Powiedziała „my”! Z powodu jakiegś, od dawna odrzucanej przecież tradycji, ta komunistka tak bardzo bała się Rzymu? Nawet opuściła robótkę i zgubiła kilka oczek.

– Rzymska budowla jest gigantyczna – powiedział Jego Wielbność – i nie mamy racji, ignorując ją. Pięciu wiernych rzymskokatolickich przypada na jednego prawosławnego.

– To nie znaczy przecież, że mają rację.

– To także nie znaczy wcale, że jej nie mają. Nie mają racji, ale nie dlatego, że są tak liczni. I niekoniecznie robią źle tym, że są liczni. Ten wasz młody katolik mnie intryguje. Ojczy Juriju, spis mi raport na temat objawień fatimskich. Tylko zwięźły proszę.

Ta nic miała się ciągnąć przez całe miesiące...

### 3.

Jego Wielbność Ilja uchodził za duchownego na tyle światowego, na ile to możliwe w państwie komunistycznym. Jego jedwabne welony i zaokrąglający się brzuch mogły zaskakiwać. Nie przejmował się tym. Pojawiał się jako metropolita Leningradu na oficjalnych przyjęciach, gdzie wiele osób nie domyślało się nawet, że należy do organów, jadł tam tłusto i pił dobrze. Jego przyjęcia w arcybiskupstwie były obfite, co prawda nie podawano mięsa, ale wino płynęło potokami, a arcybiskup nigdy żartobliwie nie zapomniał wspomnieć, że to wino z Cahors, które jest tradycyjnym winem mszalnym w Rosji.

Aby skompensować te ekscesy, albo raczej, aby nie zapomnieć, komu służy naprawdę, nadrabiał tajemnymi umartwieniami, a jeśliby jakiś z jego gości dostał pozwolenie, by opuścić złocone salony o kryształowych żyrandolach, aby odwiedzić jego celę, byłby podbudowany. Fakt, nie spał tak jak niektórzy mnisi w trumnie, ale nie było w jego celi innego mebla jak tylko połowe łóżko i krzesło służące za szafkę nocną. Okno umieszczone było bardzo wysoko i widać przez nie było jedynie niebo. Nawet ikony zgrupowane zwyczajowo w rogu na wprost okna nie były ani ze złota, ani ze srebra, ani nawet z miedzi, ale z drewna. Niektóre były zwykłymi litografiami naklejonymi na deseczki. Miały one jednak coś wspólnego, podczas rewolucji zostały wszystkie w jakiś sposób zbezczeszczone. Matka Boska zwana Gotową do Posłuszeństwa została przebita gwoździem, a przebito jej samo serce, święty Sergiusz został rozłamany na dwie części, a potem starannie sklejonny, święty Pantalemon został obłany atramentem... Te biedne ikony w ciszy krzyczały o męczeństwie Rosji i pokazywały prawdziwy cel rewolucji, rewoltę nie przeciw porządkowi publicznemu, ale przeciw Chrystusowi. Jego Wielbność Ilja patrzył na nie rano i wieczorem z bezgranicznym współczuciem, tym rodzajem współczucia, które łatwiej przychodzi żołnierzom niż mieszkańcom.

Tego dnia usiadł na krześle i mruknął: „Panie Jezu Chryste, Synu

Boży, miej litość nade mną grzesznikiem”. Otworzył raport ojca Jurija, wystukany na bezzębnej maszynie do pisania, na brzydkim szarym papierze, jaki produkowano w Rosji, odkąd komuniści doszli do władzy.

*Raport dla Jego Wielebności Ilji  
na temat objawień Matki Boskiej w Fatimie*

Jego Wielebność uśmiechnął się pod wąsem. Trzeba było czasu, aby wymóc na Juriju, by nie używał całego należnego mu tytułu: Jego Świątobliwość, Najwielebniejszy Arcybiskup Ilja, Metropolita Leningradu.

Fatima jest niewielką miejscowością w Portugalii, leżącą o 120 km na północ od Lizbony. Według legendy, nazwa tej miejscowości pochodzi od imienia pięknej Mauretanki z haremu, która została porwana przez chrześcijańskich rycerzy. Ich przywódca podobno poślubił Fatimę i nadał jej imię swoim posiadłościom. Czasu, kiedy to nastąpiło, nie można określić.

W miejscowości Cova da Iria, trzy kilometry od Fatimy, trójka pastuszków (dwie dziewczynki i jeden chłopiec w wieku 10, 7 i 9 lat, najstarsza miała na imię Lucja) miała podobno zobaczyć objawienia, najpierw anioła, potem Matki Boskiej, która odziana była podobno w białą, haftowaną złotem suknię i wyglądała na więcej niż piętnaście lat. Tylko Lucja mogła z nią rozmawiać i tylko ona miała pełne wizje. Te pojawienia się Matki Bożej miały miejsce od maja do października 1917 roku.

Ilja zmarszczył czoło. Tysiąc dziewięćset siedemnasty. Najstraszniejszy rok od czasu stworzenia świata, w każdym razie dla Rosji. Pomiędzy majem a październikiem. Czyli pomiędzy obiema rewolucjami, lutową, która skazała na śmierć stary porządek wraz z abdykacją Mikołaja II, i październikową, która otworzyła drogę nowemu porządkowi wraz z dojściem do władzy Lenina.

Ostatniemu objawieniu (13 października) towarzyszyło zjawisko, naturalne bądź nadnaturalne: Około 70000 osób, które przyszły tam z piel-

grzymką, zaświadczyły, że widziały, jak Słońce obraca się i spada spiralą na Ziemię. To zjawisko prasa rzymskokatolicka ma zwyczaj nazywać „tańcem Słońca”...

Prosta wiara Ilji nie predysponowała go do wiary w zjawiska nadnaturalne, które wyglądały na naturalne. „Bóg może wszystko, ale po co miałby kazać tańczyć kozaczoka gwieździe dnia? A może chodziło o przypadek zbiorowej hipnozy?”.

Wizje trójki dzieci początkowo były przyjmowane ze sceptycyzmem przez ich rodziny, lokalnego księdza i republikańskie władze, które zagroziły, że wrzucą dzieci razem albo każde z osobna do kotła z wrzącym olejem, jeżeli nadal będą się upierać przy tym, co widziały...

„Wspaniałe władze republikańskie! – pomyślał Ilja. –Wyraźnie męczeństwo Rosji nie różni się niczym od męczeństwa innych krajów, chyba że chodzi o ilość cierpień. We Francji mieli terror, w Hiszpanii wojnę domową, a teraz Portugalczycy i ich kotły z wrzącym olejem!”.

Dzieci nie ustąpiły...

„Dzielne dzieciaki! Tak samo jak Ananiasz, Miszael i Azariasz u proroka Daniela. Nabuchodonozor kazał ich wrzucić do pieca «w płaszczach, tunikach i nakryciach głowy», do pieca rozgrzanego siedem razy bardziej niż zazwyczaj, a oni szli w płomieniach, opiewając Chwałę Bożą. Na szczęście «władze republikańskie» nie poszły aż tak daleko!”.

Prace budowlane bazyliki w Fatimie rozpoczęto w roku 1928. 13 października 1930 roku Kościół katolicki ustami biskupa Leiry uznał objawienia Matki Bożej. 13 października 1942 papież Pius XII ukoronował „Najświętszą Marię Pannę z Fatimy” królową Portugalii i świata.

Oddawanie czci Najświętszej Marii Pannie z Fatimy było odtąd oficjalne i spowodowało liczne pielgrzymki, dochodzące czasami do liczby dwóch milionów osób rocznie. Są to inne pielgrzymki niż te do Lourdes, mniej ważny bowiem jest w nich aspekt „uzdrawiania chorych”, stąd młode

małżeństwa udają się często do Fatimy, aby tam prosić o błogosławieństwo dla swojego szczęścia.

W odróżnieniu od Lourdes przesłanie z Fatimy nie zawiera żadnych dziwności teologicznych. Matka Boża prosi przede wszystkim o modlitwy – głównie w formie różańca, bardzo rozpowszechnionego u rzymskich katolików – a osobiste poświęcenia mają na celu zbawienie grzeszników.

Arcybiskup podrapał się w czubek nosa.

„Dziwnienia teologiczne? Wiem, co ten Jurij chce przez to powiedzieć. Nie było mowy o Niepokalanym Poczęciu. Tak, ta Matka Boża zachowuje się w sposób doskonale prawosławny. Różaniec? Oni mają różaniec, my modlitwę Jezusową. Technika zaś jest ta sama”.

Anioł z wizji początkowych miał podobno nauczyć dzieci modlitwy, która szła w tym samym kierunku. – „Proszę o łaskę dla tych, którzy nie wierzą, którzy nie wielbią, którzy nie mają nadziei i nie Kochają”...

„Cóż, komunie świętych. U nich to dogmat z odwracalnością zasług, u nas to wiara. Czyli podobnie”.

I podał im komunię pod dwiema postaciami...

„A to... to naprawdę zaskakujące. Dlaczego pod dwiema postaciami? Wiem, że robią to czasami od drugiego Soboru Watykańskiego i że robili to zawsze w rytach wschodnich, ale żeby wtedy, w środku Portugalii, schodził anioł z nieba, aby ustanowić nie dyskryminując nikogo komunię... Tylko księża przyjmowali wtedy komunię pod dwiema postaciami. Może anioł też był prawosławny?”.

Przesłania fatimskie mają trzy części, tak zwane „tajemnice”, gdyż ich wyjawienie nie było równoczesne.

Pierwsza tajemnica. Chodzi o wizję piekła, podobną do „oceanu ognia”. Pastuszkowie podobno widzieli „zanurzone w tym ogniu demony i dusze, jakby głównie, przejrzyste i czarne, albo brązowe o ludzkich kształtach.

Pływały w ogniu, podtrzymywane przez płomienie, które unosiły się same wraz z chmurami dymu, opadając na wszystkie strony, podobne do iskier w czasie wielkich pożarów, jakby nieważkie. Krzyczały i jęczały z bóleści i beznadziei, które to krzyki przerażały, powodowały drżenie i strach... Demony miały straszne, odpychające postacie nieznanymi zwierząt i były jak rozpalone czarne węgle.

Temat nie był dobry do śmiechu, ale arcybiskup uśmiechnął się mimo wszystko.

„Nie wiem, co myśleć o tej wizji, ale rozpoznaję tu rękę mojego Jurija, nie oszczędził mi ani jednej iskry, ani jednego jęku. Na pewno zainspiruje go to do niedzielного kazania”.

Druga tajemnica. Poza prorocत्वami na temat końca pierwszej wojny światowej i początku drugiej (o ile nie nastąpi zbiorowa skrucha)...

„Prorocтва zrealizowane”.

...Najświętsza Maria Panna z Fatimy chce poświęcenia Rosji jej przyczystemu sercu (kult rzymskokatolicki pochodzący z XVII wieku i wprowadzony przez świętego Jana Eudesa). „Jeżeli moje prośby zostaną wysłuchane – powiedziała Matka Boża 13 lipca 1917 roku –

Rosja się nawróci i nastanie pokój. Jeżeli nie, rozniesie swoje błędy na cały świat”.

Ilja wstał podekscytowany.

„Rosja?”

Poczuł gryzące wyrzuty sumienia.

„Zapomniałem, że Najświętsza Maria Panna zajmowała się Rosją – jak mogłem!”.

Odwrócił się w stronę małej przedziurawionej ikony przedstawiającej Marię. To była naiwna litografia bez żadnej wartości artystycznej. Odbarwione tło było żółtawe, Maria miała koronę bardzo zdobioną, żółtą, a pod koroną czerwony welon opadał na suknię tego samego koloru. Twarz miała miłą z maleńkimi usteczkami i poważ-



nym spojrzeniem. Na lewym ręku trzymała Dziecię, które w rękach dzierżyło papirus. Prawą ręką nieśmiało wskazywała swojego syna. Kolano dziecka, a w konsekwencji i pierś Marii, do której przyciskała Dziecię, przedziurawione było jakimś gwoździem wbitym w ikonę jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej.

„Biedni ludzie! – pomyślał Ilja po raz kolejny. – Nadal krzyżują Naszego Pana”.

Potem wrócił do tekstu. Najświętsza Maria Panna zajęła się Rosją i to zajęła się nią w najtragiczniejszym momencie jej historii. Czymże były jarzmo tatarskie i okres niepokojów w porównaniu z rewolucją? Zajęła się Rosją w momencie, kiedy kraj miał się pogрузić w piekło szatańskich prześladowań ze wszystkimi pokusami, jakie tego typu prześladowania ze sobą niosą.

„Rzeczywiście, to piekło, które widzieli pastuszkowie, czy to nie nasze przyszłe męczeństwo? Ale dlaczego dowiedzieli się o tym mali Portugalczycy, dzieci, które z pewnością nigdy nawet nie słyszały o Rosji? A jeżeli naprawdę była to Matka Boża, dlaczego przemówiła do Portugalczyków? Czy nie lepiej było do Rosjan? Tak, pewnie wiara trochę u nas osłabła. Może staliśmy się zbyt światowi, rytualistyczni, racjonalni, może nazbyt zatopieni byliśmy w wirach rewolucji, by usłyszeć takie przesłanie, podczas gdy trójka pastuszków, analfabetów... Ale jednak to dziwne. 1917 rok, brzeg Atlantyku, trójka pastuszków, a Matka Boska mówi im o Rosji! I mówi im, że Rosja «rozniesie swoje błędy po świecie». Zastanówmy się”.

Chodził dookoła celi.

„Załóżmy, że pastuszków zbyt oczarował rzymski Kościół katolicki, albo nawet załóżmy, że to katolicy mają rację, a my, prawosławni, po prostu się mylimy. Czy w jednym albo drugim przypadku istnieje jakiekolwiek prawdopodobieństwo, że Maria, wspominając rosyjskie «błędy», miała na myśli schizmę? Schizmę, w którą weszliśmy, idąc za Grekami, schizmę, którą nie przejmowała się przez tysiąc lat, i w «rozprzestrzenianiu» po świecie nie brałszy żadnego udziału. I nagle miałyby powiedzieć: «Trzeba, żeby Rosja poddała się

papieżowi, bo jeśli nie, to...?»). Wiem, że tak właśnie wierzy ten angielski student, którego Wiera teraz oprawia, ale to absurd. Jedyne błędy, które Rosja rzeczywiście próbowała «roznieść na cały świat», to błędy polityczne, których powodem był ateizm, a w który wpadła dlatego, że zafascynowała się zachodnimi myślicielami: Rousseau, Babeufem, Heglem, Marksem... I prawdą jest, że wystarczyłoby, by wróciła do chrześcijaństwa, aby pokój, choćby czasowo, został zaprowadzony. I to trójka pastuszków z Portugalii dostaje misję, by o tym powiadomić świat?».

Należy dodać, że ta prośba jest potwierdzona inną wizją, wizją z 1929 roku, w trakcie której Matka Boska objawiła się Łucji, najstarszej z trójki pastuszków, która została karmelitanką w Tuy w Hiszpanii, i miała jej powiedzieć: „Nadszedł moment, w którym Bóg prosi Ojca Świętego, aby w połączeniu z wszystkimi biskupami świata poświęcił Rosję mojemu niepokalanemu sercu, obiecując ją uratować”.

Poświęcenia tego nigdy nie dokonano. 13 października 1942 roku, w 25 rocznicę ostatniego objawienia, papież poprosił tylko, by Najświętsza Maria Panna obdarowała pokojem „ludy podzielone przez błędy i niezgodę” i aby sprowadziła je „do jedynej owczarni Chrystusa, do jedyne go i prawdziwego pasterza”. Nie wymienił Rosji. 7 lipca 1952 roku papież poszedł o krok dalej. Napisał „do ludów Rosji” list apostolski, w którym mówi: „Poświęcamy, w szczególny sposób, wszystkie narody Rosji niepokalanemu sercu Dziewicy Maryi”. Wyraźnie jednak mowa jest o narodach Rosji, a nie o samej Rosji i że „wszyscy biskupi świata” wcale nie biorą w tym udziału i że to zdarzenie nie jest nawet uroczyste.

Do dzisiaj to formalne poświęcenie, o które prosiła (według słów siostry Łucji) Matka Boska papieża, nadal nie miało miejsca.

Jego Wielebność usiadł i jeszcze raz odczytał ten ustęp.

Że poświęcenie nie miało jeszcze miejsca, dziwne nie było. Od pewnego czasu Watykan targował się ze Związkiem Radzieckim. Sam Ilja uczestniczył w tajnych negocjacjach, które zaprowadziły prawosławnych obserwatorów na Sobór Watykański II, w zamian za

zaniechanie ponownego potępienia komunizmu. Pomiedzy Dziewicą Maryją, która mogła poczekać, a *Ostpolitik*, która była sprawą aktualną, Stolica Apostolska, wraz z jej zobowiązaniami na świecie, zdecydowała się zająć tym, co pilniejsze. Prawdę powiedziawszy, generał-arcybiskup nie był człowiekiem na odpowiednim miejscu, by oburzać się, że niebo ma układy z ziemią.

Wyrażenie „narody Rosji” mogło być wybiegiem. Chcieli poświęcić narody, ale nie świętą Rosję z jej własnym przeznaczeniem. Może też chodziło o oddzielenie tych „poświęconych” narodów od Rosji, która poświęcona nie była, i aby sprowadzić je powoli „do jedynej owczarni Chrystusa, do jedyne go i prawdziwego pasterza”, co byłoby trudniejsze, niż gdyby Rosja biorąca swoją istotę z prawosławia znajdowała się już pod ochronnym płaszczem Serca Maryi.

Ilji wydawało się jednak, że najważniejsza formuła, najwięcej mówiąca, która łatwo mogła ująć niezauważona, była taka: „W połączeniu z wszystkimi biskupami świata... Ojciec Święty w połączeniu z wszystkimi biskupami świata... W połączeniu. Wszyscy biskupi świata. Wszyscy biskupi...”

Ilja spuścił oczy na wielobarwną ikonę, oznakę władzy, wiszącą na jego szerokiej piersi.

Znów zabrał się do czytania.

Trzecia tajemnica. Trzecia tajemnica nie została jeszcze wyjawiona. Była zapisana na kartce papieru z zeszytu szkolnego, na której Łucja zapisała tekst 9 stycznia 1944 roku swoim regularnym piśmem, pełnym prawdopodobnie błędów ortograficznych. Kartka ta znajduje się w kopercie, którą w rękach miał Wielebny da Silva, biskup Leiry, który to później włożył ją w drugą, zalakowaną kopertę. Po jego śmierci kopertę tę przekazano kardynałowi Lizbony. Jego Wielebność Venancio, zastępca da Silvy, miał okazję zobaczyć przez prześwit, że wiadomość zapisana była na kartce o marginesach trzy czwarte centymetra.

Siostra Łucja prosiła, aby sekret został wyjawiony światu albo po jej śmierci albo w roku 1960 (data podana bez wyjaśnienia przez Matkę Bożą, kiedy przemawiała do Łucji). Watykan zabrał kopertę w roku 1957. Papież

Pius XII, nie otwierając jej, prawdopodobnie schował ją w sejfie. Papież Jan XXIII dowiedział się o niej, dołączył do niej notę, która została włożona do jednej z dwóch kopert i zdecydował się, by minął rok 1960 bez wyjawiania sekretu. Takie podał powody: 1. Siostra Łucja żyje nadal. 2. Watykan zna już zawartość pisma. 3. Mimo że Kościół uznaje objawienia fatimskie, nie chce brać odpowiedzialności za prawdziwość słów, które, jak mówią pastuszkowie, miała wypowiedzieć Matka Boska. W tych okolicznościach jest prawdopodobne, że trzecia tajemnica fatimska pozostanie sekretem na zawsze.

Z tego, co wiadomo, siostra Łucja żyje nadal. Obecny papież Paweł VI złożył jej nawet wizytę.

Ilja powoli złożył kartki.

Wynikało z nich coś, o czym miał ochotę napisać.

Jako że w celi nie miał nic do pisania (nie dowierzał temu, co mnisi nazywają „myślami”, a co ich oddala od Boga) poszedł do swojego biura. Całkowity kontrast. Bogate meble z brzozy karelskiej. Brokatowe zasłony i firany. Ikony na złotych blachach, a nad nimi czerwone lampki.

Usiadł przy biurku i zaczął pisać:

1. Święta dziewica z Fatimy:

- Nie mówi o niepokalanyim poczęciu.
- Daje komunię pod dwiema postaciami.
- Uznaje komunię świętych.
- Niepokoi się o Rosję w momencie najstraszniejszym w historii tego kraju.

– Chce uczestnictwa wszystkich biskupów w poświęceniu Rosji jej Sercu – a ani Kościół prawosławny, ani katolicki nigdy nie podawały w wątpliwość swoich święceń biskupich.

2. Papiestwo:

– Nie wykonuje woli Świętej Dziewicy wyrażonej w drugiej tajemnicy

– Odmawia wyjawienia trzeciej.

3. Dlaczego?

Wrócił do swojej celi, ukląkł, długo się modlił, w końcu wstał i powiedział głośno.

- Muszę pojechać do Fatimy.

## 4.

W ten sposób nić, która wyszła od Łucji, małej portugalskiej pasterki (a może i przed nią od Matki Boskiej na zawsze Dziewicy), przewinęła się przez przeróżne rzymskie instytucje i przedostała do nieco szalonego umysłu młodego Anglika, zamierzającego nawrócić Rosję na katolicyzm, przeszła przez samo sedno kobiecego, ateistycznego wydziału i weszła w serce prawosławnego arcybiskupa, jednego spośród generałów KGB, cieszącego się wciąż rosnącym prestiżem pośród innych, światłych oficerów tych służb. Niezbadane są drogi Opatrzności.

Ilja nie wątpił, że nie będzie to łatwe. Musiał stawić czoło władzom antagonistycznie nastawionych organizacji, które cierpiały, i jedna, i druga, na ciemną ksenofobię i wzajemną wrogość religijną.

Historycznie było to wytłumaczalne. Pozbawiona naturalnych granic, wciśnięta pomiędzy muzułmańskich Mongołów a Zachód katolicki, sądziła, że jest ostatnią przedstawicielką jedynej, naprawdę czystej tradycji chrześcijańskiej. Rosja była skazana na chłodną, paradoksalną izolację. Za czasów Iwana Groźnego cudzoziemscy ambasadorowie byli izolowani w swoich dzielnicach w Moskwie (przecież to Włosi zbudowali Kreml), za czasów Piotra Wielkiego rezydenci niemieccy nie mieli zezwolenia na opuszczanie swoich przedmieść (a przecież to Holendrzy budowali rosyjską flotę). W tym samym czasie, zmęczeni absurdem sytuacji, niektórzy Rosjanie zaczęli marzyć o odkrywaniu reszty świata, który sobie wyobrażali jak pałace pełne bogactw. Stąd reformy Piotra Wielkiego, rewolucja dekabrystów, przesadna anglomania i frankomania, a także germanomania, krótko mówiąc, nieodpowiedzialna moda na Zachód w stylu Turgieniewa, w opozycji do mesjanizmu słowianofilów w stylu Chomiakowa.

Ilja widział to dokładnie.

Widział też, że pod rządami komunistów obie te tradycje wyko-

rzystano po mistrzowsku. Jeżeli chodzi o wrogość religijną, to tu ideologia marksistowska wygrała na całym froncie, jeżeli chodzi o ksenofobię, naturalna obawa Rosjan wobec Zachodu (nie zawsze bezzasadna), uważanego za arogancki i perfidny, została wykorzystana przez tę samą ideologię.

Ilja często podróżował w sprawach związanych z Kościołem prawosławnym, a te jego misje zawsze odpowiadały misjom KGB. Czasami chodziło o prawosławną obecność w Rzymie, czasami chodziło o wpływ na Ekumeniczną Radę Kościołów w Genewie, czasami chodziło o zaszkodzenie Kościołom emigracyjnym w Stanach Zjednoczonych albo we Francji. Jechać jednak z własnej inicjatywy do Fatimy to była już zupełnie inna sprawa.

Pierwszy sprzeciwił się ojciec Jurij. Był szczerze oburzony.

– Do Fatimy? Ależ po co?

Jego Wielbność popatrzył na niego znad okularów. Pracowali każdy przy swoim biurku w obszernym gabinecie arcybiskupa.

– Na przykład... żeby się pomodlić?

– Będiesz modlił się Wasza Wielbność przed figurą?

– A dlaczego nie? Jesteś z Nowogrodu, nigdy nie byłeś w muzeum, nie widziałeś polichromii świętego Grzegorza? A ten cudowny krzyż, z Chrystusem o wielkich dłoniach, większych niż jego twarz i pochylonych tak, jakby chciały cię przygarnąć? A w Moskwie płaskorzeźba mojego patrona świętego Ilji? W każdym razie jutro zrobisz mi przyjemność i pójdziesz zobaczyć figurę przesławnego Niła Stołbińskiego, tu, w Leningradzie. To arcydzieło.

– Wiem, Wasza Wielbność, że Kościół rosyjski także miał figury, ale z nich zrezygnował i dobrze zrobił. Sztuka w trzech wymiarach? To cuchnie bałwochwalstwem.

– Ojciec Juriju, czy nie masz ciągot ikonoklastycznych?

– W żadnym wypadku! Wielbię ikony tak, jak mają prawo być wielbione. To symbole, miejsca obecności boskiej, niektóre są cudowne, ale jeżeli przedstawiają fizycznie osoby, których imiona noszą, to tylko w stanie transfiguracji. Jak figura miałaby przedsta-

wiać przeobrażoną osobę?

Ilja westchnął. Nie był zbyt wielkim znawcą materii artystycznej i nie wiedział, jak wytłumaczyć Jurijowi, że stylizacja pozwala trójwymiarowej figurze posiadać tyle samo uduchowienia co wyobrażenie płaskie. Nazajutrz jednak sprawdził, czy jego rozkazy zostały wykonane.

– No więc, podziwiałeś świętego Niła?

– Poszedłem i zobaczyłem, że nosi jak Wasza Wielbność wielki habit. Nie ma pomyłki, ale to nie znaczy, że jest ikoną. Nigdy nie pomodłę się przed czymś takim.

– Nie zauważyłeś, że to wspaniałe dzieło?

– Jestem ostrożny w stosunku do czegoś takiego.

– Szkoda. Zajmij się tym, żebyśmy mogli pojechać do Fatimy.

Trzy dni później z nadąsanym i upartym wyrazem twarzy Jurij zaproponował projekt podróży, przedstawił do wyboru godziny odjazdu pociągów i samolotów, a także miejsca przesiadek, lokalne kontakty, hotele, restauracje... Jego Wielbność czuł się nieszczęśliwy. Kazał mu usiąść przed sobą, oparł się łokciami o biurko i powiedział.

– Wytłumacz mi, ojczu, o co chodzi.

– Nie ośmielę się.

– Ośmiel się, ośmiel.

– Wasza Wielbność, jestem zaniepokojony. Od całych tygodni prosisz mnie o dokumentację na temat Kościoła katolickiego, od całych tygodni jesteś Wasza Wielbność na bieżąco z tym, co się dzieje w Rzymie, każesz sobie przynosić kopie raportów pułkownika Czubko, a teraz Wasza Wielbność chcesz jechać modlić się przed jakąś figurą. Wiem, że podobno Najświętsza Maria Panna z Fatimy mówiła o Rosji, ale czy trzeba robić takie pomieszanie między religią a polityką? Papież nie poświęcił Rosji „Niepokalanemu Sercu” Świętej Dziewicy, a może to i dobrze, bo my nie znamy takiego kultu, a słowo „niepokalane” jest z pewnością aluzją do Niepokalanego Poczęcia, to heretycki dogmat, bardzo nowy, a Papież nie ma co



poświęcać komukolwiek ludu, który nie uznaje jego autorytetu. Czyż nie jesteśmy Trzecim Rzymem, któremu zostało powierzone prawosławie? Co mamy wspólnego z ludźmi, którzy w przeciwieństwie do świętego Jana<sup>41</sup> uważają, że Duch Święty nie pochodzi od samego Ojca, ale także od Syna, że Matka Boska została sztucznie pozbawiona grzechu pierworodnego, co rzuca cień na całą historię zbawienia i że papież, kiedy mówi *ex cathedra*, jest nieomylny sam z siebie, a nie z powodu konsensusu Kościoła. Czy mam zacytować dogmat ustanowiony przez Sobór Watykański I?

<sup>41</sup> J 15,26.

Jurij się zapalił. Ilja pochylił głowę. Może zrobił błąd, wybierając sobie sekretarza o tak prostym sercu?

– Właśnie. Wszystko musimy zrobić obaj. Musimy im zanieść świadectwo – odpowiedział.

Kilka dni później Jurij złożył na biurku arcybiskupa notatkę.

*Notatka dla Jego Wielbności Ilji na temat niezgodności  
pomiędzy Kościołem prawosławnym a Kościołem  
rzymskokatolickim*

589 r. W czasie panowania papieża Pelagiusza II Sobór z Toledo ustalił, że Duch Święty pochodzi od Ojca, ale także i od Syna (*filioque*). Chodzi o sobór lokalny, który nie miał wpływu na jurysdykcję Kościoła chrześcijańskiego w całości.

794 r. W czasach papieża Hadriana I Karol Wielki potwierdza to w *credo* z Nicei, bez zwoływania soboru ekumenicznego.

1014 r. W czasach papieża Benedykta VIII Rzym potwierdza to definitywnie, nie zwołując soboru ekumenicznego. Henryk II zarządza, aby *filioque* zaśpiewano w trakcie jego koronacji.

1054 r. 15 lipca, legaci papieża Leona IX na czele z Humbertem de Meyenmoutier ekskomunikują patriarchę Michała Cerulariusza, oskarżając go o to, że „wyłączył *filioque* z *credo* z Nicei” (sic!).

1204 r. Wenecjanie w czasie IV wyprawy krzyżowej zdobywają Konstantynopol. Jego mieszkańcy zostają wymordowani. prostytutki przebierają się w stroje liturgiczne i śpiewają obsceniczne pieśni na patriarchalnym tronie.

Na ołtarzach odbywają się stosunki seksualne. Zostają zrabowane święte puchary i relikwie. Ciało i Krew Chrystusa sprofanowane. Ustanowiony zostaje rezim kolonialny z łacińskim patriarchą Tomaszem Morosininim. Papież Innocenty III pisze: „Bóg pozwolił, aby cesarstwo Konstantyna zostało przekazane z rąk rebeliantów synom, z rąk schizmatyków – katolikom, z rąk greckich – łacińskim. Krzyżowcy dokonali tajemnicy zjednoczenia, jest już tylko jeden pasterz i jedna owczarnia”. Trzeba będzie czekać do roku 1261, aby Michał Paleolog odebrał Konstantynopol.

1242 r. Rycerze Teutońscy połączyli się z „niosącymi miecz” i dostali zezwolenie, by walczyć z Moskowitami, uznawanymi za schizmatyków. Zostali pobici nad Nową przez Wielkiego Księcia Aleksandra Newskiego.

1596 r. Papież Klemens VIII tworzy Unię zwaną Brzesko-Litewską, niektórzy prawosławni, szczególnie Ukraińcy i Rusini, odchodzą od prawosławia i poddają się Rzymowi, ale choć to paradoks, zwolnieni są z *filioque*.

1605 r. Papież Paweł V, za pośrednictwem jezuitów, patronuje inwazji na Rosję armii polskiej pod wodzą fałszywego księcia Dymitra, nawróconego na katolicyzm, któremu udaje się rządzić przez 11 miesięcy. Nagradza się każdego katolickiego żołnierza za zabijanie Rosjan.

1854 r. Koalicja francusko-angielsko-turecka, to znaczy katolicko-protestancko-muzułmańska atakuje prawosławną Rosję, przy cichej aprobacie papieża Piusa IX.

1917 r. Żadnej dezaprobaty nie okazuje także papież Benedykt XV wobec ateistycznej rewolucji w Rosji, a przynajmniej zanim i Kościół katolicki nie zacznie cierpieć z jej powodu.

1942 r. Chorwaccy katolicy, pod protekcją nazistów, eksterminują około 700000 prawosławnych Serbów, a kardynał Stepinać, który żyje dobrze z Ante Paweliciem, szefem Chorwatów, ani papież Pius XII nie reagują na to zupełnie.

Ilja czytał, czytał ponownie, dzwonił, prosił mnicha, który pełnił służbę, aby poszedł po ojca Jurija, który ostatnio zostawał u niego zaledwie po kilka minut, udając, że zajmuje się jakimiś papierami. Kiedy przyszedł, Ilja spojrział na niego, popatrzył na twarz o wyrazie

ikony i uderzył notatkę wierzchem dłoni.

– Zechcesz mi powiedzieć, ojcze Juriju, gdzie w tym wszystkim jest miłość? Powiedział, że mamy być Jednością, jak Ojciec i On byli Jednością. Powiedział, że rozpozna nas po tym, że kochamy się tak, jak kochali się On i Ojciec. Gdzie w tym jest miłość, ojcze Juriju? Pytam cię? Gdzie jest miłość?

– Ale to oni... – zaczął ojciec Jurij.

– Cóż, tym bardziej! – przerwał mu Ilja, podnosząc głos – jeżeli to oni, to my musimy... Zresztą też nie jesteśmy zupełnie niewinni! Powinniśmy byli przycisnąć trochę Polaków, katolików, aby zrobić z nich dobrych prawosławnych, i to my, my rosyjski Kościół prawosławny, któremu marszałek Stalin oddał dobra Kościoła unickiego po wyzwoleniu Ukrainy. (Faktem jest, że Unicy nie byli tak antyfaszystowscy, jakby się tego od nich oczekiwało i ponieśli tego konsekwencje). I co? Będziemy liczyć punkty aż po wsze czasy? Tak. Konstantynopol, wiem, rycerze teutońscy, wiem, fałszywy Dymitr, wiem. Dobrze, ale czy nie powinniśmy im wybaczyć? Tak między sobą, między chrześcijanami, braćmi? Ale prawdziwą tajemnicą świata, Juriju, nie jest wybaczenie. Jest nią prośba o wybaczenie. A jeżeli staliśmy się męczennikami większymi niż oni, a czasami właśnie oni byli sprawcami tego męczeństwa, trzeba prosić ich o wybaczenie za tę pokusę, jaką dla nich byliśmy. Czasami może właśnie przez sam fakt, że wbrew nim mieliśmy rację. Ale ta nienawistna potrzeba wypisania ich wszystkich, nazwisko po nazwisku, data po dacie, papież po papieżu, wszystkich, którzy zgrzeszyli przeciw nam, choć Leon III przecież nie zgadzał się na *filioque* i Innocenty III nie pochwalał splądrowania, a nawet zdobycia Konstantynopola...

Ilja wstał.

– Pozwól sobie powiedzieć. Byłem żołnierzem. Zabijałem. Ja, pokorny sługa boży, Ilja. Zabiłem wielu. Nie tylko jako żołnierz. Także jako człowiek. I oczywiście proszę o wybaczenie, za to, że zabiłem, tych, których zabiłem, ale czy nie rozumiesz, że to nie ma

najmniejszego sensu, jeżeli oni ze swojej strony nie poproszą mnie o wybaczenie za to, że zostali zabici przeze mnie?

Długa cisza zapadła w biurze o podwójnych szybach, za którymi, prześwitujące przez gałęzie, widać było intensywnie niebieskie kopuły Świętego Mikołaja od Marynarzy.

Nagle Ilja zmienił ton.

- Wiera Konstantinowna nigdy nie była za granicą?
- Wiera? Nie, Wasza Wielebność.
- Przygotuj papierzyska i dla niej, żeby miała urlop i mogła pojechać z nami.
- Z nami, Wasza Wielebność?
- Oczywiście. Pojedziesz ze mną do katolików i pozwalam ci nie modlić się przed tymi ich figurami. Ale jeżeli Wiera Konstantinowna zechce dołączyć do nas, to sprawi mi przyjemność. Macie dwie babcie, które mogą zająć się Iljuszą, prawda?

## 5.

– Nie pochwalam – powiedział patriarcha Pimen, który nastąpił po Aleksym I. – Nie pochwalam, ale oczywiście nie mogę zabronić ci, ojcze, jechać kumać się z papistami, skoro taka jest twoja decyzja. Trzeba, żeby autorytet patriarchy został znów w Rosji odnowiony, na razie rób, jak uważasz. Módlmy się tylko, żeby jakieś zło nie wynikło z tego dla naszego świętego Kościoła prawosławnego.

– Dlaczego nie pochwalasz, Wasza Wielbność, tego pomysłu? – zapytał Ilja, który kiedy tylko przyjechał do Moskwy, natychmiast udał się do Daniłowskiego monasteru, aby spotkać się z patriarchą.

– Dlatego, że misją naszego Świętego Kościoła jest zachowanie prawdy chrześcijaństwa i jej czystości, i dlatego, że schizma i herezja są zakaźne jak cholera i dżuma razem wzięte. Widzisz, ojcze, jakie zło uczynił nam w XVII wieku biskup Mohyla, kiedy zabrał się do latynizowania? Dlaczego chcesz jechać do Portugalii? Jakiego dobra z tego wyjazdu się spodziewasz? Czy Matka Boska nie dość uczyniła cudów w samej Rosji? Czy to nie tymi cudami należałoby się najpierw zainteresować? Czy nasz lud nie jest dość bogobojny według ciebie? Czego potrzebujesz, ojcze, od jakiegoś P-p-portugalczyka?

Zająknął się ze zdenerwowania, zagłębiając palce w swoją białą, kręconą brodę. Wystawały z niej i ponownie w nią się chowały jak niewielkie, ruchliwe węże.

– Co do mnie – odpowiedział Ilja – udając się do Portugalii, chcę tylko naśladować Najświętszą Matkę Bożą. Ale wygląda na to, że Wasza Wielbność i jej nie pochwała za to, że udała się do heretyckiego kraju.

– Tego nie powiedziałem, i w każdym razie, wyroki boskie są niezbadane. I to nie dlatego, że Rzym uznał objawienia fatimskie za prawdziwe, my musimy zrobić tak samo. Ja wciąż mam wątpliwości. A po drugie, nawet gdyby były prawdziwe, nas nie dotyczą bezpośrednio. Święta Dziewica o nic nas nie prosiła. Nas, Rosjan...

Ilja o mało nie odpowiedział: „A gdyby nas poprosiła o zrezygnowanie z ideologii śmierci, w której żyjemy?”. Ale nie uważał za potrzebne dyskutować z Pimenem, który był równie uparty co komiczny. Trochę go oszukał, udając, że jedzie do Fatimy na polecenie KGB, podczas gdy jego spotkanie na Łubiance nawet jeszcze się nie odbyło. Powiedział tylko:

– Sądzi Wasza Wielbność, że powinienem się udać do Fatimy *incognito*?

Ta propozycja wydała się zadowalać patriarchę przynajmniej w jakimś stopniu.

- To byłoby mniej kompromitujące dla Kościoła.
- Czy dostanę pozwolenie na ubranie cywilne na tę okazję?

Pimen podniósł ręce do nieba. Kapłan bez riasy, to było niewyobrażalne, ale arcybiskup? Metropolita? Jednakże w tym szatańskim reżimie wszystko było możliwe. Pimen nie zdawał sobie sprawy, że Ilja nosił czasem nie cywilne ubranie, ale diabelski mundur. Machnął zrezygnowany ręką.

– Proszę zdjąć riasę, jeżeli się podoba. Patriarcha Wszech Rusi nic tu nie poradzi.

Ilja opuścił go zamyślony. Wciąż żałował Aleksego I, jego finezję, elegancję, chęć ryzyka i poczucie humoru. Aleksey zrozumiałby, dlaczego Ilja chciał jechać do Fatimy. Może zrozumiałby to nawet lepiej, niż rozumiał to sam Ilja, bo dla niego była to raczej konieczność wywołana potrzebą, a nie racjonalna decyzja. Ledwie wiedział, czego jechał szukać u „P-p-portugalczyków”. Aleksey zrozumiałby to natychmiast.

Jedna z dawnych historii, które Aleksey lubił opowiadać, przysłała Ilji do głowy, bez jakiegoś szczególnego, bezpośredniego związku z sytuacją, w jakiej się znajdował.

– Kiedy byłem mały – mówił raz Aleksey ze spojrzeniem pełnym wspomnień, nostalgii i rozbawienia – odegrałem rolę dość wieloznaczną, świętokradczą, która chyba zaważyła nieco na moim powołaniu. Trzeba wiedzieć, że ojciec mój był człowiekiem bogatym,

ale rozrzutnym i że rodzina kazała mu wyjechać na wieś, żeby doszczętnie jej nie zrujnował. Nudził się tam śmiertelnie i marzył o powrocie do Sankt Petersburga. Nie pozwalano mu na to. „Wydaje mi się jednak – mawiał – że to wola Boża, żebym tam pojechał. Zresztą zobaczymy. Napiszę na karteczce «Jedź» i «Nie jedź» na drugiej”. Potem rolował dwa kartoniki, wkładał je za ikonę i wołał kapłana z miasteczka, któremu kazał odprawiać nabożeństwo ze świecami, kadzidłem i wszystkim, czego było trzeba. Potem wysyłał najmłodszego syna, żeby wyciągnął jeden z bilecików. Najmłodszy byłem ja i nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wyciągnął ten z napisem „Nie jedź”. – Patriarcha śmiał się starczym, cichym śmiechem. – Tak, że zastanawiam się, czy mój biedny ojciec nie nadużywał niewinności dziecka i nie pisał na obu karteczkach „Jedź”.

Śmiał się tak bardzo, że łzy pojawiały się w jego wyblakłych oczach i kończył ze spojrzeniem w chmurach.

– To było tak dawno...

Ilja westchnął głęboko. Brakowało mu Aleksego. W przygodzie, w której na kartę postawił zbawienie, czuł się wspierany przez niego jako patriarchę. Teraz był na linii frontu.

Sam.

## 6.

Zawsze, gdy wchodził na Łubiankę, nie opuszczało Ilji owo dziwne uczucie. Za każdym razem, kiedy przekraczał jej próg w generalskim mundurze, powtarzał w głębi serca, które ścisnęło mu się aż do bólu, kluczową modlitwę prawosławia: „Panie, Jezu Chryste, Synu Boży, miej litość nade mną grzesznikiem”.

Od śmierci Stalina komunistyczne zwyczaje trochę złagodniały, ale przez dziesięciolecia w te mury wchodziły tylko ofiary i prześladowcy. Ilja myślał z miłością o jednych, jak i o drugich. Pomnik Feliksa Dzierżyńskiego (Feliks, cóż za imię dla kata!) zdobił nadal plac, na który wychodziły okna tego budynku, tak bardzo burżuazyjnego; był to dawny budynek jakiejś kompanii ubezpieczeniowej, którego piwnice widziały tyle cierpień, potworności, kul wystrzelonych w tył głowy, które przynosiły ostatnie ukojenie, tyle litrów krwi wycieranych tyłoma ścierkami. Jeżeli męczeństwo Rosji ma swoje konkretne miejsce, to jest nim Łubianka. Koloseum współczesności. Ilja myślał, że kiedyś trzeba będzie uczynić z tego budynku Bożą świątynię, aby zliczyć te trzysta tysięcy nowych męczenników chrześcijaństwa, z których wielu było zamęczonych na śmierć na wprost ogromnego sklepu z zabawkami, cóż za ironia losu, nazwanego „Świat dziecka”.

Jurij Władimirowicz Andropow siedział jak na tronie za szerokim biurkiem, pustym i zimnym jak lodowisko do hokeja. Jego kwadratowe okulary ukazywały wielkie brwi, które wyglądały jak sztuczne; miał wielki kark i podwójną brodę, mięsiste uszy o zwiniętych małżowinach. Skórę miał różową, grubą, mocno napiętą, o wyraźnie widocznych porach wysmarowanych środkiem po goleniu; dolna warga zwisała mu, a cała twarz, o spojrzeniu zupełnie bez wyrazu, była dokładnie taka, jak trzeba w KGB. Ten dawny marynarz urodzony tuż przed końcem dawnego reżimu zrobił w partii karierę. Nadzorował represje w czasie rewolucji węgierskiej i to on wpadł na



pomysł, aby zamykać dysydentów w szpitalach psychiatrycznych. Jego dewizą było „nie rozmywać doktryny marksistowsko-leninowskiej, przeciwnie, walczyć o jej czystość”.

– Towarzyszu arcybiskupie – powiedział, bo nie brakowało mu poczucia humoru – proszę mi wytłumaczyć zainteresowanie wyjazdem do Fatimy. Człowiek o waszej inteligencji nie może wierzyć, że jakaś Żydóweczka, która być może żyła, a być może nawet nie żyła w Palestynie dwa tysiące lat temu, wybrała dwudziesty wiek i jakiś tam zielony dąb, aby wyznaczyć sobie spotkanie z trójką wsiowych idiotów.

Ilja rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Jego relacje z przewodniczącym KGB, od kilku lat członkiem Politbiura, nie należały do najłatwiejszych. Z jednej strony był to szef zaskakująco inteligentny, któremu Ilja podlegał bezpośrednio, bez pośrednictwa Drugiego Wydziału. Z drugiej strony był on, Ilja, arcybiskup tego prawosławnego Kościoła, który reżim komunistyczny był zmuszony znosić od chwili, kiedy zrozumiał, że nie jest w stanie go unicestwić. Zresztą sam Andropow był osobą bardzo skomplikowaną, ten zatwardziały bolszewik nie był *żubrem*, rozumiał, że reżim, na którym tak mu zależało, potrzebował zmian i dlatego istniało między nim a generałem Traktorem Galkinem, który mógł zostać szefem *liberalów* w KGB, ciche porozumienie.

– Towarzyszu przewodniczący, czy mogę zwrócić wam uwagę na dwie rzeczy? Po pierwsze to, czy wierzę, czy też nie wierzę w te objawienia, to nie ma najmniejszego znaczenia z waszego punktu widzenia. Po drugie, czy te objawienia miały naprawdę miejsce, czy też nie, także z waszego punktu widzenia nie ma to żadnego znaczenia. Ważne jest to, że miliard obywateli tej planety wierzy albo chce wierzyć, że te objawienia są prawdziwe. Nie będę wam, towarzyszu, przypominał, jak ważna jest opinia publiczna w obecnym świecie. Reagowaliście dość energicznie przeciw naszym intelektualistom myślącym inaczej, aby wiadomo było, że wasza ostrożność w tej materii nie podlega żadnym wątpliwościom. Marszałek Stalin, kiedy

chciał zażartować, pytał, ile papież ma dywizji, ale ten żart już w tamtych czasach nie był specjalnie śmieszny i staje się coraz to mniej śmieszny w czasach obecnych. W czasach telewizji, satelitów, wojny informacyjnej papież ma coś lepszego niż dywizje: ma pudło rezonansowe.

- Chodzi o rozprzestrzenianie się informacji?
- Tak i to coraz szybsze. Z coraz większą nimi manipulacją. Sam papież być może niewiele znaczy, ale papież i telewizja...
- Miliard?
- Miliard katolików, do których w pewnych okolicznościach mogłoby dołączyć dwieście milionów prawosławnych, z których większość to nasi obywatele.
- Chcecie powiedzieć, że prawosławni nie są do końca przekonani co do dobra radzieckich struktur.
- Dokładnie.,
- Ale czy wasza misja, towarzyszu biskupie, nie polega na tym, żeby ich o tym przekonać?

Ilja nie odpowiedział natychmiast. Wiedział, że Andropow to wielki, spokojny kot. W końcu powiedział, ważąc słowa:

- Od patriarchy Sergiusza Kościół rosyjski był zawsze lojalny w stosunku do państwa radzieckiego i uważam, że na razie zachęca duchownych do tej lojalności albo raczej lojalizmu. Nic więcej. Przy konstytucji, która zakazuje propagandy religijnej i zachęca do propagandy antyreligijnej, nie możemy oczekiwać, że Kościół zacznie uprawiać propagandę komunistyczną.

Andropow także nie spieszył się z odpowiedzią.

- Wykonujecie dziwny zawód, towarzyszu arcybiskupie. Jesteście naszym agentem u nich czy ich agentem u nas?
- I to właśnie jest pytanie, towarzyszu przewodniczący. Ale może istnieje wąska strefa interferencji, jak to mówią naukowcy. Może istnieje kładka nad przepaścią, gdzie byłoby możliwe, a może nawet konieczne być i jednym, i drugim naraz?
- Mówicie: „kładka nad przepaścią”?

- Nie tylko jedną.
- Jak to rozumiecie?
- Kiedy bolszewik mówi o przepaści, ma na myśli Gułag, kiedy chrześcijanin o niej mówi, myśli o piekle. Istnieje różnica pomiędzy dożywociem a wiecznością.
- Założywszy, że jest to strefa interferencji, towarzyszu biskupie, to nie będzie to trwało ani dożywotnio, ani wiecznie. Kładka musi gdzieś prowadzić.

Ilja uśmiechnął się.

– Jezus Chrystus powiedział, że jest Drogą. Jestem skromny i mówię: jestem kładką.

– A dokąd prowadzicie, wy, jako kładka?

– Nie znacie Pisma Świętego, ale są dwa zdania, które odnoszą się do tej sytuacji. Pewnego razu Jezus Chrystus powiedział: „Kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie”. A innym razem powiedział: „Kto nie jest przeciw nam, jest z nami”<sup>42</sup>. Kto ma uszy, niech słucha. Ale jeszcze raz powtarzam, towarzyszu przewodniczący, wszystko to nie powinno mieć znaczenia z waszego punktu widzenia, ponieważ w sprawie, która nas interesuje, interesy Kościoła i reżimu mogą być takie same.

<sup>42</sup> Mt 12,30; Łk 9,50; 11,23.

– Proszę to wytłumaczyć.

– Proszę posłuchać, towarzyszu przewodniczący. Istnienie Kościoła w Rosji jest faktem i radziecki charakter tego Kościoła także jest faktem. Wiem, że nie wahać się nigdy podejmować działań represyjnych, kiedy tego trzeba. Ale wy pierwsi zrozumieliście, że skończyła się pewna epoka. To wy „poradziliście” Szołochowowi, żeby przyjął nagrodę Nobla. To wy wygnaliście z kraju Sołżenicyna, zamiast powierzyć go służbom od mokrej roboty albo wysłać do Gułagu. Nie możecie nie zdawać sobie sprawy, że pojawienie się Matki Boskiej na drugim końcu świata i jej mówienie o Rosji w okresie pomiędzy rewolucją lutową a październikową nie jest faktem bez znaczenia, a nawet jeżeli jest bez znaczenia, to nie należy go tak

traktować. Musi to do czegoś posłużyć.

– Do czego?

Andropow wciąż był powściągliwy.

Ilja właśnie dotarł do najdelikatniejszego momentu w całym spotkaniu. Dlatego, że nie wiedział dokładnie, po co jedzie do Fatimy, a właściwie może dlatego, że trochę jednak wiedział. Wiedział, że jego przeznaczeniem jest infiltrowanie tych szatańskich służb, w pewien sposób za ich przyzwoleniem. Nikt chyba dotąd nie brał udziału w bardziej subtelnej i bardziej niebezpiecznej grze... Może patriarcha Aleksy, który modlił się za Stalina i święty Jan Damasceński służący kalifowi, święty Aleksander Newski, płacąc trybut Złotej Ordzie i święty Remi modlący się za Chlodwiga...?

Ilja mówił spokojnym głosem, chrześcijanin musi mieć niewinność gołębic i ostrożność węża.

– Towarzyszu przewodniczący, jeszcze nie wiem. Nie jesteśmy jeszcze w odpowiednim stadium. Dlatego chciałbym przeprowadzić śledztwo na miejscu. Objawienia w Fatimie mówiły, że Rosja rozniesie swoje błędy po świecie. Jakie błędy? Są możliwe dwie interpretacje: albo prawosławie, albo komunizm. Może z komunistycznego punktu widzenia można byłoby wykorzystać i pokazać rusofobię Zachodu, która zaślepią także Zachód i dlatego nie uznaje on zasług komunizmu? Albo pokazać antykomunizm, który wynika z obskurantyzmu i atakuje Rosję. Widzę jednak i inne możliwości. Nie jest koniecznością uznawanie Kościoła rzymskokatolickiego za naszego wroga. Proszę popatrzeć, co udało się zrobić naszym agentom w Ameryce Południowej z teologią wyzwolenia! Widziałem obrazy, na których ukrzyżowany Chrystus miał kałasznikowa przewieszoną przez ramię. Oto naturalna ewolucja, która doprowadziła papieżstwo do tego, że żywiło się ono monarchiami i arystokracją dotąd, dokąd były one u władzy, a potem porzuciła ich dla demokracji i republikanów. Musi być sposób, aby wykorzystać taki oportunizm. Widzicie, że dość łatwo uzyskaliśmy, by Watykan w czasie Soboru Watykańskiego II nie potępiał komunizmu, co było wyczynem, a byliśmy w

epoce Chruszczowa, a więc w okresie antyreligijnym. Oni mają swoje racje, my swoje. Wiecie lepiej niż ja. Jeżeli religia jest sztuką konieczności, polityka jest sztuką możliwości.

Dolna warga Andropowa obniżała się coraz bardziej, ale wyrażała nie tylko dezaprobatę. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że był to bardzo dobry znak.

- Pojedźcie do Fatimy jako?
- Incognito.
- A patriarcha się zgodzi? Zresztą, to nie ma znaczenia. Złóżycie mi raport osobiście, towarzyszu generale.

Ilja mógł odejść. Wstał. Aby odpowiedzieć „Dobrze”, użył starego wojskowego zwyczaju z marynarki cesarskiej, który przetrwał w Armii Czerwonej:

- Tak jest, towarzyszu przewodniczący!

## 7.

Wielka Wiera nie miała trudności z otrzymaniem urlopu, rozkazy przysły z góry. Niezbyt dobrze rozumiała, dlaczego Jego Wielebności zależało na tym, by towarzyszyła mężowi w tej wyprawie. W głębi serca rozdarta była na dwoje pomiędzy wielką ochotą i niepomowanym lękiem z powodu wyjazdu poza Związek Radziecki, który już nie podlegał tyranii kapitalizmu, do krajów, które nie znały marksistowsko-leninowskiej prawdy i żyły w cierpieniu, zagmatwane w kłamstwach i biedzie.

Jedna jej część chciała, by jej przekonania się potwierdziły. Druga jej część, uczciwsza i pełna ciekawości, chciała skonfrontować je z rzeczywistością.

Od samego wyjazdu czuła się nieswojo.

Jeden raz widziała Jego Wielebność w mundurze KGB, potem przyzwyczaiła się widywać go w riasie, a teraz widziała go w spodniach uszytych z doskonałej angielskiej wełny przez żydowskiego, utalentowanego krawca i to wydawało jej się wprost obsceniczne. Była oczywiście ateistką, ale kapłan wydawał jej się czarnym trapezem, szerokim od dołu i wąskim u góry, i nie miała ochoty poznawać szczegółów jego anatomii.

Jurij, który także nosił garnitur, a którego kiedyś знаła ubranego po cywilnemu, dziwnie wyglądał w tym mieszczańskim ubraniu z długą brodą w szpic i prostymi, ale długimi włosami (mimo że na jej prośbę odrobinę je podciął).

Wiera nosiła kostium doskonale skromny i starała się traktować z góry swojej marksistowskiej cnoty sprzedajny Zachód, który wyobrażała sobie jako miliardarów z cygarami, wychudłe prostytutki i zagrzuźliczonych górników.

Zobaczyła zupełnie co innego.

Po pierwsze, ubrania pasażerów, których zobaczyła w Paryżu, wydały jej się nieprawdopodobnie luksusowe i sądziła przez chwilę,

że sprowadzono tam statystów, aby oszukać radzieckich gości. Tak samo stragany w Lizbonie, uginające się od owoców ziemi i morza, wydały jej się nieprawdopodobieństwem, i ona, przyzwyczajona do leningradzkich kolejek, w których stała często bezowocnie po kawałek chleba i kielbasy, o mało co nie powiedziała z dumą: „To na pewno nie jest na sprzedaż, gdyby to sprzedawali, dawno by już tego nie było”.

Ale oszczędziła sobie śmieszności. Owszem, kiedy radziecka propaganda huczała, że Zachód jest na skraju bankructwa, przesadzała trochę. Na pewno bardzo mało! Gdzieś były tłumy biednych proletariuszy, których na pewno ukrywano przed turystami, ale trzeba było zgodzić się z rzeczywistością. Pewne bogactwo istniało nawet w Portugalii, nawet w czasie faszystowskiej dyktatury potomków Salazara.

Jurij zamówił na lotnisku samochód i podróżnicy wyjechali natychmiast do Fatimy.

Niskie wzgórza, delikatne doliny, dobra ziemia, blado-zielone drzewa eukaliptusowe, drzewa jak szczotki, drzewka oliwne poruszające gałęziami jak srebrnymi sardynkami, te śliczne małe, białe domki o czerwonych dachach wystające w oddali, to wszystko przypominało jej budowę z klocków. Jakież to było inne od surowej, ascetycznej rosyjskiej wsi. Jej brzoź i jodeł po horyzont, rzadkich domków o poddaszach rzeźbionych niewprawną ręką właściciela.

W Fatimie, niedawno powstałym miasteczku z grubo ciosanego betonu, ze sterczącymi wesoło figurami Dziewicy wszelkich rozmiarów, z jarmarczynymi płaskorzeźbami we wszystkich kolorach tęczy, wszędzie było pełno zdjęć Łucji, Hiacynty i Franciszka, kapeluszy, okularów przeciwsłonecznych, składanych krzesłek, na których można siedzieć w czasie mszy na zewnątrz kościoła, pełno było Chrystusów o zamykających się i otwierających oczach, w zależności od tego, czy się do nich zbliżało, czy oddalało. Zły gust i ogrom tego wszystkiego nieco szokowały Wierę, za to hotele o nazwie „Catholica” i kawiarnie o nazwie „Ave Maria” czy restauracje

„Alleluja” i bank „Duch Święty” szokowały bardzo Jurija.

– Oto papiści – powtarzał, przemykając się seatem w ulicznych korkach (chodził na specjalny kurs prawa jazdy dla KGB).

Na tylnym siedzeniu Ilja powstrzymywał się od osądów.

Do bazyliki podeszli na piechotę. Jej dziedziniec otoczony był kolumnadami.

Wiera nie była zaskoczona rozmiarami tego dziedzińca, który mógł pomieścić jakiś milion osób; plac przed Pałacem Zimowym w Leningradzie też nie był karłowaty, ale masy pielgrzymów tłoczących się tutaj zadziwiły ją.

– Robale – powiedziała sama do siebie złośliwie. Znała rosyjski zwyczaj, staruszki były czołem o ziemię z tyłkami w powietrzu, ale tutaj pielgrzymi przemieszczali się na kolanach. Tak, kolano za kolaniem wlekli się po ziemi, niektórzy mieli nawet nakolanniki. Inni, chyba niewidomi, trzymali za rękę tych, którzy szli obok i tak służyli im za przewodnika. Byli tacy, co szli na czworakach, inni czołgali się niezręcznie na brzuchach, po asfalcie w kierunku sanktuarium.

– Niczego ich nie nauczyli w wojsku? – zapytał Jurij. – Trzeba się czołgać na łokciach.

U góry, u samych stóp bazyliki odbywało się nabożeństwo, ale można było chodzić po schodach przed kościołem, nie przeszkadzając wiernym, którzy byli tam rozproszeni. Wielu z nich także krążyło. Kupowali dwumetrowe świece, które rzucali do trzaskającego żarem pieca, gdzie setki innych, jedne rzucone na drugie już się spalały.

– My świece ustawiamy pionowo, aby paliły się na chwałę Pana – mruknął Jurij.

Wiera, która miała przy sobie przewodnik, starała się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Na lewo od schodów wznosiła się kaplica Objawień, wyzywająco nowoczesna, wzniesiona na miejscu innej, bardziej rustykalnej, którą wysadzili w powietrze ateści z władz miasta. Chcieli także wysadzić ów dąb objawień, ale pomylili się co do drzewa i kiedy chcieli przemawiać, wieśniacy sprowadzili stado osłów, które robiło więcej



hałasu niż przemawiający. Był zresztą jakiś dąb stojący samotnie pośrodku betonowej platformy, ale przewodnik twierdził, że to nie ten sam, bo tamten został rozgrabiony przez pielgrzymów, listek po listku, kawałek po kawałku.

– Wygląda na to, że to nie ten sam dąb, Wasza Wielobność – powiedziała Wiera.

– Nie sądzę, aby to miało większe znaczenie – odpowiedział Ilja.

– No tak, ale Wasza Wielobność, który wierzy, że Matka Boża tu stała, o pięćdziesiąt metrów od nas, na dębie, to dla Waszej Wielobności nie ma znaczenia, czy to ten sam, czy nie ten?

– Obawiam się, Wiero Konstantinowna, że macie trochę dziecinną wizję tej sprawy. Nie wierzę, żeby Matka Boska chodziła po drzewach. To zasłona świata rozdarła się w tym miejscu i pozwoliła małym pastuszkom ją zobaczyć w miejscu, gdzie jest zawsze, czyli obok swojego Syna.

Msza celebrowana w bazylice była wspaniała. Uroczyste śpiewy rozbrzmiewały na dziedzińcu. Ornaty kapłańskie połyskiwały w całej swojej okazałości. Sztandary powiewały na wietrze. Członkowie różnych bractw w barwnych ubiorach nieśli święte przedmioty pod złożonymi baldachimami. Porządek, który tu panował, nie był porządkiem wojskowym, ani sportowym, ani prawnym, ale nie można mu było nic zarzucić. Wiera doceniła to.

– U nas w cerkwi zawsze jest bałagan.

Nagle jakby wzlot tysięcy białych skrzydeł poruszył tłum. Właśnie nastąpił moment odniesienia figurki Matki Boskiej do jej kaplicy i jak tylko została podniesiona w górę na noszach i ludzie zrozumieli, że zaczną się od nich oddalać, pielgrzymi wyjęli chusteczki i zaczęli nimi machać nad głowami, jak na pożegnanie, radośnie i patetycznie zarazem. Te tysiące chusteczek powiewających nad tłumem połączonym jedną wiarą, sprawiały, że wiarę tę było widać, była prawie namacalna, a lekki wiatr, który się zerwał i przebiegł po dziedzińcu, sprawił, że można by pomyśleć, iż Duch Święty chce w ten sposób zaznaczyć tam swoją obecność.

Troje Rosjan poszło za figurą, aż do kaplicy Objawień, gdzie została zamknięta w szklanej klatce. Dziwny wydał im się jej długi błękitny płaszcz, dłonie pokornie złożone w tradycyjnym na Zachodzie modlitewnym geście, jej głowa pochylona nie bez odrobiny kokieterii na jedną stronę, pyzata twarz realistycznie wyidealizowana.

– To nie jest ikona, to lalka – zagrzemiał Jurij.

Patrzył na wysoką, zamkniętą u góry koronę na czole figury.

– Jest ze złota – przeczytała Wiera – waży kilo dwieście. Ozdabiają 313 kamieni szlachetnych i 2679 rzadkich pereł. Została ofiarowana przez portugalskie kobiety. Te kobiety zrobiłyby lepiej, kupując mleko w proszku dla swoich dzieci.

– Takie słowa usłyszała już Maria Magdalena – odparł na to Jurij. – „Lepiej nakarmić biedaków, niż rozsiewać perfumy”, ale wiesz, kto to powiedział? Judasz. Zresztą to koronowanie Matki Boskiej nie jest prawosławnym zwyczajem.

– To zależy – powiedział Ilja – popatrzcie, w mojej celi jest Matka Boża Gotowa do Posłuszeństwa ukoronowana i przebita gwoździem.

– To musi być białoruska ikona, uległa wpływom zachodnim.

Poszli zobaczyć via Sacra, tę samą drogę, którą sześćdziesiąt lat wcześniej szli pastuszkowie na spotkanie z Marią. Jak tylko wyszli z miasteczka i weszli w zarośla, przeszłość stała się teraźniejszością. Droga była starannie wybrukowana, obrzeżona murkiem ofiarowanym przez Węgrów jako wspomnienie ich próby wyzwoleniczej w 1956 roku, ale wiła się pośród dzikiej natury. I z jednej, i z drugiej strony słyhać było szelesty i szmery. Małe, pokrzywione, mocne drzewa wystawiały nad drogę czarne, zgrubiałe ramiona, na których szeleściły blade liście. Czuli się daleko od tego, co zazwyczaj nazywa się cywilizacją.

– Drzewa portugalskie podobne są do samych Portugalczyków – zauważył Ilja – to dobry lud.

Via Sacra służyła za drogę krzyżową, obrzeżona była stacjami w kształcie kapliczek. Kiedy doszli do pierwszej stacji, gdzie widać było

Chrystusa skazanego na śmierć, Ilja ukląkł i zrobił znak prawosławnego krzyża. Jurij był oburzony.

– U nas nie ma drogi krzyżowej! – westchnęła Wiera. – Jesteście szaleni, wy i inni chrześcijanie, wierzycie, że dziewice rodzą dzieci, że zmarli zmartwychwstają i udziwaczniacie wszystko.

Przeszli około stu metrów i Ilja ukląkł po raz kolejny, aby pomodlić się przed płaskorzeźbą ujętą w dwie kolumny, która przedstawiała Chrystusa niosącego krzyż.

– Wasza Wielbność – powiedział do niego Jurij z nieśmiałym oburzeniem – to nie są nasze kapliczki.

Ilja odwrócił głowę i uśmiechnął się.

– Adoptuję je.

Ilja modlił się przed każdą z kapliczek. Jurij nie wytrzymał i przy czwartej kapliczce, która przedstawiała spotkanie Jezusa i Matki, ukląkł obok swojego arcybiskupa i usłyszał, jak tamten recytuje w języku starocerkiewnym: *Matko Boża, dziewico raduj się. Mario łaski pełna, Pan z Tobą. Błogosławiona między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twój, bo zrodziłaś Zbawiciela dusz naszych.*

Grupa kobiet i mężczyzn szła w przeciwnym kierunku. Jedna z kobiet odmawiała różaniec po łacinie: *Ave Maria gratia plena. Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus et benedictus fructus ventris tui Jezus.*

Ilja nadstawił uszu.

– Gdybyś tylko znał łacinę, ojciec Juriju – powiedział z przekorą.

Dwa kilometry dalej zaczęło się kolejne nabożeństwo w bazylice i głośniki obsiewały okolicę śpiewami.

Po czternastu stacjach tylko Wiera nie klękała. Rosjanie doszli do wioski, w której mieszkali pastuszkowie. Zwiedzili ich domy o niziutkich sufitach, malusieńkich (ledwie było miejsce na jedno łóżko), o biednych dekoracjach odtworzonych przesadnie bogato. Zanim wrócili do Fatimy, poszli do kościoła parafialnego, z przewodnikiem w rękę. Wiera pokazała Jego Wielbności chrzcielnicę, w której ochrzczono pastuszków. Była to kamienna misa na postumen-

cie ozdobionym kwietnym motywem. Zatrzymał się, przeżegnał, dotknął misy z szacunkiem.

– Dziewczynka ochrzczona w tej misie rozmawiała z Matką Boską...

Wypili białe porto w barze, zjedli co nieco na tarasie, który był zarazem dachem hotelu, pod palmami i drzewkami pomarańczowymi w donicach. Na początek zamówili doskonale portugalskie *fiambre*<sup>43</sup>, jako mnich Ilja go nie tknął, ale za to nadrobił przy *bacalhau*<sup>44</sup>, serach i deserze. *Vhino verde*, które ciężko musowało, popłynęło szeroką rzeką. Wiera wyobrażała sobie życie, jakie cudzoziemcy wiodą w swoich luksusowych hotelach, ale nigdy jeszcze tak nie żyła, a przynajmniej nie dzieliła go z biskupem i księdzem przebranymi za cywilów.

<sup>43</sup> Mieszanka mięsa z rybą(przyp. tłum.).

<sup>44</sup> Solony i suszony dorsz (przyp. tłum.).

– No cóż, moje dzieci – powiedział Ilja, wyglądając sobie brodę – co was uderzyło tutaj najbardziej?

– Przede wszystkim – powiedział Jurij – to, że nie spodziewałem się zobaczyć takiej pobożności poza Kościołem prawosławnym, ale nie mogę się przyzwyczaić do znaku krzyża, który katolicy robią zupełnie na odwrót. Jestem zszokowany, że Matka Boska jest przedstawiana sama, bez Dzieciątka na ręku, to wbrew prawosławnej tradycji, no i słyszałem śpiewy w różnych językach, myślałem, że katolicy robią to po łacinie.

– Tak było przed drugim Soborem Watykańskim.

– To mi się podobało, ta łączność języka i wiary.

Oczy Ilji rozbłysły.

– Uwaga, ojciec Juriju. Odchodzisz od prawosławia. Od Cyryla i Metodego naszą tradycją było tłumaczenie świętych tekstów na języki wehikularne.

– Tak, nasza tradycja, ale skoro oni jej nie uznają, lepiej by zrobili, trzymając się własnej.

– Dobrze, dobrze, a wy, Wiero Konstantinowna, co wy macie do

zarzucenia naszym braciom z Rzymu?

– Nic poza tym, co i Waszej Wielebności, i mojemu własnemu mężowi. Uważam, że to zaskakujące, że tysiące dorosłych ludzi, z których część z pewnością ukończyła studia wyższe, odczuwają potrzebę powtarzania gestów i słów wyuczonych na pamięć, budowania budowli bez żadnej użyteczności, tworzenia idoli, którym składają ofiary. To dziwiło mnie już w Rosji, ale mówiłam sobie, dobra, carat i prawosławie zrobiły z nas zacofany naród, załóżmy. A tu takie same praktyki magiczne, odrobinę różniące się niuansami, mnożą się i tutaj. Wyznam, że nie rozumiem!

– „Świat jest pełen rzeczy, których twoja filozofia nie jest w stanie pojąć!”, Horacjusz. – zacytował Ilja.

– Wasza Wielebność – powiedział Jurij, patrząc uważnie na swoją szklankę *vinho verde*; mam delikatne pytanie, które chciałbym zadać. Przyznam, że nadal nie wiem, po co tu przyjechaliśmy, ale przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wydaje się, że cudowna ikona Matki Bożej z Kazania, która nie raz uratowała Rosję od obcych najeźdźców, a którą bolszewicy sprzedali Amerykanom, została odkupiona przez jednego z nich i znajduje się tu, w Fatimie, pod ochroną organizacji, która nazywa się „Błękitną Armią”. Czy przyjechaliśmy kupić, podziwiać, a może nawet ukraść tę błogosławioną ikonę, aby ją zawieźć do Rosji? To byłby świetny pomysł. Jestem za. Czy po to zabrałeś mnie Wasza Wielebność ze sobą? Mam za sobą wiele odpowiednich stażów w Służbach...

Ilja oparł się o krzesło i wybuchnął śmiechem dobrego olbrzyma.

– Nie, nie, nie, ojcze Juriju. Nie rób sobie złudzeń, nie przywiozłem cię tutaj, aby wykorzystywać twoje talenty jako włamywacza. Prosiłem, abys mi towarzyszył wraz z żoną, aby skorzystać z waszego towarzystwa i dlatego, że sądziłem, że to oczyści wam obojgu umysły. Co do Matki Bożej z Kazania (nagle spowaźniał), słyszałem rzeczywiście, że znajduje się w Fatimie i może to być znak, ale mówię wam uczciwie, nie mam zamiaru tym się zajmować. Żadnych wątpliwości co do tego nie mam, ona wróci kiedyś do Moskwy, gdzie jest jej

miejsce. Na razie nie Matce Boskiej z Kazania, ale Świętej Dziewicy z Fatimy przyjechaliśmy złożyć wizytę. Bądź tego pewien, ojcze Juriju.

– A co uderzyło najbardziej Waszą Wielebność? – zapytała Wiera trochę z ciekawości, a trochę aby rozluźnić atmosferę.

– Mnie? Czystość tych miejsc i to, że zwiedzanie jest za darmo. Jest tyle toalet co kapliczek i ani jednej puszki na pieniądze.

Obiad dobiegał końca. Wiera czuła się wyczerpana i poprosiła o pozwolenie udania się do swojego pokoju. Maître d'hôtel, z którym Ilja swobodnie rozmawiał po francusku, podszedł do nich.

– Jeśli chcą Państwo wrócić do Bazyliki, jest jeszcze jedno nabożeństwo w nocy. Z pochodniami.

– Ja już byłam na tylu nabożeństwach, że starczy mi na całe życie – powiedziała Wiera. – Idę się położyć.

– Ja idę zobaczyć, co oni jeszcze wymyślili – powiedział Jurij.

Ilja nie ruszył się z miejsca. Wszyscy klienci wyszli. Przysadziści Portugalczycy w białych marynarkach i krępe Portugalki w czarnych sukienkach szybko skończyli sprzątanie.

– *Senhor* niczego już nie potrzebuje?

– Nie, dziękuję.

Wstał i zrobił kilka kroków.

Na dachu tarasu szumiały palmy, pachniały drzewka pomarańczowe. Sklepienie nieba chyliło się nad Fatimę jak kopuła Świętej Zofii nad największą prawosławną świątynią na świecie.

Z dala dzwony bazyliki zaczęły rozdzwaniać ciszę nocy.

Ilja oparł się łokciami o parapet.

Milczał. Milczał nawet w myślach, ale czuł się tak, jakby się modlił.

Dwie pierwsze wiadomości fatimskie, piekło i Rosja, odcisnęły się w nim tak mocno jak akwaforta.

Na tarasie, twarzą do gwiazd, które strzelały do niego swoim światłem jak snajperzy, powiedział wyraźnie po rosyjsku:

– Najświętsza Matko Boża, odsłoń mi tajemnicę trzecią.

Wydało mu się, że z głębi nocy dzwony Bazyliki odpowiadały mu tajemnym kodem.

ROZDZIAŁ VII  
WOKÓŁ KONKLAWĘ

*Koniec lat 70.*

# 1.

Sukces Andropowa w Związku Radzieckim związany był z tym, że tępił przestępczość, korupcję, pijaństwo, absencję w pracy, próżniactwo, doszło nawet do tego, że zatrzymał córkę Leonida Breżniewa. Na Zachodzie ceniono go za jego miłość do jazzu.

Każdy ma swoje wartości.

Po powrocie z Fatimy Ilja został poproszony, by go odwiedził nie na Łubiance, ale w jego daczcy w Pieriedielkino. Posiadanie daczcy w Pieriedielkino, miasteczku intelektualistów-nonkonformistów, było dla przewodniczącego KGB znakiem liberalizmu. Wokół było oczywiście tyle, ile trzeba, budek strażniczych, zasieków z drutu kolczastego, uzbrojonych strażników i psów zwanych „dusicielami wilków”. Domy nomenklatury były czymś w rodzaju Gułagów na odwrót, stworzone po to, by oddzielać to, co na zewnątrz, od tego, co wewnątrz, i to, co wewnątrz, od tego, co na zewnątrz, ale na tyle dyskretnie, jak to tylko możliwe. Andropow chętnie przyjmował gości w gabinecie ozdobionym starymi mapami oświetlonymi reflektorami, z muzyką z Nowego Orleanu w tle, dobiegającą z niewidocznego gramofonu. Sztangi ustawione w rogu wskazywały, że przewodniczący KGB chce być w formie. Buty do tenisa firmy Nike, szklanka coca-coli pod ręką. Andropow siedział w fotelu z białej skóry zaprojektowanym przez Knolla, z łokciami na stole, splecionymi dłońmi, których oba wielkie kciuki wystawały w górę; Order Czerwonego Sztandaru zdobił lewą kłapę jego marynarki.

– No więc? – zapytał niewzruszony.

Tym razem Ilja przybywał w stroju arcybiskupa, a nie generała. Przynależność do innej hierarchii dawała mu więcej wolności. Zwracał się nawet do Andropowa po imieniu, a nie towarzyszu przewodniczący.

– Juriju Władimirowiczu, będę niedługo musiał pojechać do Rzymu. Jeszcze nie teraz.



– Proszę wyjaśnić.  
– Wiecie, w ilu językach nadaje swoje audycje Radio Watykańskie?

– Nie.

– Stale w trzydziestu. Okazjonalnie jeszcze w piętnastu, a wszystkie te audycje są pod patronatem archanioła Gabriela. Wiecie, jak proporcjonalnie wygląda populacja katolików w stosunku do ludności świata?

– Proszę powiedzieć.

– Jeden mieszkaniec na pięciu.

– Co dalej?

– U wroga numer 1 jest 61 milionów katolików, czyli jeden Amerykanin na czterech, prawie co drugi Niemiec także jest katolikiem, nasza sąsiednia Polska jest cała katolicka, Francja, jeżeli religia chrześcijańska odgrywa tam jakąś rolę, jest prawie cała katolicka. Ameryka Południowa w całości. W roku 1937, 14 marca, papież Pius XII potępił nazizm tekstem *Mit brennender Sorge*, a pięć dni później potępił komunizm w tekście *Divini redemptoris*. Nie mielibyśmy racji, gdybyśmy sądzili, że te dwa fakty nie miały żadnego wpływu na opinię światową, zgadzacie się?

– No i?

– Juriju Władimirowiczu, Związek Radziecki był pierwszym krajem na świecie, który zrozumiał, że w naszych czasach manipulowanie opinią publiczną stało się z jednej strony nieodzowne, z drugiej łatwe. Stare monarchie przejmowały się opinią publiczną tyle samo co pechem i nie marzyły nawet o mass mediach, które my mamy do dyspozycji. Nie muszę wam mówić, że dezinformacja, którą tak świetnie zajmuje się departament A, jest niemożliwa bez anten. Proszę mi powiedzieć, jaka może być lepsza antena niż Watykan?

Andropow zastanowił się przez chwilę.

– To w Portugalii uświadomiliście sobie taką możliwość?

– I tak, i nie. To, co chciałbym pokazać, to to, że niezgodności z wczoraj i przedwczoraj już nie istnieją i że w pewnych warunkach my

możemy, musimy, a nawet nie możemy nie... nie wykorzystywać jedni drugich. Niezgodność katolicyzmu i prawosławia nie istnieje już od listu apostołskiego *Ambulate in dilectione* z grudnia 1965 roku – ten list zniósł ekskomunikę z roku 1054.

– Tysiąc pięćdziesiątego czwartego?

– Tak, Juriju Władimirowiczu, trzeba było czekać 911 lat, aby niezgodność katolicko-prawosławna straciła swoją moc. Niezgodność chrześcijańsko-komunistyczna, tak ostro postrzegana przez papieża Piusa XII i przez naszych własnych przywódców, także uległa osłabieniu. Kościół rzymskokatolicki, z jednej strony, posiada skrzydło konserwatywne, które w prawosławiu dostrzega bliski mu tradycjonalizm, z drugiej strony – nurt społeczny, któremu komunizm nie przeczy. Księża-robotnicy aktywnie działają w związkach. Miliony duchownych walczą o to samo, czego broni ZSRR, a niektórzy także przeciw upadkowi obyczajów na Zachodzie. Byłoby i głupotą, i wręcz przestępstwem ze strony KGB nie skorzystać z nadarzającej się okazji. Nie mówię już o kilku agentach, których, jak podejrzewam, wprowadziliśmy do Kościoła rzymskokatolickiego i którzy robią, co mogą na swoich stanowiskach... Mówię o szerszej i przejrystszej operacji. Operacji łatwej i zarazem bardzo delikatnej. Czyli operacji na waszą miarę, Juriju Władimirowiczu.

Andropow niemal odkleił się od fotela i wstał, potem wolnymi krokami skierował się do kominka zbudowanego na modłę zachodnią i wyciągnął w jego kierunku dłoń tak, jakby chciał się ogrzać, a był lipiec i ogień na kominku nie był nawet zapalony.

Z całą pewnością był to gest symboliczny, pokazujący, że nie było to spotkanie zwierzchnika z podwładnym, ale skoro można było się ogrzać przy ogniu, to i można było mówić z całą szczerością i otwartością. Jako że Ilja nie wstał, nie chcąc powtórzyć gestu swojego zwierzchnika, w pewnym momencie wydało się, jakby przemawiały plecy Andropowa.

– Nadal nie rozumiem, po której jesteście stronie.

Ilja nie odpowiedział. Nagle Andropow odwrócił się ku niemu.

– Albo, generale Gałkin, jesteście prawdziwym komunistą i konspirujecie po to, by zgubić Kościół chrześcijański, a z powodów strategicznych wolicie zacząć od Kościoła rzymskokatolickiego. Rozumiem, zgadzam się. Albo, Wasza Wielbność Ilja, jesteście prawdziwie prawosławny i konspirujecie, by zgubić Kościół katolicki przy pomocy komunistów. Rozumiem, zgadzam się. Albo, towarzyszu, gracie w bardzo skomplikowaną grę i chcecie, żebym wierzył, że chcecie zgubić Kościół katolicki przy pomocy komunistów, podczas gdy chcecie zgubić komunistów za pomocą Kościoła katolickiego. Rozumiem, ale nie zgadzam się. Wiem jednak, że jesteście czystym komunistą, więc pierwsza hipoteza jest niemożliwa, nie ma w was także prawosławnego fanatyka, który chce zrobić krzywdę Kościołowi rzymskokatolickiemu, czyli chrześcijańskiemu, a więc i rykoszetem prawosławnemu, proszę to wytłumaczyć.

Ilja podrapał się w nos, zastanawiając się, od kiedy ma taki zwyczaj. To chyba od czasu, kiedy zaczął żyć w tej ciągłej dwuznaczności.

– Towarzyszu przewodniczący, udajecie, że zapominacie o pierwszym aksjomacie marksizmu. Prawda jest dialektyczna. Rzeczywistość sprzeczna. Jest teza, antyteza i synteza. Dla was, którzy nie wierzycie ani w Boga, ani w diabła, syntezą finalną jest dyktatura proletariatu, ale nikt jeszcze nie wytłumaczył, dlaczego historia musi się zatrzymać właśnie w tym punkcie. Dla mnie synteza finalna to nadejście Jezusa Chrystusa i jest oczywiste, że historia musi się w tym punkcie zatrzymać. Ale w międzyczasie... Kiedyś mówiłem o kładce i interferencji. Proszę sobie pozwolić wytłumaczyć to inaczej. Partia komunistyczna wytworzyła sympatyczną i interesującą formułę: „Towarzysz podróży”. Można być taktycznym towarzyszem podróży, nawet jeżeli strategia jest inna. Uważacie, że socjaliści czasowo mogą być towarzyszami podróży komunistów, później, kiedy już przejdziecie odpowiednią drogę, pozbędziecie się ich. Zważywszy, że, jak to już kiedyś powiedziałem, istnienie państwa radzieckiego na terenie Rosji jest faktem, na który nic nie mogę poradzić.... więc przystoso-

wuję się. To wy jesteście moim towarzyszem podróży, towarzyszu Andropow, a nie ja waszym. Pozornie mamy do czynienia z trzema odrębnymi sprawami: komunizmem, Kościołem rzymskokatolickim i Kościołem prawosławnym. Oczywiście moim celem nadrzędnym jest triumf Jezusa Chrystusa i nie uważam, by był możliwy bez prawosławia, to znaczy bez prawdziwej wiary. Triumf prawosławia może przyjść przez porozumienie wzajemne pomiędzy Kościołem prawosławnym i Kościołem katolickim. A jeżeli czasowo z takiego porozumienia może skorzystać państwo radzieckie, które jest faktycznie aktualnie państwem rosyjskim, to dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? To przymus, ja zaś żyję w świecie konieczności. Proszę zrozumieć, Juriju Władimirowiczu, że nasze kalendarze się różnią. Kiedy wasza historia się zatrzyma, moja będzie istniała nadal. Tak, możemy być towarzyszami podróży przez jakiś czas, tylko że moja podróż jest dłuższa niż wasza. Możecie korzystać z moich usług aż do momentu, kiedy wasza podróż się zakończy, potem pójdę dalej sam. Na Zachodzie nazywają to chyba autostopem... Tak, mam cele, które są dalsze niż wasze, ale co z tego, skoro wy nie wierzycie w to, że mogą się zrealizować? Mówię szczerze. Gdybym sądził, że to, iż się z wami spotykam, może być szkodliwe dla Kościoła prawosławnego, nie przychodziłbym do was. Gdybym sądził, że to, iż się z wami spotykam, może być szkodliwe dla Kościoła katolickiego, nie przychodziłbym do was z prośbą o pozwolenie na wyjazd do Rzymu. Dla mnie hierarchia jest jasna. Prawosławie jest prawdą. Katolicyzm to prawda poplamiona błędami. Komunizm to kłamstwo. Ja wolę prawdę od błędu, a błąd od kłamstwa. Oczywiście, nie rozmawiałbym z Dzierżyńskim, Jeżowem, Jagodą czy z Bериą, tak jak z wami, towarzyszu Andropow. Po pierwsze, nie pozwoliliby mi na to, a po drugie, to by na nic się nie zdało. Czas jednak minął, oprawcy są zmęczeni, a myślę, że wy jesteście w stanie mnie zrozumieć.

Andropow podniósł ręce, potem je opuścił z szybkością powolnego dźwigu, by włożyć je w kieszenie. Potem stanął wyprostowany za biurkiem. Wyjąwszy prawą rękę z kieszeni, chwycił szklanekę i

napił się głośno coca-coli. Załóżmy, że nawet przekonały go awanturnicze pomysły Gałkina, to trzeba było jeszcze znaleźć sposób, by przekonać do nich kolegów, dinozaury z Politbiura. Rozmarzonym głosem powiedział:

– Bardzo dobrze. Spróbujemy wprowadzić w życie tę jedyną w swoim rodzaju operację. Będziecie za nią odpowiedzialni, towarzyszu Gałkin. Jeżeli pójdzie dalej, niż sobie tego życzymy, konsekwencje nie będą dla was zaskoczeniem!

## 2.

Stanowisko rezydenta KGB w Rzymie pasowało pułkownikowi Maratowi Czubko (zwanemu Mama) jak najbardziej. Jego okrągłe, prawie kobiece kształty dobrze pasowały do miękkiej włoskiej pierzynki. Nie miał kłopotów logistycznych. Klimat podobał się bardzo południowcowi, którym gdzieś w głębi serca był. Zachwycał się wszelkiego rodzaju i kształtu makaronami, od zwyczajnych *spaghetti al pomodoro*<sup>45</sup> aż do eleganckich *farfalle al salmone*<sup>46</sup>. Śpiewał neapolitańskie melodie dźwięcznym głosem małoruskiego tenora.

<sup>45</sup> Spaghetti w sosie pomidorowym (przyp. tłum.).

<sup>56</sup> Makaron motylki z lososiem (przyp. tłum.).

Uwielbiał zmysłowość i przychylność włoskich kobiet w odróżnieniu od Rosjanek, które zawsze świerbiła dusza, i wciąż miały wyrzuty sumienia. Większość jego misji była w doskonałej zgodzie z jego temperamentem. Dla niepoznaki miał podtrzymywać kumpelskie układy z prasą, a pod tą przykrywką utrzymywać kontakty z Włoską Partią Komunistyczną. Właściwie chodziło o uzupełnianie jej funduszy za wyciągane w zamian za to informacje polityczne, wojskowe, administracyjne, ekonomiczne, które KPW dostarczała bardzo chętnie.

Sprawy zaczęły się psuć wraz z nadejściem Andropowa na stanowisko przewodniczącego KGB, wtedy to tendencje liberałów zaczęły brać górę nad tendencjami *żubrów*, to znaczy, że bilans rzeczywisty zaczął być ważniejszy niż fikcyjny.

Nie tylko przywódcy zgadzali się na materiały marnej jakości, ale także na wyrażanie pesymistycznych prognoz. Tolerowali nawet, kiedy nie zgadzano się z nimi, co gorsza, nawet tego wręcz wymagali! Otwarcie wystrzegali się każdego, kto praktykował starą metodę: „Wszystko jest w porządku, zwycięstwo rewolucji przewiduje się w dniu jutrzejszym”! Mama uważał, że to bardzo niewygodne. Jeszcze

bardziej niewygodne wydawały mu się nowe dyrektywy, które otrzymał właśnie z Centrum:

Zrobić wszystko, by spenetrować Watykan. Szczególnie dowiedzieć się:

- Jaką realną władzę posiada papież po Soborze Watykańskim II?
- Jakie są tendencje reakcyjne i rewolucyjne w łonie Kościoła?
- Jakie jest zaangażowanie Kościoła w partie europejskie, demokratyczno-chrześcijańskie czy o tendencjach faszystowskich?
- Jaka jest rola jezuitów w organizacji Opus Dei?
- Jakie są relacje z bankami, przemysłem, masonerią i organizacją Alvéoles?

Kiedy odkodował te informacje, oznaczone jako „ściśle tajne”, Czubko otarł pot z czoła wierzchem dłoni, potem rzucił półgłosem kilka inwektyw i słowa określające paskudny los szanownych matek swoich wymaglinowanych interlokutorów. Interesować się sekretami Watykanu? I co jeszcze? Taka misja wymagała wprowadzenia do sprawy osób nienawykłych do spraw religijnych, rekrutację i eksploatację nowych sieci, opłacanie ich, stworzenie skrzynek kontaktowych w odległych dzielnicach... Robota głupiego! Mruknął Czubko. Sądził, że w pierwszym raporcie może opisać trochę spraw ogólnych, na co dostał ostrą odpowiedź, która dotarła do niego z eteru.

Centrum do pułkownika Czubko. Nadzwyczaj pilne, ściśle tajne. Watykan. Donosimy o rozpoczęciu operacji specjalnej, mającej za cel Kościół rzymskokatolicki. W trakcie tej operacji jesteście do dyspozycji jej dowódcy – kod LEWITA. Jemu będziecie przesyłali raporty i kompletne sprawozdania. Żąda się maksymalnej skuteczności. Każde niedociągnięcie będzie surowo karane.

I podpis samego Andropowa.

Trzeba było wykonać. Wiadomości od Lewity cuchnęły liberałami, aż w nosie kręciło. Były zbyt ugrzecznione i zbyt wymagające zarazem. Żadne uchybienie czy niedokładność nie były tolerowane.

Skończyły się dla Mamy czasy pracy z komunistami, którzy chcieli jedynie, by oddawano im przysługi i podpisywali kwity na sumy, które nie zawsze widzieli. Teraz trzeba było zabrać się za jedną z najbardziej skutecznych i dyskretnych organizacji na świecie. „Nic łatwego dla starego”. A kiedy pierwsze organy i raporty o sytuacji przeszłej i obecnej zostały dostarczone do Moskwy i kiedy Mama sądził, że może odpocząć, przyszła nowa wiadomość od Lewity:

Zważywszy na stan zdrowia obecnego papieża, dostarczyć kompletną listę kardynałów i innych osobistości Kościoła uznawanych za „papabile”. Podać ich możliwie najdokładniejsze życiorysy. Zebrać informacje na temat ich zapatrywań politycznych. Wskazać wszelkie informacje dotyczące możliwości ulegania wpływom finansowym, ideologicznym, seksualnym albo innym w zależności od osobowości.

O co mogło chodzić w tej operacji? O przerobienie papieża w Rzymie na agenta KGB? Mama czuł, że sytuacja może wymknąć mu się spod kontroli, ale nie miał wyboru. Przy pomocy kilku agentów i Lalkarza, wciąż chętnego do pomocy, zrobił mniej więcej kompletną listę purpuratów, pomiędzy którymi prawdopodobnie znajdował się przyszły papież.



### 3.

Jedną z zalet intelektu Ilji, która pozwoliła mu być doskonałym dowódcą w czasie wojny i bardzo pomagała mu w Kościele, był zmysł syntezy. Od razu, na pierwszy rzut oka widział różnice ponad podobieństwami i podobieństwa ponad różnicami.

Z niezbyt spójnych notatek Marata Czubko, który nic nie rozumiał, jeżeli chodzi o struktury i tendencje Kościoła katolickiego, Ilja od razu zorientował się, że były dwa sposoby klasyfikowania purpuratów. Szczególnie kardynałów, przyszłych wyborców papieża i samych ewentualnych papieży.

Pierwszy sposób odnosił się do ewolucji Kościoła. Od najbardziej upartej reakcyjności do najskrajniejszej postępowości. Na jednym krańcu znajdowało się tych kilku biskupów, którzy z bólem przeżyli Sobór i życzyliby sobie powrotu Kościoła z dawnych czasów, pośrodku była większość, która uznawała reformy Soboru, ale szczerze wystarczały im one jako takie, na drugim krańcu znajdowała się mniejszość, która marzyła o liberalizacji obyczajów, małżeństwach księży, antykoncepcji, aborcji, uznaniu homoseksualizmu, kapłaństwie kobiet, i postępującej destrukcji całej hierarchii.

Jak można się było spodziewać, pierwsza grupa była politycznie konserwatywna, i w niektórych krajach należeli do niej nawet monarchiści, drugą stanowili demokraci w formie republikańskiej, trzecia nie odrzucała idei dołączenia się do skrajnej lewicy, nawet gdyby była komunistyczna, byleby tylko nie prześladowała Kościoła rzymskiego.

Drugi sposób klasyfikacji zależał od preferencji geograficznych i etnicznych kardynałów. Jedni uważali, że jedynym sposobem dla Kościoła w celu uniknięcia jakiegokolwiek nacjonalizmu jest wybieranie papieżem zawsze Włocha, inni uważali, że dominująca siła znajduje się w Stanach Zjednoczonych, inni jeszcze życzyli sobie papieża, który by nie należał do rasy białej, najchętniej czarnego, byli

i tacy, którzy zerkali w kierunku bloku wschodniego, na Słowian, a szczególnie na Polskę, najwierniejszą z wiernych, która mogła stać się klinem wbitym w komunistyczne imperium.

Zdawszy sobie sprawę z tych niuansów, Ilja wysłał wiadomość z zapytaniem, czy byłoby możliwe wpłynąć na przyszłe wybory. W końcu kardynałowie są ludźmi jak każdy, a więc wrażliwi są na dialektykę kija i marchewki.

Nie odkrywając – a przynajmniej tak sądził – celu swoich poszukiwań, Czubko poszedł z zapytaniem do Lalkarza, który zdjął swoje błękitne okulary, przetaił je jedwabną chusteczką, podniósł je do wieczornego Słońca, które oświetlało taras pałacu Innocentich i włożył je ponownie na oczy z pobłażliwym uśmiechem.

– Drogi Mama, mój drogi nieoceniony Mamma, pozwoli pan, że zwrócę panu uwagę, że trochę późno zaczynacie się tym interesować... To trwa już od dwóch tysięcy lat! Oczywiście, że można wpływać na kardynałów. Niektórzy są sprzedajni, inni ambitni, jeszcze innych da się szantażować. A są i tacy, którzy gotowi sprzedać duszę, by zatriumfował sposób, w jaki prawda odbija się w ich kardynalskich żrenicach. Ale nie tylko wy to zauważyliście. Prawdę powiedziawszy, dziwię się, że takie masy nacisków, jakie różne grupy wywierają na tych nieszczęśliwych kardynałów, nie zrobiły z nich jeszcze naleśników albo, jak wy to mówicie, *blinów*. Mimo wszystkich tych antypapieży, którzy nawzajem wygrzebywali się z grobów, aby wystawiać się na pogardę *in secula seculorum*, mimo mitu dość zresztą pikantnego papieżycy Joanny i prorocत्व pijanego irlandzkiego mnicha, którego nazywamy świętym Malachiaszem, coś w rodzaju aureoli do dziś jeszcze otacza Stolicę Apostolską i każe wierzyć obrońcom Opatrzności, że każda epoka ma takiego papieża, jaki jest jej potrzebny. Tej wiary nie podzielam (w XX wieku cknę mi się jeszcze za Borgiami), ale trzeba zrozumieć, że w tych przeróżnych osobach istnieje coś w rodzaju świętości dziedzicznej. Proszę popatrzeć, mam przyjaciela Amerykanina, z zawodu jest biskupem, z natury rozpustnikiem, a wyobraża sobie, że może zostać papieżem,

cóż... Nie może. Albo nie jest dość święty, albo na takiego choćby nie wygląda, nie wiem, ale, w każdym razie mimo że jest Amerykaninem, wiem, że jest kompletnie *out*. Nie wszyscy papieże zostali kanonizowani, ale wszyscy mniej więcej są kanonizowalni. Więc aby wpłynąć na konklawe, wy z waszymi łapskami... Żadnych szans! Opowiem panu historię. Był pewien cudzoziemiec, który przyjechał do Rzymu. Rano, kiedy wychodził z hotelu, kierowca zaproponował mu pomoc.

– *Signore*, znam miejsca, gdzie można się dobrze zabawić. Dziewczyny są tam wspaniałe, czyste, zdrowe...

– Nie, dziękuję – mówi cudzoziemiec.

Nazajutrz zjawia się ten sam kierowca.

– *Signore*, mam młodszą siostrę, jest piękna jak jutrzienka i do tego jest jeszcze dziewicą...

– To mnie nie interesuje.

Trzeciego dnia kierowca pojawia się znowu:

– Ach, wiem już, o co chodzi! *Signore* wie, co dobre. Mam młodszego brata, dosłownie aniołek...

– Proszę mnie zostawić w spokoju. Przyjechałem do Rzymu, żeby zobaczyć papieża.

Sądził, że pozbył się natręta, ale następnego dnia kierowca znów się zjawia.

– Przepraszam, przepraszam. Co do papieża, nie da się nic zrobić, ale mam kardynała...

– Widzisz Mama, papież jest poza zasięgiem.

*Żubry* z KGB nie miały poczucia humoru i Czubko nie ośmielił się przekazać tej historyjki do Centrum, ale wyjaśnił, że w koszyku z owocami morza papież jest osobno. Z łatwością opisał wszystkich *papabile*, ich profile, a nawet niektóre ich sekrety, ale wydawało się niemożliwe wybrać jednego czy drugiego z nich.

Z drugiej strony tej nitki, w pałacu arcybiskupim w Leningradzie, Ilja rozkładał na swoim biurku z brzozy karelskiej fiszki możliwych kandydatów, jak rozkłada się karty, by ułożyć pasjansa. Każda fiszka

ozdobiona była zdjęciem i Ilja przeglądał je kilka razy dziennie.

Bezbrode twarze, tęgie lub wychudłe, szlachetne i pospolite, zwyczajne i wyniosłe, przebiegłe i naiwne, i nazwiska jedne po drugich, imiona, charakterystyki społeczne, etniczne, geograficzne...

– I każdy z tych ludzi widzi siebie jako przyszłego Wikariusza Chrystusa – mówił do siebie Ilja.

Mówił bez goryczy, raczej z pobłażliwością, prawie ze współczuciem. Święty Piotr nigdy nie miał takich pretensji! Ale Kościół Zachodni zdecydował się pójść aż tak daleko. Dobrze, dobrze. Powoli rezygnował z tych ekscesów. Nie można mu mieć tego wiecznie za złe. Biskup Rzymu zawsze był pierwszy w chrześcijańskiej hierarchii, bo administrował stolicą tego, co jawiło się jako *oikouménē*<sup>47</sup>, *orbis terrarium*, całością cywilizowanego świata. Cóż bardziej naturalnego? A potem uległ pokusie i uwierzył, że jest generałem, podczas gdy był tylko komendantem wojsk; uwierzył, że jest ojcem tam, gdzie był tylko starszym bratem, coś bardziej naturalnego? W każdym razie człowiek, który zostanie papieżem, będzie rządził duchowo miliardem chrześcijan, nic bardziej absurdalnego nawet dla chrześcijanina, który nie będzie go uznawał, tylko traktował go z obojętnością.

<sup>47</sup> (Gr.) świat zamieszkały, wspólnota ludzka (przyp. tłum.).

I Ilja brał znów fiszki jedne po drugich, odczuwał sympatie i antypatie, nadzieje i niepokoje.

– Ach, gdyby to był ten gruby! Niech tylko nie będzie to ten chudy! Może ten tu okazałby się wyrozumiały? A ten tam nie ma przyjemnego wyrazu twarzy.

W końcu doszło do tego, że zapragnął, by nowy papież nie był zbyt wrogo nastawiony do komunizmu, bo, zgadując, że rosyjski arcybiskup musi bardziej lub mniej być związany z KGB, po prostu nie zechce go przyjmować, ale także, by nie był to zbyt rygorystyczny rzymski katolik, zbyt ni wróg prawosławia, bo wtedy każda współpraca byłaby niemożliwa. Ani nowy Pius X, ani nowy Pius XI nie załatwiałiby sprawy.

W niektórych chwilach zastanawiał się, czy najlepiej nie byłoby

skontaktować się z obecnym papieżem, którego *Ostpolitik* nie była zbyt agresywna, i który zdjął klątwę ciężącą na Kościele prawosławnym, ale nie. Ten, którego nazwano Watykańskim Hamletem, mógł sobie sprzedać tiarę papieską, aby pieniądze z jej sprzedaży rozdać biednym, mógł sobie być autorem bardzo społecznej encykliki *Populorum progressio*, był także jednak autorem *Sacerdotalis celibatus* i *Humanae vitae*, tekstów o upartej rzymskiej koncepcji. Poza tym miał 81 lat, a Ilja potrzebował papieża, z którym mógłby pracować latami, powinien mieć koło 60, Ilja mógł jeszcze poczekać.

Obecny Ojciec Święty nie wydawał się przywiązywać do objawień fatimskich (najważniejszych w obrazie Ilji) większego znaczenia. Owszem, pojechał tam, ale nie modlił się przed figurą, odmówił siostrze Łucji audiencji sam na sam, a nawet jakby potraktował jej wizje z dezynwolturą. „To bardzo prosta dziewczyna, niebył skomplikowana wieśniaczka. Lud chciał ją zobaczyć, to mu ją pokazałem...”. Nie był to człowiek, którego Ilja mógł prosić o wyjawienie trzeciej tajemnicy fatimskiej, która dla niego była kluczem do wszystkiego.

## 4.

W tym okresie życie nie było najłatwiejsze dla ojca Jurija.

Dziwne porozumienie nawiązało się pomiędzy Jego Wielebnością a Wierą. Jurijowi wydawało się, że byli oni przeciw niemu. Uspokajał się, wiedział, że nie była to prawda, a jednak nie mógł nie stwierdzić, że doktrynalny komunizm Wiery i otwarcie na Zachód, jakie przejawiał Jego Wielebność, były tak jedno, jak i drugie w sprzeczności z wymagającym, chrześcijańskim prawosławiem, w jakie wierzył.

– On sam chciał, żebym został kapłanem, a teraz...

Wydawało mu się, że to niesprawiedliwe. Czuł się odrzucony. Z wierności dla Jego Wielebności włożył prawosławną riasę, ryzykował, że przegra swoje własne małżeństwo, a oto proszę, Jego Wielebność Ilja był niedaleko od zdrady absolutnej pewności, jaką było dla niego prawosławie.

To Jurij układał fiszki otrzymane od Czubko, to Jurij redagował uwagi o przyszłych *papabile*, chociaż wydawało mu się mało interesujące wiedzieć, kto będzie zwierzchnikiem heretyckiego Kościoła, do którego on sam nie należał. Czuł stale, że Jego Wielebność słyszał wołanie z Rzymu, nie wiedząc nawet, ani na czym miało polegać, ani w jaki sposób Jego Wielebność go odbierze i to napawało go lękiem. Poza tym było kilka głośnych i kilka potajemnych nawróceń z prawosławia na katolicyzm i trzeba było za wszelką cenę przeszkodzić Jego Wielebności, by sam nie zanegował prawdy.

Wówczas ojciec Jurij redagował niewielkie notki ostrzegawcze, które kładł na biurku swojego zwierzchnika. Takie jak ta.

### *Notka na temat rosnących pretensji rzymskich papieży*

Epoka ewangelistów: imię Piotr zapisane jest w Ewangeliach 120 razy, podczas gdy imiona pozostałych 11 apostołów wymienione są 81 razy, wszystkie razem, choć nie widać, by Piotr miał nad nimi władzę.

I wiek: jakakolwiek by była waga roli, jaką odgrywa Piotr, nie widać, by miał jakakolwiek władzę nad innymi apostołami. Apostołowie „wysyłają” Piotra i Jana do Samarii (Dz 8,14), Paweł przyzywa Piotra, „bo nie idzie on prostą drogą” (Ga 2,11). „Sukcesja Linusa na biskupa Rzymu” jest to bardziej stwierdzone, niż potwierdzone.

Okolo 100 roku: papież Klemens Święty pisze do Kościoła Koryntian: „sprawicie nam radość, jeżeli posłuszni będziecie słowom, które wam napisaliśmy”. Zdanie to raczej jakby bliższe języka doradcy niż zwierzchnika.

II/III wiek: święty Ireneusz z Lyonu poleca całemu Kościołowi, by „zgodził” się z Kościołem rzymskim, bo zachował on „tradycję apostołską”, co znaczy, że jeżeli by z niej zrezygnował, nie będzie trzeba z nim się zgadzać.

IV wiek: święty Ambroży z Mediolanu deklaruje: „tam, gdzie jest Piotr, tam jest Kościół”, nie łączy jednak Piotra i Rzymu. W myśl tradycji tamtych czasów, każdy biskup był spadkobiercą Piotra. Papież Damazy I pierwszy używa sformułowania „stolica apostołska” i przytacza słowa Mateusza (16,18): „Otóż i ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr [czyli Skala], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą”, aby z nich wywnioskować, że Kościół rzymski jest jedynym Kościołem Chrystusowym. Aż do tego momentu żadne ze źródeł nie nadawało takiego znaczenia tej grze słów.

V wiek: papież Leon Wielki kładzie podstawy pod rząd uniwersalny i proklamuje się suwerenem pontyfikalnym. Deklaruje, że tylko biskup Rzymu posiada pełnię władzy. Papież Gelazy I: rzymska siedziba nie może splamić się żadnymi błędami.

VIII wiek: *Gesta Bonifacii* deklarują, że „nikt nie ma prawa osądzać papieża, o ile nie zboczy on z drogi wiary” – ewentualność uważana za możliwą i dająca możliwość osądu. Przewrót rządowy Pepina Małego uznany jest przez papieża i Leon III koronuje Karola Wielkiego na cesarza. Jak dotąd poddany Cesarstwa Konstantynopola, papież staje się na Zachodzie źródłem nowej władzy cesarskiej, jedynym prawdziwym posiadaczem pełni władzy.

Koniec VIII wieku: pojawia się fałszywy testament Konstantyna, według którego cesarz miał przekazać papieżom władzę cesarską na Zachodzie.

IX wiek: papież Mikołaj I miesza się do spraw wewnętrznych Konstantynopola i stawia na nielegalnego patriarchę Ignacego przeciw świętemu Focjuszowi, który zostaje potraktowany jak złodziej, cudzołożnik, morderca, cham, a nawet Żyd.

XI wiek: nowość, czyli *filioque*<sup>48</sup>, zostaje narzucona papieżowi Benedyktowi VIII przez cesarza Świętego Cesarstwa Henryka II. W czasie Leona IX kardynał Humbert de Moyenmoutier pisze grzecznie do patriarchy Konstantynopola: „taka jest pozycja Kościoła rzymskiego, jeżeli istnieje Kościół, który przez swoją dumę będzie się sprzeciwiał z nią, Kościół ten nie będzie już Kościołem, ale zbiorowiskiem heretyków, schizmatyków, synagogą szatana”. Humbert żąda także „przywrócenia” (sic!) *filioque – credo*, jakie uznaje Kościół Wschodni. Grzegorz VII mianuje i odwołuje biskupów, organizuje „stolicę apostolską” jako instytucję kanoniczną i ogłasza nieomylność papieża, Jedynego spadkobiercy świętego Piotra”. Przyznaje sobie absolutne prawo do ciał i dusz, do kleru i świata. Jest autorem *Dictatus papae* i stwierdza między innymi:

<sup>48</sup> *Filioque* (łac.) – „i (od) syna”; przen. (jedno) słowo uniemożliwiające porozumienie, powodujące rozejście się, rozłam, zerwanie. Etym. – formuła wyrażająca pochodzenie Ducha Św. (od Ojca i od Syna), dogmat Kościoła zach. (łac.), jeden z istotnych powodów schizmy wsch., tj. ostatecznego oderwania się Kościoła wsch. (1054 r.), określającego pochodzenie Ducha Św. *a Patreper Filium* 'od Ojca przez Syna' (przyj. tłum.).

1. Kościół katolicki został ustanowiony przez samego Pana...

4. Na Soborze legat papieski jest ponad wszystkimi biskupami, nawet jeżeli jest od nich niższy godnością i może ich odwołać.

6. Nie można mieszkać pod jednym dachem z osobą, na którą papież nałożył ekskomunikę.

9. Papież jest jedyną osobą, której wszyscy książęta mają całować stopy.

12. Wolno mu detronizować cesarzy.

18. Jego decyzje nie mogą być przez nikogo zmieniane, on sam może zmieniać decyzje wszystkich...



22. Kościół rzymski nie zbłądził nigdy i według świadectwa Pisma (sic!) nigdy nie zbłądzi.

XI-XIII wiek: Grzegorz VII proklamuje się „wikariuszem Piotra”, Innocenty III „wikariuszem Chrystusa”, Innocenty IV „wikariuszem Boga”.

XIV wiek: papież Bonifacy VIII wymyśla teorię „dwóch mieczy”, bazującą na Łukaszu 22,38: „Powiedzieli: «Panie, oto dwa miecze». On im powiedział: «to wystarczy»”. Te dwa miecze mają jakoby reprezentować dwie władze, duchową i doczesną. „Oba są we władaniu Kościoła, ale jeden ma być używany dla Kościoła, a drugi przez Kościół, jeden ręką kapłana, drugi rękoma królów i rycerzy za jego przyzwoleniem. Miecz ma być podporządkowany mieczowi, a władza doczesna władzy duchowej... Toteż deklarujemy, mówimy, określamy i stwierdzamy, że dla zbawienia każdej istoty ludzkiej konieczne jest poddanie się pontyfikowi rzymskiemu”. Bonifacy VIII stwierdza także: „Kościół nie ma dwóch głów, jak monstrum, ale jedną, a jest nią Chrystus i jego wikariusz Piotr, a tym samym następca Piotra”. Papieże Benedykt XII i Urban V negują wagę soborów ekumenicznych; dla nich, aby żyć w prawdzie, wystarczy słuchać papieża.

Pięć wieków później ta ewolucja kończy się na dogmacie nieomyłności papieża w 1870 roku na temat kwestii wiary i obyczajów, przegłosowanym 535 głosami przeciw 2. (konstytucja *Pastor aeternus* promulgowana przez Sobór Watykański pierwszy) – *nieomyłność* „przez samego siebie, a nie przez konsensus Kościoła”.

Kiedy to przeczytał, Ilja zrozumiał, że Jurij cierpi. Nie było to bez wątpienia cierpienie nieuzasadnione, ale można było mu odrobinę ulżyć.

Metropolita Leningradu zaprosił swojego sekretarza na spacer po zakurzonych, letnich ulicach. Lubił, jak mówił, „pokazywać swoją riasę ludowi, gdyż jest w tym skromny sposób pokazywania wiary”. I rzeczywiście, widok jego wysokiego białego czepca na czarnych jedwabnych welonach, które go okrywały, i zgrzebna sutanna Jurija, ściśle przepasana w talii, przypominały mieszkańcom Leningradu, że bramy piekieł nie zwyciężyły Kościoła Chrystusowego, że wciąż istniał z hierarchią i hieratyzmem, i wieczną, wciąż odnawialną

młodością. Przechodnie odwracali się, jedni okazując wrogość, niektórzy nieśmiało skłaniali się, inni prosili o błogosławieństwo. Ich oczy wilgotniały, kiedy całowali dłoń swojego arcybiskupa.

– Ojciec Juriju – zaczął Ilja – z zainteresowaniem przeczytałem twoją notkę. Co dokładnie chcesz udowodnić?

– Że jest tylko jedna prawda, Wasza Wielbność, i że jak na początku odejść od niej na milimetr, to na końcu zrobi się z tego kilometr. Oficer, jakim był Wasza Wielbność, powinien to rozumieć.

Ilja szedł wolno i majestatycznie. Tu i tam odgarniał laską poźółkłe liście brzozy, które opadły z gałęzi.

– Wydaje mi się – powiedział w końcu – że rozumujesz tak, jakby w życiu istniały tylko linie proste. Gdyby tak było, miałbyś rzeczywiście rację. Ale w rzeczywistości wszystko się wiję, wszystko splata... Widzisz, co się u nas stało. W XVII wieku odeszliśmy od prawosławia. Kościół rosyjski o mało nie popadł w herezję starowierców, potem prawda została odzyskana, prawosławie uratowane, a nawet po wieku czy dwóch starowiercy przyłączyli się do prawdziwej wiary, uznali przynajmniej, że są z nami. A ikonoklazm? Pienił się w Konstantynopolu od VIII do IX wieku. Trzeba było Soboru ekumenicznego VII i ostatniego oraz autorytetu wdowy po cesarzu ikonoklaście, cesarzowej Teodory, aby przywrócić cześć oddawaną świętym ikonom, które tak leżą nam na sercu.

– Chcecie powiedzieć, Wasza Wielbność, że rzymski katolicyzm może skorygować swoje błędy? Ja sądzę po pracach, które mi zadaje Wasza Wielbność, że szykuje się podróż do Rzymu, a może nawet i spotkanie z papieżem. Czy po to, aby go nawrócić?

Ilja uśmiechnął się pod siwiejącym wąsem.

– Nie, nie mam zamiaru nawracać papieża. Nie ja, niegodny, nie w sensie powierzchownym czy pozornym. Są jednak drogi i dróżki... Czy wiesz ojciec, że cesarz Aleksander I wysłał do Leona XII tajnego agenta, księcia Michaud de Bonretour, po to, by zbadał on możliwości zbliżenia się obu Kościołów. A Leon XII wysłał mu także tajnego agenta, przysłanego Piusa VIII! Tylko śmierć Aleksandra I przesko-

działa negocjacjom. Nie powiem nic nowego, mówiąc, że Augustyn powiedział *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus Caritas*. Przepraszam, trochę się z tobą droczę. Wiem, że nie miałeś czasu nauczyć się łaciny. Augustyn, który już w IV wieku widział, że w Kościele Chrystusowym powstają rysy ze wszystkich stron i że zaczyna on jak tonący statek nabierać wody, proponował, by walczyć o jedność, w sprawach wątpliwych szanować wolność, a we wszystkim wzajemną miłość.

– Bez wątpienia, bez wątpienia, Wasza Wielębność. Ale Augustyn nie mówił o jedności... rzymskiej.

– Jedność rzymska nie może być dla nas strachem na wróble. W czasie rozkwitu papieństwa Dante nie bał się wsadzić Mikołaja II do piekła, z głową w dół, zakopaną w ziemi i podeszwami w ogniu. Kiedy Pius IX stracił swoje państwa, pojawiło się inne uczucie, czułe oddanie papieżowi, który już nie kojarzył się z terrorem jak niegdyś. Do tamtych czasów katolicy jeździli do Rzymu modlić się na grobach apostołów, potem, aby zobaczyć Jego Świątobliwość pozbawioną wszystkiego. Papież, który za całą armię posiada pięćdziesięciu żołnierzy straży szwajcarskiej, króluje na 50 hektarach i ma 700 poddanych, czy sądzisz, że to to samo, co papież, który ekskomunikował królów, ustanawiał i zrzucał z tronu cesarzy, nie licząc podatków, stanowił wyższą i tę zwykłą sprawiedliwość w swoich własnych państwach z pręgiarzami i szubienicami.

Obaj duchowni poszli wzdłuż Prospektu Newskiego aż do muzeum ateizmu, które mieściło się w dawnym soborze Matki Boskiej z Kazania. Jurij pamiętał, że jako młody pionier został tam zaprowadzony przez przewodniczącego komsomołu. Nie pamiętał wiele, jedynie ikonę zaopatrzoną w maszynę, która sprawiała, że płakała ona mirrowymi łzami. Bez wątpienia prostacy ateści skonstruowali ją, by zdemistyfikować religię.

Ilja zatrzymał się.

– Ikona Matki Boskiej z Kazania jest tym, co Moskwa i Rosja miała najświętszego. Dawna władza, by ją uhonorować, wybudowała

katedrę w stylu pogańskim, która nie miała nic wspólnego z naszą tradycją i była pełna symboli masonskich. Bolszewizm mógł ją zniszczyć. Uważał jednak, że z pewnością będzie zrobić z niej muzeum ateizmu. I robiąc to, zachował ją w dobrym stanie. Niedługo znów stanie się tym, czym była, a raczej tym, czym jest, czyli katedrą. Wszystko się zmienia, ojcze Juriju. Wszystko się zmienia, dopóki istnieje życie. A co to jest życie? To, co się zmienia. Mam dla ciebie zadanie. Proszę znaleźć dla mnie to, co papież rzymski Pius XI powiedział, kiedy podpisał sławne Układy Laterańskie z Mussolinim.

Nazajutrz Ilja znalazł na swoim biurku następującą notatkę:

*Notatka o słowach rzymskiego papieża Piusa XI  
po Układach Laterańskich (11 lutego 1929 r.)*

Papież Pius XI zadowolili się minimalnym terytorium, rezygnując z tego, co proponował mu Mussolini. Wypowiedział z tej okazji następujące słowa: „Będzie jasne dla wszystkich, mamy nadzieję, że Suweren Pontyfikalny ma tylko ten kawałek terytorium, aby wykonywać władzę duchową powierzoną ludziom dla ludzkiego dobra. Nie wahamy się powiedzieć, że cieszymy się, że tak jest. Podoba nam się, że dziedzina terytorialna została zredukowana do tak minimalnych proporcji, żeby mogła i powinna być uważana jako uduchowiona przez ogromną, najwyższą i naprawdę boską moc duchową którą ma podtrzymywać i której ma służyć”.

Pozwalam sobie jednak przypomnieć Waszej Świątobliwości, że to nie władza doczesna papieża Rzymu, którą wykonywali bezpośrednio w państwie Watykańskim czy pośrednio w innych państwach Europy, sprawiła, że nie byli w zgodzie z Kościołem prawosławnym. To ich doktrynalne błędy, od których z tego, co wiem, nie odeszli. Czy mogą też przypomnieć, że nasz wielki myśliciel Dostojewski nie ustawał w wytykaniu rzymskich błędów?

Ilja przeczytał tę notatkę w nocy, przy małej lampce z zielonym abażurem ustawionej na biurku, by nie raziła go w oczy.

Ręka o zawsze starannie wypielęgnowanych i czystych paznokciach wzięła złote pióro marki Scripto, które to podarował mu,

przyjaźnie klepiąc go po plecach, kardynał O'Brian z okazji Soboru Watykańskiego drugiego. Napisał poniżej swoim starannym pismem, którego charakter zachował jeszcze cechy pisma dziecięcego:

Proszę przeczytać Legendę o Wielkim Inkwizytorze. Dostojewskiemu wydawało się, że wytyka błędy rzymskie. W rzeczywistości jego profetyczne zdolności pozwalały mu z góry przewidzieć komunizm. To komunizm, o wiele bardziej niż rzymski katolicyzm, ma ochotę zbawiać ludzi wbrew ich woli. Nie neguję, że wszystkie religie, w tym katolicyzm i prawosławie także, mają czasami pokusy w tym kierunku. Wydaje mi się, że Rzym stara się od tego odchodzić. Pożyjemy, zobaczymy.

Jurij przeczytał Wielkiego Inkwizytora, ale nie był przekonany. Zresztą zrobił błąd, przywołując Dostojewskiego, który na koniec napisał, że sam Chrystus ucałował Inkwizytora. Pocałunek zachęty? Wybaczzenia? Pocałunek okazujący uniwersalną miłość? W każdym razie ten pocałunek był nieusprawiedliwiony i robił niepotrzebnie aluzję do pocałunku Judasza.

Jurij spróbował powiedzieć o tym Wierze, ale nie chciała słuchać jego wywodów.

– Jak wielu ludzi zaczyna wymyślać coś, co nie istnieje, wiadomo, że nie będzie zgody. Jeżeli poproszę Iljuszę, by narysował krokodyla i poproszę o to samo jego koleżankę Sofoczkę, a oni nie widzieli nigdy krokodyla, to czy narysują to samo? Jacykolwiek by nie byli, księża zawsze mają jeden cel. Namieszać ludziom w głowach.

– Moim celem jest namieszać ludziom w głowach?

– Ty sam masz namieszane w głowie.

Jurij odnajdywał spokój jedynie we wnętrzu kościoła Świętego Mikołaja od Marynarzy. Albo podczas liturgii porannych w wielkim kościele zwanym letnim, którego nietknięte świetliste piękno przynosiło mu wielką pociechę, albo przeciwnie, wieczorem na schodach kościoła zwanego zimowym, ciemnym, ciepłym i niskim, gdzie modlił się samotnie przed ikonami, na których gęstwina świec zo-

stawiała złote poblaski.

Prawdę mówiąc, modlił się za Jego Wielebność, aby Bóg oświecił Jego Wielebność i nie wodził go na rzymskie pokuszenie. Powtarzał słowa kapłana, które w prawosławnej liturgii następują po hymnie do Matki Bożej, który to hymn następuje po podniesieniu. „Pamiętaj Panie o naszym arcybiskupie. Daj mu długie życie w pokoju, bezpieczeństwie i poszanowaniu, i naucz nasze święte Kościoły słów prawdy”.

Słowa prawdy! Niemożliwe, by w tym momencie nie pomyśleć o tym szaleńcu Dostojewskim, który bluźnił: „Gdyby trzeba było wybierać pomiędzy Chrystusem a prawdą, wybrałbym Chrystusa”. Ale co to miało znaczyć?

Niektórzy parafianie bardzo wspomagali Juriija, bo czuł w nich płomienną prawosławną wiarę, prawie dziką. Nie wątpił na przykład, że stara Warwara Wadimowna Wierchotnaja, umęczona przez KGB, byłaby w stanie przynieść chrust na stos, na którym spłonął arcybiskup starowierców Awwakum. Jej czarne oczy w wychudłej, bladej twarzy po prostu się żarzyły, była pewna, że posiada prawdę absolutną i opowiadała o tym bez przerwy swoim zachrypniętym głosem. Krzyczała o tym, będąc i młoda, i stara, niezmordowanie.

Na początku męczyły Juriija jej spowiedzi, tak bardzo była skrupulatna. Wypowiadawszy się w sobotę wieczorem, wracała już w niedzielę rano pod pretekstem, że śnił jej się jej pobyt w Gułagu i podejrzewa, że mogła jeszcze nie wybaczyć swoim oprawcom. Jakby to nie wystarczało, zdarzało jej się zaczepić kapłana w trakcie samej liturgii pod pretekstem, że była roztargniona w czasie śpiewania hymnu *Cherubikon*<sup>49</sup>. Ale jak tu mieć jej za złe, że szarpie sobie duszę z taką zajadłością, że stara się wypłenić najmniejsze nawet podejrzenie grzechu, jak drobinę kurzu na zasłonach, że bierze dosłownie słowa Chrystusa „Bądźcie doskonali tak, jak doskonały jest wasz Ojciec w niebie”? Była przynajmniej świadoma, że prawosławie jest prawdziwą wiarą i nie można było jej nawet podejrzewać, że wyobraża sobie, że jakiś inny Kościół jest nią choćby w minimalnej części.

Oskarżała się na przykład, że przeszła przed najświętszą Marią Panną z Lourdes, katolickim kościołem wyznającym kult (może przez prowokację) Niepokalanego Poczęcia, przeszła i nie odwróciła głowy. Takie ekscesy szokowały Jurija, ale zarazem mu pomagały, w porównaniu z nią wydawał się sobie rozsądny i umiarkowany.

<sup>49</sup> Hymn Cherubinów (przyp. tłum.).

Tego sierpniowego wieczora, kiedy umarł papież, Jurij dowiedziawszy się o tym z telewizji modlił się bez hipokryzji za spokój jego duszy. Wydawało mu się oczywiste, że zwierzchnik schizmatyków rzymskich potrzebował modlitwy bardziej niż ktokolwiek inny. Modlił się także, by został wybrany nowy papież, rygorystyczny, stanowczy, zamknięty na wszystko, co mogłoby pochodzić ze Wschodu w ogóle, a od metropolity Leningradu w szczególności.

## 5.

Żaden z rzymskich katolików, nawet najbardziej pobożnych, zebranych na Placu Świętego Piotra w Rzymie, nie czekał na rezultat konklawe z takim rozgorączkowaniem jak schizmatyk Ilja w swoim arcybiskupim pałacu w Leningradzie.

W odróżnieniu od londyńskich bookmacherów, którzy przyjmowali zakłady, zanim jeszcze ciało poprzedniego papieża zostało pochowane, stawiano: taki kardynał a taki – 7 do 2, taki a taki – 8 do 1, a kardynał angielski – 25 do 1. Ilja tylko się modlił, aby wybrany został najlepszy, najlepszy według woli Bożej naturalnie, ale także, o ile taka będzie wola Pana, najlepszy z jego własnego punktu widzenia. Miał oczywiście swoich faworytów, z których żaden całkowicie go nie satysfakcjonował. W każdym jednak razie ufał Duchowi Świętemu.

Rano, trzeciej soboty po śmierci poprzedniego papieża, 111 kardynałów zebrało się w Kaplicy Paulińskiej. Mistrz ceremonii pontyfikalnej poprowadził ich przez salę królewską do Kaplicy Sykstyńskiej.

– *Extra omnes!* – rozkazał mistrz ceremonii i wszyscy asystujący, którzy nie byli członkami konklawe, usunęli się.

Kardynałowie zaprzysięgli, że w czasie konklawe nie będą używać żadnych aparatów do transmisji, ani do fotografowania, i że nigdy nie będą dyskutować o głosowaniu ustnie, pisemnie, ani znakami pod groźbą ekskomuniki. Odnowili tę przysięgę. Pomieszczenia i głosujący zostali przeszukani. Głosujący mieli zmienić swoje charakterystyczne pisma na kartach do głosowania, które sprawdzali przeznaczeni do tego ludzie, którzy także byli nadzorowani. Dostęp do nich został odcięty przez gwardię szwajcarską. Okna zamurowano.

Specjaliści przepowiadali długie konklawe. Może nawet trzy i pół miesiąca, jak przy wyborze Piusa VII, albo trzy lata, jak przy wyborze Grzegorza X. O 18.24, tego samego dnia, na dachu Kaplicy Syk-



styńskiej ukazał się biały dym, a o 19.18 kardynał pojawił się na balkonie Świętego Piotra.

– *Annuncio vobis gaudium magnum: habemus Papam*<sup>50</sup>.

<sup>50</sup> Ogłaszam wam wielką radość: mamy papieża.

Nazwisko, które wypowiedział, nie figurowało w żadnych prognozach i Czubko, który zatelefonował bezpośrednio do Lewity, był zły, bo nic nie wiedział o tej osobie.

– Będę musiał popapierzyć w moich grzebach – wybełkotał – chciałem powiedzieć, pogrzebać w moich papierach.

– Grzebcie, towarzyszu Czubko, grzebcie i to szybko!

Towarzysz Czubko grzebał, ale niewiele znalazł. Jakiś artykuł w gazecie podawał, że wybrany papież, „jest z biednymi, ale prawicowy”. W Wenecji, gdzie był kapłanem, jego biura pełne były prostytutek, byłych więźniów, włóczęgów, żebraków i pijaków. Aby ich wyżywić, sprzedawał krzyż z kamieni szlachetnych i złoty łańcuch, który należał do Piusa XII, a który podarował mu Jan XXIII z okazji sakry biskupiej.

Wydawał się wrogo nastawiony do wszystkiego, co należało do świata biznesu, finansów i banków. Otaczała go wybierana Rada diecezjalna, której decyzje szanował, ale nie wahał się też używać swojego autorytetu „przeciw złym ludziom”. Lubiał cytować Dantego: „Niestety, Konstantynie, jakichże cierpień było przyczyną nie twoje nawrócenie, ale spadek, jaki otrzymał od ciebie pierwszy dostatni papież”? Chętnie jeździł na rowerze.

Ilja sam odkodował informację radiową, następnie udał się, by uklęknąć przed swymi umęczonymi ikonami. Wydało mu się, że ten papież mógłby go wysłuchać bardziej niż jakikolwiek inny.

Nazajutrz rano w niedzielę wysłał telegraficznie prośbę o audiencję. Odpowiedź pozytywną otrzymał jeszcze tego samego dnia. Miał zobaczyć się z papieżem we środę ósmego. Zadzwonił do Jurija.

– Wyjeżdżamy do Rzymu. Proszę wszystko przygotować. Proszę poprosić Wierę Konstantinówną, aby nam towarzyszyła.

Jurij odłożył słuchawkę.

Ze złączonym kciukiem, palcem wskazującym i serdecznym prawej ręki, jako symbolem Świętej Trójcy, a dwoma pozostałymi ugiętymi na znak dwoistości natury Chrystusa, przeżegnał się od czoła po pępek, poprzez prawe i lewe ramię, szerokim znakiem krzyża, który raz jeszcze wiązał go z prawosławiem.

To zrobiło mu naprawdę dobrze.

## 6.

Wyjazd wyznaczono na sobotę. W środę Jego Wielbność zaprosił się na obiad do ojca Jurija, który mu powiedział:

– Zastanawiam się, dlaczego postanowiłeś, Wasza Wielbność, wyjechać tak wcześnie. Spotkanie z papieżem ma odbyć się we środę za tydzień. Moglibyśmy wyjechać we wtorek i równie szybko wrócić.

Jego Wielbność wypił kieliszek czystej wódki i ugryzł z przebiegłym wyrazem twarzy kanapkę z kawiozem Bieluga.

– Ponieważ – powiedział – nie chcę odebrać sobie przyjemności zobaczenia po raz kolejny stolicy prawosławia i pokazania jej tobie i Wierze Konstantinowej (skłonił się w kierunku pani domu). To doskonała okazja.

Iljuszka bawił się spokojnie w parku. Krzyczał dużo, ale nigdy przy arcybiskupie, który był jego chrzestnym ojcem.

– Stolicę prawosławia? – powtórzył Jurij i wpadł w zastawioną na niego pułapkę.

– No tak. Aż do 1054 roku, kiedy to zachciało nam się nawzajem obłożyć ekskomuniką, Rzym, czy się tego chce, czy nie, był prawosławny, a jako że był stolicą imperium, w którym narodziło się chrześcijaństwo, mamy zwyczaj uważać go za stolicę prawosławia. Koloseum, gdzie zginęło tylu męczenników, Circus Maximus, gdzie zginęło ich jeszcze więcej, katakumby świętego Kaliksta i świętego Sebastiana oraz świętej Agnieszki, czyż to nie pomniki prawosławia? Chcesz naprawdę zrobić z tego prezent dla katolików rzymskich ojciec Juriju? Nie rozumiem cię...

– Przywłaszczyli sobie te miejsca.

– Tym bardziej nie powinno się oddawać tego ich historii.

– Jaki jest Rzym? – zapytała Wiera.

– Einsteinowskie miasto.

– Jak to rozumiesz, Wasza Wielbność?

– Czas i przestrzeń w nim się nie odróżniają. Może dlatego ka-

tolicy nazywają go „wiecznym miastem”. Idziesz dziesięć metrów w lewo albo w prawo i jesteś już w innym stuleciu. Idziesz trzy minuty i jesteś już w zupełnie innej rzeczywistości. To węzeł kontinuum. Nie ma podobnego miasta nigdzie na świecie. W pewnym sensie nie ma żadnego innego miasta na świecie, tylko to jedno.

- A co z Konstantynopolem? – zapytał Jurij.
- Istambuł to *suk*<sup>51</sup> w muzeum i muzeum w *suku*.

<sup>51</sup> Arabski targ, sklep (przyp. tłum.).

- A Leningrad? – zapytała Wiera.

Ilja zastanawiał się przez chwilę.

– To idea miasta. To straż przednia na granicy snu. To stolica biurokracji, wysuszone bagno, miejsce pamięci, która kiedyś się odrodzi z popiołów, aby poddać się innemu przeznaczeniu. To tak jakby początek przyszłości, ale jeszcze nie miasto. Proszę mi wybaczyć, Wiero Konstantinowna, miasto musi mieć co najmniej tysiąc sprzecznych ze sobą warstw historii, a trzy tysiące lat to o wiele lepiej. Leningrad nie ma nawet jeszcze trzystu lat. Jestem szczęśliwy, że znów zobaczę Rzym, tym razem w waszym towarzystwie.

Był nie tylko szczęśliwy. Marzył o tym zarówno dniem, jak i nocą. Mimo że był bardzo przywiązany do rosyjskich miejsc modlitwy, jak choćby do monasteru Świętej Trójcy, Rzym go olśnił, nie było dla niego nieprzyjemne, kiedy pomyślał, że prawda chrześcijaństwa jest ponadczasowa i eksterytorialna i między innymi wylądowała w Rzymie niczym helikopter w strefie lądowiska. Oczywiście to nie usprawiedliwiało pretensji Stolicy Apostolskiej do rządzenia światem chrześcijańskim, ale było pewne powiązanie, jakby splot słoneczny chrześcijaństwa, który zbiegał się w Rzymie, i to, że Rzym popełniał błędy historyczne, polityczne czy nawet teologiczne, nic tu nie zmieniało.

Gdyby trzymać się czysto apokaliptycznej wizji historii, stolicą Kościoła powinno być Jeruzalem. To w Jeruzalem znalazła się w końcu Arka Przymierza, w Syjonie, który wznosił świątynię Salomona, na Golgocie, gdzie zmarł i zmartwychwstał Chrystus, w dolinie

Jozafata, gdzie zmartwychwstaną zmarli. Także niebiańskie Jeruzalem, które pewnego dnia zejdzie z niebios, by zastąpić nasz zepsuty świat. Ale tak się nie stało. W naszym zepsutym świecie okoliczności także odgrywają rolę, liczy się logika historii i logika geografii. Święty Piotr i święty Paweł obaj „poszli” do Rzymu, jeden z własnej woli, drugiego zabrano tam siłą, i z tego powodu Kościół ciągnął za sobą ciężką spuściznę rzymską. Szczególnie, że to właśnie w Rzymie – aż do XX wieku – prawie wszyscy męczennicy chrześcijańscy zostali zamęczeni. Z Rzymu szły wszystkie misje. Dlaczego więc Kościół prawosławny nie miałby uważać za swoje miejsc swoich największych dokonań?

Podziemia Mamertyńskie i arkady Koloseum działały na Ilję tak dojmująco, jakby kiedyś tam żył i jakby kiedyś on sam tam umarł. I oczywiście był wzruszony na samą myśl, że spotka oko w oko zwierzchnika największej wspólnoty chrześcijańskiej i posiadacza tajemnicy fatimskiej.

Przypominał sobie, że kiedy po raz pierwszy pojechał zobaczyć papieża, a był nim Jan XXIII, zastanawiał się, czy jak Saul nie upadnie, czy na widok białego biskupa coś w głębi jego duszy nie powie mu „To twój pan, na kolana”. Jednak słusznie czy niesłusznie nic takiego się nie wydarzyło. Zobaczył tego biskupa, który był biskupem, kapłana, który był kapłanem, człowieka, który był człowiekiem, i żaden tajemny dreszcz nie przebiegł mu po plecach. Uznał w nim marszałka chrystusowej armii, podczas kiedy on sam był w tym czasie zaledwie jej oficerem. Jednak rzeczy uległy zmianie. Teraz nie tylko go zobaczy, ale będzie z nim rozmawiał i słuchał go. Po raz pierwszy od Soboru we Florencji w 1439 roku jeden z głównych dostojników rosyjskiego Kościoła prawosławnego będzie rozmawiał sam na sam z najwyższym dostojnikiem Kościoła rzymskokatolickiego.

Ilja cieszył się też przy okazji, że pokaże swoim młodym przyjaciołom miasto w kolorze ochry, zieleni i szarości, wroga kątów prostych, gdzie wystarczy przejść trzy kroki od jednego arcydzieła sztuki religijnej do innego, gdzie religijne rzeźby i malowidła zdobią

każdy załom ulicy, gdzie co piąta budowla to kościół albo domowa kapliczka, gdzie codzienna pobożność wydaje się sposobem na życie.

I tak samo było w Rosji naszych pradziadów – pomyślał Ilja. Sama Moskwa liczyła czterdzieści razy czterdzieści kościołów, a teraz ma ledwie czterdzieści. Kościół katolicki skarży się na dechrystianizację Zachodu, ale czy jest wdzięczny Bogu za środki, jakie posiada w porównaniu do nas? A my, czy byliśmy Bogu dostatecznie wdzięczni wtedy, kiedy mogliśmy chwalić go do woli? No więc, czy nie mamy sobie nic do powiedzenia, oni i my?

Tym razem Jego Wielbność arcybiskup Ilja, metropolita Leningu, odpowiedzialny za sprawy zagraniczne patriarchatu moskiewskiego, w towarzystwie swojej świty, podróżował oficjalnie, on w pierwszej, świta w klasie biznesowej. Zostali powitani na lotnisku Fiumicino przez dwie oficjalne delegacje i przez trzecią, która usiłowała nie rzucać się w oczy. Pierwsza reprezentowała Watykan, druga ambasadę Związku Radzieckiego. Było ustalone z góry, że arcybiskup zatrzyma się w Watykanie u Świętej Marty, podczas gdy ojciec Jurij i jego żona zostaną zakwaterowani w ambasadzie. Czarna limuzyna marki mercedes miała ich odwieźć w odpowiednie miejsca.

Jakiś fiat ledwie na tyle uszkodzony, by nie zwracać niczyjej uwagi, zaczął śledzić mercedesa. Nie mógł wjechać do Watykanu, ale jako że człowiek, którego Lalkarz nazywał Scoronconcolo, znał drogę, którą potem miał jechać mercedes, nie miał kłopotu z odnalezieniem go po wyjeździe z Watykanu. Towarzyszył mu aż do ambasad Związku Radzieckiego. Kiedy oba „przypadki” zostały zakwaterowane, zatrzymał się na placu koło pałacu Borghese, gdzie stały dziesiątki samochodów marki vespa.

Dwóch ludzi podeszło do drzwi fiata.

– Obiekt jest u Świętej Marty – powiedział Scoronconcolo.

Podał im zdjęcie zrobione polaroidem.

– Oto on. Widzicie, że z białą rurą od pieca na łbie to nie może być dobry katolik. Żadnych specjalnych środków ostrożności. Przyjechał chyba na sakrę Ojca Świętego, ale pewnie będzie robił wy-

cieczki turystyczne albo kupował kalesony. Załatwicie go i znikacie.

*Finito!*

Uszkodzony fiat odjechał.

- Ugotowany – powiedział jeden.
- Dobra robótka – dodał drugi.
- I jeszcze się można zasłużyć – dorzucił pierwszy.

ROZDZIAŁ VIII  
PRZEZNACZENIE  
OJCA JURIJA



# 1.

*Sobota 2 września do poniedziałku 4 września*

Rezydent KGB Marat Czubko poprosił „księcia” Innocento Innocentiego o wysłanie na tamten świat jakiegoś prawosławnego księżyny.

Z nadejściem nowego papieża ksiączę miał inne kłopoty na głowie, ale wciąż był gotów oddać mu tę przysługę. Powierzył więc tę misję Scoronconcolo.

Może jednak ksiączę nie miał racji, traktując to morderstwo ot tak sobie, bo wydało mu się bez specjalnego znaczenia, i kto wie, czy nie miał racji, nie zwracając się do bardziej kompetentnego specjalisty. Scoronconcolo uważał, że eliminacja cudzoziemca, na dodatek niekatolika, nie zasługiwała na jego bliższą uwagę i nie miał racji, że zwrócił się nie do specjalistów, ale do duetu Carlo.

Przypadek – założywszy, że coś takiego istnieje – sprawił, że obaj członkowie ekipy mieli na imię Carlo. Toteż nigdy nie mówiono do nich po imieniu, ale nazywano ich Pierwszy i Drugi. Pierwszy był cienki jak liczba jeden, Drugi zaokrąglony jak liczba dwa, Pierwszy podobny był do charta, Drugi do byczka z kępą kręconych włosów na niskim czole. Pierwszy pochodził z zamożnej mieszczańskiej rodziny, Drugi był kalabryjskim wieśniakiem. Ich ewolucje poszły w przeciwnych kierunkach i tak spotkali się w pół drogi. Drugi był brutalny i stając się mordercą, wspinał się w hierarchii społecznej, Pierwszy był sadystą, schodził stopień po stopniu coraz niżej.

Prawdę powiedziawszy, ani jeden, ani drugi nie byli specjalnie uzdolnieni w zawodzie, który wykonywali, i gdyby Scoronconcolo nie miał tego niejasnego wrażenia, że jakiś heretycki ksiądz nie jest wart, by marnować nań więcej uwagi, to pewnie zwróciłby się do Maria, albo do Cavalcantiego lub do Gellica i jego ekipy. Cóż, obaj Carlo strzelali dobrze, nie mieli najmniejszych skrupułów, żadnego

współczucia. Brali narkotyki tylko po pracy, nie opowiadali nikomu o niczym, i byli głupkami (bo byli), ale to była diabelska głupota.

Więc dwaj Carlo.

Działając w Rzymie, Carlo mieli pomysł tak prosty, że graniczył z geniuszem. Trzeba przebrać się za biskupa, prałata, kleryka, tradycyjnego księdza, franciszkanina, dominikanina, benedyktyna, karmelitę bosego albo nie bosego, lazarystę, teatyna, nie licząc siedemdziesięciu trzech innych uznanych zakonów poprzez pijarów, aby... aby przejść nie-za-u-wa-żo-nym.

Wkrótce jednak okazało się, że tyle finezji to za mało.

Tych dwóch klechów komunikowało się między sobą przez walkie-talkie, a z Scoronconcolo porozumiewali się z telefonu publicznego, nie mieli problemów ze stacjonowaniem ani z podjazdem w okolice Świętej Marty, w samym Watykanie. Pierwszy elegancko ubrany w doskonale odprasowanym garniturze i koloratce, Drugi celowo zaniedbany w wytartej, niezbyt pięknie pachnącej sutannie, obaj korzystali z niewinnie wyglądającej vespy (tak różnej w swojej kobiecej linii od samochodów typowo męskich, których wszyscy się boją). Siedząc obok siebie, zamieniając się miejscami, spędzili sobotni wieczór na posterunku, bez rezultatów, nie widzieli możliwości ani okazji działania na najbliższą przyszłość. Cel pojawił się tylko dosłownie na kilka sekund, otoczony rojem katolickich księży, którzy wciągnęli go do wnętrza Bazyliki Świętego Piotra, skąd jeszcze nie wyszedł.

Drugi informował Scoronconcolo.

– Jak za każdym razem będzie tuzin kruków wkoło niego, nie wiadomo, co da się zrobić. Nie ma co marzyć, że jest tu tylko gwardia szwajcarska. Jest jeszcze cywilna policja i cała reszta. Watykańskie Służby Bezpieczeństwa są chyba najlepsze na świecie, łapie pan, szefie?

Scoronconcolo zaczął już obgryzać sobie paznokcie ze strachu. Nigdy jeszcze nie zawiódł klienta. Jeżeli pierwszym zawiedzionym będzie Lalkarz, to z pewnością nie przyniesie mu to szczęścia. Miał

wrażliwy żołądek i musiał połknąć kilka tabletek przeciw nadkwasocie.

Zapadła noc, a akcja się nie odbyła. Nazajutrz był dzień sakry, czyli stracony dzień dla Scoronconcolo, bo w Watykanie było takie poruszenie, że zamach wydał mu się wprost niemożliwy nawet dla takiego zawodowca jak on.

Podczas gdy papież otrzymywał paliusz, szarfę z białej wełny ozdobioną sześcioma czarnymi krzyżami, noszoną na krzyż, która skromnie zastępowała tiarę zdobioną trzema piętami gemm, Scoronconcolo zadzwonił do Carla, aby się obaj rozluźnili i zajęli czymś, ale by byli gotowi od poniedziałku od 6 rano. W międzyczasie zastanawiał się. Miał w sobie odrobinę pokory i w końcu powiedział sobie, że zgadzając się z dezynwolturą wyeliminować z marszu cudzoziemskiego duchownego, gościa papieża, chyba przecenił swoje możliwości. Nic nie przeszkadzało arcybiskupowi Ilji zaszyć się u Świętej Marty, czy w Bazylice Świętego Piotra i w poniedziałek, i we wtorek – może nie miał zamiaru niczego zwiedzać ani kupować kalesonów, może z wielką pompą miał zamiar we środę udać się do papieża i wyjechać do swojego odległego kraju nie niepokoiony przez nikogo. W takim przypadku byłaby to porażka, gorzej, dyshonor!

Scoronconcolo objął swoją nieforemną głowę obiema rękami, przycisnął skronie. Musiało być jakieś wyjście z sytuacji.

Wyjście najczęściej znajduje się po zasięgnięciu informacji.

Informacji bardzo rzadko dostarcza sam obiekt, ale często dostarczają jego bliscy.

A obiekt miał ze sobą bliskich, swojego sekretarza i jego żonę. Oboje zakwaterowani byli w ambasadzie Związku Radzieckiego, która w tych dniach wzbudzała w Rzymie o wiele mniejsze zainteresowanie niż Watykan o wschodzie nowego pontyfikatu. Sekretarz z pewnością pojedzie po jakieś sprawunki do miasta, może by potem je odsprzedać w Moskwie, a jeżeli nie on, to z pewnością zrobi to jego żona, wiadomo, jak to robią Rosjanie. Zresztą oboje w jakiś sposób musieli znać zamiary swojego szefa. Jeżeli nie ona, to choćby on. To

właśnie był najinteligentniejszy sposób postępowania. Dowiedzieć się tego, co wiedzieli oni i wykorzystać to. Sekretarz był duchownym, łatwy cel.

W poniedziałek rano Scoronconcolo dał Carlom rozkaz, by przebieścili się w okolice ambasady Związku Radzieckiego i czekali na pojawienie się ojca sekretarza, śledzili go, zdjęli, przepytali w miejscu im znanym i zadziałali, jak należy.

– A jak już go przepytamy, to co mamy z nim zrobić? – zapytał Drugi.

– Papiloty dla tej jego kurwy – odpowiedział Scoronconcolo, chichocząc w słuchawkę telefonu.

Żona księdza nie mogła być dla niego niczym innym jak tylko kurwą.

## 2.

*Niedziela 3 września*

Jurij nigdy nie był dandysem i odkąd nosił jedynie riasę, zadowolął się tym, by była czysta i dobrze wyprasowana. Jako że Wiera nie chciała się tym zajmować, nauczył się sam posługiwać szczotką i żelazkiem, mając dla czystości i schludnego wyglądu stroju szacunek, jaki ma każdy mężczyzna, który kiedykolwiek nosił mundur. Na dwie założone na siebie poły sutanny zakładał czarny, skórzany pasek, który sprawiał, że miał talię osy. W dzień wyjazdu z Leningradu bezskutecznie szukał tego paska. Wiera okazywała tak ostentacyjny brak zainteresowania sytuacją, że wbrew swoim zwyczajom zapytał ją.

- Gdzie jest mój pasek?
- Nie wiem – powiedziała, odwracając oczy. – Szukaj.

On jednak nadal go nie mógł znaleźć.

- Weź inny.

Miał jakieś niejasne podejrzenia. Wiera była zbyt dumna, by uciekać się do pokretnych sztuczek, aby osiągnąć cel, ale zdarzało jej się używać podstępów w sprawach małych. Wiedział, że wołała, kiedy miał na sobie „drugi” pasek. Mogła schować pierwszy, by zmusić go do włożenia drugiego, zgadywał to po sposobie, w jaki unikała jego wzroku, który zdradzał naiwną wieloznaczność. Westchnął i włożył „drugi”, zgadując, jakie były jej motywy i był tym zarazem poirytowany i rozczulony, bo drugi pas szerszy i grubszy w kolorze brązowym to był pas od jego munduru z KGB, zrobiony tak, by można było go nosić z koalicijką i dający nawet bez niej efekt męskości, brutalności i autorytarności, mocno oddalony od kapłańskiej łagodności. Nie licząc klamry, która mogła służyć do wielu rzeczy. Jurij wiedział, że ten brązowy pas stał się dla jego żony czymś w rodzaju fetysza, kompensacją w stosunku do jego zawodu, sposobem na przypomnie-

nie sobie i jemu, że najpierw miał powołanie do zawodu żołnierza.

Jednak, jeżeli chodzi o wyjazd za granicę – nigdy nie wiadomo, czego spodziewać się po kapitalistach. Wiera chciała wyekwipować swojego męża na wszelki wypadek.

„Ach! Te kobiety!”. Kiedy przyjechali do Rzymu, zupełnie zapomniał o tym zdarzeniu. Bo mimo iż żywił do Rzymu i Rzymian zupełnie inne uczucia niż jego arcybiskup, był mimo wszystko zachwycony splendorem tego miasta.

Wszystko wydało mu się wspaniałe, choćby ilość budynków sakralnych na każdej ulicy i ilość kapłańskich szat, dowodząca, że budynki te były czynne. Dla obywatela radzieckiego to wszechobecne brzęczenie chrystianizmu na ulicach ula – stolicy wielkiego kraju, było wprost niewyobrażalne. Jurij nigdy nie był komunistą, ale był zmuszony wierzyć, na widok tego, co go otaczało, że komunizm jak na razie zwyciężał, może nie nad systemem kapitalistycznym, ten aspekt konfliktu był Jurijowi zupełnie obojętny, ale nad religią chrześcijańską, którą widział stale prześladowaną, a co najwyżej tolerowaną. W Rzymie nie była ani prześladowana, ani tolerowana, ale spokojnie, bezustannie, odwiecznie triumfująca. Krzyże były wszędzie, Dziewice Maryje także. To już nie była Fatima, wysepka, meteoryt religijny, który spadł z Królestwa Niebieskiego, to było żywe miasto, pełne ruchu ulicznego, handlu, mody, gastronomii, wszelkich światowych uciech, a Kościół katolicki siedł tu obok tego wszystkiego z podniesioną głową i swobodą. Czy podobna rzecz była niewyobrażalna w kraju prawosławnym? Ponieważ nigdy nie był ani w Belgradzie, ani w Atenach, poważnie się nad tym zastanawiał.

Metropolita Leningradu chciał uniknąć zaproszenia na sakrę, gdzie odegrałby tylko rolę statysty, która oczywiście mu nie odpowiadała, tak więc mógł poświęcić niedzielę na zwiedzanie nekropolii, gdzie dziesięć lat wcześniej odnaleziono szczątki świętego Piotra. Jego młodzi przyjaciele poszli tam razem z nim, pod przewodnictwem młodego seminarzysty belgijskiego, który z pewnością wolałby uczestniczyć w uroczystościach, ale dostarczał im wyjaśnień w języku

zbliżonym do rosyjskiego.

Byli pod ziemią przed dwoma stosami cegieł mających po dwa tysiące lat.

– Sądzisz, Wasza Wielebność, że to rzeczywiście święty Piotr? Ja nie jestem przekonana – mruzczała Wiera – te kilka porzrzucanych kości przerzucanych z miejsca na miejsce, które po kilku wiekach znajduje się tam, gdzie powinny się znajdować od samego początku, i które identyfikuje się pod pretekstem, że są owinięte w czerwoną szmatę i noszą ślady artretyzmu, choroby, którą ma każdy rybak, nie, proszę mi wybaczyć, ja na to nie idę.

To za bardzo przypomina powieść kryminalną.

– To nie jest najważniejsze – powiedział Ilja – najważniejsze jest to, czym ten grób mógłby być, a nie da się wykazać, że nie jest. A mógłby być grobem najsympatyczniejszego z apostołów, tego, w którym najłatwiej się odnaleźć każdemu z nas, a w każdym razie mnie.

– Wasza Wielebność nigdy nie zaparł się swojego mistrza – stwierdził Jurij.

– Jeszcze nie – przyznał Ilja – ale kto mówi, że nie mogłoby mi się to przydarzyć? Temu impetowi brakuje refleksji, to taka fanfaronada, rzucam się w wodę i tonę, wyciągam miecz i obcinam uszy, to mi się podoba. Więc wyobrazić sobie, że to, co pozostało z kości tego człowieka, najbardziej ludzkiego z ludzi, leży tu o dwa, trzy metry od nas... Ale dobrze wiesz, ojciec Juriju, że każdy człowiek jest zarazem wszystkimi ludźmi, i że nawet jeśli nie jest to Piotr, to jest to jego kuzyn, a więc niemal on sam.

Wyszli na powierzchnię w ciszy i opuścili seminarzystę.

– Jutro poniedziałek – powiedział Ilja do Jurija. – Nie mam zamiaru spacerować. To absurd przyjechać do Rzymu i niczego nie widzieć, ale tak już jest. Nie przejmujcie się mną. Wszyscy ludzie są dla mnie bardzo grzeczni, unicy, jezuici z Collegium Russicum, kardynał przewodniczący sekretariatu Jedności... Ale czasami muszę się skupić. Muszę porozmawiać z ludźmi z ambasady... Wszystko się

łączy i dopełnia. Wam polecam trochę turystyki. Pobożnej turystyki, ojcze Juriju, bądź spokojny! Szczególnie San demente.

Stali na placu Pierwszych Męczenników w Rzymie, tuż pod Łukiem Dzwonów. Oczy Ilji płonęły niewinną przekorą.

– San Clemente – dodał – był kościołem prawosławnym, wzniesionym na murach świątyni Mitry, dziś zajmują się świątynią irlandzcy dominikanie, ale to jest bez znaczenia. Wiem, że robią to najlepiej, jak potrafią. Wiecie, że ja sam także nosiłem imię Kliment? Znacie historię tego prawosławnego świętego, papieża Rzymu, który być może był spadkobiercą świętego Linusa, który był spadkobiercą samego świętego Piotra?

Ilja szedł pomiędzy tą dwójką młodych ludzi i przyjaźnie trzymał ich za ramiona.

– To właśnie święty Kliment – jak to mi dobrze przypominasz w jednej ze swoich notatek, ojcze Juriju, napisał ten braterski tekst do Koryntian, z którego nasi katolicy bracia przyjęli te mało przekonujące argumenty na temat autorytetu. To prawdopodobnie właśnie jego wspomina święty Piotr, kiedy mówi o współpracownikach. W każdym razie według legendy – ale czymże jest legenda, jeżeli nie innym sposobem mówienia prawdy? – cesarz Trajan skazał go na bycie górnikiem, u nas na Krymie. Tam ewangelizował tylu innych więźniów, i przede wszystkim tylu żołnierzy, że Rzymianie przywiązali go do kotwicy i wrzucili do Morza Czarnego. Zobaczycie fresk, który pokazuje to wydarzenie. Po jakimś czasie morze się rozstało i ukazało grób zbudowany przez anioły, w którym leżało ciało Klimenta. Każdego roku to samo cudowne cofanie się wody pozwalało wiernym składać mu hołd, aż do dnia, kiedy papież Mikołaj I, ambitny i poruszający, ale jeszcze także prawosławny, wysłał świętego Cyryla po relikwie, aby je przywiózł do Rzymu. Spoczywają one w San Clemente, gdzie znajduje się także grób Kiryła, którego na Zachodzie nazywają także Cyrylem. Zobaczycie go.

– Nic nie rozumiem z tej historii, powiedziała Wiera. Jak prawosławny duchowny może być papieżem? Jak papież może być



prawosławny, a do tego święty? Jak aniołowie mogą zbudować grób? I to jeszcze pod wodą? Jak Morze Czarne mogłoby się rozstąpić? Nie powiesz mi, Wasza Wielbność, że wierzysz w te brednie?

– Jeżeli chodzi o anioły i odpływy, nie potrafię odpowiedzieć, Wiero Konstantinowna. Co do papieży, aż do 1054 roku byli prawosławni, aż do momentu, kiedy zdecydowali się oddzielić od Kościoła jednego, katolickiego i apostołskiego, aby utworzyć rzymski.

Jurij odczuwał wielką satysfakcję.

– O którego świętego Cyryla chodzi, Wasza Wielbność?

– O naszego. O tego, który ewangelizował Kościół słowiański. Wymyślił cyrylicę, czyli alfabet. Tłumaczył święte teksty na staro-cerkiewny. To był wielki skandal. Zebrani kapłani utrzymywali, że chwalić Boga można jedynie po hebrajsku, grecku i po łacinie. A Cyryl im odpowiedział...

Ilja zatrzymał się, aby pogrzebać w swojej bajecznej pamięci i przypomniał sobie słowa prawie zupełnie dokładnie.

– „Nie wstyd wam żądać, aby wszystkie barbarzyńskie narody pozostały ślepe i głuche? Każdy język powinien wyznawać, że Jezus Chrystus jest Panem na chwałę Boga Ojca” – odpowiedział im.

– A czy nasz Cyryl był posłuszny papieżowi? – zdziwiła się Wiera.

– A dlaczego nie? Przecież mówiłem, że to był prawosławny papież?

– Nic z tego nie rozumiem – powtórzyła Wiera, tupiąc nogą.

### 3.

*Poniedziałek 4 września, rano*

W poniedziałek rano Jurij i Wiera wyszli z ambasady radzieckiej, ale Wiera oświadczyła, że nie pójdzie do San Clemente, że ma dosyć tych wszystkich świętości, że żona ambasadora poradziła jej, by poszła przyjrzeć się wystawom na via Condotti.

– Jak sobie chcesz – powiedział Jurij, rozkładając plan Rzymu.

Miał zamiar iść do San Clemente na piechotę. Nie zwrócił uwagi na dwóch młodych duchownych w samochodzie marki vespa, który jechał niedaleko niego. Choć trochę był zszokowany, zmotoryzowany ksiądz to go nieco dziwiło. Czy można sobie wyobrazić Chrystusa na motorze? A w sumie dlaczego nie? W końcu jeździł na osle. Jurij przestał się interesować tą kwestią. Rzym rozciągał się przed nim w całej okazałości i Jurij starał się zobaczyć go oczami Jego Wielebności. Niejako stolicę Kościoła katolickiego, ale jako miasto, które przez tysiąc lat było prawosławne.

Jednakże trudno mu było czuć, że jest w chrześcijańskim kościele, kiedy z zewnątrz miał on wygląd pogańskiej świątyni, która była zbudowana wzdłuż, a nie w kształcie koła czy krzyża. Nie było w niej ikonostasu, aby oddzielić świętego od świętych z naw bocznych. Nie czuł więc, wchodząc do bazyliki San Clemente, która pochodzi z XII wieku, tego świętego drżenia, które odczuwał zawsze, kiedy wchodził do świątyni prawosławnej. Białe ściany, łuk triumfalny nad ołtarzem, dwa symetryczne trony biskupie i białe murki ograniczające zamkniętą przestrzeń pośrodku nawy, wszystko to wydało mu się dziwne. Jednak gołębica i ryba oraz winorośl wyrte w marmurze trochę go oswoiły. Podobał mu się fresk z absydy przedstawiający Chrystusa, Matkę Boską i apostołów, wszyscy byli w złocie i w udrapowanych świetlistych tunikach w kolorach blado-karminowym, różowawym i delikatnie żółtym, z odrobiną patyny. Wyżej biegł pas,

na którym widać było baranka wielkanocnego otoczonego owcami, a jeszcze wyżej okrągła mozaika absydy z Ukrzyżowanym, pełnym spokoju Chrystusem na drzewie życia, obok którego przedstawieni byli Matka Boska i święty Jan u stóp krzyża, a także w tle kilka wielokolorowych gołębic oraz jelenie, które gasiły pragnienie w rzekach Edenu. Wszystko to wśród bujnej, wijącej się roślinności.

Kaplice boczne, Różańca, świętego Jana, świętego Cyryla, świętego Dominika, świętej Katarzyny nie przyciągnęły jego zainteresowania. Spieszno mu było zejść do niższej bazyliki, która pochodziła z IV wieku, a więc musiała być autentycznie prawosławna. Wziął bilet, kupił przewodnik w języku niemieckim i wmieszał się w potok turystów; oburzył się na odzienie kilkorga Amerykanów, które uważał za nieprzyzwoite. Nie zauważył młodego rzymskokatolickiego księdza, który interesował się tymi samymi dziełami sztuki co on.

W antycznej bazylice, usytuowanej dokładnie pod średniowieczną, Jurij czuł się o wiele lepiej.

Najpierw dlatego, że było tam mroczno, a on przyzwyczajony był do świątyń, gdzie światło pochodziło bardziej z płonących świec i żyrandoli niż spoza okien. Tutaj można było się czuć prawie jak w katakumbach. Poskręcane kolumny były naprawdę bizantyjskie, a więc święte. O ile u góry artyści wyznaczyli miejsce łacińskim świętym: Augustynowi, Ambrożemu i Grzegorzowi, to tutaj freski oddawały sprawiedliwość świętemu Andrzejowi, który kiedyś dotarł aż do Kijowa i tam przepowiedział przyszłość świętemu Aleksemu, tak popularnemu u Rosjan, świętem Cyrylowi i Metodemu, ewangelizatorom Słowian. Archaniołowie Michał i Gabriel także byli tu obecni. Fresk z VI wieku przedstawiał Matkę i Dzieciątka w postawach zarazem hieratycznych, ale i rozczulających. Inny fresk, cudownie zrytmizowany, ukazywał Wniebowzięcie w sposób mistrzowski. Święty Kliment był po prostu wszędzie. Uzdrawiał chorego, celebrował liturgię, ratował dziecko na brzegu Morza Czarnego, jego relikwie przybyły do Rzymu przywiezione przez świętego Cyryla, którego grób (zdaje się, że pusty) znajdował się tam ozdo-

biony wotami wysyłanymi przez wszystkie narody słowiańskie nawrócone na katolicyzm. Przez Czechów, Polaków, Chorwatów. Prawosławni nie zrobili nic albo nie poproszono ich, aby cokolwiek zrobili.

Mimo tej fałszywej nuty, która go zasmuciła, Jurij znalazł tu prawosławny Rzym, o którym mówił Jego Wielbność.

Miał pewne skrupuły, czy zejść na dół do świątyni Mitry. Wszelki kontakt z pogaństwem wydawał mu się niewiernością wobec Chrystusa. Powiedział sobie jednak, że Jego Wielbność naigrywałby się z niego, gdyby wyznał, że z tego powodu nie zszedł na sam dół, poszedł więc schodami, które zaczynały się obok grobu Cyryla. Usłyszał pomruk i dopiero po chwili zrozumiał, że to odgłos wydawany przez bulgoczące wody podziemne. Ten nieustanny wodny poszum był wprost przerażający. Jurij słabo znał mitologię, ale na razie wierzył w istnienie piekielnych bóstw i kiedy pochylił się nad otworem, w kierunku kanału, który płynął pod salą, w której się znajdował, poczuł strach. Wydało mu się, że widzi coś diabolicznego w pienistej, ogłuszającej gwałtowności, z jaką miriady cząsteczek wody zderzały się jedne z drugimi w wąskim przesmyku pomiędzy ścianami. Jeżeli istniało piekło, a Jurij wierzył w nie głęboko, musiało być to coś w tym rodzaju – ciągle zderzanie się dusz pomiędzy sobą w zamkniętej, ograniczonej przestrzeni.

Zwiedził pronaos i triclinium oraz salę lekcyjną dla katechumenów. Zauważył dzięki posiadanemu przez siebie przewodnikowi pojemniki na kości kurczaków. Zatrzymał się przed płaskorzeźbą, gdzie widać Mitrę, jak chwyta jedną ręką nozdrza byka, którego rzucił na ziemię i wbija mu sztylet w kręgosłup, odwróciwszy głowę, aby lepiej zobaczyć kruka, który przekazuje mu rozkazy Apollina.

„Nie miejmy złudzeń – pomyślał Jurij – takie było pogaństwo”.

Wszedł na piętro pośrednie, do pierwszej bazyliki i zatrzymał się przed freskiem, którego wcześniej nie zauważył. Przewodnik mówił, że pochodził z IX wieku. Był to jeszcze okres rozkwitu prawosławia. Fresk przedstawiał Chrystusa, pełnego zdecydowania, jak idzie do

piekieł. Jedną ręką trzymał za nadgarstek zmęczonego Adama, który wyraźnie nie był w stanie uratować się sam, stopą zaś rozgniała diabła, który odwracał ku niemu głębę i pokryte wrzodami pośladki.

– *Padre...* – powiedział nagłący głos za plecami Jurija.

Odwrócił się. Za nim stało dwóch młodych katolickich księży. Jeden raczej tęgi, drugi szczupły w garniturze i koloratce. Mówili obaj naraz z dużą szybkością. Na bladych twarzach mieli ekstatyczne uśmiechy, ale ich oczy były ostrożne i zimne. Ich blade ręce poruszały się we wszystkich kierunkach. Usiłowali złapać Jurija za ręce. *Fratello, Spirito Santo, catolica apostolica, Jesu Cristo, tutto il mondo, amore, amore...*<sup>52</sup>. Jurij się nie pomylił. Wiedział natychmiast, że ma do czynienia z diablami, ale bycie księdzem trochę osłabiło mu refleks. Nie wiedział, co robić. Instynktownie poczuł do nich nieufność, bo ci księża byli katolikami, i niemal słyszał już zarzuty, jakie z tego powodu zrobi mu Jego Wielebność, jeśli mu się z tego wyśpowiada, potem zapiekło go udo. Igła strzykawki przebiła jego riasę i poczuł, że wstrzykują mu końską dawkę nie wiadomo czego.

<sup>52</sup> Bracie, Duch Święty, katolicki, apostołski, Jezus Chrystus, wszyscy, miłość, miłość (przyp. tłum.).

## 4.

*Poniedziałek 4 września, popołudniu*

Kiedy przyszedł do siebie, Jurij starał się nie otwierać natychmiast oczu i nie poruszyć nawet palcem. Świadomość, że go uwięziono, wróciła mu natychmiast. Leżał na plecach. Powierzchnia, którą miał pod głową, była twarda i porowata, bez wątplenia beton. Dwa, nie, trzy męskie głosy mówiły po włosku, a ich mowa dźwięczała mu w uszach. Akustyka była ograniczona. Musiał się znajdować w miejscu zamkniętym i bardzo małym. Nagle strumień lodowatej wody uderzył Jurija w twarz. Z zaskoczenia otworzył oczy. Zresztą, ponieważ nie rozumiał języka włoskiego, nic nie zyskiwał, dłużej udając martwego. Jego przebudzenie wzbudziło śmiech.

Leżał na ziemi, nadal w riasie, w garażu zbudowanym na jeden samochód, ale samochodu w nim nie było. Za składanym stolikiem, na rozkładanych krzeselkach siedzieli dwóch młodych ludzi. Trzeci stał i mierzył w niego szlauchem, którym wcześniej lał na niego wodę. Garaż był zamknięty na spuszczone, żelazne drzwi i oświetlony samą żarówką, która chwiejnie zwisała z sufitu. Jurij poczuł nagle paraliżujący strach, nie dlatego, że znalazł się w niebezpieczeństwie, ale dlatego, że kondensacja zła, jaką poczuł w tym garażu, była większa nawet od tej, jaką odczuwał w niektórych pomieszczeniach KGB, które przecież niewinne nie były. To było zło w czystej albo prawie czystej postaci, duszące, wywołujące jakby odruch wymiotny. Było w nim wszystko – przemoc, perwersja i sprzedajność.

Dwaj młodzi ludzie siedzący za stołem byli to dwaj fałszywi księża, którzy go porwali. Zdjęli przebrania, które walały się na trzecim rozkładanym krześle. Torsy mieli nagie i w tej ich nagości było coś cynicznego i groźnego.

Jeden z fałszywych księży, ciemniejszy, siedział w taki sposób, że Jurij widział jego prawy profil. Był bardzo szczupły, a delikatna

warstwa podskórny tłuszczu obrastała jego klatkę piersiową na ledwie widocznych żebrach. Jego skóra i ciało były miękkie prawie na sposób kobiecy. Drugi siedział zwrócony do Jurija twarzą, miał niskie czoło, nad którym kręciła się kępka włosów; mimo że był tęgawy, widać było, jak jego twarde mięśnie grają pod skórą na ramionach, barkach i klatce piersiowej. Piersi i brzuch były obrobione, u jego kolegi zaś zupełnie pozbawione włosów. Trzeci mężczyzna, ten, który trzymał węża, także był do połowy nagi. Gęste, jasne włosy, mocno kręcone, otaczały puciołowatą twarz i nadawały mu wyrazu kapryśnego dzieciaka, prawie *putto*. Jurij wyczuwał w nim i w jego dwóch kolegach coś diabelskiego i jego uczucia wahały się między współczuciem a odrzuceniem.

W kącie garażu zauważył pralkę pełną wody. Na składanym stole radziecki, czerwony paszport i stary portfel ze skóry, które należały do niego. Był tam także notes i coś dużego, owiniętego w papier gazetowy, coś, z czego wychodził przewód elektryczny zakończony wtyczką.

Wspomagając się łokciami, usiadł i oparł się plecami o betonowy, chropowaty mur. Z góry widział swój krzyż, który zawsze nosił na piersi. Nie odebrano mu go, a także nie odebrano mu zegarka. Porwano go więc nie po to, by go obrabować. Więc dlaczego? Sprawa religijna? Polityczna? Człowiek nigdy dostatecznie bardzo nie jest ostrożny wobec tych z Zachodu.

Blondas rzucił szlauch i podszedł do Jurija.

– Więc, popie – powiedział – *Popik?* Dobrze idzie?

Mówił po rosyjsku z mocnym włoskim akcentem. Słowo pop wymawiał z pogardą. Zdrobnienie *popik* było wręcz obraźliwe.

– Kim jesteś? – zapytał Jurij.

Dzieciak odwrócił się do dwóch pozostałych, którzy powoli wstali.

– Chce wiedzieć, kim jestem.

Wrócił do Jurija.

– Lubię rzeczy stawiać jasno. Nazywam się Bernardo, ale na kursach rosyjskiego w PCI<sup>53</sup> nazywali mnie Borys. Tam się nauczy-

łem. Ci *signori* zatrudnili mnie jako tłumacza. Dobrze mówię, nie?

<sup>53</sup> Komunistyczna Partia Włoch (przyp. tłum.).

– Mówisz dosyć dobrze.

Ból w biodrze, jaki poczuł, kiedy Borys kopnął go czubem buta, był powalający.

– Kłamiesz *popik*. Mówię jak świnia. Ale taka świnia jak ty na pewno mnie zrozumie.

Uderzył go jeszcze raz. Jurij powstrzymał się od jęku. „Dlaczego? Boże, dlaczego ludzie robią takie rzeczy?”. Wiedział, że to dopiero się zaczyna. Rzucił okiem na zegarek. Była druga. A może czternasta? Nie wiedział. Nie był głodny. Pomyślał więc, czternasta. Przez jakies trzy godziny musiał być nieprzytomny. Wobec tych trzech diabłów był bezbronny. Przypomnił sobie urywek z Pisma Świętego, który zawsze go przerażał: „Zrobili z nim wszystko, co chcieli” napisano o świętym Janie Chrzcicielu w ewangelii Marka i Mateusza. „Zrobią ze mną, co zechcą”. Strach, odrzucenie i litość stały się jeszcze większe.

Tęższy z fałszywych księży powiedział kilka zdań do Borysa. Przetłumaczył.

– Carlo Drugi mówi, że wszystko będzie dobrze. Mamy do ciebie kilka pytań. Jeżeli odpowiesz, będziesz żył. Tak, czy tak, nie miej złudzeń, *popik*, powiesz wszystko, więc bądź mądry.

– Pytaj.

Szczuplejszy postawił pytanie, które Borys przetłumaczył.

– Carlo Pierwszy mówi, że interesuje nas jedna rzecz. Twój biskup. Mów. Co robi? Czy możesz nas do niego doprowadzić? To jedyny temat naszej rozmowy... Ile będzie trwała i jak bardzo będzie nieprzyjemna, to zależy od ciebie.

Męczeństwa można wymagać od każdego chrześcijanina, a tym bardziej od każdego kapłana. Bywali torturowani, poświęcali się, byli wyśmiewani, biczowani, więzieni, skuwani łańcuchami, przepiłowywani na pół, kamienowani, podrzynano im gardła, taki jest los chrześcijan, pisał święty Paweł. Od jakiegoś czasu Rosjanie znali to najlepiej. W tym sensie walka między ofiarą a katem nie była równa,



bo ofiara, zwyciężając w pewnym sensie, z góry zgadzała się na cierpienie.

Poza tym jego kaci z góry określili, o co im chodzi, a tego Jurij nie zamierzał im w żadnym wypadku ułatwić. Tak, nadal uważał, że Jego Wielbność Ilja nie miał racji, szukając kontaktów z Rzymem, i jeżeli Jurij znalazł się w takim położeniu, oczywiste było, że wynikało ono właśnie z tych kontaktów, ale czy to coś zmieniało, jeżeli chodzi o wierność, którą był winien swojemu arcybiskupowi? Czyż apostołowie nie towarzyszyli Jezusowi, wiedząc, że idzie na śmierć? „Dajmy się zabić razem z nim” – mówił niewierny Tomasz, a niewiele później dali się wszyscy zamęczyć, aby pozostać mu wiernymi.

– Nie powiem nic – powiedział spokojnie Jurij – i niech Bóg wam wybaczy to, co mi zrobicie.

Zamknął oczy i powtórzył w myśli: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, miej litość nade mną grzesznikiem” – modlitwę, w której różnica między słowami *Panie* a *grzesznikiem* daje tak niesamowitą moc.

Borys przetłumaczył odmowę.

Pierwszy syknął, Drugi warknął. Za co ten klecha, na dodatek heretyk, się uważał? Za co się uważał ten klecha w sukience, ten szcur?! Że udaje stracha na wróble wobec bab analfabetek i dzieciaków, zgoda, ale zobaczy, co to są prawdziwi faceci! Groźba Pierwszego nie była specjalnie przekonująca, ale tak czy tak Jurij jej nie zrozumiał. Zastanawiał się. Jeżeli porwano go po to, by się dowiedzieć, w jaki sposób można dotrzeć do Jego Wielbności, to chodziło im o Jego Wielbność. Musiał wyciągnąć z tego wnioski. Zgodzić się na męczeństwo w tym wypadku chyba nie było najlepszym wyjściem. Odczuł zarazem głęboki żal i mocne poczucie ulgi, że przecież będą inne możliwości.

Otworzył oczy.

Drugi wskazał na pralkę.

– Zmoczymy cię skurwysynie!

Pierwszy wrócił do stolika i wziął paczkę, w której była elek-

tryczna wiertarka. Pierwszy włożył wtyczkę do prądu i włączył.

Zzzz. Dał Borysowi jakiś rozkaz i ten przetłumaczył.

– Na golasa *popik!* Musimy się przyjrzeć twoim organom... kościelnym!

Musieli czytać gdzieś amerykańską instrukcję przesłuchań. Nagiego, poniżonego człowieka przesłuchuje się łatwiej.

Jurij ocenił sytuację. Dopóki leżał na ziemi, niewiele mógł zrobić. Aby się rozebrać, musiał wstać. Ci imbecyle, jego kaci uważali, że to normalne. Oczywiście, było ich trzech, ale istniał element zaskoczenia. To byli mordercy, nie ludzie walki. Jurij obawiał się zła, które w nich było, ale ich samych zupełnie się nie bał. Inna, poważniejsza rzecz niepokoiła go o wiele bardziej.

Okoliczności nie pozwalały, by zachować ostrożność, a wiedział, że kapłan, który popełni morderstwo, nie może odprawiać Eucharystii.

Cóż! Nigdy więcej nie będzie mógł pochylić się nad kawałkiem chleba i nad łykiem wina, oddając im cześć, mówiąc „Mój Boże i mój Królu?”.

Nigdy więcej nie zobaczy – bo w pewnym sensie widział – Stwórcy Świata w tym, co jest najpokorniejsze na świecie, w tym, co sieje i pije? Tak, męczeństwo było lepsze niż utrata tego, ale czy Jurij tak naprawdę miał wybór? Czy nie musiał zrobić wszystkiego, by ostrzec Jego Wielebność? Inne instynkty także zaczęły w nim grać, kiedy jego gruczoły pompowały mu do krwi adrenalinę. Był mężczyzną, oficerem, spędził niezliczone godziny na ćwiczeniach według systemu Specnazu, był przygotowany do śmiertelnej walki, która jeszcze nigdy nie nadeszła. Odkąd był kapłanem, zrezygnował z zawodów, ale ćwiczył nadal bardzo dużo.

Wstał bez pośpiechu, udając zupełnie sparaliżowanego, udając, że boli go biodro, trzymając się ściany. Towarzyszyły temu śmiechy trzech diabłów. Przeszła mu przez głowę niejasna myśl o egzorcyzmach. Te diabły wcieliły się w trzech mężczyzn, ludzi, za których Chrystus umarł na krzyżu. Ci ludzie umrą w jego władaniu i pójdą do

piekła wraz z tym, który się w nich wcielił. Zabić ich było straszne. Spowodować ich potępienie wieczne, jeszcze gorsze. Ale decyzja nie należała do niego. Powinnością Jurija było chronić Jego Wielebność.

– Na golasa! – znów rozkazał Borys.

Ręce Jurija spoczęły na pasie, który ścisnął go w tali, był to mocny pas od munduru. Pomyślał czule o Wierze, która wymusiła na nim, by go włożył. Klamra o ostrzonych brzegach i ołowiane obciążniki sprawiały, że był naprawdę doskonałą bronią i w czasie pierwszego okresu ich miłości Jurij zabawiał się, pokazując Wierze różne sposoby jego użycia.

Podniósł oczy na trzech mężczyzn, aby zobaczyć, gdzie stali i żeby określić odległość.

Na lewo Borys z rękoma na biodrach, pośrodku, trochę oddalony w głębi na prawo – tęgi, obrośnięty Drugi z zaciśniętymi pięściami, a jeszcze bardziej na prawo, koło stolika – szczupły i bezwłosy Pierwszy z wiertarką w ręku. Trzy nagie torsy lekko już spocone, które oddychały w przyspieszonym tempie z podniecenia.

„Z pomocą Bożą!” – pomyślał Jurij.

Nie trzeba nigdy robić tego, czego nie można zrobić z pomocą Bożą. Rozpiął pas.

Nie spodziewali się niczego.

Wziął pas w prawą rękę za koniec. Jakim cudem dwóch włóczągów i jeden komunista mogliby pomyśleć, że mały *popik* będzie się bronił?

Drugi, który był daleko, upadł z rozwaloną skronią uderzoną obracającą się klamrą.

Kopniakiem w lewo Jurij zmiądzzył mostek Borysa.

Pierwszy uciekł za stolik. Usiłował rzucić wiertarką w Jurija, ale zatrzymała się na kablu wciąż podłączonym do gniazdka. Zostawił ją i padł na kolana. Jurij złapał długopis, który leżał na stoliku i wbił mu koło ucha pomiędzy kości czaszki i szczękę, w kierunku mózdzku albo rdzenia przedłużonego. To sobie potem zarzucał. Mógł zabić Pierwszego uderzeniem pasa. Odwrócił się do Borysa, który jęczał,

plując krwią. Obrócił go twarzą ku ziemi, postawił nogę na kręgosłupie, wziął go za włosy i pociągnął. Kręgosłup chrupnął. Sprawdził, czy czaszka Drugiego naprawdę jest roztrzaskana. W garażu nie oddychał już nikt poza Jurijem.

Czternaście sekund.

Otarł krew i mózg Drugiego z twarzy i sutanny, ponownie włożył pas, wziął portfel i paszport, podciągnął drzwi garażu, które podniosły się ze szczękiem zardzewiałego żelastwa. Wyszedł.

Potem wrócił, aby wyciągnąć z głowy Pierwszego długopis, który tam zostawił.

Na dworze było ciepło.

Słońce świeciło pięknie.

## 5.

*Poniedziałek 4 września, po południu*

Scoronconcolo przeżył najgorsze popołudnie w życiu. Nikt nie zadzwonił. Scoronconcolo wciąż spoglądał na zegarek, telefon nadal milczał. W końcu wskoczył do samochodu, wmieszał się w wieczorny ruch uliczny Rzymu. Słońce zachodziło.

Scoronconcolo przyjechał na nowe osiedle, na którym nikt jeszcze nie mieszkał, i gdzie dziko „zajął” garaż na parterze budynku, którego jeszcze nie ukończono. Uważał, że zrobił to bardzo zręcznie, ale trzeba było mu dwóch godzin, aby dojechać na miejsce. Zaparkował starego fiata na stromej drodze, która jeszcze nie została pokryta asfaltem. Niedokończone, puste budynki sterczały wokół niego, fundamenty i betonowe słupy sterczały w pustkę. Wiał wieczorny wiatr, targał plastikową płachtą, podnosząc ją i leniwie tłukąc nią o ścianę. Poza tym żadnych dźwięków. Kurz i cement. Przez pusty plac przebiegła trójbarwna kotka.

Garaż H8.

Rolowane metalowe drzwi zsunięte były aż do samego dołu, ale chyba nie były zamknięte na klucz.

Scoronconcolo podniósł je trochę, by wśliznąć się, zgiąwszy się aż do ziemi.

Wyłącznik był na prawo.

Scoronconcolo wstał i przekręcił go. Muchy o ciężkich od zakrzepłej krwi skrzydłach bzycały na zwłokach.

## 6.

*Poniedziałek 4 września, wieczorem*

Lalkarz był już w bardzo złym humorze.

Nowy papież ledwie co doszedł do władzy, a prasa, którą, jak sądzono, trzymał na smyczy, węsząc już rozpad pewnych układów, rzuciła się wściekle do ataku, być może nawet na Alvéole 1. „Czy to uczciwe, że Watykan działa na rynku jak spekulant?”, „Czy Watykan powinien być właścicielem banku, którego operacje ułatwiają nielegalny transfer kapitałów za granicę Włoch?”, „Czy katolicki bank powinien być używany w celu unikania płacenia podatków?”. Powtarzano wszędzie, że nowy papież życzył sobie, by *Banca Cattolica* zmieniła nazwę. IOR – *Istituto per le opere di religione* też nie była szczęśliwą nazwą.

– Ale co to znaczy? Czystka w kuriach, czy tylko psik, psik dezodorantem?

Odmowę współpracy, jękatego samego dnia rano ogłosił Fulvio, przyjął z ogromnym niezadowoleniem. Uwielbiał przecież narzucać swoją wolę innym. Nie mógł zaakceptować, by jedna z osób, którą stworzył, przeciwstawiła mu się. Zastanawiał się, w jaki sposób ukarze Fulvia, tego samego Fulvia, którego dwadzieścia lat wcześniej dusił w swoich ramionach. Tak dla żartu, a on jęczał „Cento, Cento-ooo!” w jego ramionach.

Około siedemnastej zadzwonił telefon i wcale humoru mu nie poprawił. To był Czubko, który w zawołanych słowach przypominał mu, że audyencja Jego Wielbności Ilji wyznaczona jest na pojutrze, że zaraz następnego dnia wyjeżdża on z powrotem do Leningradu, i że czas nagli. Lalkarz potraktował go z góry.

– Drogi Mama, chyba dałem panu moje słowo, słowo Innocentich!

Postanowił się wcześniej położyć, co mu się nigdy nie zdarzało.

O 20.30 lokaj podał mu słuchawkę błękitnego telefonu.

- Muszę się z panem zobaczyć – powiedział Scoronconcolo.
- Załatwione?
- Przyjadę...
- Nie załatwione?
- Musi mnie pan przyjąć...

Lalkarz przyjął Scoronconcolo na stojąco, w szlafroku, w ogrodzie zimowym. Hodował w nim tropikalne orchidee. Kazał dzieciom łapać żywe muchy, zamykał je w swojej szklarni i cieszył się spektaklem roślinnego trawienia. „Cieszę się, wiedząc, że te szlachetne rośliny są także mięsożerne. Człowiek, wilk, szczupak, orchidea, wszystko to należy do tej samej rodziny. Mlecz, kiełb, kukułka, baran są z innej”.

Niebieskie okulary połyskiwały w wilgotnym półcieniu.

- Straciłem trzech ludzi – powiedział Scoronconcolo.
- Opowiadaj, stary – zachęcił Lalkarz swoim brytyjskim tonem, zaczynając marsz wzdłuż i wszerz.

Scoronconcolo odczuł jak uderzenie nożem fakt, że tamten powiedział mu na ty.

Nieznośna temperatura w szklarni sprawiała, że wielkie krople potu spływały po jego szyi, po krawacie, pod pachami i pomiędzy nogami. Książę chodził wkoło. Jego okulary okryła mgielka, ale on sam nie pocił się nigdy. Kiedy przechodził pomiędzy rzędami orchidei, korzenie niektórych z nich, wystające z koszy napełnionych mchem i próchniczną ziemią, wilgotne, łaskotały go w policzki, a ich rozwarte kwiaty, w kolorze kości słoniowej albo jasno-karminowe, rozpylały swój korzenny zapach.

Scoronconcolo opowiedział, co znalazł.

Książę zatrzymał się, aby przetrzeć okulary.

- Było ich trzech?
- Tak, trzech. Jeden nie całkiem był mężczyzną.
- No, mimo wszystko. Jak to możliwe Scoronconcolo? Zwykły księżyna?
- Pewnie zdradził ten tłumacz, komunista. Schizmatycy i oni

pewnie się muszą ze sobą jakoś trzymać...

- No ale podobno komunista też jest martwy?
- Schizmatycy tacy już są. Nie dotrzymują słowa!

Ksiązę zrobił kilka kroków.

- Oczyszczył pan garaż?
- Już się tym zajmują.
- Trupy?

– Normalnego pogrzebu zrobić się nie da, ale odprawimy msze w ich intencji.

- Msze?

– Tak, tak, niech Wasza Łaskawość się nie martwi. Mamy odpowiednich księży.

– Nie martwię się o nic tylko o zlecenie, które złożyłem. Co z tym? Heretycki biskup ma być wysłany do piekła, nie pamięta pan?

Scoronconcolo zatrzymał się, podniósł ramiona, potem opuścił je na uda trzasnąwszy mocno.

- Nie mam już ludzi, Wasza Łaskawość.

„Ludzi” w rzeczywistości znaczyło „zabójców”.

Lalkarz wziął go za ramiona i powiedział jak zawsze tonem bywalca:

- Niech pan idzie, drogi panie, coś panu pokażę.

Poprowadził go do salonu, nacisnął palcem na wyłącznik. Zapaliły się żyrandole i pochodnie. I jedno, i drugie zaopatrzone w elektryczne żarówki, światło migotało w takim rytmie, że dawało wrażenie, jakby salon oświetlony był światłem świec. Na ścianach renesansowe płótna, portrety wojowników w zbrojach, duchownych w krótkich pelerynach, wielkich dam w kryzach i nimf pośród pięknych pejzaży.

Pośrodku woskowanego parkietu, który skrzypiał pod butami, był owalny otwór zakryty szkłem w metalowej obudowie.

Kiedy się nad nim pochylić, widać było głęboką, kamienną studnię, dobrze oświetloną reflektorami.

– Trzydzieści metrów – powiedział ksiązę. Nie wiem, czy dobrze pan widzi, co jest w głębi. Wygląda to na kości. Nigdy tam jeszcze nie



zszedłem, aby sprawdzić. W okresie, kiedy wszyscy względnie dobrze wyglądali, to do tej dziury, panie Scoronconcolo, wrzucaliśmy resztki posiłków i życia. I tych, których już nie potrzebowaliśmy. To się nazywa loch. Widzi pan, gdzie patrzę? Proszę spojrzeć na samo dno studni. Pan wie, że prawda pochodzi ze źródła. Niestety, czasy się zmieniły. Ta studnia już nie służy do tego, do czego służyła kiedyś. To coś w rodzaju muzeum, do którego nikt nie wchodzi.

Lalkarz pogroził komuś palcem, ale nie wiadomo komu.

– To bardzo źle, jeżeli coś nie służy do tego, do czego służyć powinno. Można oczywiście to skompensować, ale jeżeli nie możemy już suszyć szkieletów w domu. Są kominy. Możemy sprawić, że znikną, nawet i z pomocą mszy. A propos, chciałby pan mszę Scoronconcolo? Nie jestem skąpy, nie odmówiłbym mszy staremu przyjacielowi, nawet jeżeli nie jest mi już do niczego potrzebny. Odprowadzę pana do schodów. Ależ tak, tak, ależ tak!

Na progu salonu Scoronconcolo zatrzymał się, podniósł oczy pełne łez na księcia. Na jego twarzy, wyrzeźbionej, można by powiedzieć, uderzeniami pięści, naczynia krwionośne zrobiły się bardziej niebieskie, przekrwienia bardziej czerwone, a cała twarz bardziej sina.

– *Signore*, proszę mi dać okazję, żebym mógł naprawić błąd! Jedną okazję! Cudzoziemski biskup, nie dam rady, ale ktokolwiek inny, tylko muszę mieć czas, żeby kogoś najać. Jedną szansę! Kogokolwiek! Proszę!

– Nie widzę nikogo – powiedział Lalkarz. – Nie, naprawdę nie widzę nikogo. Nie mam wrogów.

Nie zamierzał temu nieudacznikowi kazać zajmować się papieżem!

Scoronconcolo pomyślał o żonie i swoich ośmiorgu dzieciach.

– Proszę Waszą Łaskawość. Błagam! Proszę mi kogoś dać.

Lalkarz lubił, jak wszystko układało się samo.

– Wiesz, mam pomysł. Wielebność Fulvio Krstitch, sekretarz papieski. To pana interesuje? Ale co do niego, to proszę zrobić mi tę przyjemność, niech to długo trwa. Czyli albo, albo? Bierze pan?

– Dziękuję, Wasza Łaskawość! Dziękuję! – krzyknął Scoronconcolo, przyciskając rękę księcia do ust – dziękuję! Wasza Łaskawość będzie ze mnie zadowolony!

Uderzeniem w ramię na znak zachęty Lalkarz opuścił go na marmurowych schodach, zadowolony z siebie samego, ale czuł, że coś mu umknęło. Było coś jeszcze do zrobienia. Nagle wyskoczył na półpiętro. Z ręką na poręczy. Scoronconcolo usłyszał go, będąc na ostatnim schodku.

– Scoronconcolo?

Mężczyzna odwrócił się, podniósł oczy, bojąc się przede wszystkim, że księżę zmieni zdanie. Było dziwnie patrzeć na niego z góry. Jego głowa była równie szeroka jak ramiona, tors krótki, nogi także. Karykatura.

– Wasza Łaskawość?

– Nie wcześniej niż za miesiąc. Słyszysz? Powtórz!

– Wasza Łaskawość nie musi się obawiać. Dwa, trzy tygodnie potrzebuję, by kogoś znaleźć. Pewnego człowieka. To są bardzo zajęci ludzie. Trzeba to zrozumieć.

– Znam tych pańskich pewnych ludzi. Ale nie wcześniej niż za miesiąc, rozumiałeś?

Stojąc wysoko na schodach z brązowego marmuru o brązowo-złoty refleksach, Innocento Innocenti w swoim brązowym szlafroku wyglądał tak, jakby był ich częścią.

Na dole lokaj w złocie i czerni odprowadził Scoronconcola do ciężkich rzeźbionych drzwi i zamknął je z głębokim westchnieniem. Księżę nie lubił przyjmować u siebie ludzi, ale to, co pilne, bywa konieczne, a lokaj czuł, że było to coś pilnego.

## 7.

*Wtorek 5 września, rano*

Lalkarz nie mógł złapać Fulvia wieczorem. Dzwonienie do niego w nocy mogło wzbudzić podejrzenia. Nie było innego wyjścia, jak powlec się na mszę o siódmej rano do kaplicy świętego Leona. Udał się tam bez większej nieprzyjemności. Bazylika zawsze dodawała mu otuchy tą swoją światowością, odwiecznością, ogromem, *hybris*, *Machtwunsch*.

Wczesnie rano, jeżeli komuś na tym zależy, można pomodlić się z pokorą w bazylice Świętego Piotra albo pozostać między dwoma rzędami kolumn wyciągniętych w kierunku miasta jak szczytce homara, można przyjrzeć się gigantycznym drzwiom, czterem skręconym jak wiertła kolumnom baldachimu z brązu obok chóru, a także napisowi biegnącemu wokół kopuły *Tu es Petrus et super hanc petram....* Można też spojrzeć na pięciometrowe, dwudziestotonowe statuy stojące na postumentach: świętego Ignacego Loyoli, świętej Teresy z Avila, świętego Franciszka z Asyżu, świętego Wincentego a Paulo (wszyscy zaskoczeni tym, gdzie się znajdują) obok podziemnej krypty, gdzie medytuje i oczekuje na zmartwychwstanie prawie połowa papieży, każdy w zapieczętowanym sarkofagu. Ten święty majestat zdawał się zawsze tak wspaniały, że nie mógł nie podobać się Innocento.

Jak zwykle wysłuchał mszy i spotkał się z Fulvio przy wyjściu. Przywitał go przyjaźnie, prawie po ojcowsku. Tym bardziej, że ich ostatnie spotkanie było ciężkie.

Fulvio był zażenowany, po raz pierwszy w życiu powiedział „nie” temu, kogo uważał za swojego mistrza.

– Cento, nie sądziłem, że zobaczę cię tak szybko.

„Cento” mogło zostać wymazane z rejestru.

– Ach, Wielebny Fulvio Krstitch! Proszę tego tak nie odbierać –

powiedział Lalkarz, pozwalając upłynąć kilku chwilom i wymawiając słowa bardzo dokładnie. Może pogodzimy się, zakładając mniejsze koszty (przyjął pełen namaszczenia, prawie kapłański ton). Mam tu niewielką torebkę, żeby panu przekazać. Proszę włożyć do kieszeni. To tylko niewielka ilość proszku. Wie pan, o co chodzi? Wie pan, że rosyjski biskup ma być przyjęty przez papieża? I co pan na to? Nie sądzi pan, że należy temu zapobiec wszelkimi sposobami? W jakim kierunku pójdzie katolicyzm, jeżeli zbliży się do wschodniej schizmy? Służymy tej samej sprawie. No i pańska kariera nie jest mi obojętna. Czy mam jeszcze raz tłumaczyć, że Bizancjum oddzieliło się od prawdziwej wiary, czyli od Rzymu, że pociągnęło cały Wschód w kierunku herezji, a szczególnie Rosję. Rosja ośmiałała się stawić czoło Stolicy Apostolskiej, kiedy była jeszcze prawosławnym cesarstwem, a teraz sprawiedliwości stało się zadość i pogrzyżyła się w potwornościach perwersyjnego komunizmu. Zrezygnuje pan z naszego wsparcia? No i proszę sobie wyobrazić, Ojciec Święty, jeszcze niedoświadczony, ulega nieświadomie wpływom KGB?

Wpływom KGB i, co gorsza, prawosławia, bo KGB w końcu minie, a prawosławie trwa już od tysiąca lat. A więc czy może pan zapobiec temu horrorowi? To nie będzie trudne, prawda? Pan jest nad *commandatore* Gulio. Szczypta do filiżanki kawy albo do kieliszka wódki, nie wiem, co piją heretycy... Były czasy, kiedy każdy heretyk mógł zginąć, nie ma się nad czym rozczulać... Przyjaciele, dobrze postawieni... Krótko mówiąc, nie musi się pan obawiać konsekwencji.

- On jest schizmatykiem, nie heretykiem.
- Tak bardzo schizmatykiem, jak tylko się da.
- Jest Rosjaninem.
- Nie ma Rosjan bardziej rosyjskich niż on.
- I na pewno jest oficerem KGB.
- Inaczej mówiąc, wysłannikiem szatana.

Wyszli obaj z bazyliki Świętego Piotra. Jeden duchowny i jeden świecki, obaj szacowni, dobrze wykształceni, starannie ogoleni, wdychali wrześnie poranne powietrze. Popatrzyli sobie w oczy, ale

nie odnaleźli w nich tego, co widzieli w nich kiedyś, dwadzieścia lat wcześniej. Wszystko było w nich nowe. Były to oczy, w głębi których była dusza, którą można by manipulować i znajomość prostego faktu, że życie ludzkie jest mocno przereklamowanym dobrem.

– Zgoda? – zapytał Innocento Innocenti.

I jako że tamten milczał, zażenowany jego kapłańskimi manierami, pięknymi zdaniami, reakcyjną retoryką, tak bardzo nie w stylu Lalkarza (ale prawdę powiedziawszy, Cento, jak chciał, to potrafił). Lalkarz nagle zmienił ton.

– Zgoda Fulvio Krstitch? Załatwisz schiza?

– Zależy ci na tym, aby zrobić ze mnie mordercę?

– Załatwisz?

– Zgoda. Załatwię.

– We środę rano najpóźniej?

– We środę rano najpóźniej!

Kiedy odwrócili się do siebie plecami na via della Conciliazione (co za piękna nazwa dla ulicy, gdzie Bóg i Cezar uznali nawzajem ważność swoich urzędów), każdy z nich poszedł swoją drogą: stary Innocento szedł przez most na Tybrze, aby wrócić do pałacu Innocentich, młodszy Fulvio w kierunku pałacu apostołskiego.

## 8.

*Poniedziałek 4 września, wieczorem*

W roku 1964 papież Paweł VI spotkał w Jerozolimie ekumenicznego patriarchę Atenagorasa. Wzajemne ekskomuniki pomiędzy Rzymem a Konstantynopolem zdjęto w roku 1965. W roku 1967 papież złożył wizytę w patriarchacie. W tym samym roku przyjął w Watykanie Atenagorasa.

Stosunki Moskwa – Rzym były trudniejsze z wielu względów. Jednym z nich była potęga imperium sowieckiego, poza tym: Polska, Unia, dwuznaczne role, które zmuszeni byli grać: z jednej strony, patriarcha rosyjski w stosunku do skrajnie ateistycznego państwa i w stosunku do ludu chrześcijańskiego, z drugiej strony, papież wobec tego państwa widzianego jako supermocarstwo światowe i wobec swojego powołania chrześcijanina, które stawiało go między ogólną sympatią i antypatią wobec prawosławia.

Rezultat? W oczekiwaniu na audiencję, która tak szybko została mu wyznaczona przez nowego papieża, przeróżne osoby wrywały sobie z rąk Jego Wielbność Ilję, którego misja była dla wszystkich owiana mgiełką tajemnicy. Kardynał Sekretarz Stanu, zastępca Sekretarza Stanu, arcybiskup Sekretarz do spraw relacji Stolicy Apostolskiej z państwem, Przewodniczący Penitencjariatu, kardynał kamerling administrujący dobrami pontyfikalnymi, który zwołuje konklawe, prefekt Kościołów Wschodnich, prefekt do spraw ewangelizacji narodów, kardynał przewodniczący Jedności Chrześcijan, przewodniczący Cor Unum, kardynał przewodniczący do spraw dialogu pomiędzy religiami, dyrektor prasowy, dyrektor centrum telewizyjnego Watykanu... wszyscy robili, co mogli, żeby spotkać się z metropolitą Leningradu, chargé d'affaires patriarchatu Moskwy.

To Ilji nie przeszkadzało. Były momenty, kiedy go to nawet bawiło, ale nie był tym specjalnie poruszony. Znał bardziej niż ktokol-

wiek inny biurokratyczny bałagan, odczuwał satysfakcję, widząc, że wcale w Rzymie nie jest on mniejszy niż w Moskwie, tyle że objawia się w innym stylu. Co do reszty, to rozdzielał słowa zachęty, ile dusza zapagnie, ale miał wrażenie, że właśnie kończy bieg, bardzo długi bieg, który trwał niemal od sześćdziesięciu lat i myślał tylko o mecie, to znaczy o audiencji pontyfikalnej we środę o godzinie 11.

W poniedziałek o 20, kiedy zmieniał jedną jedwabną riasę na inną, aby udać się na obiad z kardynałem prefektem doktryny wiary, który był też przewodniczącym Międzynarodowej Komisji Teologicznej (obecny miał być także przewodniczący komitetu pontyfikalnego międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego), zapukano do jego drzwi.

– Proszę wejść.

To był Jurij.

Postarzał się o dwadzieścia lat. Był czarny od pyłu. Szczękał zębami. Upadł na kolana przed Ilją z rozłożonymi rękoma i dłońmi tak, jakby miał zostać ukrzyżowany.

Ilja, który właśnie poprawiał biały kłobuk przed lustrem, odłożył go powoli na komodę. Zrobił trzy kroki w kierunku Jurija i położył mu rękę, nie na ramieniu, jak zrobiłby to brat lub przyjaciel, ale na głowie, jak ojciec, którym przecież był. Poczuł, że włosy Jurija wilgotne są od potu. Kochał go, może tak jak Jezus kochał Łazarza.

– Wiera? – zapytał.

Jurij pokręcił głową. Nie mógł złapać powietrza, aby odpowiedzieć. Ilja zrozumiał to, co histerycznie mamrotał.

– Chwała Bogu. Żyje Wasza Wielebność. Żyje!

Ilja tym bardziej stawał się spokojny, im mniej spokojny był jego podwładny. Zastanawiał się, w jaki sposób potrząsnąć nim, aby przywrócić go do normalnego stanu. Zdecydował, że nie zrobi tego na sposób kościelny. Podeszedł do barku, gdzie jakaś przewidująca ręka wstawiła pół butelki Stolicznej. Z prawosławnymi nigdy nic nie wiadomo. Mocne ręce Ilji zakręciły butelką w jedną stronę, zakrętką w drugą. Wrócił do Jurija i generalskim głosem powiedział twardo.

– Proszę wstać majorze Czebrukow.

Jurij wstał chwiejnie.

– Pij majorze Czebrukow.

Jurij jednym haustem wypił pół butelki.

– Siadać majorze Czebrukow.

Jurij upadł na skórzaną kanapę z rękoma zwisającymi pomiędzy kolanami. Ilja usiadł na fotelu naprzeciw i skrzyżował ramiona.

– Teraz mów.

Jurijem trzęsło. Zadzwoił telefon. Ilja podniósł słuchawkę, wysłuchał kilku zdań po włosku, których nie zrozumiał, odpowiedział ostro po francusku „Później!” i odłożył słuchawkę. Potoki łez płynęły z oczu Jurija, ale powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Wiedział, że arcybiskup, który miał analityczny umysł, lubił, jak przedstawiano mu sytuację w sposób analityczny.

– Trzy rzeczy.

Liczył na palcach. Nie przestawał liczyć na palcach, idąc w słońcu, wsiadając do wiozącego go na wschodni kraniec Rzymu autobusu, kiedy on chciał dojechać na zachodni, pytając ludzi o drogę, ludzi, którzy nie rozumieli, co mówił, wsiadając do taksówek, których kierowcy wozili go w nieskończoność, podczas gdy mijały godziny, mijały...

– Po pierwsze, życie Waszej Wielbności jest w niebezpieczeństwie.

– Dobrze.

– Po drugie...

Dostał czkawki.

– Po drugie?

– Po drugie. Zabiłem własnymi rękoma. Po trzecie. Chyba nie zostawiłem śladów. To wszystko.

Ilja odłożył butelkę do barku. Miał także ochotę się napić, ale nie miał więcej alkoholu. Pomyślał, że Jurij może go potrzebować bardziej niż on. Dotychczas podejście wojskowe zadziało, powiedział więc chłodno.



– Majorze Czebrukow, proszę zdać sprawę. Punkt po punkcie proszę. Powoli. Proszę zacząć od początku. Resztą zajmiemy się później.

Jurij opowiedział o porwaniu, utracie świadomości, garażu, groźbach, skuteczności swojej reakcji, trzech trupach i o trudnościach związanych z powrotem. Zakończył kładąc na mahoniowym stoliku długopis, z którego zwisały jeszcze krwawe białe nitki.

Ilja zapamiętywał wszystko.

– Dobrze. Wiera wie?

– Nikt nie wie.

– Proszę do niej zadzwonić. Nie. Lepiej sam to zrobię.

Ilja zadzwonił do ambasady, zostawił dla Wiery Konstantinownej wiadomość. Ojciec Jurij jest zajęty z powodu służby dla arcybiskupa, wraca do Związku Radzieckiego pierwszym samolotem. Niech sobie poradzą. Dziś wieczorem? Tak, jeżeli to możliwe, albo jutro rano. Ach! Dziś wieczorem? Doskonale!

– Sądzisz, że nie zostawiłeś śladów, ale nigdy nic nie wiadomo – wytłumaczył Jurijowi.

Jurij popłakiwał.

– Nie chcę opuszczać Waszej Wielbności.

Ilja nawet nie odpowiedział. Zmienił ton.

– Mamy inną sprawę do załatwienia.

– Wiem.

– Pomyślałeś o tym, kiedy to się działo?

– Wiedziałem, co robię.

– 66 kanon apostołski?

– Nie wiem który.

– „Jeżeli duchowny uderzy kogoś i zabije, zostanie odwołany”.

Kanapa była niższa niż fotel i Jurij musiał podnieść oczy, by spojrzeć na Ilję. Ilja patrzył na Jurija z wysokości ze współczuciem, jakiego nie odczuwał jeszcze w stosunku do nikogo, ale także z czymś w rodzaju przerażenia. Och! Więc on także zabił. Ilja zabił wielu Niemców w czasie wojny i Złotogora z własnej woli, ale to było,

zanim tajemnicze wezwanie apostołskie, które otrzymał z ludzkich rąk, zrobiło z niego nowego człowieka. Zastanawiał się. „Czy gdybym ja dziś był na miejscu Jurija, znalazłbym dość sił, aby zrobić to, co on”. I odczuwał odrazę, nie potępienie, ale odrazę i podziw dla tak dobrze wykonanej misji. Nawet za cenę potwornego, potrójnie potwornego pogwałcenia prawa. Jak żywy człowiek może być przyczyną czegoś tak potwornego jak śmierć? A z drugiej strony, jak nie przyznać, że śmierć wciąż przyjmowana, a czasami zadawana i sama w sobie nieczysta, jest najbardziej oczyszczająca?

– Wiem, Wasza Wielbność – powiedział Jurij – oskarżam sam siebie, to właśnie ten kanon sprawił, że się zawahałem. Ale nie chodziło o szacunek dla życia tych trzech mężczyzn. Myślałem o ich zbawieniu, ale myślałem też o sytuacji z punktu widzenia taktyki. Mogli mnie torturować, zamęczyć na śmierć, nie sądzę jednak, by wyciągnęli ze mnie jakikolwiek sekret...

– Żadnej dumy! Proszę cię, ojciec Juriju – przerwał mu Ilja.

– Ale to, co jest ważne, to to, że musiałem uprzedzić Waszą Wielbność. Jeżeli podjęli ryzyko, by mnie porwać, to znaczy, że chcą zabić Waszą Wielbność. Wyglądali na fałszywych księży. Nie sądzę nawet, żeby to byli katolicy, jeden z nich chwalił się, że jest komunistą, ale cokolwiek by to było...

Ilja przerwał jeszcze raz.

– Czy miałeś nad nimi litość? Choćby przez chwilę?

Jurij zeszywniał.

– Ależ tak, wiele razy. Miałem nad nimi litość, ponieważ byli w mocy zła. Miałem nad nimi litość, bo wiedziałem, że będę musiał ich zabić. Miałem litość, bo byli w stanie grzechu, a ja odbierałem im okazję do skruchy...

– Na kolana, ojciec Juriju – powiedział Ilja – przechodząc z tonu wojskowego na inny, być może jeszcze nawet bardziej stanowczy.

I ojciec Jurij uklękł w tym luksusowym apartamencie u Świętej Marty, obok mebli obitych skórą, obok barku, pośród złotych rzeźbionych ram, w których wisały renesansowe obrazy religijne albo ich

reprodukcje.

– Najokrutniejsza rzecz, która może zdarzyć się chrześcijaninowi – powiedział Ilja – to odebrać życie drugiemu człowiekowi. Jeżeli ten chrześcijanin to osoba duchowna, jest to jeszcze okrutniejsze. Zdarza się to jednak. I ojciec Juriju, nie trać nadziei! Kapłan musi zostać odwołany, jeżeli odebrał życie człowiekowi, ale także wtedy, kiedy pozwolił się wyświęcić po raz drugi albo odmówił zachowania postu w Wielkim Poście, albo w piątek, albo we środę, albo odwrotnie, pościł wraz z Żydami, kanon 70. Więc... odwołanie...

Odetchnął głęboko.

Myślę, że lepiej jak na jakiś czas zostaniesz zawieszony w funkcjach kościelnych, ale wobec Boga, jako człowiek... Ach! Może powinienem poczekać, może powinienem ci kazać trochę skruszeć w wyrzutach sumienia, ale ty nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia, żadnego żalu, bo w pewien sposób już... No i mówisz, że jestem w niebezpieczeństwie. Zobaczmy, ale to muszę załatwić, zanim odejdę, bo nie wiem, jak osądzą to ci, którzy przyjdą po mnie. Biorę to na siebie. Uwaga. To cię nie upoważnia do odprawiania świętej liturgii, dopóki nie zostanie to zdecydowane inaczej, ale...

Ilja poszedł po stulę, idąc tak, karciał sam siebie. Trzy trupy! Trzy trupy naraz! Mówił to z oburzeniem, ale nie bez cienia podziwu.

Wrócił do Jurija, który wciąż klęczał, położył mu brokatową stulę na głowie i na łopatkach, jak hełm, jak przyłbicę, jak namiot, parasol, i jak coś, przez co mogła spłynąć na niego łaska. Okrył go raz, potem drugi, otulił jak Stwórca, który podnosi do siebie jedno ze swoich stworzeń, by je umocnić, zanim znów pozwoli mu wrócić do świata.

– Ja, niegodny arcykapłan, wybaczam ci i odpuszczam w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. A teraz idź, wsiadaj do samolotu.

ROZDZIAŁ IX  
KORONOWANIE DZIEWICY

# 1.

Środa 6 września

Piąta rano.

Obudził się z uczuciem, że stało się coś złego. Zastanawiał się, co. Kiedy zrozumiał, roześmiał się z ręką na budziku. Katastrofą było to, że został papieżem.

Nigdy nie chciał być papieżem, uważał, że nie jest „z tej gliny co papież”; zaakceptował wybór, bo jeden z kardynałów powiedział „Jeżeli Pan narzuca komuś brzemię, to daje siłę, aby go nieść”.

Był papieżem dopiero od dwunastu dni, a już czuł, że nie lubi tej roli.

Pierwsza sprawa to to, że nie pozwalano mu spacerować po ulicach. Obruszał się, mówiąc, że Jan XXIII to robił. Tak, odpowiadano mu, Jan XXIII robił wszystko, żeby zasłużyć na imię Johny Walker, ale czasy nie były już takie same, świat stał się coraz mniej niewinny, są rzeczy, których po prostu się nie robi.

Po drugie, nie chciał, by go noszono. Odpowiadano, że to niemożliwe, na razie nie można odłożyć *sedia gestatoria*, bo ludzie chcieli go widzieć ponad tłumem.

Poza tym nie lubił przemów, które dla niego pisano. Uważał, że za bardzo „ociekają świętością”.

Poza tym... Ach! Tyle innych rzeczy, niewielkich, tak nieznacznie uwierających jak ziarnka piasku w bucie, ale były niczym w porównaniu z tym, co najważniejsze. Chodziło o drogę, na którą wszedł Kościół 1600 lat temu, kiedy Konstantyn uczynił Kościół oficjalnym i zamożnym, a ta droga z pewnością nie prowadziła do niebiańskiego Jeruzalem. Nie to, że był choćby odrobinę rewolucjonistą, ale chciał, żeby Jezus Chrystus, wracając na ziemię, rozpoznał Kościół, który zbudował, a do tego trzeba było, by Kościół wycofał się z polityki i biznesu. Co zrobić, by miał prawdziwą twarz? Jeszcze nie wiedział,

ale wiedział, że trzeba zrobić wszystko, aby się tego dowiedzieć. Już podjął kilka środków uzdrawiających, ale nie miał wcale złudzeń co do ich skuteczności. Instytucja kościelna była zatwardziała, nie było można wstrząsać nią ponownie bez zastanowienia, po tamtym zwycięskim doświadczeniu, jakim był Sobór. Tylko że Kościół Chrystusowy nie mógł nadal żyć w grzechu wobec społeczeństwa.

Papież wstał, wypił filiżankę kawy, którą zostawiono przed jego drzwiami, umył się, słuchając płyt w języku angielskim – „w nieuniknionym języku”.

O 5.30 był już w swojej kaplicy i pogрузzył się w modlitwie. To przynajmniej, choć nie było może łatwe, ale za to naturalne, najbardziej naturalna rzecz na świecie.

O 7 msza z członkami domu pontyfikalnego, z pięcioma zakonnicami z kongregacji Maria Bambina, i z dwoma sekretarzami, ojcem Onezymem i ojcem Fulvio.

Papież pokochał tęgiego Onezyna, który wprost emanował dobrocią. Podobało się Ojcu Świętemu, którego pochodzenie było bardzo skromne, że jego sekretarz pochodzi z tak wysokiego rodu, nie dlatego, że papież odczuwał choćby najmniejszą próżność, ale dlatego, że wiedział, iż rodzina Onezyna bardzo dbała od wieków o jakość, a sam Onezym, ze swoimi dobrotliwymi, nonszalanckimi manierami, był tej rodziny godnym spadkobiercą, choćby z powodu swojego przywiązania do biednych. „Jesteś ojciec jak Aleksandro Manzoni – mówił mu papież. – Będąc arystokratą, uznajesz tylko jedną arystokrację, jaką jest służba biednym”. Za to chudy, ciemny Fulvio, o kanciastej twarzy w formie rombu, wzbudzał w nim antypatię, którą papież sobie bardzo wyrzucał, bo Fulvio pracował doskonale, podczas gdy Onezym pozwalał sobie na sympatyczne uchylecia. Zaufania nie można sobie wybierać, a Papież do Onezyna miał zaufanie, zaś do Fulvia nie. Wiedząc z doświadczenia, że dość dobrze zna się na ludziach, zastanawiał się, co go tak niepokoi w tym człowieku z pozoru bez zarzutu...

Pozbędzie się go bez kłopotu, nominując go na jakiegoś biskupa,

albo może pomocnika biskupa, aby nie dawać mu zbyt wielkiej odpowiedzialności.

Śniadanie – 7.30.

O 8 był w biurze.

– Będę ojca potrzebował, ojciec Onezymie. Ty, ojciec Fulvio, możesz pracować do 11, wtedy będę przyjmował tego rosyjskiego metropolitę. Będziesz czuwał nad tym, by wszystko dobrze się skończyło. Około jedenastej trzydzieści zaproponuję mu kawę...

– Jeżeli Ojciec Święty pozwoli – przerwał Onezym – myślę, że wolałby szklanę madery. Ma reputację człowieka lubiącego życie.

– Ach, dobrze, niech będzie madera – powiedział papież, który sam pijał tylko wodę mineralną, ale lubił dobrze traktować swoich gości. Niech pan to omówi z Gulio, ojciec Fulvio.

– Jak zawsze, Ojciec Najświętszy.

Fulvio odpowiedzialny był za sprawy związane z intendenturą, odpowiedzialność Onezyna związana była z informacją.

Po powrocie do swojego biura papież podszedł do okna i otworzył je sam. Nie chciał się przyzwyczajać do tego, by mu zbyttnio usługiwano w tak nic nie znaczących sprawach. Plac Świętego Piotra rozciągał się u jego stóp zamknięty w dwa rzędy kolumn, jak w dwa rybackie wężerze. Mężczyźni i kobiety chodzili po nim, jedni właśnie wchodzili, inni opuszczali plac. Papież uśmiechnął się swoim wielkim świetlistym uśmiechem. Zapytał głośno:

– Nie znam nikogo z nich, a kocham ich wszystkich, jak to się dzieje?

– To jedno z podobieństw świętego Piotra do Pana Boga – odpowiedział Onezym.

– A jak się sprawy mają z tajemniczymi dokumentami na temat Alvéole 1?

– Myślę, że będę mógł przedstawić syntezę za jakieś dwa tygodnie.

Papież usiadł za swoim biurkiem, na którym Onezym położył kartkę z rozkładem dnia. Pierwsza ważna audyencja to było spotkanie

z metropolitą Leningradu Ilją, szefem departamentu spraw zagranicznych patriarchatu moskiewskiego.

– Arcybiskup poprosił, aby audyencja odbyła się sam na sam – przypomniał Onezym. – Wasza Świątobliwość zgodził się na to, mimo iż arcybiskup nie uściślił celu swojej wizyty.

– Nie będzie nawet tłumaczy? W jakim języku będziemy rozmawiać?

– Po francusku. Ambasada radziecka zapewniła mnie, że metropolita mówi w tym języku doskonale.

– To ci sprawia przyjemność ojcze?

– Ojciec Święty wie, że tęsknię za czasami, kiedy wszyscy porządni ludzie mówili po francusku.

– I myślisz ojcze, że ten arcybiskup to porządny człowiek?

Papież był Włochem, umiarkowanie ekumenicznym. Prawosławie nigdy go specjalnie nie interesowało. Wydawało mu się odejściem od Kościoła, odejściem, które można by zrozumieć, a nawet i usprawiedliwić, szanować w takiej mierze, w jakiej można szanować błąd, który historia dawno już pozostawiła na prowincjonalnej bocznicy.

– W notatce, którą mi przedłożyłeś na jego temat, była chyba hipoteza, że jest pułkownikiem czy generałem policji politycznej reżimu?

– Najświętszy Ojcze, wyraziłem się hipotetycznie tylko przez grzeczność. Sowietci dolali trochę wody święconej do wódki pieprzowej, ale chcą trzymać rękę na wszystkim, co dotyczy opinii publicznej, a religia jest z tą opinią nieodwołalnie związana. Nie widzę, jak ten były generał mógłby być arcybiskupem, metropolitą, podróżować bez problemu za granicę, prosić o audyencję u Waszej Świątobliwości, nie dając w zamian odpowiednich gwarancji wierności reżimowi.

– Więc myślisz, że to – jak ty to mówisz ojcze – aparatczyk, który nie wierzy ani w Boga, ani w diabła?

– To nie jest wykluczone.

– Pozwolisz, że jednak pozostawię sobie wątpliwość? Przyjechał



tu jako arcybiskup i jako takiego będę go przyjmował.

– Wasza Świątobliwość ma rację, ale proszę pozwolić, że zauważę, że gdyby przyjechał jako oficer KGB, Wasza Świątobliwość wcale by go nie przyjął.

– To prawda – powiedział Papież uśmiechnąwszy się. – Przyjmę go w bibliotece. Będzie zarazem oficjalnie i odrobinę nieoficjalnie.

## 2.

I stało się.

Ta długa droga trwająca pięćdziesiąt osiem lat, która zmieniała dziecko w mężczyznę, hutnika w żołnierza, żołnierza w dowódcę, dowódcę w ascetę, ascetę w kapłana, kapłana w biskupa, biskupa w negocjatora z diabłem, właśnie ta droga miała wkrótce się zakończyć.

Idąc tego środowego poranka przez salę Klementyńską, salę świętego Ambrożego, malarzy, rzeźbiarzy, ewangelistów, Odkupiciela, Madonny, świętej Katarzyny, świętych Piotra i Pawła, widział wszędzie marmury, złocenia, obrazy malarstwa iluzjonistycznego, obrazy wielkich mistrzów renesansu włoskiego i ich uczniów, pokrywające ściany i sufity, Traktor-Ilarion-Kliment-Ilja nie wiedział, że zbliża się do końca swojego ziemskiego żywota, ale wiedział, że dochodzi do celu, który czekał na niego już od dzieciństwa, a właściwie, co ja mówię, od roku 1054 naszej ery, albo jeszcze wcześniej, od dnia, kiedy Syn Boży nieostrożnie powierzył swój Kościół ludziom.

Coś istotnego dla historii świata miało się zdarzyć w godzinie, która teraz miała nastąpić, a nawet gdyby nic się nie zdarzyło, to zdarzyłoby się też coś bardzo istotnego.

Prowadzony przez straż – nazwa ta, co prawda, została usunięta, ale pozostała funkcja – Ilja miał wrażenie, że idzie naraz dwiema drogami. Amfiladą pałacu apostolskiego Mikołaja V Parentucello, Sykstusa IV della Rovere, Innocentego VIII Cybo, Aleksandra VI Borgii, Pawła III Farnese, Grzegorza XIII Boncompagniego, Sykstusa V Perettiego, Klemensa VIII Aldobrandiniego, a także drogą własnej przeszłości, która poprowadziła Traktora ateistę, Klimenta chrześcijanina, Ilję metropolitę do tego miejsca w czasie i przestrzeni, gdzie miał spotkać pierwszego Wikariusza Kościoła Chrystusowego.

„Panie Jezu Chryste, Synu Boży, miej litość nade mną grzesznikiem”, powiedział bezgłośnie.

Po raz ostatni.

Biblioteka była duża i prostokątna. Wielkie szafy mieściły biblie w różnych językach. Bulle, encykliki, listy apostołskie, noty i chirografy, które papieże redagowali przez wieki. Okna wychodziły na plac Świętego Piotra i były umieszczone bardzo wysoko.

Niebo było błękitne, straż zniknęła.

Katolicki papież wyszedł naprzeciw prawosławnego metropolity. Konwencjonalny uścisk. Potem każdy odsunął się o krok, jakby jeden drugiemu chciał się przyjrzeć.

Papież był biały, arcybiskup czarny z białym nakryciem głowy i panahiją na piersiach. Papież był starannie ogolony, arcybiskup obficie brodaty. Papież nosił okulary, arcybiskup swoje zdjął.

Byli to dwaj tak różni ludzie – Włoch i Rosjanin, mieli rozmawiać w języku, który nie był językiem żadnego z nich, nie wiedzieli, czy przypadną sobie do gustu. Mieli jednak coś wspólnego, obaj z zapałem wzywali Ducha Świętego, aby pomógł im się porozumieć.

Papież wskazał na stół, na którym leżały dwa przedmioty: dzwonek i relikwiarz. Obaj jednocześnie usiedli za stołem. Nie wypowiedzieli jeszcze ani jednego słowa, nie chcąc, by spotkanie zaczęło się od banałów. Nie mieli odwagi patrzeć sobie w oczy.

W końcu Ilja wskazał relikwiarz.

– Jaki święty?

Papież zawahał się. Było w tym coś fatalnego, jakby związanego z przeznaczeniem. Pierwsze pytanie, które postawił arcybiskup, dotyczyło najstraszniejszych dni stosunków pomiędzy katolikami a prawosławiem.

Klemens VIII próbował przywieść rosyjskie prawosławie do owczarni Stolicy Apostolskiej środkami takimi jak Unia Brzesko-Litewska. Jezuici rozpoczęli nawracanie prawosławnych. Prawosławni zareagowali gwałtownie. Były to relikwie jezuity Andrzeja Boboli, zameczzonego przez Kozaków w 1657 roku.

Szkoda, że dziś nie pomyślano, by postawić tu inne relikwie. Trzeba będzie kłamać? A może ośmielić się powiedzieć, co mogłoby

być uznane za prowokację?

Papież odpowiedział tylko.

– Święty Andrzeju.

Ilja nie znał Andrzeja Boboli, a obecność tutaj świętego Andrzeja, odkrywcy Kijowa, wydała mu się dobrą wróżbą. Podniósł oczy.

– A więc to Wasza Świątobliwość?

– Co ja?

– Wikariusz Chrystusa.

Sarkazm? Papież poprawił machinalnie.

– Sługa sług Chrystusa.

– Nie mówiłem tego z wrogością. Pochodzimy z dwóch różnych krańców świata i historii, a teraz się spotykamy.

– „Spotykamy” – mam nadzieję, że nie „przechodzimy obok siebie”.

Każdy z nich ocenił francuski drugiego, uznali, że był satysfakcjonujący, może tylko francuski Rosjanina był bardziej książkowy, a Włocha bliższy codzienności.

Bez pośpiechu Ilja położył swoją wielką torbę ze skóry słonia na kolanach. Z szacunku dla relikwii nie położył jej na stole.

Trzasnął zamknięciami i wyciągnął kilka kartek papieru zamkniętych w koszulce, położył ją przed sobą, torbę położył na podłodze, nie zamknawszy jej. Zbliżył jakąś kartkę do swoich niedowidzących oczu i zaczął czytać.

– „Miłość do biednych, ale nie tyle do biedaka jako osoby, ale do biednych... Za przykładem Chrystusa, chrześcijanie powinni ją wybierać...”.

„Chrześcijanin, właśnie dlatego, że chrześcijanin, powinien się czuć bardziej zaangażowany, aby iść z postępem, który byłby dobry dla wszystkich, i z awansem społecznym, który ma dotyczyć wszystkich...”.

„Im bardziej człowieka pasjonuje niebo, tym bardziej powinien starać się o sprawiedliwość na ziemi...”.

„Trzeba kochać biednych, którzy łączą się i organizują po to, by

walczyć dla polepszenia swojego losu...”.

„Istnieje usprawiedliwiony strajk; może mi przeszkadzać, o ile nie broni moich własnych interesów. Ale trzeba zaakceptować to, że przeszkadza, nie skarżyć się, czuć się solidarnym ze strajkującymi, którzy walczą w obronie swoich praw, bo to także jest chrześcijańskie miłosierdzie...”.

Ilja podniósł poważne oczy.

– Kto to napisał?

Nagle papież uśmiechnął się swoim wielkim, świetlistym uśmiechem, nie był niezadowolony, że czytają go za żelazną kurtyną.

– Dlaczego?

– Poszedł Ojciec jeszcze dalej. Według Ojca marksizm „otworzył oczy wielu ludziom na cierpienia pracowników i na obowiązek solidarności z nimi”.

– Cóż, tak. Uważałem, że jeżeli chodzi o zasługi społeczne marksizm dla chrześcijaństwa jest nielojalną, choć usprawiedliwioną konkurencją.

– A ta apologia: „Wielbłąd szedł przez pustynię, jego nogi deptały ziarna piasku i dumny, triumfujący krzyknął: «Miażdżę was! Miażdżę was...!»). Podniósł się wiatr, straszny samum...”?

Proszę posłuchać, jak konkluduje to autor. „Wstańcie maleńkie ziarna piasku. Stańcie za mną, zaatakujemy razem tę wielką bestię i pogrzebiemy ją pod zwałami piasku!”<sup>54</sup>. To jest prawie godne hasła: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”!

<sup>54</sup> Te urywki są zapożyczone z *Humblement vôtre* Albino Lucianiego. Nouvelle Cité, Paryż.

– Prawie jestem zażenowany, że to napisałem – powiedział papież. – Prawdę powiedziawszy, myślałem o biednych, a nie o politycznym użytku, jaki można z tego zrobić. Ale wierzysz Ojczy? Miałbym być papieżem marksistą? A ty, Ojczy, czy jesteś marksistą, o ile mogę sobie pozwolić na to impertynenckie pytanie? Przed wszystkim nic na ten temat nie wiem.

Ilja podrapał się po nosie.

- Ojcie Najświętszy...
- „Ojcie” wystarczy.

Uderzyła go mieszanina dobroci i przebiegłości na długiej twarzy Włocha o mocno zaznaczonych ustach, garbatym nosie i dwóch bruzdach w kącikach ust, co nadawało mu wyrazu sympatycznie ironicznego. Poblązanie, siła inteligencji, taka mogłaby być jego dewiza. Sądził, że jest zwierzchnikiem chrześcijaństwa, wiedział, że jego gość wcale w to nie wierzy, nie miał mu tego za złe.

– Ojcie, napilem się marksizmu do utraty tchu, wykazał nieskuteczność, gdziekolwiek się pojawił na świecie, i sądzę, jak to powiedział Ojca poprzednik, Pius XI, że jest w swojej istocie perwersyjny; to dlatego, jeżeli chodzi o moje osobiste gusta, uważam, że Ojciec jest przesadnie rewolucyjny. Dla mnie strajk to przede wszystkim brak postawy obywatelskiej. Jestem bardziej przywiązany do dobra ogólnego niż dóbr takiej czy takiej klasy społecznej. Tymczasem, ponieważ sytuacja Ojca i moja są takie, jakie są, dobrze, że jest Ojciec papieżem społecznym, o ile nie marksistą. Kiedy będę Ojca usiłował sprzedać zwierzchnikom...

Kolejny uśmiech, czuły zarazem i rozbawiony.

– Bo masz, Ojcie, zamiar mnie sprzedać?

– Wystarczy, że opowiem historię samumu, gorącego, pustynnego wiatru, a zapomną a), że jesteś wierzący, b) rzymski katolik. Zapomną albo będą udawać, że zapomnieli, iż powiedziałeś Ojcie, że komunizm „to prawdziwa dzuma duszy, z którą żaden rozejm nie jest możliwy”. To także Ojcu wiele ułatwi, bo napisawszy to, co Ojciec napisał na temat strajku, nie będzie Ojciec mógł opierać się na mieszczańskim skrzydle Kościoła. Odrobina zrozumienia ze strony Ojca w stosunku do Związku Radzieckiego nikogo nie zaskoczy u człowieka, który powiedział, że „o ile nienawidzi komunizmu, o tyle dobrze życzy komunistom”. Nie będzie się Ojciec ze swej strony musiał tłumaczyć, ani ja nie będę Ojca musiał tłumaczyć.

Papież zmarszczył brwi, które pozostały czarne, choć włosy mu już pobielały. Musiał robić to często, może żeby zrównoważyć

uśmiech, który pojawiał mu się na twarzy w sposób naturalny, bo przestrzeń pomiędzy brwiami była pełna zmarszczek.

- Ojcze, nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.
- Wcale w to nie wątpię, Ojcze.

To było absurdalne zarazem i rozczulające. Ci dwaj starsi ludzie, którzy nawzajem mówili do siebie „Ojcze”. Papież miał prawie o dziesięć lat więcej od arcybiskupa, ale nie czuli tej różnicy wieku. Arcybiskup miał życie cięższe o co najmniej dziesięć lat.

– Czy wiesz, Ojcze, ile pokoi liczy sobie twoje „maleńkie mieszkanko”?

– Mówią, że dziesięć tysięcy – odpowiedział spokojnie papież – i dziewięćset osiemdziesiąt siedem klatek schodowych, z których trzysta tajnych.

– Czy wiesz Ojcze, że Watykan jest największym posiadaczem dóbr na świecie, że Bank Watykański ma aktywa brutto wyższe niż miliard dolarów i dochody roczne wyższe niż sto dwadzieścia milionów, że emisja znaczków przynosi ponad milion dolarów rocznie?

Papież westchnął.

– Sam przyczyniłem się do tych nadużyć. Wysłałem mojej siostrzenicy znaczki wydane podczas wakatu na Stolicy Apostolskiej.

– Wiadomo, że Ojciec ma wątpliwości na temat zakazu regulacji urodzeń...

– Nie mam wątpliwości, wypowiedział się o tym Kościół.

– Ale pewnie Ojciec nie wie, że ten sam Kościół posiada instytut farmakologiczny, który produkuje środki antykoncepcyjne?

– Każę to sprawdzić, a jeżeli ta informacja jest prawdziwa, zamkniemy ten instytut.

– Obawiam się, Ojcze, że wszystkie informacje, które podaję, okażą się prawdziwe.

Ilja przekartkował dokumenty.

– Spekulacje, nielegalny transfer kapitałów, ułatwianie defraudacji fiskalnych i bez wątpienia pranie brudnych pieniędzy, ten ostatni punkt trzeba by udowodnić.

– Każę przeprowadzić śledztwo.

– Ojcie, śledztwo już zostało przeprowadzone. Rezultaty są w tych dokumentach, nad którymi my pracujemy od dawna. Rozumiem, że będzie Ojciec musiał to sam potwierdzić, ale proszę mi wierzyć, my, jak szukamy, to szukamy dobrze. Ale to wszystko to jeszcze nic. Jesteś, Ojcie, świadom kontaktów niektórych duchownych z masonerią. Zauważyliśmy, że zacząłeś ich przenosić, ale czy wiesz, że wielu z nich należy do Alvéoles, do tajnej organizacji o zasięgu prawdopodobnie światowym, w której rękach znajdują się bardzo ważne instytucje cywilne i wojskowe, związana ona jest z CIA i mafią... i której przypisuje się już wiele zabójstw.

Papież słuchał uważnie, nie dowiadywał się wiele nowego dzięki raportowi Onezyma, ale zastanawiał się, *kim* jest człowiek, który to do niego mówi. Prawosławny duchowny? W takim razie jego słowa należałoby interpretować jako gorzką krytykę. Widzicie, jaki jest wasz sprzedajny Kościół? (Ciekawe, że nie oskarżył mnie jeszcze o „sprzedaż odpustów”). A może mówił to oficer KGB, wtedy mogło chodzić o szantaż. Upublicznimy to, chyba że... (Chyba że co? Czego zażąda?).

– Słyszałem o tym wszystkim. To diabelskie dochody. Zarabiają wielkie pieniądze, żeby zrobić z nich jeszcze większe. Proszę powiedzieć, o co chodzi?

Ilja zamknął dossier, odwrócił je grzecznie i podsunął Papieżowi.

– Ojcie, jest u nas zwyczaj przynosić podarunek komuś, do kogo przychodzi się po raz pierwszy. Oto mój podarunek. A teraz o co mi chodzi? Chciałem zwrócić ci uwagę, Ojcie, na to, że Ojca życie jest w niebezpieczeństwie. Otóż więc, kiedy pozna Ojciec te dokumenty, prawie zupełnie dokładne, nazwiska, daty, adresy, numery kont – a nie dopuściłem, żeby wkradła się tam dezinformacja (nasz departament A jest niepoprawny, ale tym razem wszystko sprawdziłem sam osobiście), przewidujemy, że będzie mógł Ojciec zabrać się do gruntownych porządków. Niebezpieczeństwo jest oczywiste, a my możemy dla Ojca coś zrobić.



To tak jakby nagle ktoś zapukał do drzwi ukrytych gdzieś w głębi duszy papieża. Życie w niebezpieczeństwie! To będzie więc on, ten biały biskup, o którym mowa na małej kartce papieru z zeszytu, pokrytej niewprawnym pismem, ukrytej w sejfie w Świętym Oficjum? Zdusił niepokój, który się w nim pojawił. Według proroctwa Malachiasza, jego dewizą było *medietate lunae* w innych słowach, że będzie panował tylko połowę miesiąca księżycowego. Czy to ma znaczenie? Nie będzie pierwszym zamordowanym papieżem. Czterdziestu czterech umarło już gwałtowną śmiercią, poza tym nie był i nie chciał być przesądny.

– Dobrze, dobrze, Ojczy, nie wiedziałem, że prawosławni biskupi zatruwają sobie umysły książkami kryminalnymi.

– To nie powieść kryminalna. Ma Ojciec w swoim otoczeniu biskupa bankiera. Jest mniej lub bardziej robaczywy, inny nie ma ochoty opuszczać Rzymu, inny ma bardzo ważne stanowisko, wszyscy są w układach z Alvéole 1. Macie w Argentynie mafioza, co do którego została skierowana prośba o ekstradycję, w którą wmieszany jest Watykan. Macie w Stanach Zjednoczonych kardynała, którego będzie Ojciec zmuszony oddalić, a któremu Cosa Nostra niczego nie odmawia. Proszę mi wierzyć, Ojczy, to są ludzie, których nie wolno nie doceniać. Zabijali już albo zabijano dla nich. Nie będą się wahać połączyć, aby się pozbyć Ojca. My radzimy wziąć sprawę w swoje ręce.

– Zaraz, zaraz. Przysłowie mówi: niespokojna kotka rodzi ślepe kocięta. Z jednej strony jest przeogromna fortuna, którą można użyć dla dobra biednych, z drugiej Kościół żebrzący, Kościół, który trzeba odnowić. To idzie w tym samym kierunku, ale wymaga lat.

– Oczywiście. Im więcej czasu to zajmie, tym mniej będzie mógł Ojciec ufać komukolwiek. My możemy zapewnić Ojcu bezpieczeństwo.

Papież oparł się o oparcie fotela i rzucił okiem na zegar za plecami gościa. Wydawało mu się niestosowne, by pilnowali go cudzoziemcy i do tego schizmatycy i najprawdopodobniej dobrzy komuniści,

przeciw współwyznawcom, nawet najgorszym katolikom.

– „My”? – powtórzył. – Proszę sprecyzować Ojcze, co rozumiesz pod słowem „My”. Rosyjski Kościół prawosławny?

– Nie.

– Rząd sowiecki?

– Nie.

– No to chyba nie wasze KGB?

– Nie jako takie.

„Ostrożnie, ostrożnie, powiedział do siebie papież. Są bardzo mocni, to wiadomo. Ale jeszcze nigdy żaden Rosjanin nie oszukał Włocha! Pewnie będzie chciał, bym uwierzył, że w Związku Radzieckim działa tajna partia demokratyczna, a może w Kościele prawosławnym jest prąd zwolenników katolicyzmu, i zasugeruje, żebym stanął na jego czele, tak żeby można było mnie skompromitować w każdej chwili. Nie jest niemożliwe, żeby patriarchat, który działa ręką w rękę z rządem, wszedł w taką kombinację”.

– Zrozumiałem – powiedział – jest Ojciec wysłannikiem jakiejś tajnej grupy.

– Nie Ojcze. W moim kraju to byłoby zbyt niebezpieczne. Są ludzie, którzy myślą tak jak ja i wiedzą, że ja myślę tak jak oni, ale o tym się nigdy nie rozmawia. Nie reprezentuję grupy konspiratorów, tylko tendencję historyczną. Marksizm goni resztkami sił, niektórzy to już zrozumieli, inni nie. Dane są teraz takie jak pod koniec drugiej wojny światowej.

Papież aż palił się, by zapytać: „Czego Ojciec ode mnie oczekuje?”, ale zapytał tylko:

– Kim jesteś, Ojcze?

– Macie własne służby wywiadowcze, i nie ma potrzeby opowiadać tego, co Ojciec już wie. Teraz Ojciec się zastanawia, czy jestem stuprocentowym członkiem KGB i biskupem *pro forma*, czy jednym i drugim po 50%. To właśnie trudno było mi wytłumaczyć moim zwierzchnikom z KGB; a czego nie usiłowałem nawet tłumaczyć mojemu zwierzchnikowi kościelnemu, to tego, że w niektórych

wypadkach i czasach interesy antagonistycznych organizacji mogą iść w tym samym kierunku.

– To proszę spróbować wytłumaczyć to mnie.

– Nie jesteśmy już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy na pierwszy rzut oka można było odróżnić chrześcijanina od lwa, i Ojciec musi wciąż myśleć o tym, że siły ateizmu infiltrują Kościół. Mam nadzieję, że nie robi sobie Ojciec nadziei, że stało się tak jedynie z Kościołem prawosławnym. Agenci są i u nas, i u was, i może pewnego dnia podam Ojcu ich nazwiska. („Stara się mnie epatować – pomyślał papież. – Jeżeli poda mi ich nazwiska, to będą to nazwiska ludzi najmniej już przydatnych”). Ale pomówmy o infiltracji jedynie u Rosjan, Bułgarów i Rumunów.

Jest tego wiele przypadków.

Weźmy niedożywnionego, niezbyt wykształconego księdza, któremu da się jedną krowę więcej albo nieco grosza, w zamian za co zdarzy mu się czasami, najrzadziej jak to możliwe, pogwałcić sekret spowiedzi. To robi się we wszystkich reżimach i obawiam się, że we wszystkich krajach.

Potem oficer informacyjny, idealista albo karierowicz, przekonany o szkodliwości Kościoła, wysyłany jest z misją zniszczenia go od środka. Uczy się, pości, rozwała sobie czaszkę od bicia czołem, zostaje wyświęcony, chrzci, daje śluby, przemienia chleb i wino, i donosi, sabotuje, dezinformuje, niszczy.

Grymas cierpienia przebiegł po twarzy papieża.

– Nasz Pan w rękach...

– Judasza. Ten sam oficer może nie niszczyć, ale używać Kościoła, manipulować nim, starając się pozornie nie czynić mu nic złego. Widzi Ojciec, sprawa się komplikuje. Napisał gdzieś Ojciec, że modlitwa jest mydłem. To prawda, ale to mydło odbarwia. Pascal utrzymuje, że ateista może stać się chrześcijaninem nawet jedynie używając wody święconej. A więc jeżeli chodzi o czynienie cudu Eucharystii... Jest zresztą francuski pisarz rosyjskiego pochodzenia, który napisał o tym powieść. Ma Ojciec więc człowieka, który zre-

zygnował z ateizmu, ale niekoniecznie z wierności rządowi. I tutaj jest wiele rozwiązań. Mówi prawdę swojemu biskupowi, albo swojemu zwierzchnikowi z KGB, albo obu. Cierpi męczeństwo, albo jest po prostu zesłany w głąb Syberii. Albo się nawraca i jest agentem Kościoła w KGB, tak samo, by je zniszczyć lub wykorzystać. Widać go na przykład, jak wchodzi w kontakt z chrześcijańskimi potentatami, nie podlegającymi wpływom sowieckim i ofiarowuje im usługi, do których zamierza wykorzystać środki KGB.

– To ty Ojczy?

– Wcale nie. Ja jestem czymś w rodzaju tancerza, tańczącego na linii, która pęknie w tej czy innej chwili. Przypadek, który przedstawiłem, to szkolny przypadek, bardzo uproszczony. Ludzie są bardziej skomplikowani, szczególnie w naszych czasach. „Adoruj to, co spaliłeś, spal to, co adorowałeś” – to trochę manichejskie. Są zwroty, ale człowiek idący w jakimś kierunku, tak czy tak, pozostaje człowiekiem. Agent, który chciał zniszczyć Kościół od środka, niekoniecznie jest łajdakiem. Miał ideał i w imię tego ideału chciał go zniszczyć pokrętnymi środkami, jakie można mu wyrzucać, ale wydawały mu się skuteczne i o wiele mniej okrutne niż prześladowania. Myślał, że wystarczy zdemaskować obłudnika i pozbawić iluzji ludzi naiwnych, żeby człowiek stał się wolny. I tu spotyka go przykra niespodzianka. Odkrywa, że Bóg *jest*, a raczej, że Bóg *istnieje*. Oczywiście w teorii może przeskoczyć do drugiego obozu z zasady, że nie można służyć dwóm panom naraz. Ale w rzeczywistości, wiesz Ojczy dobrze, spędzamy życie, służąc wielu panom, począwszy od naszego Pana Jezusa Chrystusa, a na Messer Gasterze<sup>55</sup> skończywszy. To jest dramat kondycji ludzkiej. Jesteśmy urodzonymi zdrajcami, teraz nasz agent wierzy w Boga, a nawet w Boga Człowieka, ale spędził całe życie, wierząc w Człowieka Boga. Elementy są takie same. Tak też jest w przypadku agenta, który chciał zniszczyć Kościół dla dobra ludzkości. Nie zrozumie od razu, że wszystkie ideały, w które wierzył, są fałszywe, że wszyscy wczorajsi przyjaciele, których ludzkie zalety zna, mają rogi i kopyta, i że wszyscy

dzisiejsi przyjaciele, których słabości zna, przekształcili się w świętych. To nie dlatego, że zaczął wierzyć w Boga nie będzie potępiał Amerykanów, którzy smażą wietnamskie wioski napalmem.

<sup>55</sup> Wyrażenie pochodzące od Rabelais'ego i określające żołądek (przyp. tłum.).

Papież słuchał tego wywodu z najwyższą uwagą. Pokrętny świat wywiadu był mu słabo znany.

– Dobrze. Sądzę, że zrozumiałem. Rozmawiając z Ojcem, nie rozmawiam z jednym, ale jakby z dwoma ludźmi. To niezbyt wygodne. Czy mogę zauważyć, z całym szacunkiem, że przyzwyczajenia cezaro-papiesko-prawosławne pozwalają Ojcu swobodniej poruszać się w sytuacjach tego rodzaju niż takiemu biednemu katolikowi jak ja.

Ilja podniósł ramiona w górę i zacytował świętego Pawła.

– „Niech każdy ma zwierzchników, bo nie ma autorytetu, który nie pochodziłby od Boga. Ktokolwiek opiera się autorytetowi, opiera się porządkowi ustanowionemu przez Boga”.

– Nie powie Ojciec chyba, że autorytet Stalina pochodził od Boga?

– Powiem, że w chwili, kiedy napisano to zdanie, cesarzem był Neron.

– Ale Stalin? Wie Ojciec równie dobrze jak ja, że na jego rękach było dziesięć razy więcej chrześcijańskiej krwi niż na rękach Nerona! Wy modliliście się za Stalina!

– Może zrobilibyśmy lepiej, modląc się za Hitlera?

Zapadła cisza.

– To prawda – powiedział w końcu papież – będzie nam trudno się porozumieć. Ale spróbujmy. Nie myślę się chyba, sądząc, że Ojciec czegoś ode mnie oczekuje? Czy tylko dlatego, że jestem papieżem, czy dlatego, że to ja jestem papieżem? Widzi Ojciec, jestem małym człowiekiem przyzwyczajonym do małych rzeczy i do ciszy.

– Jest Ojciec Ojcem Najświętszym, a to okazja, jakiej nie można przegapić.

– Okazja dla kogo?

Ilja nie odpowiedział bezpośrednio. Nie mógł już siedzieć. Wstał,

przeszedł przez bibliotekę, jakby chciał podziwiać *Koronowanie Dziewicy*<sup>56</sup>, które wisiało na wprost papieża. Nie znał tego obrazu, ale spodobała mu się jego piętrowa kompozycja. W niebie widać było Chrystusa otoczonego głowami sześcioskrzydłych cherubinów i dwoma aniołami muzykami, z których jeden grał na harfie, drugi na skrzypcach. Chrystus kładł koronę na czole Dziewicy, która klęczała, i która przywiodła Ilji na myśl jego biedną Matkę Boską koronowaną i przebitą gwoździem. Na ziemi było dwunastu apostołów i pięciu katolickich świętych z różnych epok, namalowanych w stylu malarstwa religijnego z XVI wieku.

Pinturicchio, właśc. Bernardino di Betto di Biagio (ok. 1454-1513).

Wrócił do papieża i stanął obok niego.

– Powiem to uczciwie, Kościół rzymskokatolicki robi na nas duże wrażenie. Po pierwsze, trzyma się mocno bez wsparcia jakiegokolwiek państwa. Jesteście eksterytorialni. Ostatni z wiernych katolików może być uciemieniony przez swoje państwo, ale wie, że jego prawdziwy zwierzchnik, jedyny, który się liczy, jest gdzie indziej, poza wszelkim tego państwa zasięgiem. On, wierny, może znosić męczeństwo, ale to nie odbiera mu nadziei. Jesteście Kościołem żywym, nie tylko żywotnym. Wystarczył wam Sobór, który nie trwał trzech lat, by potrząsnąć kurzem dziesięciu wieków. Zastąpiliście łacinę językami narodowymi, to bardzo prawosławny pomysł. Może nie mieliście racji, pozwalając księżom chodzić po cywilnemu i zastępując niebiańskie śpiewy gregoriańskie muzyczką sentymentalną, ale umieliście, może nawet brutalnie (dla Gałkina „brutalnie” była to pochwała) zaznaczyć obecność Ducha Świętego. My w tym czasie jesteśmy niewolnikami pierwszych siedmiu Soborów, nie ośmielamy się zmienić kalendarza, który rzeczywiście jest nieprawdziwy, i sami nie rozumiemy naszego liturgicznego języka.

– Przetłumaczyliście grecki na starocerkiewny, dlaczego więc nie przetłumaczyć starocerkiewnego na rosyjski?

– Spowodowałyby to u nas scysje, trzeba nazywać rzeczy po imieniu, nie zazdrościmy wam waszej prawdy, ale zazdrościmy wam

organizacji.

– Krótko mówiąc, przyjechałeś Ojcie do mnie na lekcje *managementu*?

Ilja ponownie usiadł.

Misja, którą sobie założył, miała trzy punkty, dwa pierwsze prowadziły do trzeciego.

Pierwszy punkt: poinformować papieża na temat niebezpieczeństwa, które mu groziło, zaproponować mu pomoc nie do pogardzenia. W tym punkcie Ilja działał za zgodą swoich szefów i znajdował się na bezpiecznym terenie.

Drugi punkt. Pokazać papieżowi realny stan Związku Radzieckiego, i wskazać, jak mógłby wpłynąć na jego losy. Tu Ilja sprytnie się wykręcał biegowi historii.

Trzeci punkt... ów trzeci Ilja ledwie śmiał wyznać samemu sobie.

Położył swoje piękne ręce płasko na stole i głęboko westchnął.

– Ojcie, jest kilka osób, które mają marzenie. W tym marzeniu potworność, w jakiej żyje Rosja od pół wieku, znika. Kraje satelickie, które utrzymujemy ogromnym kosztem, zostają oddzielone, taki anachronizm jak mur berliński upada, Rosja odzyskuje wolność myślenia, wrywa partii komunistycznej tę resztkę pozostałych jej zębów, ziemia oddana zostaje tym, którzy ją uprawiają, wszystko się odbudowuje, wszystko staje się proste i jasne. Ale nie w imię dzikiego kapitalizmu, który przynosi korzyści jedynie przekupniom.

– W imię więc czego?

– Hm... Humanizmu chrześcijańskiego. Teraz widzi Ojciec, dlaczego Ojciec może być dla nas cenny. Ponieważ jesteś Ojciec tym, *kim* jesteś, i dlatego, że jesteś *taki*, jaki jesteś.

Papież popatrzył na swojego gościa uważnie. Już się nie uśmiechał.

– A jaką rolę odgrywam w tym marzeniu?

– Rolę przykładowej latarni morskiej. Liczymy, że Ojciec pokaże, że można wierzyć w Boga i być na czasie. Liczymy, że Ojciec pokaże to tym dinozaurom marksistom, leninistom i naszym prawosławnym

pterodaktylom. Rozwieje Ojciec komunistyczne miazmaty, które jeszcze trwają w naszym społeczeństwie i formalistyczne przesady, które czasami wypaczają nasze biedne, stare prawosławie. Może poprosimy o pomoc, w Polsce wasz Kościół jest popularny i mogliśmy zacząć psuć system stamtąd.

– Jak Ojciec wyobraża sobie naszą współpracę?

– Na różne sposoby. Macie w Kościele doktrynę społeczną, my jej nie mamy. Możemy zainspirować się waszą. Razem zorganizujemy kongresy liturgiczne, patrystyczne, eucharystyczne. Będziemy nawzajem odwiedzać nasze sanktuaria. W niektórych wypadkach możemy wspólnie koncelebrować. Otrząśnie Ojciec z letargu naszą liturgię.

Przebiegły uśmiech pojawił się w oczach papieża.

– Nie sądzisz Ojcze, że nastąpią nawrócenia?

Teraz Ilja uśmiechnął się.

– Będziemy patrzeć wam na ręce. W każdym razie są różnice kulturowe, ryzykujemy jedynie utratę kilku intelektualistów albo kilku snobów. To niezbyt wygórowana zapłata za dobry wpływ, który będziecie na nas mieli... mimo głuchej lub mniej głuchej wrogości, której powinniście się spodziewać.

Teraz uśmiech Papieża sprawił, że wokół Jego oczu pojawiły się „kurze łapki” i wyżłobiły bruzdy wokół ust.

– A jeżeli zaczniemy praktykować u was to, co nazywamy inkulturacją, jak robiliśmy to w Afryce.... w Indiach?

– Chce Ojciec powiedzieć, co będzie, jeżeli zrobicie to samo co z Unitami? „Zachowajcie własne rytuały, przyjmijcie nasze dogmaty?”. Unici nigdy dobrze nie działali. Ilu ich jest na świecie? I zawsze przynosili wam więcej zgryzoty niż satysfakcji. Macie kłopoty z tymi, których macie, nie będziecie mieli zamiaru tworzyć sobie następnych.

Obszerny szkic zarysował się w duszy papieża. Na początku uczestnictwo w zniszczeniu imperium Antychrysta, albo jego zapoczątkowanie. Potem jeżeli taka będzie wola Boża, sprowadzenie do rzymskiej owczarni zagubionych owieczek Orientu. Jedna owczarnia,



jeden pasterz. Papież nie byłby papieżem, gdyby i on nie miał swoich własnych marzeń.

Rzucił okiem na zegar i wyciągnął rękę w kierunku dzwonka.

– Proszę wybaczyć na chwilkę, Ojcze.

Wszedł starszek. Był w cywilu, ale starannie ubrany. Pełen godności, z białymi kręconymi włosami, które jakby nimbem otaczały jego twarz. Można by powiedzieć postarzały anioł.

– Panie markizie – powiedział do niego papież po francusku, z grzeczności dla metropolity – proszę w moim imieniu przeprosić ambasadora Peru. Proszę mu powiedzieć, że jestem bardzo zajęty, że to bardzo pilna sprawa, że spotkam się z nim, jak tylko będę mógł.

– Jego Ekscelencja zrozumie.

– I proszę przygotować poczęstunek. Napije się ojciec kawy... A może kieliszeczek madery?

– Chętnie napiję się madery.

– A dla mnie to, co zawsze, panie markizie.

Markiz wyszedł. Przez kilka minut duchowni nie rozmawiali. Ilja poszedł jeszcze raz obejrzeć *Koronowanie*. Popatrzawszy na świętych, naliczył dziesięciu brodatych i siedmiu bez zarostu.

Lokaj o imieniu Giulio wniósł tacę, którą postawił na stole przed papieżem. Ilja usiadł. Papież nalał madery, a dla siebie wody.

– Widzi Ojciec, piję Saint Pèlerin<sup>57</sup>. Odpowiednie, prawda?

<sup>57</sup> W j. francuskim nazwa tej wody mineralnej to „święty pielgrzym” (przyp. tłum.).

– Według Ojca... – powiedział papież, który zastanowiwszy się chwilę, stwierdził, że niczym nie ryzykuje, idąc o krok dalej – według Ojca, co nas jeszcze dzieli, teraz, kiedy anatemy zostały już zdjęte? Wiesz, Ojcze, że nie jestem fanatycznie ekumeniczny, ale nie możemy przecież nie życzyć sobie i jedni, i drudzy, żeby był tylko jeden Kościół Chrystusowy. Wy, na waszych podstawach, a my, na naszych. Byłbym zachwycony, mając honor nawrócić Ojca na katolicyzm, a ty Ojcze także, byś mnie nie odepchnął, gdybym zdecydował...

- Ponownie stać się prawosławnym.
- Nie grajmy słowami. Więc co przeszkadza...
- Aby wasza wielka rzeka i nasza mała rzeczka popłynęły razem?
- Można to tak wyrazić. I fakt, że Ojciec nie jest zwierzchnikiem

swojego Kościoła, a jedynie ambasadorem, albo nawet że ojciec mówi jedynie we własnym imieniu, pozwala nam mówić swobodnie, co nie byłoby możliwe w innym przypadku. No, proszę. Jakie przeszkody piętrzą się przed nami?

– Wie to Ojciec równie dobrze jak ja. Najpierw istnieje wiele przeszkód formalnych. Znak krzyża, który robimy odwrotnie i jedni, i drudzy. My osadzamy świece, wy je nabijacie, wy macie figury, my ikony. Wy słuchacie mszy na siedząco, my uczestniczymy w liturgii na stojąco. Mamy różne kalendarze. Inaczej obliczamy Wielkanoc. My używamy chleba praśnego, wy na drożdżach. Wasi wierni rzadko przyjmują komunię pod dwiema postaciami. Nasi zawsze. Wasi księża są zmuszeni do celibatu, nasi do małżeństwa, o ile nie są mnichami. Małżeństwo świeckie u was jest nierozzerwalne, a czasami uznawane za niebyłe, u nas można je rozwiązać. Od czasu schizmy nie uznajemy nawzajem naszych świętych. To wszystko, oprócz może komunii pod dwiema lub jedną postacią, nazywam brodatymi problemami.

- Brodatymi?

– Tak. Jak Ojciec to być może zauważył, zachowałem dość duży zarost na brodzie. Ojciec nie. Święty Focjusz pisał do papieża Mikołaja, że różnice w dyscyplinie, w rytuałach lub zwyczajach mogą być zachowane w braterstwie wiary. Cytuję z pamięci: „Jeżeli jakiś Ojciec ustanowi szczególną regułę albo lokalny synod promulguje jakies prawo, nie ma konieczności przestrzegania go, ale ci, którzy go nie otrzymali, bez niebezpieczeństwa mogą go nie przestrzegać”. I jedni gołą brody według zwyczaju ich kraju, dekrety synodalne tego innym zabraniają.

– Cytuje mi Ojciec Focjusza, w takim razie odsyłam do świętego Augustyna: *In necessariis unitas, in dubiis libertas...*

– ...*in omnibus Caritas*. Problem w tym, że nie zgadzamy się co do tego, co jest *necessarium* i co jest *dubium*, ale wzajemny szacunek powinien wiele rozwiązać.

– Zgoda. Proszę kontynuować.

– Jest także – jakby to powiedzieć – inna atmosfera i u nas, i u was. Wy oczy macie skierowane na Krzyż, my na Zmartwychwstanie. Wasze tradycje są bardziej prawne, nasze bardziej fantazyjne. Dla was każda sprawa dotycząca religii i obyczajów musi być załatwiona dogmatem albo regulaminem. Stąd choćby czyściec, który wymyśliście, i oczekiwanie na zmartwychwstanie, i nie wiecie za dobrze, co z tym zrobić. My w to wkładamy trochę więcej swobody.

– Albo więcej szacunku dla tajemnicy. Rozumiem.

– My za to wściekle jesteśmy przywiązani do zwyczajów, czasami aż skamieniali. Może powołaniem prawosławia jest uważanie siebie za „niewielką resztkę” wiernych, o której mówi się w Starym Testamencie, ale nie widzę możliwości pozbawienia nas naszych strojów czy przyjmowania komunii do ręki, jak to wy zaczęliście robić.

– To chyba dobrze, że samochód posiada i silnik, i hamulce, prawda?

– I tu zahaczamy o teologię. Jest oczywiście to nieszczęsne *filioque*.

– Wie Ojciec, że nie wymaga się już, by je recytowano, a w każdym razie częściej recytujemy *credo* apostołskie niż nicejskie. Musi być sposób, aby się porozumieć, o ile wy nie będziecie wymagać, żeby zdanie, „który pochodzi od Ojca” znaczyło od razu „który nie pochodzi od Syna” – to, czego wymagał wasz ukochany Focjusz.

– O, drogi Ojcze, to niski chwyt!

Coś w atmosferze rozmowy uległo zmianie i mimo pozorów była to zmiana na lepsze. Kiedy wymieniali różnice, obaj zaczęli się rozumieć, a nawet sobie nawzajem ulegać. Rodziło się porozumienie.

Papież uśmiechnął się jednym z najświetlejszych uśmiechów.

– Proszę wybaczyć, Ojcze, mucha brzęczy, jak umie.

Ilja wyciągnął rękę w kierunku ręki papieża, jakby chciał go pocieszyć, nie myślał o wypiciu madery, kiedy papież małymi łykami popijał wodę.

– Co jest poważniejsze – podjął temat Ilja – to teologia *filioque*, za którą odpowiedzialna jest niewiedza Karola Wielkiego; my też zresztą mieliśmy teologów zahaczających o herezję. I o ile teologumeny nie stają się dogmatami, wszystko da się jeszcze uregulować. Wie Ojciec, o czym mówię?

– Dogmaty z 1854 i 1870 roku – powiedział skromnie papież, nie wymieniając ich.

– Szkoda, że albo sieje uznaje albo neguje. Mogłyby zostać zawieszane jako hipotezy...

– Czyli jako *dubiis*, w stosunku do których *libertas* są dozwolone?

– Tak jak to było przez prawie dwa tysiące lat.

– Ależ drogi Ojczy, nie jesteś przecież protestantem, co masz przeciw Marii?

Spojrzenie Ilji zamglilo się wobec takiej jawnej niesprawiedliwości. Odetchnął głęboko kilka razy, by się uspokoić.

– Proszę sobie wyobrazić, że to właśnie o niej przyjechałem tu przede wszystkim rozmawiać. Wskazał na Madonnę z Dzieciątkiem na ścianie, niebiesko-czerwoną na złotym tle, siedzącą na tronie, u stóp której siedział papież.

Osoby, które ją otaczały, miały twarze pełne ekspresji, podczas gdy twarze Matki i Dziecka były wyniosłe. Dziecko błogosławiło prawą ręką, której dwa palce były złączone, a trzy zgięte, prawie jak w prawosławiu.

– Oczywiście, Maria jest pełna łaski, jest niepokalana, oczywiście, jest szczytem humanizmu, jest w pewnym sensie sama w sobie Kościołem. Nie wiem, czy Ojciec zna nasz akatyst: *Bądź pozdrowiona Ty, przez którą radość zajaśnieje, kłątwa zginie (...), Bądź pozdrowiona Ty, przez którą piekło zostanie zniweczone...*

Nie może Ojciec podejrzewać nas ani przez moment, że kochamy

ją mniej niż wy.

– Mam wrażenie, że zraniłem Ojca – powiedział papież. – Przepraszam. Naprawdę proszę o wybaczenie.

– Mamy kolendę bożonarodzeniową, która mówi, że stworzenie się połączyło, by pozwolić na przybycie Chrystusa. Niebo dało gwiazdę, ziemia grotę, ludzkość dziewicę. Dla nas, Ojciec (^podkreślił to „Ojciec”, żeby pokazać, że nic między nimi się nie zmieniło) istotny jest fakt, że młoda dziewczyna, *taka jak* wszystkie inne, mogła stać się matką swojego własnego stwórcy. Żadna religia antyczna czy wschodnia nawet nie marzyła o tak wysublimowanej koncepcji. Bóg nie jest na ziemi *odwiedzającym rewizorem*, który wróci do siebie po skończonej inspekcji. O ile Bóg jest ojcem człowieka, *człowiek jest matką Boga*. Mała Żydówka, Maria z Nazaretu naprawdę urodziła Boga. Maria jest najczystsza kroplą wyciśniętą z ludzkości, a destylacją tej kropli w alembiku historii jest Bóg. Ludzkość naprawdę rodzi Boga każdego dnia. Widzi Ojciec, jak to wszystko jest filozoficznie bogate, i jak różni się od pogaństwa, judaizmu i islamu. Wyobraża sobie Ojciec muzułmankę rodzącą Allacha? Albo śmiertelniczkę rodzącą Zeusa? Jestem matką Boga, Ojciec, i Ojciec także, jest Ojciec matką Boga. Jesteśmy dwiema częściami matki Boga.

– My też w to wierzymy, mimo iż wyrażamy to inaczej – powiedział łagodnie Papież.

– Tak, ale trzeba było pomocy Boga, by Maria urodziła się pozbawiona, jak to mówi Augustyn, grzechu pierworodnego, nie jest więc naprawdę jedną z nas. Nie jest już naprawdę córką Ewy, jest z drugiego przemiału. Jest udaną Ewą. Nie jest już...

Szukał sposobu, by inaczej się wyrazić. W gardle czuł suchość. Zakończył złamanym głosem.

– Cóż mam powiedzieć. Nie jest moją młodszą siostrzyczką...

Papież zastanowił się. Jakaś część niego samego chciała mu powiedzieć, że to przecież się nie liczy, że liczy się tylko miłość, ale przecież nie po to został wybrany papieżem, żeby tak łagodnie obchodzić się z dogmatami, w które wierzył całym swoim sercem.

– Widzę – powiedział – to rzeczywiście inna koncepcja soteriologiczna, ale wydaje mi się, że niektórzy teologowie prawosławni są mniej nieprzyjaźnie nastawieni do Niepokalanego Poczęcia niż Ojciec. Choćby ojciec Kallistos Ware... Przyznajmy, że istnieje tu przeszkoda. I spodziewam się, że jesteście także przeciw nieomyślności? Nie widzicie, że jest nieodzowna? Że trzeba jednego głosu, który powie, „Kościół sądzi, że...”.

– Trzeba, ale sobory ekumeniczne są do tego odpowiednie, nie sądzimy, że może to robić jeden człowiek, jakiegokolwiek byłoby jego prawo i osobista świętość.

– A jednak pierwszeństwo Piotra...

– Ojczy, teraz ty mi wybacz to, że powiem to, co powiem.

Nikt nigdy nie negował ani pierwszeństwa Piotra pomiędzy apostołami, ani biskupa Rzymu pomiędzy biskupami. Kiedy zostaniesz wraz z patriarchą zaproszony na obiad, pani domu posadzi cię po swojej prawicy, patriarcha zaś usiądzie po lewej i zrozumie to. Jestem teraz przed pierwszym duchownym chrześcijaństwa, jestem tego świadom, zapewniam. Ale w Ewangeliach ani Dziejach nie widać, żeby Piotr wydawał choć jeden rozkaz któremuś z apostołów, nie uważamy, że biskup Rzymu powinien rozkazywać innym biskupom. W pewnym sensie ja sam tego żałuję. To bardzo wygodna rzecz taka monarchia.

– Nie negujecie kluczy? „Dam ci klucze do królestwa niebieskiego”, to jasne?

– Wydaje się jasne.

- Wydaje się... wydaje... Więc tak wam przeszkadzają te klucze?
- Trochę. Rozumiemy je w sensie kolektywnym. Dla nas „Dam ci” oznacza każdego biskupa, a więc i wszystkich biskupów.
- Słabiutkie, Ojcze, słabiutkie – powiedział grzecznie papież.
- Wyjęte z kontekstu, tak. Ale Ojciec wie, że raz powiedział Piotrowi: „Co połączysz na ziemi, będzie połączone w niebie”, a innym razem mówi do apostołów: „co wy połączycie na ziemi, będzie połączone w niebie”<sup>58</sup>? Co do nieomyślności (która posłużyła wam jedynie do promulgowania dogmatu o Wniebowzięciu, co do którego wszyscy i tak się zgadzali), proszę powiedzieć Ojcze, co by było, gdyby nieomyślny papież ogłosił *ex cathedra*, że nie jest nieomyślny?

<sup>58</sup> Mt 16,19; 18,18.

Papież roześmiał się szczerze. Widać było, że ten Włoch naprawdę lubi się śmiać.

– Pikantna hipoteza. Prawie aporia Zenona. Kiedy nieomyślny papież mówi, że jest omyślny, więc jest, więc może się mylić, więc prawdopodobnie jest nieomyślny i tak. Krótko mówiąc, jeżeli jest nieomyślny, jest omyślny, jeżeli jest omyślny, jest nieomyślny.

- Tak, ale ja pytam poważnie. Co by się stało?
- Niech Bóg uchowa. Schizma. Jedni powiedzieliby, że papież przeczy sam sobie, w konsekwencji jego deklaracja jest nieważna, i że nadal jest nieomyślny. Inni stwierdziliby, że będąc nieomyślny, nie może się mylić, ogłaszając swoją omyślność. I że trzeba mu wierzyć. Byliby papieże i antypapieże, to nic oczywiście nowego, to w końcu się zresorbuje, jak to już kiedyś się zdarzyło.

Ilja wyciągnął rękę w kierunku kryształowej, rźniętej szklanki, gdzie połyskiwała rdzawa madera, ale to, co wówczas powiedział papież, powstrzymało go.

- Cóż, jeżeli dobrze rozumiem, ustaliliśmy różnice pomiędzy nami, a podobieństwa Ojcze?
- To nie są podobieństwa, Ojcze, to są cechy identyczne. Wierzymy w Boga w Trójcy Jedynej, Stworzyciela, który zrodził się człowiekiem, jeden jedyny raz w historii w okresie panowania pew-

nego Poncjusza Piłata, tylko po to, by zbawić swoje własne stworzenie. Wierzimy, że został ukrzyżowany, że zmartwychwstał, że dał nam Kościół Niepodzielny, który podzieliliśmy i jeszcze jesteśmy z tego dumni, ale tu się mylimy. Może podzieliliśmy między siebie jego szaty, ale nie rozdarliśmy tuniki, po prostu ciągnęliśmy o nią losy i nikt nie wie, kto wygrał. Wierzimy, że ludzkość dała Matkę Boską, niepokalanie lub zwyczajnie poczętą. Wierzimy w miłość Bożą i miłość bliźniego jako miłości, które są wzajemnie równoważne. Wierzimy, że Syn Boży jest obecny pomiędzy nami, między innymi pod postacią chleba i wina. Z tym wszystkim, nasza wiara nie jest ani filozofią, ani regułą życiową. Kochamy tę samą Osobę.

– I nie przyjmujemy komunii z tego samego pucharu?!

– Ojciec Bułhakow myślał, że to największa katastrofa, która zdarzyła się ludzkości.

Obaj kapłani Chrystusa popatrzyli na siebie.

Papież, który niewiele myślał o katastrofie, którą postrzegał jako „wschodnią schizmę”, pokiwał głową.

– Musicie z tego powodu cierpieć bardziej niż my, bo jest was mniej i w pewien sposób zostaliście zepchnięci na bocznicę historii...

– Sądzi Ojciec naprawdę, że to my...

– Przepraszam za to niezręczne wyrażenie. Powinniśmy w stosunku do was okazać więcej zrozumienia, niż okazujemy. To okoliczności historyczne sprawiły, że... Nigdy nie należy nie doceniać okoliczności historycznych, ani cenić przesadnie ludzkiej złej woli.

Ilja nie odpowiedział. Inaczej widział te rzeczy. Dla niego to Rzym usiłował zagarnąć władzę absolutną i ojcowską nad wszystkimi Kościołami, podczas gdy powinien mieć w stosunku do nich autorytet moralny starszego brata. To on odszedł od wiary apostołskiej. Ale po co to mówić? Nie po to tu przyjechał.

– Mamy dużo więcej innych podobieństw, Ojcze. Na przykład, jeżeli chodzi o błędzenie i o grzech. I jedni, i drudzy wierzyliśmy, że wiemy wszystko lepiej od innych. Nawracaliśmy ogniem i mieczem. Obraziliśmy pogan i upokorzyliśmy Żydów. On powiedział nam, że



będzie można nas rozpoznać po miłości, jaką będziemy nieśli, a my się nienawidziliśmy i nawzajem zabijaliśmy. Z Konstantynopola wyszedł ikonoklazm, z Rzymu protestantyzm. Wy mieliście wojny religijne, my prześladowaliśmy starowierców. Zaprzeczaliśmy sobie nawzajem co do ostatecznych celów, nie rozwiązaliśmy problemu zła. Z moralności zrobiliśmy cel, podczas gdy jest ona środkiem do celu. I to nie zawsze pewnym. Nigdy nie wiedzieliśmy, co zrobić z instynktem wojennym, raz po raz go wychwalamy, raz po raz ganimy...

Papież wydawał się zachwycony.

– A ciało! Jak się zagmatwaliś w sprawach ciała? Uznajemy przekazywanie grzechu pierwotnego drogą płciową, a sławimy świętość małżeństwa. Nieźle, prawda? Nie licząc nierządu, z którego zrobiliśmy największy grzech, podczas gdy może jest on jednym z najmniejszych, bo związany jest z naszą wrażliwością, a nie z naszym *hubris*<sup>59</sup>. To tak jakbyśmy celowo zapominali o cudzołóżnicy i o grzesznicach z Ewangelii.

<sup>59</sup> Pierwotnie oznaczało ono niepokromioną pychę i pragnienie wywyższania się, wywołujące gniew bogów. Obecnie odnosi się do tych sił tkwiących w jednostce, które zmuszają ją do działań prowadzących do sukcesu zawodowego i rodzinnego, dowartościowania siebie, samodoskonalenia, osiągania coraz wyższych pozycji i stanowisk, kształcenia ustawicznego, akceptowania zmian i innowacji (przyp. tłum.).

– Teoretycznie zaprzestały grzeszyć zaraz po tym, jak się nawróciły.

– Och! Jest Ojciec tego pewien?

Bruzdy pobłażliwości i rozbawienia pojawiły się w kącikach ust papieża.

– Powiedział Ojciec, że przybył tu rozmawiać o Marii – powiedział poważniejszym tonem.

Ilja zastanawiał się, czy nadszedł moment, aby przejść do trzeciego punktu, prawdziwego, tajemnego powodu jego wizyty, o mało nie napił się odrobiny madery, aby dać sobie odrobinę dłuższą przerwę, ale jego godzina, trzeba w to wierzyć, jeszcze nie nadeszła. Po prostu podrapał się w nos.

– Tak – skinął – tak.

I po jakimś czasie z głową pochyloną na bok powiedział.

– Ojcie, nie wiem, od czego mam zacząć.

Papież patrzył na niego, usiłując napromieniować go swoim uśmiechem, oczami, sympatią i zrozumieniem. Zaczął trochę się rozpoznawać w tym człowieku, w obu tego słowa znaczeniach, a więc kochać go.

W końcu Ilja zebrał się na odwagę.

– Ojcie, w zeszłym roku udałeś się do Fatimy. Z racji, których nie znam, ale które odgaduję, nie chciałeś Ojcie zorganizować swojej podróży przez pośrednictwo Watykanu. Wybrałeś Ojcie pielgrzymkę organizowaną przez swojego spowiednika. Spóźniłeś się Ojcie na samolot i dotarłeś ledwie na czas na uroczystą celebrację 10 lipca. W czasie ceremonii wygłosiłeś homilię. Opowiedziałeś żart, jak to masz w zwyczaju. Święty Piotr zgubił klucze do raję. Stara kobieta otwiera drzwi małym krzyżykiem ze swojego szkaplerza. Przypomniałeś także prośbę Matki Boskiej. Papież ma jej poświęcić Rosję. Potem miałeś dwugodzinne spotkanie sam na sam z siostrą Łucją. Wyszedłeś z tego spotkania blady. Nigdy nie opowiedziałeś o tym spotkaniu, ale jedno zdanie wiele o nim powiedziało: „Jest tak radykalna jak święci – *ou toudo ou nada*”<sup>60</sup>, jeżeli się chce poważnie dążyć do Boga. A niedawno miałeś powiedzieć Ojcie: „jeżeli będę żył, powrócę do Fatimy”.

<sup>60</sup> (Port.) „Wszystko albo nic” (przyp. tłum.).

– Jesteś dobrze poinformowany.

– To jeden z moich dwóch zawodów. Wrócisz do Fatimy, aby dokonać konsekracji, o jakie prosiła „Święta Dziewica, *według wskazówek, które dała siostrze Łucji*”? „Według wskazówek Dziewicy” to znaczy bez oszukiwania, jak to dotychczas robiono (proszę wybaczyć słowa). Kiedy usłyszałem, że użyłeś tego wyrażenia, serce we mnie zadrżało.

– Zgoda, zgoda – powiedział papież z lekkim nawrotem oschłości, nie lubił, jak mu mówiono, co powinien zrobić. – To nie takie

proste, wiesz ojcze. Wskazówki Madonny mówią o jej Sercu. Nie słyszałem, żeby prawosławie uznawało kult Serca Maryi, nie bardziej niż Serca Pana Naszego. Mogliby czuć się zranieni tym, co wzięliby za dezynwolturę, nie licząc, że państwo sowieckie byłoby w stanie źle to odebrać, co mogłoby źle się skończyć dla tamtejszych chrześcijan...

Ilja nie słuchał. Słyszał ponownie dzwony Fatimy, jak mówiły do niego nocą.

– Ojcze – przerwał mu – czy znasz trzecią tajemnicę?

Papież długo się zastanawiał, zanim odpowiedział.

– Tak. Siostra Łucja mi o niej mówiła. Prawie wcale nie mówiła mi zresztą o objawieniach. Nawet nie widziała słonecznego tańca. Ale odkąd wybrano mnie papieżem... Otworzyłem kopertę – dorzucił.

– Tajemnica miała być wyjawiona w 1960 roku.

– Tak, miała być.

– I nie była.

– Nie.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że po to, by nie niepokoić Kościoła.

– Wyjawi ją Ojciec?

– Jeszcze nie wiem.

Papież zamykał się coraz bardziej.

Ilja jednak się odważył.

– Proszę mi zdradzić trzecią tajemnicę.

– Tobie, Ojcze?

– Tak, mnie.

– Ojciec nawet niech o niej nie myśli.

– Dlaczego?

– Nie jesteś, Ojcze, katolikiem!

– Jestem katolikiem, bo jestem prawosławny.

– Chciałem powiedzieć, rzymskim katolikiem oczywiście.

Miałbym tobie powierzyć coś, o czym nie wiedzą nawet kardynałowie? Chciałbym, a nie mogę... a szczerze, mógłbym, ale nie chcę.

Ilja przeciągnął dłońmi po czole, policzkach, zagłębił kciuki w

brodzie. Pomiędzy palcami widział, jak papież patrzy na niego z mieszaniną współczucia i ironii. „No nie, co on sobie wyobraża ten dzielnny biskup z KGB? Trochę uroku i załatwione?”.

– Powiedzmy inaczej – powiedział Ilja, nie zdradzając ogromu doznanego zawodu – czy jest Ojca zamiarem powrót do Fatimy i poświęcenie Rosji Sercu Maryi?

– Tak.

– Ja też byłem w Fatimie.

– Powiedziano mi o tym. Może właśnie dlatego przyjąłem ojca tak szybko, mimo zamieszania pierwszych dni pontyfikatu.

– Wróćmy tam razem Ojcze.

Papież był zaskoczony i nieufny.

– Dlaczego nie? Może. Chętnie, jeżeli okaże się to możliwe.

Ilja wstał ponownie.

Zrobił kilka kroków w stronę papieża.

– Proszę mnie posłuchać. Usiłuję się postawić na miejscu, jak to powiedziec – Matki Boskiej. Jest lipiec 1917 roku. Ona wie, że najpierw Rosja, a potem za jej pośrednictwem cały świat pogrązą się w bezmiernym horrorze ateizmu, głodu, masakry, zła. Decyduje się interweniować. Bierze sobie kłopot na głowę. Przychodzi powiedziec światu „Uwaga na Rosję”, a Rosji: „Wróć pod moją opiekę”.

– A papieżowi: „Zrób coś”. Coś, czego nie zrobił. Zgoda. Zgoda.

– Czy więc nie nadszedł i dla nas, i dla was moment, aby nadrobić straconą okazję, i wreszcie być posłusznym tej, którą wy nazywacie Królową Nieba, a my Carycą Niebieską? (po kolei wskazał na Maddonnę na tronie i na koronowaną Dziewicę, które wisiały naprzeciw siebie). Nie zwróciła się tylko do Ojca Świętego. Powiedziała „Ojciec Święty *wraz ze wszystkimi biskupami*”, „. Wszyscy biskupi to wszyscy biskupi. Czyż ja nie jestem biskupem? Nie zwrócimy życia wszystkim ofiarom komunizmu rosyjskiego, czy też nie rosyjskiego, ale może świat jest w jeszcze innym niebezpieczeństwie? Czyż nie powinniśmy go uprzedzić w jedyny sposób, którego Matka Boska daje nam gwarancję skuteczności?

Papież był mocno zaintrygowany.

– Chcesz Ojciec powiedzieć o wspólnym zawierzeniu Rosji Maryi? Przez katolików i rosyjskich prawosławnych?

– Tak. Na miejscu. Niech sobie Ojciec wyobrazi, jaki wydzźwięk będzie to miało na świecie. I nie będziemy się przejmować *filioque*, ani Niepokalanym Poczęciem, ani nieomylnością, bo nieomylność to wy. Jakież to krok do przodu w celu połączenia Kościołów, bez żadnego taniego ekumenizmu! Protestanci będą się śmiali, by ukryć niezadowolenie, komuniści zostaliby powaleni, może nawet w dosłownym sensie, jeżeli się ośmielę tak powiedzieć... A my nie zrobilibyśmy nic poza tym, czego zażądała jasno i wyraźnie Matka Boska. I o co prosi, jeżeli się nie mylę, nadal jedyna żyjąca z trójki pastuszków.

– I to jak prosi. Ale proszę powiedzieć, Ojciec, nie jesteś zwierzchnikiem waszego Kościoła. Składasz mi tę propozycję w imieniu patriarchy Pimena czy tylko we własnym?

– Och! Patriarcha Pimen...

Ilja usiadł. Ten silny człowiek poczuł się nagle wyczerpany. Wziął szklankę ze rżniętego kryształu pełną madery i obracał jej stopkę pomiędzy palcami. Madera! O tej godzinie najchętniej wypiłby pełną szklankę wódki. Nie uzyskał jeszcze tego, co chciał uzyskać, ale był na dobrej drodze. Jeżeli papież zgodzi się na to wspólne zawierzenie... Ilja wypił maderę jednym haustem do dna. Nalał sobie drugi kieliszek.

Papież powtarzał sobie raz jeszcze. Kościół jest zduszony potęgą pieniądza, on sam jest w niebezpieczeństwie, interesujące propozycje, trochę podejrzane, może jedyna okazja, by świat wrócił na swoje tory, z pomocą samej Madonny...

Nagle zauważył, że jego gość nie zachowuje się normalnie.

Przyciska rękę do serca, oddycha coraz szybciej.

– Ojciec! – krzyknął – Ojciec, co ci jest?

Ilja próbował wstać z otwartymi ustami, dysząc. Jego lwia twarz był zmieniona. Upadł ponownie na fotel. Oddychał coraz szybciej.

– Umieram Ojciec. To nic poważnego.

Papież po omacku szukał dzwonka, wstał, pochylił się nad stołem

ponad relikwiami.

– Ojcze! Ojcze!

– Teraz zdradź mi tajemnicę. Po to przyjechałem – powiedział. – Nie powiem nikomu – dorzucił po chwili z dziwnym wyrazem twarzy.

Dzwonka nikt nie usłyszał. Nikt się nie zjawił. Papież obszedł stół, stanął za Ilją, trzymając go za ramiona. Biała sutanna i czarna riasa pomieszały się jakby ze sobą. Zarośnięta i starannie ogolona twarz obok siebie. Oddechy połączyły się.

Papież zawahał się na chwilę. Może to była tylko dobrze zagrana komedia, by wyciągnąć od niego tajemnicę?

„Panie, natchnij mnie!”

Targany wątpliwościami wybrał miłość.

– Góra, na niej krzyż.

Ilja odrzucił głowę w tył, kłobuk zsunął się na ziemię, oczy miał szeroko rozwarte. Nie widział już papieża, biblioteki, ksiązek, obrazów, *Koronowania Dziewicy*. Widział to, co słyszał.

– Kościół – szepnął.

– Stoki pokryte są szczątkami.

– Kościół.

– I trupami.

– Kościół.

– Anioł woła: „Pokuta! Pokuta! Pokuta!”. Biały biskup wchodzi na górę.

– To ty.

– Obok niego idą inni biskupi.

– My.

– Przeszywają go strzały żołnierzy.

– Nas także.

– Dwaj aniołowie z kryształowymi konewkami zbierają krew męczenników i polewają nią dusze. To wszystko.

– To wszystko?

Ilja podniósł się odrobinę, jakby odzyskał trochę siły. Myśli tłuką mu się w głowie. Niespójne, ale świadome.

- Męczennicy? Trzysta tysięcy?
- Niezliczona ilość.
- Mówisz Ojcze, dwie konewki?
- Dwie.
- Jedna dla ciebie, druga dla mnie.
- Jak Bóg zechce.

Ilja się skrzywił.

- Nie pojedziemy razem do Fatimy. Za późno.
- Już tam jesteśmy, bracie.

Błękitne oczy Ilji są coraz bardziej zamglone. Mówi zadziwiająco wyraźnym głosem.

- Wypowiadaj mnie. Szybko!
- Papież kiwa głową.
- Odpuszczę ci grzechy.

Pierwszy kapłan chrześcijaństwa skupił się. Odetchnął Duchem Świętym tak głęboko, jak na to pozwoliły mu płuca.

– *Dominus noster Jesus Christus et ego auctoritate ipsius te absolvo ab omni vinculo excommunicationis et interdicti in quantum possum et tu indiges. In Nomine Patri et Filii et Spiritus Sancti.*

Zrobił znak krzyża.

Ilja otworzył oczy po raz ostatni.

– Przyjechać z tak daleka, żeby odpuszczono mi grzechy po łacinie, przyznasz Ojcze...

I w ostatnim oddechu, jakby doznawał najwyższego ukojenia, wypowiedział:

- JE-DI-NA...

Ach! To właśnie chciał udowodnić, jadąc do Rzymu.

Papież nie znał ,rosyjskiego, ale zrozumiał to, co chciał powiedzieć arcybiskup: „JEST JEDEN!”.

### 3.

*Sobota 9 września*

Papież zadzwonił, przybiegła służba, potem Wielebności i Eks-celencje, lekarz należący do Alvéole 1 stwierdził wylew.

Kardynał, sekretarz stanu kazał przenieść szczątki doczesne do kościoła miejskiego parafialnego w Watykanie, pod wezwaniem świętej Anny. Wydano dyspozycje, by przyodziać ciało w szaty liturgiczne, według zwyczaju Kościoła prawosławnego, aby można było wystawić ciało w kościele. Wielu kardynałów, a także kardynał Świętego Kolegium i inni katolicy biskupi przyszedli modlić się przy ciele. Nieobecność sekretarza Ilji skomplikowała trochę sprawę, ale w Rzymie było wielu jezuitów, którzy mieli kontakt z prawosławiem rosyjskim, aby nie zrobiono niczego niestosownego.

Msza żałobna została odprawiona w obecności dygnitarzy katolickich, między innymi był generalny wikariusz Miasta Watykanu, kardynał przewodniczący Jedności Chrześcijan, a także delegacje Kościołów Rumunii i Bułgarii. Obecność papieża uznana została za niekonieczną. Potem Ilja został włożony do trumny i odleciał do Leningradu. Prasa włoska i światowa mówiła o śmierci Jednej z największych postaci współczesnego ekumenizmu”, nie mówiąc o tym, co było dziwne, że pierwsza wizyta osobista rosyjskiego metropolity u zwierzchnika Kościoła katolickiego zakończyła się nagłą śmiercią. Była to jedna z tych oczywistych spraw, których lepiej nie starać się zrozumieć. Reakcja Rosjan była opanowana, niewielu ludzi dziwiło się, że gość papieża wrócił do domu z nogami do przodu, niektórzy mówili nawet, że dobrze.

Jurij i wielka Wiera bardzo płakali. Ogarnął ich ból i zdwojona niechęć do Zachodu. Mały Iljuszka także płakał, ale pocieszył się o wiele szybciej niż rodzice. Patriarcha powołał nowego metropolitę Leningradu, po roku zakazu przywrócił Jurija do jego kapłańskich



funkcji. Towarzysz Andropow zrozumiał, że była to walka na śmierć i życie pomiędzy *żubrami* i *liberalami*, wewnątrz służb, ale zdecydował się nie przeprowadzać śledztwa. W głębi serca uważał generała Gałkina za wzruszającego, spieszenie dążącego do celu, i nie całkiem zaufanego.

Fulvio poczuł ulgę.

Jeszcze raz zrozumiał, że można ufać Alvéole 1. To on zamienił maderę w karafce, tak więc w laboratorium nie wykryto niczego. Lokaj Giulio, który uwielbiał poprzedniego papieża, nie interesował się kłopotami obecnego. Papież był tak poruszony duchowym, apokaliptycznym wręcz aspektem tej śmierci, że nie myślał zajmować się jej ziemskimi przyczynami. Medycyna wypowiedziała się: wylew, to wystarczyło.

Trzy dni później Fulvio odebrał telefon od Lalkarza, który prosił go o przybycie do pałacu Innocentich o 16. Poszedł tam. Lokaj podobny do wampira poprowadził go do salonu, gdzie Innocento wziął go w ramiona gestem nadzwyczaj teatralnym. Postarzał się odrobinę przez te dni. Jego głos drżał jakby odrobinę, a skóra tak dobrze wymasowana, natłuszczona i przypudrowana na twarzy, niezauważalnie podrygiwała na kościach czaszki, które zaczynało być widać.

– Ach! Drogi Fulvio! Ileż to zanieczyszczonej wody upłynęło pod mostami w rzece Tyber od dnia, kiedy uczyłem to wspaniałe dziecko, jakim byłeś, odmieniać różne części tej wspaniałej francuskiej szarady *lubieżnik!* Teraz jestem stary, a ty masz przed sobą karierę, ale chodź, chodź, Wasza Wielbność, zrobię sobie przyjemność i pokażę ci coś wspaniałego.

Zostawił go samego w maleńkim złoconym teatrze i Fulvio, jak mógł, rozsiadł się w fotelu.

Kurtyna podniosła się.

Scena ukazywała wnętrze bazyliki Świętego Piotra. Na pierwszym planie była kaplica świętego Leona Wielkiego. Widać było dwie rozmawiające ze sobą marionetki. Jedną długą, szczupłą, z twarzą w

kształcie rombu i z koloratką, była ona podobna do Fulvia. Druga była ubrana na czerwono, miała coś z kardynała i coś z Mefistofelesa. Nie miała twarzy. Zaczęły rozmawiać, idąc, a kiedy szły, dekoracja się zmieniała. W ten sposób opuściły kaplicę, zeszły na dziedziniec, doszły do obelisku... Fulvio przemawiał głosem Fulvia. Kardynał zniekształconym głosem, nierozpoznawalnym, zmodyfikowanym. Marionetki gestykulowały historycznie na swoich sznurkach.

Kardynał powiedział:

– Ach Wielebny Fulvio Krstitch! Proszę tego tak nie odbierać. Mam tu niewielką torebkę, żeby panu przekazać. Proszę włożyć ją do kieszeni. To tylko niewielka ilość proszku. Wie pan, o co chodzi? Wie pan, że rosyjski biskup ma być przyjęty przez papieża? I co pan na to? Nie sądzi pan, że należy temu zapobiec wszelkimi sposobami? W jakim kierunku pójdzie katolicyzm, jeżeli zbliży się do wschodniej schizmy? Służymy tej samej sprawie. No i pańska kariera nie jest mi obojętna. No i proszę sobie wyobrazić, Ojciec Święty, jeszcze nie-doświadczony ulega nieświadomie wpływom KGB? Wpływowi KGB, a co gorsza i prawosławia. A więc czy może pan zapobiec temu horrorowi? To nie będzie trudne, prawda? Szczypta do filiżanki kawy albo do kieliszka wódki, nie wiem, co piją heretycy... Przyjaciele, dobrze postawieni... Krótko mówiąc, nie musi się pan obawiać konsekwencji.

– On jest schizmatykiem – powiedziała marionetka Fulvia – nie heretykiem.

– Tak bardzo schizmatykiem, jak tylko się da – powiedziała marionetka kardynała.

– Jest Rosjaninem.

– Nie ma Rosjan bardziej rosyjskich niż on.

– I na pewno jest oficerem KGB.

– Inaczej mówiąc, wysłannikiem szatana.

– Zgoda Fulvio Krstitch? Załatwisz schiza?

– Zgoda. Załatwię.

Dekoracja pokazywała teraz wyjście na via della Conciliazione.

Marionetki pożegnały się.

Fulvio uderzył trzy razy w ręce, ułożone tak, by dźwięk był mocniejszy.

Marionetki wróciły za kulisy. Kurtyna jednak nie opadła.

Lalkarz pojawił się gigantyczny na tej niewielkiej scenie. Wskoczył na salę i stanął plecami do rampy. Fulvio siedział wciśnięty w fotelik.

– No i jak się podobał spektakl? Ten kardynał, który jest w Alvéole 1, wydał mi się bardzo przekonujący. A panu nie?

– Czego pan chce ode mnie – powiedział zmęczony Fulvio, był zrezygnowany.

– Dobrze wiesz. Łap! Już pewnie więcej nie masz!

Fulvio chciał upuścić plastikową saszetkę, którą rzucił mu Lalkarz, ale w ostatniej chwili ją złapał.

– Miał pan magnetofon.

– Nic się przed panem nie ukryje!

– Doniosę na pana!

Książę przeciągnął językiem po wyschniętych wargach.

– Jesteś głupkiem. Komu na mnie doniesiesz? Alvéole 1? Alvéole 1 to my! Siłom porządkowym? Są infiltrowane. Żaden policjant, żaden sędzia nie odważy się działać przeciw nam!

– Papieżowi – odpowiedział Fulvio. – Doniosę na ciebie papieżowi. A on wyśmieje te twoje podrobione nagrania. Dojdzie do samego sedna. Dowie się, że chcesz jego śmierci. Powiem mu, dlaczego!

– Świetny pomysł! – powiedział książę, wyjmując złotą papierosnicę z kieszeni i wyjmując z niej papierosa, na którym widniał herbowy pierścień. Nie uważasz, że dobrze odegraliśmy tę melodramatyczną scenę i że dobry jesteś w roli marionetki? Doniesiesz na mnie papieżowi. A wiesz, co ja z tym zrobię? Z tym nagraniem, które dowodzi, że zabiłeś generała KGB? Oddam je ministrowi spraw wewnętrznych? Nie. Wyślę na Łubiankę, plac Dzierżyńskiego, Moskwa, Związek Radziecki. Może nawet nie opłaciwszy przesyłki.

Nie wątpię, że pokryją koszty przesyłki. Więc, mój maleńki, wtedy nikt już dla ciebie nie będzie mógł nic zrobić. Nawet Alvéole, bo KGB nie może sobie pozwolić na coś takiego! Życzę ci szczęścia! Ciao! Nie chciałbym cię zatrzymywać...

Nadal spokojny, księżę przekroczył rampę i zniknął za dekoracjami. Teraz już był pewien zwycięstwa. A potem nie zostanie żaden ślad, bo Scoronconcolo zajmie się Fulvio Krstitchem. Kukułcze jajo za kukułcze jajo!

Nikt nie odprowadził Fulvia, ale kiedy dochodził do parteru, po jego prawej stronie otworzyły się drzwi i zobaczył zjawę w liliowej sukni.

– Fulvio – powiedziała Maria – Fulvio, to ty?

Poznali się dwadzieścia lat wcześniej. Jako nastolatki uczestniczyli w tych samych piekielnych zabawach, ale od tamtej pory się nie widzieli. Księżę lubił dzielić.

– Fulvio – szepnęła raz jeszcze Maria.

Dlaczego nagle w głębi serca poczuła zacząć czułości dla swojego dawnego współnika, który był kiedyś także jej katem, nie mniej strasznym od innych. Może zniemacka przypomniał jej czasy, kiedy była taka niewinna? Patrzyła na niego i widziała beznadziejność wymalowaną na jego twarzy, bezbarwnej twarzy człowieka potępionego.

– Fulvio – szepnęła nie wiedząc, co mówi, ale wiedząc, że niebezpiecznie było to powiedzieć – Nie idź tam! Nie wiem, co ci kazał zrobić, ale nie rób tego! Uciekaj!

Nie patrząc na nią, zrobił niejasny gest ręką i wyszedł z ciszy pałacu w tumult ulicy. Samochody vespa, śmierzdząc spalinami, przełykały po ulicy. Przechodnie rozsuwali się na jego widok. W Rzymie osoba duchowna zawsze ma prawo do szacunku. Szedł z pochyloną głową, z opuszczonymi ramionami, z załamany wyrazem twarzy. Jak Judasz. Na myśl o Judaszu, przyszło mu do głowy samobójstwo. To załatwiałoby wszystko. A gdyby Judasz popełnił samobójstwo wcześniej? Nie, to nie załatwiałoby niczego. Nie ma wybaczenia dla

samobójców. Dla morderców jest.

Z góry z balkonu jeszcze raz zawołała go Maria.

– Fulvio! Fulvio, uciekaj! Ratuń się!

Nie usłyszał.

Zamknęła okno. Poszła spotkać się z ojcem Onezymem. Tym razem może wypowieda się naprawdę.

*Wielkanoc 2003*

## *Spis treści*

Zamiast wstępu	5
Rozdział I. Musicie go zabić	7
Rozdział II. Nieprzewidziane powołanie. <i>1920-1950</i>	55
Rozdział III. Spienione wody Tybru	97
Rozdział IV. Powołanie – ciąg dalszy. <i>1950-1960</i>	143
Rozdział V. Wielka Wiera. <i>Lata 70.</i>	193
Rozdział VI. Dzwony Fatimy. <i>Lata 70, ciąg dalszy</i>	229
Rozdział VII. Wokół konklawe. <i>Koniec lat 70.</i>	273
Rozdział VIII. Przeznaczenie ojca Jurija	307
Rozdział IX. Koronowanie Dziewicy	347